EWELINA TONDYS

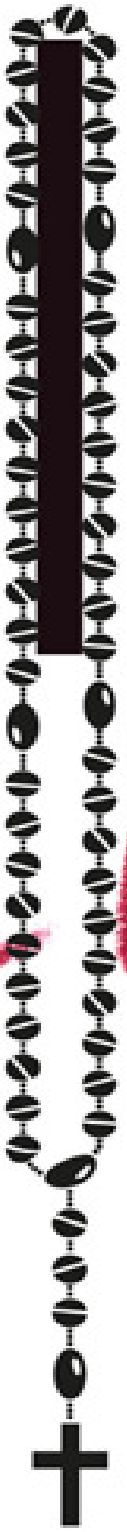
HABIT

zamiast

szminki

czyli

zakonnice zabierają głos



WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

EWELINA TONDYS

Habit
zamiast szminki,
czyli zakonnice zabierają głos

WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

WROCŁAW 2017

Projekt okładki
MARIUSZ BANACHOWICZ

Redakcja
BARBARA MAJEWSKA

Korekta
IWONA HUCHLA

Redakcja techniczna
KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Zdjęcia w książce pochodzą z prywatnych archiwów sióstr i zostały przez nie udostępnione.
Polish edition @ Publicat S.A., Ewelina Tondys MMXVII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.
All rights reserved

Wydanie elektroniczne 2017

ISBN 978-83-245-8269-3

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

jest znakiem towarowym Publicat S.A.

Publicat S.A.
61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

publio

Spis treści

Dedykacja

Od wydawcy

Wstęp

Część I

- Świat się zmienia, my też musimy się zmieniać – s. Ewa Bartosiewicz
- Życie zakonne jest dla dorosłych – s. dr Bogna Młynarz
- Obrona wartości nie jest anachroniczna – s. prof. dr hab. Barbara Chyrowicz

Część II

- Kobieta to brzmi dumnie – s. Cecylia Bachalska
- Misja Małgorzata – s. Katarzyna Kmieć
- Kwestie życia i śmierci – s. Augustyna Milej

Część III

- Anonimowi chrześcijanie – s. Jolanta Glapka
- Moje życie zakonne nie jest celem – s. Maura Leszek
- Zakon to nie reality show – s. Sybilla Kołtan

Część IV

- Jesteśmy, choć nas nie widać – s. Joanna Długa
- Mnisi i mniszki w wielkim mieście – s. Joanna Hertling

Część V

- Mój dom jest w Aleppo – s. Urszula Brzonkalik
- Cięcie na żywym organizmie – s. Maria Stecka
- Adagio – powoli – s. Michaela Rak

Podziękowania
Źródła cytatów
Przypisy

Jedynie to jest prawdziwe, czemu do końca dochowujemy wierności[*1].

Hannah Arendt

Mojej siostrze Jolancie

Od wydawcy

Oddajemy w ręce Czytelników książkę wyjątkową nie tylko ze względu na tematykę, lecz także ze względu na wydawnictwo, które podjęło się jej publikacji. Autorka dotarła mianowicie do kilkunastu sióstr zakonnych z przeróżnych zgromadzeń, które zgodziły się udzielić wywiadów. Ich opowieści dotykają oczywiście kwestii religijnych, w szczególności związanych z powołaniem zakonnym; w rozmowach przewija się też temat roli kobiet oraz osób świeckich w Kościele czy potrzeba dialogu międzyreligijnego. Siostry nie stronią również od poruszania zagadnień ze sfery świeckiej. Odpowiadają na pytania dotyczące ich relacji rodzinnych, młodzieży, polityki, kryzysu wiary we współczesnym świecie czy osób niewierzących. Wskazują na potrzebę budowania mostów między światem duchownych a światem świeckich oraz nawiązywania relacji z pojedynczymi osobami. Opowiadają o pomaganiu ludziom bez względu na ich wyznanie, wartości, którym hołdują, czy sytuację życiową. Przeprowadzone rozmowy stanowią po prostu relację o życiu z wszelkimi jego radościami i bolączkami.

A całość ukazuje się pod szyldem Wydawnictwa Dolnośląskiego, które jest wydawnictwem niekonfesyjnym. W tym miejscu chciałabym wszystkim siostrom zakonnym oraz ich przełożonym podziękować za zaufanie, jakim nas obdarzyły, decydując się na publikację wywiadów w naszym wydawnictwie. Dziękuję za ich szczerość, otwartość i historie, którymi zechciały się podzielić.

Zaprezentowane w książce wywiady to nie tylko zapis doświadczeń i losów poszczególnych sióstr zakonnych. To także postawione ważkie pytania wynikające z napięcia pomiędzy wolnością wyboru a kierowaniem się powołaniem, wezwaniem, którego źródło jest poza człowiekiem, w świecie rzeczy niewidzialnych. To także refleksja na temat szukania własnej drogi w życiu, zderzona z predyspozycjami i talentami, które zostały nam ofiarowane i zadane jednocześnie. Pytania o wszystkie te uniwersalne kwestie od wieków stawia teologia i filozofia. Być może Czytelnik znajdzie w tej książce inspirację do szukania własnych odpowiedzi.

Mamy nadzieję, że publikacja ta będzie ciekawą lekturą zarówno dla osób wierzących, jak i niewierzących. Jedni i drudzy mogą skorzystać z wyjątkowej okazji zajrzenia za jej pośrednictwem do świata, który na co dzień jest dla nich w większości niedostępny, częstokroć pewnie niezrozumiały. Wszyscy będą mogli poznać wyjątkowe historie kobiet, które zadziwiają swoją energią, odwagą, poświęceniem i doświadczeniem życiowym. Wierzący być może odkryją w niej aspekty wiary, z którymi dotąd nigdy się nie konfrontowali. Niewierzący przypuszczalnie zechcą przeczytać fragmenty, w których siostry wypowiadają się o osobach spoza Kościoła i dotykają kwestii relacji z nimi. A niewykluczone, że dostrzegą rzeczywistość, której istnienia nie podejrzewali.

Wstęp

Słysząc słowo „zakonnica" czy „zakonnice", większość z nas zapewne wie mniej więcej, o kogo chodzi, ale związane z nimi wyobrażenia są często nie tyle niejednoznaczne, ile mgliste, a czasem nawet złowrogie. Zakonnice to w oczach wielu pomijane, niedoceniane, spychane na margines kobiety w Kościele, o których z reguły wie się niewiele lub po prostu nic. Do niezrozumienia oraz rozpowszechniania na ich temat stereotypów przyczynia się fakt, że zakonnice – w obiegowej opinii – żyją w zamkniętej, hermetycznej rzeczywistości oddzielonej od „prawdziwego" świata murem klasztornym. Kobieta, która wstępuje do zakonu, decyduje się dobrowolnie zrezygnować z tego, co na zewnątrz kojarzone jest z wolnością. A to budzi niezrozumienie. Jawi się jako słabość. O ile nie frajerstwo, naiwność czy zwyczajne marnowanie sobie życia.

Zwykle jest tak, że jeśli jakiegoś stylu życia czy wyboru, niejednokrotnie radykalnego, nie rozumiemy, to wyśmiewamy go i krytykujemy. Przestajemy pytać, a w zamian wygłaszamy stanowcze oceny i apodyktyczne sądy. W przypadku życia zakonnego trafiają one na podatny grunt, za bramy klasztoru bowiem nie trafia się łatwo, co wpływa na niewiedzę, powielanie nieweryfikowalnych, anonimowych relacji przedstawiających rzeczywistość wyłącznie w białych lub czarnych barwach. Oceniamy zakonnice, nie usiłując ich zrozumieć. Nie pytamy, biorąc za pewnik, iż jedynie nasze przekonania są słuszne. A gdyby tak spróbować uszanować ich odrębność i odosobnienie, zamiast dążyć do przekształcania ich na nasze podobieństwo? Gdyby tak, dostrzegając inność stylu życia sióstr zakonnych, spróbować

uczciwie wsłuchać się w ich głos? Posłuchać tego, co mają do powiedzenia. Nie mieć z góry wyrobionego poglądu. Otworzyć się na ich historie. Odległe zresztą od moralizatorstwa, doktrynerstwa i wciągania na siłę do bram nieba. Z wyraźnym zastrzeżeniem, że każdy z nas jest i pozostanie inny.

Dlaczego powstały rozmowy z polskimi zakonnicami? Z trzech powodów. Po pierwsze dlatego, by przebić się do szerokiej czytelniczej publiczności z przekazem, którego dotąd z rozmaitych powodów nie było. Po raz pierwszy bowiem siostry zakonne pod imieniem i nazwiskiem opowiadają o swoim wyborze drogi zakonnej, o powołaniu, okolicznościach, które doprowadziły je do konkretnych zgromadzeń. O tym, czym dla każdej z nich jest powołanie do życia zakonnego oraz jak przeżywają je na przestrzeni lat. Także o tym, jak postrzegają współczesny świat i jego wyzwania. W czym upatrują swojej roli. Gdzie w dzisiejszej rzeczywistości sytuują życie zakonne. Mam nadzieję, że dzięki tym kilkunastu rozmowom świat, w przekonaniu wielu, hermetycznie zamknięty odsłoni nowe oblicze oraz ukaże jasną, niejednokrotnie nieznaną wcześniej stronę.

Po drugie, książka ukazuje czternaście sylwetek sióstr zakonnych. Niezwykłych, szczęśliwych, autentycznych kobiet, różniących się wiekiem, życiowym doświadczeniem, rodzajem wykonywanej posługi, charyzmatem zgromadzenia, do którego należą, oraz okolicznościami, w których rozpoznały swoją drogę. Tym, co zdaje się łączyć je wszystkie, jest powołanie zakonne realizowane w Kościele oraz każdorazowo wolny wybór – świadoma i dobrowolna decyzja, by obrać taki, a nie inny styl życia, a następnie, by dochować wierności złożonym ślubom. Zdecydowana większość moich Rozmówczyń to siostry z tak zwanych zgromadzeń czynnych. Są wśród nich: lekarki, prawniczki,

katechetki, misjonarki, siostry wykładające na wyższych uczelniach, rekolekcjonistki, pisarki, psycholożki itp. Dwie z moich Rozmówczyń wybrały życie kontemplacyjne, a jedna z nich w klasztorze klauzurowym. Jednak to nie zewnętrzna działalność ani nie wyuczony czy wykonywany zawód stanowi o istocie ich życia czy dokonanego wyboru. Co jest tą istotą? Gdzie należy jej upatrywać? Sądzę, że uważna lektura tych rozmów przynosi pewną próbę odpowiedzi na te pytania. Ocenę, czy jest to próba pomyślna, pozostawiam Czytelnikowi.

Po trzecie, książka ta powstała z wewnętrznego przekonania o sile dialogu. Z wiary w to, że na jedno pytanie może istnieć kilka niewykluczających się odpowiedzi. Oraz że można opowiedzieć o czymś, co pozornie wydaje się nie do opowiedzenia. Amos Oz napisał w jednej ze swoich powieści: „Rzeczywistością nie jest tylko to, co widzi oko, słyszy ucho i czego można dotknąć ręką, ale także to, co pozostaje ukryte przed okiem i dotykiem, a ujawnia się czasami, tylko na chwilę, temu, kto umie uważnie słuchać uszami ducha i dotykać palcami myśli”[*2]. Z rozmowami poświęconymi życiu zakonnemu jest podobnie. One także dotyczą dwóch perspektyw jednocześnie. Tej zwyczajowo dostrzegalnej dla zmysłów, ale i tej, która tylko w szczególnych okolicznościach odsłania się Czytelnikowi, który ma w sobie otwartość na inny rodzaj słuchu i dotyku. Otwartość na rzeczywistość duchową, która wydaje się perspektywą w pewnym stopniu uniwersalną, niezależną od wyznawanej religii czy światopoglądu.

W tym kontekście niezmiernie cieszy i satysfakcjonuje fakt, że rozmowy z siostrami zakonnymi ukazują się nakładem świeckiego Wydawcy. Książka ta bowiem, jakkolwiek banalnie to zabrzmi, nie jest adresowana wyłącznie do katolików, ludzi mniej lub bardziej związanych z Kościołem czy nawet do samych sióstr

zakonnych. Te rozmowy adresowane są do wszystkich, którzy noszą w sobie potrzebę poszukiwania wiedzy o osobach żyjących inaczej niż ja, którzy mają w sobie pragnienie dociekania prawdy i jej odkrywania. Cieszyłabym się, gdyby z rozmowami zapoznali się także Czytelnicy, którzy mijane na ulicy zakonnice opatrzyli stosowną etykietą (jakkolwiek ona brzmi) i włożyli do odpowiedniej szuflady.

Pracując nad tą publikacją, dane mi było poznać wyjątkowe kobiety, które mają Czytelnikowi wiele do zaoferowania. Rozmowa z każdą z sióstr była dla mnie w pewnym stopniu jak spotkanie z przyjacielem – stanowiła bowiem szczerą konfrontację z tym, co ważne, co czasem boli, co autentycznie porusza. W tym sensie każda z odbytych rozmów była dla mnie zaszczytem oraz niezasłużonym gestem życzliwości i otwartości. Nie chodziło o to, żeby moim Rozmówczyniom w jakikolwiek sposób pomóc. One nie potrzebują mojej pomocy. W dobie powszechnego dziś ekshibicjonizmu i dzielenia się na portalach społecznościowych każdą myślą i wydarzeniem moje Rozmówczynie są świadome istnienia nieprzekraczalnych, także dla mediów, granic ludzkiej intymności. Istnienia pewnych ram, w których można w uczciwy i rzetelny sposób opowiedzieć o swoim życiu, wierze, powołaniu i relacji z Bogiem. Moje Rozmówczynie to kobiety, które twardo stąpają po ziemi, żyją w zgodzie z sobą i nie pragną żadnych nadzwyczajności. Pozostają odporne na terror dominujących mód i wzorców, a potwierdzenia sensu swoich wyborów nie poszukują w powszechnej akceptacji opinii publicznej. W dobie materialnej obfitości oraz przekonania o ludzkiej omnipotencji przyznają wprost, że ich życie jest w rękach Kogoś wyższego. Z takim nastawieniem usiłują zmieniać na lepsze otaczający nas świat, zaczynając każdorazowo od siebie.

Przedstawione relacje mogą niekiedy spotkać się z oporem czy ze zdumieniem. Jednak sam fakt, że Czytelnik ma możliwość zapoznania się z nimi, świadczy niezaprzeczalnie o tym, że ich wartość jest większa niż czyjś lęk przed niezrozumieniem. Moje Rozmówczynie zgodziły się odpowiedzieć na wiele pytań. Miały odwagę, by w sposób wolny i twórczy zmierzyć się z kwestiami dotyczącymi życia zakonnego i wyborów, które je ukształtowały. Tej samej odwagi, otwartości i refleksyjności życzę Czytelnikowi. Życzę, by lektura tej książki okazała się intelektualnym wyzwaniem oraz prowokacją do tego, by w naszej rzeczywistości, coraz bardziej ograniczającej zdolność odczuwania i rozumienia, spróbować nauczyć się więcej widzieć i słyszeć.

Ewelina Tondys

I

Odzyskać spotkanie. A narzędziem być może najodpowiedniejszym do tego jest dialog. Rozbudzić zdolność do dialogu. Gdy ktoś odzyskuje odmienność w spotkaniu, zaczyna dialogować, a dialogowanie zakłada nie tylko słuchanie, ale wysłuchiwanie[*3].

papież Franciszek



Świat się zmienia, my też musimy się zmieniać

Siostrę Ewę Bartosiewicz „znałam” wcześniej z tekstów na deon.pl oraz z bloga, którego od kilku lat prowadzi. Na rozmowę umówiłyśmy się w domu sióstr Sacré Coeur w Markach pod Warszawą. Miałyśmy cały dzień, mimo że następnego dnia siostra wylatywała do Włoch na Kapitułę swojego zgromadzenia, gdzie miała zajmować się oprawą medialną. Zostałam podjęta z otwartością, życzliwością i entuzjazmem. Na koniec siostra Ewa oprowadziła mnie po domu, który daleko odbiega od stereotypowych wyobrażeń klasztoru. Najbardziej zapadła mi w pamięć ikona umieszczona w centralnym miejscu

kaplicy napisana przez byłą siostrę Sacré Coeur. Znamienne wydało mi się, że ten fakt nie przeszkadza nikomu w codziennym gromadzeniu się w tym miejscu na modlitwę. Siostra Ewa pracuje obecnie jako katechetka w gimnazjum w Gdyni. Uwielbia wyprawy górskie i paralotnie. Przełomowym wydarzeniem w jej życiu był wyjazd do Afryki. To tam rozpoznała swoją drogę.

Zacznijmy od cytatu z artykułu Siostry: „Historia mojego powołania jest opowieścią o bardzo intymnym spotkaniu z Bogiem, którego zaproszenie do życia zakonnego przyjęłam. Kiedy się dostaje taką propozycję od kogoś, kogo się kocha, to chce się zrobić dla Niego wszystko. Odpowiedź na takie wezwanie nie jest jednak łatwa, kiedy w głowie ma się całe mnóstwo stereotypów”[1]. Jak to było z tym zaproszeniem?

Zastanawiam się, jak daleko wstecz powinnam sięgnąć... Historia mojego powołania to historia mojej relacji z Panem Bogiem. Więc może od początku, ale w dużym skrócie: wychowałam się w rodzinie wierzącej. Moi rodzice co niedziela byli z nami w kościele, ale Pan Bóg nie był jakoś szczególnie obecny w naszym życiu. Trochę się modliliśmy, ale bez przesady... Później w okresie nastoletnim Pan Bóg zaczął odgrywać jeszcze mniejszą rolę w moim życiu. Mój obraz Boga ograniczał się do tego, że On jest wszechmogący, w związku z czym wszystko może. Lepiej więc być z Nim w dobrych układach, żeby mi w życiu za dużo nie popsuł. Wiedziałam, że muszę chodzić co niedziela do kościoła, żeby Mu taką ofiarę złożyć i żeby Go zadowolić. Później byłam w bardzo poważnym związku, zaręczyłam się. Ostatecznie rozstałam się z narzeczonym, a właściwie on się ze mną rozstał i wtedy zupełnie

zawalił mi się świat. Nie wiedziałam, co mam ze sobą zrobić. Nagle miałam przed sobą czarną dziurę. Wcześniej wszystko wydawało mi się poukładane, wszystko było jasne, a tu nagle nie wiadomo co robić. Później związałam się jeszcze z kimś, kto trochę bardziej mi Pana Boga pokazał. Kto pokazał mi na przykład, że można w tygodniu iść na Mszę. Dotąd nawet nie myślałam, by pójść na Mszę w tygodniu, przecież tylko stare babcie tak robią... (*śmiech*).

Niestety, zdarza się, że czasem nawet sami księża tak mówią.

Powoli zaczęłam odkrywać Pana Boga, z którym można żyć i który mnie jest bliski. Z kolejnym chłopakiem też się później rozstaliśmy, ale to drugie rozstanie znacznie lepiej przeżyłam. Wtedy też zaczęłam tym Panem Bogiem jakoś poważniej się interesować. Zupełnym przypadkiem któregoś razu trafiłam na Mszę akademicką w duszpasterstwie jezuitów. Wtedy pracowałam i studiowałam jednocześnie, ale nie miałam żadnej wizji przyszłości. Z czasem pojechałam na rekolekcje ignacjańskie i zaczęłam poznawać Pana Boga, z którym można mieć relację. Dopiero wtedy na studiach w wieku dwudziestu czterech lat zdałam sobie z tego sprawę.

Co to znaczy, że z Bogiem można mieć relację?

To znaczy, że z Bogiem można rozmawiać. Że to jest Osoba, a nie jakaś abstrakcyjna siła, która może oddziaływać na moje życie, ale ja nie mam na to wpływu. Zrozumiałam, że choć On bezpośrednio zwykle do nas nie mówi, to można Go usłyszeć: przez Słowo Boże, przez ludzi, przez myśli. Na moich pierwszych wyjazdowych rekolekcjach w milczeniu miałam poczucie, że słyszę Pana Boga. Wcześniej to mi się wydawało kompletną abstrakcją, a tu nagle nastąpiło kopernikańskie odkrycie. Ta cała moja wcześniejsza wiara okazała się zbiorem pobożności. Dopiero później zaczęłam

sobie przypominać, że jako mała dziewczynka miałam momenty takiego mistycznego spotkania z Bogiem, i wtedy uświadomiłam sobie, że ta historia zaczęła się dużo wcześniej. Przypomina mi się lekcja religii, na której omawialiśmy stygmaty ojca Pio, a ja sobie myślałam: „Panie Boże, dla Ciebie to ja mogłabym stygmaty mieć". Miałam wtedy pewnie z dziesięć lat, na pewno byłam po Komunii, ale szybko mi to minęło. Bierzmowania zupełnie nie przeżyłam. Dopiero na studiach zaczęłam tej mojej drogi szukać. Wtedy też pojawiła się we mnie otwartość na różne powołania, ale cały czas myślałam o małżeństwie. W międzyczasie pojawił się wyjazd do Afryki. To był 2009 rok i pojechaliśmy tam na miesiąc z duszpasterstwem w ramach programu Magis. Wtedy zakochałam się w Afryce. Poczułam, że chcę tam wrócić na dłużej. Przez dwa lata planowałam wyjazd i w końcu doszedł do skutku. Tak naprawdę to w Afryce moje powołanie się zaczęło.

Gdzie Siostra była i czym się zajmowała?

Byłam w Kenii przez jedenaście miesięcy. Pracowałam w różnych miejscach. Współpracowałam z organizacją św. Marcina. Uczyłam informatyki w szkole jezuickiej w Nairobi. Zajmowałam się absolwentami. Miałam okazję chodzić do slumsów i odwiedzać różne organizacje międzynarodowe. Poznałam też północ Kenii, która zupełnie różni się od reszty kraju, toczą się tam wojny plemienne. W miarę możliwości pomagałam tam w zakładaniu szkół.

Jak w tym wszystkim rozpoznała Siostra swoją dalszą drogę?

Robiłam tam sobie często dni skupienia w milczeniu i podsumowywałam różne etapy mojego wyjazdu, bo był bardzo intensywny. Pewnego razu na modlitwie pojawiło mi się pytanie, czego mi brakuje do szczęścia. Uświadomiłam sobie, że najbardziej brakuje mi jakiegoś towarzysza. Usłyszałam wtedy jasną

odpowiedź Jezusa, że On będzie moim towarzyszem. Dla mnie z tego jednego zdania wynikało, że mam iść do zakonu. To się z zewnątrz może wydawać absurdalne, ale na tyle byłam wówczas otwarta na pewne rzeczy, że to zdanie wystarczyło. Nie znałam w zasadzie żadnych zakonnic. Mój przyjaciel jezuita powiedział mi, żebym spróbowała skontaktować się z siostrami Sacré Coeur.

Dlaczego właśnie z nimi?

Bo żyją duchowością ignacjańską i są normalne (*śmiech*). To zdanie gdzieś mi bardzo towarzyszy.

Co to znaczy, że są normalne?

Normalne, czyli takie, z którymi można porozmawiać na każdy temat, o życiu, z którymi można pójść do kina i się pośmiać. Często osoby, które odwiedzają nasze wspólnoty, mówią, że czują się u nas jak w domu, że nie jest „klasztornie". Chociażby to, że większość sióstr zwraca się do siebie po imieniu, ma ogromne znaczenie. Jest po prostu jak w rodzinie.

Może od razu podeprę się kolejnym cytatem z tekstu Siostry: „Moja wizja życia w zakonie kojarzyła się z jakimś poświęceniem. Może dlatego, że zakonnice, które wcześniej znałam, były raczej zgorzkniałe. Myślałam, że wraz z przekroczeniem progu klasztoru będę musiała wyzbyć się większości przyjemności i radości"[2]. I co się okazało, że nie trzeba?

Teraz sobie uświadamiam, że pisząc ten tekst, nadużyłam słowa „znałam". Raczej widziałam na ulicy, w kościele, w telewizji. To wszystko były obrazy zupełnie niesprawdzone. Wydawało mi się, że do zakonu idzie się po to, żeby się poświęcić. Że Pan Bóg tak trafia kogoś, mówi: ty masz powołanie, musisz iść, będziesz ofiarą (*śmiech*). Ten obraz zupełnie się nie sprawdził, kiedy myślę o moim zgromadzeniu. Jasne, że można spotkać siostry bardziej

zgorzkniałe. Ale na takiej samej zasadzie zdarzają się zgorzkniałe żony, które mają już dość swoich mężów. To wszystko zależy od tego, jak to przeżywamy. Mnie się wydawało wcześniej, że to struktury nas tłamszą i że się nie da inaczej. Wszystko zależy od człowieka i jest bardzo indywidualne. Ktoś może w jednych okolicznościach w pełni się realizować, a w tym samym momencie i w identycznej sytuacji ktoś inny może być głęboko niespełniony. Jeśli pielęgnujemy relację z Jezusem i czerpiemy z Jego Miłości, to nie ma mowy o byciu nieszczęśliwym.

Zatrzymajmy się jeszcze na moment przy Afryce. To tam zadecydowała Siostra, że wstępuje do zakonu. Wróciła Siostra do Polski i od razu przystąpiła do działania?

W zasadzie tak. To był mój szalony sposób działania. Uznałam, że jeżeli Jezus chce, to od razu trzeba iść. Dostałam wtedy kontakt mailowy do jednej z sióstr. Zaczęłyśmy pisać, rozmawiać na Skypie, trochę ją podpytywałam o to, jak to wszystko wygląda. Najpierw był pomysł, żebym dołączyła do grupy, która spotyka się przez rok i rozeznaje decyzję. Ja wiedziałam jednak, że chcę wstąpić od razu. Z zawodu jestem informatykiem. Pracowałam wcześniej w banku. Żeby wyjechać do Afryki, musiałam się zwolnić z pracy, bo nie otrzymałam urlopu rocznego. Moja szefowa mnie lubiła i nawet wszystko przygotowała na mój powrót, ale stwierdziłam, że nie wracam do starej pracy, tylko wstępuję do zgromadzenia. W praktyce wyglądało to tak, że wylądowałam wieczorem w Warszawie, a następnego dnia rano miałam spotkanie z siostrą prowincjalną. To była pierwsza siostra Sacré Coeur, którą zobaczyłam, już w zasadzie wstępując. Usłyszałam wtedy: nie mamy w zwyczaju przyjmować osób, których nie znamy, ale...

Czyli wystarczyła jedna rozmowa?

Można tak powiedzieć. Wcześniej oczywiście był ten kontakt mailowy, no i jezuici mnie znali. Rzadko jednak sprawy toczą się tak szybko. Zwykle osoby potrzebują więcej czasu na oswojenie się z myślą o życiu zakonnym.

Jak wyglądają warunki formalne, żeby przyjść do sióstr?

Przede wszystkim trzeba umówić się na rozmowę z siostrą prowincjalną. Później oczywiście trzeba przynieść rozmaite dokumenty, ale najważniejsze jest, żeby wiedzieć, po co się wybiera takie życie. Jeśli naprawdę ma się powołanie, to formalności są drugorzędne. Nie mamy np. określonego wieku, od którego już nie można zostać przyjętym, ani określonego wykształcenia, z którym trzeba przyjść.

W tym roku, kiedy Siostra wstępowała, była Siostra sama na roku, czy były też inne kandydatki w formacji?

Było nas w sumie pięć na moim roku, z czego do nowicjatu ostałyśmy się dwie. U nas to wygląda tak, że kandydatki są rozrzucone po różnych wspólnotach. Jest to rozwiązanie dosyć innowacyjne. Nie zawsze tak było, ale od kilku lat tak to funkcjonuje. W większości zgromadzeń kandydatura (nazywana często postulatem) to w rzeczywistości taki prenowicjat. Życie już trochę wygląda jak w nowicjacie, ale to nie jest jeszcze ten formalny, kanoniczny nowicjat, którego zasady wyznaczone są przez Kodeks Prawa Kanonicznego. Natomiast u nas jest zupełnie inaczej. Kandydatura jest po to, żeby zobaczyć, jak będzie wyglądało życie już po ślubach. Żyjemy we wspólnocie, jesteśmy jej częścią i gdzieś pracujemy. Staramy się o to, żeby osoby, które mają pracę, mogły ją zachować. Jeśli więc jest wspólnota w tym mieście, gdzie ta osoba mieszkała i ma pracę, to dołącza do tej wspólnoty i kontynuuje swoją pracę.

A co Siostra robiła w tym czasie?

Wróciłam z Afryki i nie miałam pracy, więc zostałam posłana do Pobiedzisk, gdzie mamy dom rekolekcyjny. Wcześniej towarzyszyłam już trochę w rekolekcjach, miałam do tego przygotowanie, więc mogłam w ten sposób pracować. Gdybym miała pracę, tak jak wcześniej w banku w Warszawie, to pewnie tam zostałabym posłana na czas kandydatury. Takie rozwiązanie daje możliwość zobaczenia, jak będzie potem. Bo nowicjat, który następuje po kandydaturze, jest zupełnie innym czasem. Trochę trudno mieć wyobrażenie, jak wygląda życie zakonne tylko na podstawie nowicjatu, szczególnie jeśli tych nowicjuszek jest więcej i są trochę odizolowane od normalnego życia.

Trochę pod kloszem?

Coś w tym rodzaju. Później się okazuje, że to życie jest zupełnie inne, bo się pracuje, są różne inne nasze zaangażowania i czas na modlitwę trzeba wygospodarować, określając priorytety w tym nowym rodzaju życia. Tego można doświadczyć już w kandydaturze. Że jest praca, praca, praca i trzeba sobie „wyskrobać" ten czas na modlitwę i na relacje.

Pierwsze wrażenia Siostry po wstąpieniu... Coś okazało się szokujące, zaskakujące, szczególnie trudne?

Nie przypominam sobie, żeby coś mnie negatywnie zaskoczyło i żeby zrodziła się myśl: jak ja będę z tym żyć? Raczej pozytywne rzeczy mnie zaskakiwały, w stylu: dobrze, że te siostry są takie normalne. Naprawdę nie pamiętam jakiegoś negatywnego zaskoczenia, może oprócz tego, że w Pobiedziskach było wiele fizycznej pracy, do której wcześniej nie byłam przyzwyczajona: wielki dom, sprzątanie, odśnieżanie.

W kandydaturze zaczęła Siostra pisać blog. Skąd taka potrzeba? Jak na zakonnicę w Polsce jest to nadal mocno niestandardowa forma ekspresji.

Też mi się tak wydaje. Bloga prowadzę od dawna, od 2007 roku. Wcześniej było to pisanie bardziej dla moich znajomych. Intensywnie zaczęłam pisać dopiero z Afryki. To wszystko ciągle można znaleźć na moim blogu i są to ciekawe rzeczy, do których czasem sama wracam. To był dla mnie bardzo dynamiczny okres. Celowo pisałam też dla osób, które wspierały mnie podczas tego pobytu i które ten wyjazd sfinansowały, by mogły tę podróż przebyć razem ze mną. W kandydaturze natomiast zaczęłam pisać o tym, jak wyglądają początki życia zakonnego.

Czy musiała Siostra na to uzyskać zgodę przełożonej?

Tak, nawet nie tylko przełożonej, ale całej wspólnoty, bo pisałam publicznie o tym, co się u nas działo.

Przełożone nie cenzurowały wpisów Siostry?

Nie, nikt mnie nie cenzurował. Czasem siostry czytały moje wpisy, czasem nie, ale dały mi tę przestrzeń wolności. Pisałam o tym, co mnie zaskakiwało na początku życia zakonnego. Na czas nowicjatu zawiesiłam na dwa lata moje pisanie. Nowicjat jest czasem przeznaczonym na naszą formację duchową, poznawanie zgromadzenia, jego duchowości, na zacieśnianie relacji z Jezusem i na rozeznawanie, czy to jest moja droga. To czas na schodzenie głębiej w swoje serce i swoje pragnienia, a nie czas na dzielenie się tym ze światem, dlatego przestałam pisać blog. Pod koniec nowicjatu powinnam mieć odpowiedź, czy składam śluby, czy to jednak nie jest to. Całe dwa lata są procesem rozeznawania tego. W związku z tym ten tryb życia jest inny. Już nie pracujemy, mamy drobne zaangażowania na drugim roku (np. apostolstwo wśród ubogich lub w edukacji). W Polsce studiujemy w tym czasie teologię. Kanoniczny nowicjat polega na tym, że przez rok żyje się we wspólnocie nowicjatu z możliwością wyjazdu tylko z ważnych powodów do piętnastu dni.

Kolejny cytat z artykułu Siostry: „To, co budziło moje zniechęcenie do życia zakonnego, to wizja mieszkania z samymi babami. Ja zawsze lubiłam męskie towarzystwo, miałam wielu przyjaciół mężczyzn i nie wyobrażałam sobie, jak można funkcjonować na co dzień, obracając się tylko wśród kobiet”[3]. Jak to jest z tym mieszkaniem z samymi babami? Czy był jakiś moment zakleszczenia?

Z perspektywy kilku lat wydaje mi się, że tym wspólnotom żeńskim musi towarzyszyć jakaś szczególna łaska, bo mnie takie funkcjonowanie wydawało się wcześniej niemożliwe. Byłam przekonana, że w żeńskich środowiskach są nieustanne napięcia, ale jak dotąd w żadnej z moich trzech wspólnot tego nie doświadczyłam. Doświadczyłam natomiast niesamowitej radości bycia razem właśnie w żeńskim towarzystwie. Gdzieś chyba istotne jest to, że mamy wspólny cel, że jesteśmy zgromadzone w imię Jezusa i nawet jeśli tego nie mówimy wprost, to to gdzieś jest. Raz w tygodniu dzielimy się naszym przeżywaniem wiary, rozumieniem Ewangelii, to nas jednoczy z Bogiem, który jest najważniejszy, ale też pozwala się poznać na głębszym poziomie. To musi chyba być to, bo charaktery mamy zupełnie różne, a jednak mimo wszystko jakoś potrafimy się dogadać. Chyba wszystkie staramy się przekraczać swoje słabości i żyć jak siostry.

W tym samym tekście napisała Siostra także: „Najtrudniej było mi pokonać w sobie przekonanie, że do zakonu idą kobiety, które nie potrafiły ułożyć sobie życia. Sama byłam po kilku nieudanych związkach i wyobrażałam sobie, że jeśli zostanę zakonnicą, to będzie znaczyło, że nie nadaję się na żonę i po prostu nikt mnie nie chciał”[4]. Jak to było z tą chęcią, by zostać żoną i matką? Czy ona w momencie wstępowania do zakonu jest jakoś anulowana?

No właśnie, dla mnie to było dokopywanie się do głębszych warstw mojego serca. Na początku w ogóle nie brałam pod uwagę życia zakonnego, więc małżeństwo wydawało mi się naturalną opcją. Nigdy jakoś na poważnie nie rozeznawałam, czy ono aby na pewno jest moją drogą. Teraz w zaskakujący sposób ciągle odkrywam duchowe macierzyństwo, które sprawia, że wcale nie tęsknię za swoją rodziną. Przede wszystkim jednak wyraźniej widzę, że wówczas byłam niedojrzała do małżeństwa. Teraz wydaje mi się, że gdyby do tego ślubu doszło, pewnie byłabym nieszczęśliwa. Nie byłam na to gotowa. Dodatkowo osoba, z którą byłam wówczas związana, była niewierząca, co dzisiaj wydaje mi się ogromną trudnością w związku.

Dotknęła Siostra ciekawego problemu związków, w których występują różnice w podejściu do wiary religijnej. Czy w przekonaniu Siostry takie związki mają szansę na powodzenie?

Wiem, że są małżeństwa, które dają radę, ale z perspektywy mojej dzisiejszej relacji z Jezusem mogę powiedzieć tylko tyle, że dla mnie byłoby to niemożliwe. Nie potrafiłabym chyba być bardzo blisko człowieka, który w wymiarze duchowym się ze mną nie zgadza. Dla mnie w tym momencie to jest fundament. Gdybym miała wystąpić ze zgromadzenia i układać sobie życie na nowo, trudno byłoby mi wyobrazić sobie, że wiążę się z kimś niewierzącym. Ale w tamtym momencie moja wiara wyglądała zupełnie inaczej. Nie miałam poważnej relacji z Bogiem. Czułam jednak, że On jest dla mnie ważny, i w sytuacjach, kiedy ocierałam się o poważne grzechy, zdarzało się, że płakałam po nocach. Była we mnie naprawdę straszna walka. Dziś z perspektywy czasu myślę, że trochę kierowałam się wtedy myśleniem w stylu: chcę mieć kogoś, by nie zostać sama. Nie było w tym wszystkim

prawdziwej miłości, która wymaga poświęcenia i pragnienia dobra drugiej osoby.

A czy spotkała się Siostra z opiniami osób z zewnątrz w stylu: poszła do zakonu, bo nikt jej nie chciał albo sobie życia nie mogła ułożyć?

Osobiście nigdy nikt mi czegoś takiego nie powiedział. Zresztą reakcja moich znajomych była inna: „A rzeczywiście, było widać" (*śmiech*). Od wielu osób usłyszałam raczej, że podziwiają mnie za taką decyzję. Nigdy nikt mi nie powiedział, że sobie życia nie poukładałam. Znam jednak siostry, które z takimi opiniami się spotkały.

Jakie były reakcje w najbliżej rodzinie? Czy pojawiały się próby odwodzenia Siostry od podjętej decyzji?

Moi rodzice są bardzo wspierający i dawali mi w życiu dużo wolności. Zaakceptowali wcześniej mój rok w Afryce, a później chyba na podobnej zasadzie przyjęli moją decyzję o życiu zakonnym. Nie było to dla nich łatwe. Myślę, że na początku nie rozumieli tej decyzji. Dopiero z czasem, kiedy zobaczyli, że jestem tu szczęśliwa, jakoś się z tym pogodzili. Teraz jest już zupełnie inaczej, a wszystkie siostry stały się dla nich jak rodzina.

W jakim stopniu doświadczenie pobytu w Afryce wpłynęło na to, że jest Siostra dzisiaj w zgromadzeniu misyjnym i międzynarodowym?

To ciekawe pytanie. Podczas pierwszej rozmowy, kiedy przełożona zapytała mnie, co wiem o zgromadzeniu, odpowiedziałam właśnie tak, że jest misyjne i międzynarodowe (*śmiech*). Dzisiaj bym o nas tak nie powiedziała. Międzynarodowość owszem – jest dla mnie bardzo ważna, bo to ona sprawia, że musimy nieustannie poszerzać swoje horyzonty, ale nie jesteśmy zgromadzeniem misyjnym. Mamy wprawdzie siostry na misjach, ale nie jesteśmy

misjonarkami z założenia. Jesteśmy wychowawczyniami. Tę służbę wychowawczą pełnimy też w krajach, które są misyjne. Tylko trzeba mieć świadomość, że kraje misyjne mocno się zmieniają...

To prawda. Europa dziś staje się misyjna.

Dokładnie. To się bardzo zmienia. Kraje misyjne przestają być misyjne, jak choćby Uganda czy Kenia. To są kraje, gdzie w zasadzie większość naszych sióstr to są już Afrykanki. Niewykluczone jest, że w pewnym momencie nie będziemy już mieć żadnych misjonarek.

Czy po powrocie z Afryki i nagłej konfrontacji z zakonną rzeczywistością przyszło jakieś rozczarowanie?

Największy szok kulturowy przeżyłam po miesiącu, kiedy po raz pierwszy wróciłam z Afryki w 2009 roku. Rzeczywiście, wtedy przez pół roku nie byłam w stanie kupić sobie nic droższego. Ciągle myślałam: przecież oni tam w takiej biedzie żyją. Po rocznym wyjeździe miałam już wiedzę i inną perspektywę. Dziś myślę, że są to dwa kompletnie nieprzystające do siebie światy, których nie powinno się porównywać. Ubóstwo nie polega na tym, żeby nagle wszystkiego się wyzbyć. Mamy żyć tak, jak żyją ludzie wokół nas, taki jest duch naszego zgromadzenia. Nie chodzi o to, żeby nic nie posiadać i z niczego nie korzystać, choć wiem, że są zgromadzenia, które tak do tego podchodzą.

Z czego jednak należy na pewno zrezygnować, decydując się na życie zakonne?

Myślę, że przede wszystkim z luksusów. Choćby z diamentowej biżuterii, która jest po nic. Mamy korzystać z tego, co jest nam potrzebne. Święty Ignacy mówił, że wszystkie rzeczy stworzone są po to, by prowadzić nas do naszego życiowego celu. Powinnyśmy więc korzystać z tego, co jest dostępne, by w ten sposób służyć ludziom, do których jesteśmy posłane. Ja mam na przykład aparat,

który jest trochę wart, ale jest mi on potrzebny do pracy. Nie traktuję go jako luksusowej zachcianki, ale jako coś, dzięki czemu moja praca jest profesjonalna.

Czemu ten ślub ubóstwa ma służyć w ocenie Siostry?

Wszystkie śluby mają kilka aspektów. Pierwszym jest to, że chcemy naśladować Jezusa, który był ubogi. Nie do końca wiemy dlaczego, bo przecież mógł się urodzić jako król w pałacu. Urodził się jednak w betlejemskiej stajni i w związku z tym ubogich wybrał i wielokrotnie pokazywał, że to oni są ważni. My też chcemy tych ubogich wybierać i chcemy żyć między nimi. Po Soborze wiele naszych sióstr zaczęło żyć w slumsach z najuboższymi, żeby być blisko nich. Drugą istotną kwestią jest fakt, że nic nie posiadamy na własność. Wszystko, co mamy, jest wspólne. Korzystam z tego, ale nic nie jest moje. Jestem wolna, żeby to wszystko oddać. I chyba to jest istotne: nieprzywiązywanie się do rzeczy. Bo można mieć jeden kubek i być do niego przywiązanym, a można mieć mnóstwo rzeczy i być od nich wolnym. Być gotowym w każdym momencie je oddać.

Siostra jest obecnie rok po pierwszych ślubach. Co to znaczy? Jaki ciężar gatunkowy mają takie śluby?

Składamy śluby na sześć lat, później je przedłużamy o kolejne trzy, a następnie składamy śluby wieczyste. Trudno zdefiniować, czym są śluby czasowe, bo ja nie mówię Jezusowi: to teraz ślubuję Ci na sześć lat, a potem zobaczymy. Ja oczywiście ślubowałam Jezusowi na całe życie, ale mam tę świadomość, że po sześciu latach jestem z tego obowiązku zwolniona. Jeśli rozeznam, że to jednak nie jest moja droga, to po sześciu latach mogę odejść i to jest fair. To nie znaczy, że nie można odejść wcześniej. Jesteśmy wolnymi ludźmi i bardzo różne sytuacje nas w życiu spotykają.

Ważne, by postępować zgodnie ze swoim sumieniem i iść za tym, co Bóg podpowiada nam w sercu.

Skoro mówimy o odejściach, chciałam zapytać o kryzysy czy trudne momenty przeżywane w zgromadzeniu. Co powinno się zrobić, kiedy kryzysy się pojawiają? Jak to się przeżywa?

Przede wszystkim na etapie formacji mamy osobę towarzyszącą ze zgromadzenia, która pomaga nam na naszej drodze zakonnej. Po ślubach wieczystych też mamy taką możliwość towarzyszenia. To jest pierwsza osoba, z którą powinnam rozmawiać w przypadku trudności czy kryzysów. Ważne, żeby o wszelkich trudnościach mówić od razu, bo inaczej narastanie naszych emocji może spowodować duże szkody. Drugim kontaktem jest oczywiście cała wspólnota, ona ma mnie wspierać i w codzienności pomagać w trudnościach.

Cała wspólnota, a nie przełożona?

U nas przełożona nie ma aż tak ważnej roli, jak można byłoby sobie wyobrażać. Przełożona reprezentuje wspólnotę na zewnątrz, ma to wszystko spinać, a bardzo dużą rolę odgrywa wspólnota jako całość.

Czyli – jeżeli dobrze rozumiem – przełożona nie jest jak generał w wojsku? Nie wydaje poleceń, z którymi się nie dyskutuje.

U nas w ogóle nie ma czegoś takiego, że się z czymś nie dyskutuje (*śmiech*). O wszystkim się dyskutuje. Przełożona wspólnoty troszczy się o budowanie jedności między siostrami, pobudza zapał apostolski, czuwa, by przeprowadzone było rozeznanie we wspólnocie, a potem sama ponosi ostateczną odpowiedzialność za podjęte decyzje. Przełożona prowincjalna robi to samo tylko na poziomie prowincji, jest kimś, kto może mi wydawać różne dyspozycje – miejsce posłania na przykład. To ona decyduje, gdzie będę mieszkać i pracować. To jej powinnam się na mocy

posłuszeństwa podporządkować. Wszystko u nas dzieje się jednak w dialogu i staramy się, by były to decyzje dobrze rozeznane. Nad przełożoną prowincjalną jest jeszcze przełożona generalna, którą za chwilę będziemy wybierać na naszej Kapitule. Jesteśmy stosunkowo małym zgromadzeniem i zdarza się, że przełożona generalna wizytuje nasze domy i możemy z nią porozmawiać. Na świecie jest nas dwa i pół tysiąca. To nie jest jakiś moloch, którego się nie da ogarnąć. W Polsce jest nas osiemdziesiąt, więc wszystkie się znamy.

Jeszcze wracając na chwilę do Kapituły i wyboru przełożonej. Kto ma prawo głosu? Jest jakaś grupa „trzymająca władzę”?

Wybierają tak zwane kapitulantki, które są delegatkami z każdej prowincji. To one oddają głosy.

A sama Kapituła co ma na celu?

Jej celem jest podsumowanie ostatnich ośmiu lat i wyznaczenie nowych kierunków na najbliższe lata. Świat idzie szybko do przodu. Trzeba zadecydować i porozmawiać o tym, w jakim kierunku idzie nasza misja, do kogo jesteśmy najbardziej posłane. Rozmawiamy o tym, co się dzieje na świecie. Cieszę się ogromnie, że będzie mi dane w tym czasie zajmować się obsługą medialną tej Kapituły.

W zgromadzeniu funkcjonują obok siebie siostry z całego świata. Czy ich status na świecie jest podobny?

Status siostry zakonnej, szczególnie w naszym przypadku, jest mocno osadzony w rzeczywistości danego społeczeństwa. Fakt, że nie nosimy habitów, sprawia, że jesteśmy częściej utożsamiane ze świeckimi kobietami w Kościele niż z zakonnicami. To wygląda więc bardzo różnie w zależności od kraju i kontynentu. W niektórych krajach siostry są postrzegane jako ktoś niższej kategorii, w innych z kolei traktowane są po partnersku. Wszystko

zależy od roli kobiety w danej kulturze. W wielu krajach nasze siostry żyją bezpośrednio z ubogimi, walcząc o ich prawa, również o prawa kobiet.

W jakim stopniu w zgromadzeniu możliwy jest osobisty rozwój? Czy wstępując do zakonu, należy zostawić swoje pasje za furtą klasztorną?

Myślę, że odpowiedź jest złożona. Jeśli rozwój ma służyć tylko do samego rozwoju, a ja mam realizować samą siebie, to nie po to w ogóle jestem chrześcijanką. Ja chcę szukać woli Bożej i nią żyć. Wszystkie talenty i pasje są nam dane po to, żeby realizować pomysł Pana Boga na to, co ma się na tym świecie dziać. Dla mnie istotne jest spełnianie Jego marzeń w moim życiu. Nie o to chodzi, żeby nasze pasje i zainteresowania chować do kieszeni i o nich zapomnieć, ale nie mogę też upierać się przy robieniu zawsze tego, co jest moją pasją. Żyjąc w świecie, to ja decyduję, że rzucam wszystko i jadę na wakacje nurkować. To może wcale nie byłaby Boża decyzja, ale mogę podjąć ją bardzo spontanicznie. W zgromadzeniu byłby z tym pewien kłopot, ale wynikający z tego, że podjęciu decyzji towarzyszy zawsze pytanie, czy tego chciałby od nas Pan Bóg. Jeśli to pragnienie od Niego, to prędzej czy później się urzeczywistni. Ja na przykład jestem zakochana w paralotniach i jestem przekonana, że jeszcze kiedyś polecę. Wierzę w to, że skoro Pan Bóg nam takie marzenia dał, to znajdzie sposób ich realizacji, ale to nie moje pasje są najważniejsze.

Czy zakonnicy w ogóle przystoi mieć marzenia?

Jak najbardziej! Życie zakonne nie polega na tym, że przychodzę, dostaję na tacy moje zadania i obowiązki i zasadniczo mam z tym nie dyskutować. To byłby jakiś absurd. Pan Bóg mówi nam wiele przez nasze marzenia, chociażby o tym, jakie talenty posiadamy.

A czy posłuszeństwo zwalnia z indywidualnego myślenia?

Niestety, czasem osoby, które decydują się na życie zakonne, mają taką wizję życia. Często jest to bardzo nieświadoma motywacja, ale ona jest niebezpieczna. Jeśli ktoś nie jest w stanie podejmować własnych decyzji ani brać za nie odpowiedzialności i wymyśli sobie, że w związku z tym pójdzie do zakonu, gdzie ktoś mu powie, co ma robić, to z pewnością w pewnym momencie źle to się skończy.

Trochę problemów ma się wtedy pozornie rozwiązanych.

Tak, ale na tej samej zasadzie jak w więzieniu. Jeżeli ktoś nie jest w stanie wziąć odpowiedzialności za siebie czy choćby nawet za swój rytm modlitwy, to do życia zakonnego raczej się nie nadaje. U nas w zgromadzeniu nikt nikogo nie pilnuje. Nie spotykamy się nawet codziennie na brewiarzu i wszystko nie jest raz na zawsze z góry ustalone. Tu czas na osobistą modlitwę trzeba sobie samemu znaleźć, a modlitwa wspólnotowa jest bardzo zależna od rytmu konkretnej wspólnoty.

To siostry nie spotykają się całą wspólnotą na regularnych modlitwach?

Oficjalnie siostry, które chodzą do pracy, są zwolnione z odmawiania oficjum kilka razy dziennie. Po prostu nie są w stanie być obecne w tych momentach, kiedy wspólnota odmawiałaby brewiarz. W naszym dużym domu, gdzie siostry już nie pracują, odmawiamy Liturgię Godzin. W małych wspólnotach spotykamy się zwykle raz dziennie o określonej porze na wspólnej modlitwie i tego czasu staramy się pilnować. Ale moja modlitwa osobista jest moją odpowiedzialnością i żadna przełożona nie rozlicza mnie z tego czasu i nie sprawdza, czy jestem w kaplicy. To wymaga dojrzałości.

A co jeśli na przykład miejsce konkretnego przeznaczenia bardzo komuś nie odpowiada?

Przede wszystkim należy to powiedzieć przełożonej, a nie zamknąć się w sobie i myśleć w duchu, że na mocy posłuszeństwa będę teraz nieszczęśliwa, zgorzkniała i wszystkim dam to odczuć. To nie o to chodzi. Wszystko powinno odbywać się w porozumieniu. A przełożone, by mogły działać w dobrej wierze, potrzebują pełnego obrazu tego, co ja chcę, co umiem, jakie mam talenty. Chodzi o to, by najlepiej służyć, będąc takie, jakie jesteśmy. Co nie znaczy, że nie mogę być posłana w miejsce, które nie jest moim marzeniem. Wtedy ufam rozeznaniu przełożonych i Panu Bogu, który mnie tam potrzebuje. Często są to dla nas wyzwania.

Jak podchodzi Siostra do opowieści o sadzeniu przez zakonnice roślin korzonkami do góry, by ćwiczyć je w posłuszeństwie?

Tak naprawdę się działo, to nie jest wyssane z palca. To była przedsoborowa wizja, w której wychodzono z założenia, że siostry są po to, by ćwiczyć mnie w cnotach. Po Soborze to się zmieniło o sto osiemdziesiąt stopni. Formacja, którą ja odebrałam, idzie w zupełnie innym kierunku. To nie jest tak, że mam słuchać tylko tego, co mówią przełożone, bo Duch Święty działa przez wszystkich. Mam moralny obowiązek powiedzieć im, co Pan Bóg mówi do mnie na modlitwie, bo to może być ważne. Przełożone są po to, by to wszystko sprawnie koordynować, by zarządzać strukturami. Ale te struktury powinny być przyjazne, a przełożona powinna być matką, a nie generałem z batem nad nami. W każdej wspólnocie, w której byłam, od samego początku czułam się jej równoprawnym członkiem. Jeszcze jako kandydatka widziałam, że to, co mam do powiedzenia, jest ważne i jest słuchane.

A jak wygląda kwestia uprawiania sportu czy uczestnictwa w kulturze? Czy gdyby dla higieny psychicznej chciała Siostra pływać lub biegać, byłoby to możliwe?

Jest to nawet wskazane! Jak wszyscy inni powinnyśmy dbać o zdrowie i kondycję. Ja trochę chodzę na ściankę wspinaczkową czy na basen, ale niestety często brakuje czasu, by robić to regularnie. Ale sport jak najbardziej. Podobnie z kulturą, w której nie tylko możemy, ale powinnyśmy uczestniczyć.

A bliska współpraca lub przyjaźnie z mężczyznami?

Współpraca na polu zawodowym jest czymś zupełnie normalnym. Trudno, żebyśmy odmawiały współpracy z mężczyznami tam, gdzie pracujemy. Jest to zwykle zresztą bardzo cenne doświadczenie, biorąc pod uwagę, że w domu mamy same kobiety. Z przyjaźniami może to być trochę bardziej kontrowersyjne. Oczywiście, wymaga to dojrzałości z obu stron, ale jest możliwe. My się naprawdę mamy uzupełniać w tym świecie, dlatego odizolowanie i zamknięcie na współpracę nie służy niczemu dobremu.

Jak to jest z okazywaniem emocji przez siostry? Czy zakonnica ma prowadzić życie głęboko ukryte, czy ma prawo do złości?

Myślę, że nie ma tu rozgraniczenia między życiem zakonnym a jakimkolwiek innym. Jak żona wraca z pracy, to też nie powinna w męża rzucać torebką. Nie powinnam wyładowywać moich emocji na współsiostrach, bo człowiek dojrzały po prostu tak nie postępuje. Co nie znaczy, że mam ich nie okazywać. Psychologia uczuć mówi nam o tym, jak się z emocjami obchodzić. Nie wydaje mi się, żeby pod tym względem w życiu zakonnym było coś szczególnego.

Ciągle jednak pokutuje opinia, że wybór drogi zakonnej jest jakościowo lepszy, jakoś bardziej wartościowy od innych. Jak Siostra postrzega to zagadnienie?

Patrząc na wiele małżeństw, myślę, że wybrałam drogę stosunkowo łatwą, bo w moim przypadku ta druga strona zawsze

będzie wierna, zawsze będzie mnie kochać i nie będzie mnie zdradzać (*śmiech*). Z drugiej strony wiele małżeństw nie chciałoby iść tam, gdzie ktoś je pośle, albo co jakiś czas zmieniać miejsca pobytu, nigdzie się nie zakorzenić, nie pomalować sobie ścian w pokoju na ulubiony kolor. Nie ma lepszej drogi, każdy ma swoje powołanie. I to nie jest jakiś banał. Wierzę głęboko, że Bóg przez rozmaite okoliczności mówi do każdego z nas i nie ma żadnego interesu w tym, żeby nie powiedzieć nam o swoich planach. Musimy tylko się otworzyć i nauczyć słuchać. Jeśli naprawdę będziemy chcieli usłyszeć, to usłyszymy, która droga jest dla nas i co mamy zrobić.

A co z ludźmi, którzy mają trudności z takim rozeznaniem, którzy nic nie słyszą? Co mają robić?

Mają czekać. Ja spory okres w życiu przeczekałam. Na krótki czas przed wyjazdem do Afryki jeden z poleconych spowiedników powiedział mi: „Co ty robisz, dziewczyno? Jaka Afryka? Masz dwadzieścia osiem lat. Powinnaś sobie męża szukać!". Na szczęście miałam wtedy kierownika duchowego, który cenił wolność we mnie i cierpliwe czekanie, aż Bóg powie mi, co mam robić. Mogą być jednak dwa rodzaje czekania. Są ludzie, którzy nie są w stanie żadnej decyzji podjąć i odwlekają ją w nieskończoność, bo nie chcą z niczego rezygnować. Są też tacy, którzy będą cierpliwie czekać razem z Bogiem na właściwy moment.

Powinno się przede wszystkim pracować nad wolnością. Zastanowić się, jak dalece jestem otwarta na różne opcje. I pogłębiać relację z Bogiem. Rozmawiać z Nim. To nie jest mówienie do ściany. Bóg mówi przez Słowo, przez ludzi, przez wydarzenia. Trzeba nauczyć się to wszystko odczytywać. Ja rzeczywiście usłyszałam coś w rodzaju głosu na modlitwie, ale nie musi tak być. To może być odczytanie jakichś znaków, wydarzeń

w życiu. Znaczenie ma też kierownictwo duchowe, bo jest wtedy ktoś, kto patrzy na nas z zewnątrz i potrafi zadać odpowiednie pytania.

Czy poszukiwanie swojego miejsca w życiu można też przenieść na niewierzących, czy to jest raczej odrębna bajka?

Sądzę, że niewierzący zupełnie inaczej szukają miejsca w życiu. Bo jeżeli mam rozeznawać wolę Bożą, to po pierwsze muszę wierzyć w to, że Bóg istnieje, a po drugie, że On chce dla mnie dobrze. Myślę, że to nawet dla katolików bywa trudne. Bo my w Boga to jakoś wierzymy, ale w to, że On wie lepiej niż ja, co jest dla mnie dobre, to już dużo trudniej. Wcześniej też mi się wydawało, że sama wiem wszystko najlepiej, a z Bogiem trzeba mieć dobrą relację, żeby mi nic nie popsuł w moich planach. Na początku potrzebna jest wiara, że Bóg jest dobry, a Jego jedynym marzeniem jest to, żebyśmy byli szczęśliwi.

Czy w przekonaniu Siostry spadek powołań do żeńskich zgromadzeń zakonnych można traktować jako jeden z przejawów kryzysu w Kościele? Czy może liczby nie mają znaczenia?

Mam wrażenie, że składa się na to kilka wątków. Po pierwsze, ludzie mają taki, a nie inny obraz życia zakonnego, często bardzo powierzchowny. Ja chcę się dzielić swoim doświadczeniem, żeby ten obraz zmieniać, ale wiem, że większość nigdy nie zdecyduje się na to, by to sprawdzić, żeby pójść i zobaczyć. Po drugie, łączyłabym to nie tyle z kryzysem Kościoła, ile z kryzysem podejmowania decyzji. To widać choćby po tym, jak późno dziś ludzie decydują się na małżeństwo lub wcale się na nie nie decydują. Myślę, że mamy dziś problem z podejmowaniem decyzji na całe życie. A życie zakonne jest poważnym zobowiązaniem. Boimy się ryzyka i zaangażowania w coś poważnego. Aczkolwiek

z Kościołem ma to taki związek, że w krajach, gdzie Kościół jest słaby, powołania rzeczywiście spadają, natomiast w wielu regionach, np. azjatyckich, tych powołań przybywa i wiele młodych osób decyduje się na radykalne wybory. Liczby oczywiście nie mają wielkiego znaczenia, ale chciałybyśmy, by nasza misja i charyzmat przetrwały, bo wierzymy, że ma coś ważnego do dania światu. Bez powołań to nie będzie możliwe.

Czy temu kryzysowi można jakoś zaradzić? Z jednej strony podnoszą się głosy domagające się od zgromadzeń ewangelicznego radykalizmu, z drugiej strony pojawiają się opinie mówiące, że zakony powinny się reformować i bardziej otwierać na świat. Jak Siostra ocenia tę kwestię?

Myślę, że takie głosy wynikają z pewnego niezrozumienia pojęć. Radykalizm ewangeliczny przejawia się w moim przeżywaniu rzeczywistości. Mogę być radykalna ewangelicznie w każdej możliwej sytuacji: będąc w więzieniu, będąc w pracy, będąc siostrą, matką... Mój status nie ma tu żadnego znaczenia. Natomiast struktury są czymś zupełnie innym. Jezus żył w świecie. Od niczego się nie odgradzał. Na nic nie zamykał. Nie mówił: świat jest zły, ja teraz się schowam i będę przed nim uciekał albo zacznę z nim walczyć. Był między ludźmi i jadał z grzesznikami. My chcemy naśladować Jezusa. Dla mnie jest czymś oczywistym, że mamy być między ludźmi i pokazywać im wartość Ewangelii właśnie tam, gdzie oni są. Co nie znaczy, że zgromadzenia klauzurowe są niepotrzebne. One są korzeniami, które przez modlitwę podtrzymują świat. Ważne tylko, żeby każdy w swoim powołaniu odczytywał znaki czasu, bo Duch Święty nieustannie działa i zaprasza nas do nowych dróg. Nasza założycielka, św. Magdalena Zofia Barat, mawiała: „Świat się zmienia, my też musimy się zmieniać".

Odważne wyznanie jak na zakonnicę urodzoną w XVIII wieku.

Magdalena Zofia w ogóle była szalenie odważna jak na swoje czasy. Jak się teraz czyta pierwsze Konstytucje z 1815 roku, to mimo że język jest archaiczny, kwestie, które poruszała, były na tamte czasy zupełnie radykalne. Ona była naprawdę nowoczesną kobietą. Na wszystko trzeba patrzeć przez konkretny kontekst historyczny danej epoki. Jej strój zakonny z tamtego okresu był wzorowany na stroju ówczesnych kobiet. Po Soborze siostry zdecydowały się odchodzić od specjalnego stroju zakonnego. Nosimy teraz prosty strój kobiecy i znaki konsekracji, czyli krzyż i obrączkę po ślubach wieczystych.

Niektórzy tradycjonaliści do dziś krytykują osiągnięcia Soboru Watykańskiego II.

To prawda, bo nagle okazało się, że liturgia ma być w językach narodowych, że ksiądz ma stać twarzą do ludu. Ja osobiście wierzę, że Sobór był niesamowicie silnym działaniem Ducha Świętego, powiewem w bardzo właściwym kierunku i powrotem do ewangelicznych wartości. Dużo ludzi jednak tego nie przyjęło. W naszym zgromadzeniu także było mnóstwo odejść po Soborze Watykańskim II i po licznych zmianach. Wiele sióstr nie było w stanie się pogodzić z tym, że trzeba aż tak się zmieniać.

Podobne głosy słyszałam już od starszych sióstr, które zmian doświadczyły na własnej skórze. Czego konkretnie dotyczyły zmiany?

Zmiany były diametralne, począwszy od zniesienia klauzury papieskiej, czyli tego, że w ogóle możemy wychodzić na zewnątrz i nie jesteśmy oddzielone kratami od świata. My i tak od początku byłyśmy apostolskim zgromadzeniem. Siostry wychodziły i podróżowały. Jednak większość zgromadzeń żyła w klauzurze. Wcześniej były u nas tzw. dwa chóry: wykształcone siostry, które

były nauczycielkami i matkami, oraz siostry koadiutorki, których zadaniem była pomoc w klasztorze, praca w ogrodzie, gotowanie.

Upraszczając, od czarnej roboty.

Upraszczając. Po Soborze te dwa chóry się połączyły i to było niezwykle trudne dla obu stron. I dla tych sióstr z wykształceniem, i dla tych wykonujących proste prace. Nagle koadiutorki miały odmawiać oficjum, ale nie znały łaciny. Dzisiaj wszystkie wstępujemy jako równe.

A jak to jest dzisiaj z noszeniem habitu u sióstr? Czy Siostra będzie kiedyś nosić habit?

Habitu nie będę nosić. Noszą je jedynie siostry, które kiedyś wstąpiły i po rozeznaniu zdecydowały się przy nich pozostać. Młode siostry, składając śluby, nie przyjmują już ani habitu, ani welonu. W Polsce ubieramy się zwykle na szaro.

Czy dla Siostry miało w ogóle znaczenie to, żeby nosić habit i welon?

Kiedyś miałam etap, w którym chciałam nosić habit jako taki widzialny znak. Przyjęłam to jednak zupełnie naturalnie. Skoro nie ma habitów, to nie ma. To nie jest najważniejsze. Z czasem dowiedziałam się też, jak trudną walkę po Soborze Watykańskim II musiały stoczyć nasze siostry, żeby móc nie nosić habitów. Dla nich było to wtedy bardzo istotne. Chciały, byśmy były bliżej ludzi, skracały dystans, byśmy żyły pośród ubogich. Strój zakonny to utrudniał. Zaczęło więc i dla mnie być ważne, że ubieramy się po świecku.

To gdzie Siostra kupuje sobie rzeczy?

Zwykle w second-handzie. Chodzi o to, żeby strój był skromny, w granicach rozsądku i wyczucia. Mam jednak wyglądać pięknie i kobieco.

A co Siostra myśli o ewentualnym lekkim makijażu bądź farbowaniu włosów przez siostry? Czy w zakonie takie rzeczy uchodzą?

Tu znowu ważny jest kontekst kulturowy. Zdarza się, że nasze siostry za granicą noszą na przykład kolczyki. Mamy być piękne, bo jesteśmy kobietami i w życiu zakonnym nie przestajemy nimi być. Jeśli ktoś ma potrzebę ufarbowania siwych włosów, bo się lepiej wtedy czuje, to dlaczego ma to być problemem? Trzeba tu zachować granice rozsądku. Myślę, że na ten nasz stosunek do wyglądu zewnętrznego ma wpływ nasza relacja z Jezusem. Przed wstąpieniem do zgromadzenia też się nie malowałam, bo uważałam, że jestem piękna taka, jaka jestem.

Jeszcze à propos stroju. Siostra pracuje obecnie jako katechetka w Gdyni. Czy uczniowie Siostry wiedzą, że mają do czynienia z zakonnicą?

Tak, jak najbardziej. Tym się różnimy od sióstr bezhabitowych, które w swoim charyzmacie mają ukrywanie tego, że są siostrami. Ja tego absolutnie nie ukrywam. Po to też nosimy znaki konsekracji. Otwarcie mówimy o tym, że jesteśmy zakonnicami. Wolimy, kiedy mówi się do nas „siostro", zamiast „pani".

Dla uczniów i nauczycieli zakonnica chodząca po świecku też nie jest problemem?

W każdej klasie tłumaczyłam, z czego to wynika, i jeszcze nie spotkałam się z tym, żeby ktoś to przyjął źle albo miał z tym jakiś problem. U dzieci to raczej wzbudza ciekawość. „A to fajnie ma siostra. To co może siostra nosić? A czy siostra może nosić spodnie?" (*śmiech*).

Jak z Siostry perspektywy wyglądają dziś lekcje religii w szkołach?

Wiedza religijna jest bardzo zróżnicowana. Mam dzieciaki, które doskonale się orientują, znają Pismo Święte, wiedzą, jaki mamy okres liturgiczny i jak należy odczytywać różne znaki. Ale są też dzieci, które zadają pytania totalnie z kosmosu, w przypadku których trzeba się długo zastanawiać, jak tu się zabrać do odpowiedzi (*śmiech*). Część jest też niezainteresowana tematem. Nauczą się czegoś na pamięć, żeby mieć ocenę, ale nie rozumieją wielu rzeczy i brakuje im podstaw z podstawówki.

Po co jest katecheza w szkole? Rolą Siostry jest przekazać wiedzę religijną czy Siostra ma uczniów w jakiś sposób „nawracać”?

To jest bardzo skomplikowana sprawa. Mam wrażenie, że są jakby trzy cele. Pierwszym jest zdobycie wiedzy religijnej (Starego i Nowego Testamentu, obrzędów, liturgii, sakramentów). To jest konkretna wiedza, którą można sprawdzać. Drugą kwestią jest katecheza jako przekazywanie wiary. Ostatnio sporo się mówi o przekazywaniu podstawowego kerygmatu[5], bo wiele dzieci jest niewierzących i nie wiadomo właściwie, skąd się wzięły na religii. Dla mnie ta kwestia nie jest łatwa. Trudno się przekazuje wiarę, kiedy połowa dzieci nie jest zaangażowana. Mogę się dzielić wiarą ze studentami, z osobami, które są gotowe na to, żeby moje świadectwo przyjąć. W gimnazjum poszukiwanie drogi do serca ucznia jest dużo bardziej skomplikowane. Natomiast trzecim celem, chyba często nie do końca zwerbalizowanym, jest wychowywanie poprzez religię przyzwoitych chrześcijan. Te wszystkie trzy cele są trudne do uchwycenia w ramy i do pogodzenia, szczególnie dla mnie jako początkującego nauczyciela. Myślę, że jest niewielu katechetów, którzy potrafią te trzy cele w pełni zrealizować. Są to pewnie osoby, które pamięta się do końca życia. Moim czwartym ukrytym celem jest przekazanie młodzieży pozytywnego obrazu

Kościoła. Wiedzy w większości nie zapamiętają, reszty nie umiem dobrze zrealizować, ale może za kilka lat ktoś z nich sobie przypomni, że miał w szkole uśmiechniętą katechetkę i może w związku z tym te zakonnice wcale nie są dziwne, a ten Kościół nie jest taki straszny.

Była Siostra zaangażowana także w ewangelizację na Przystanku Woodstock. Tam działa do dziś alternatywny Przystanek Jezus. Po co taka działalność na Woodstocku?

To jest dobre sformułowanie – „alternatywny". Spodziewałam się czegoś innego, bo zakładałam, że Przystanek Jezus będzie w ramach Woodstocku. On był od niego, z moich obserwacji, bardzo mocno oderwany. Myślę, że Przystanek Jezus jest po to, żeby ewangelizować, czyli mówić ludziom o Jezusie.

Ewangelizować czy nawracać?

Myślę, że nie chodzi o to, żeby tych ludzi przeciągać na naszą, lepszą stronę, ale niestety miałam wrażenie, że w praktyce tak to trochę wychodzi. Czasem wyglądało to tak, jakby celem naszym było, by ktoś z Przystanku Woodstock przyszedł do nas na koncert uwielbienia. Fizycznie imprezy były od siebie trochę odległe, więc wyglądało to jak posyłanie nas w inny świat, by tych ludzi przeprowadzić na lepszą stronę i na właściwą drogę. Mnie takie chodzenie z Pismem Świętym i zaczepianie obcych ludzi kojarzyło się trochę protestancko. Ja wyznaję zupełnie inną filozofię. Uważam, że to moim życiem mam pokazywać, kim jest Jezus. To chyba św. Franciszek powiedział: „Mów o Jezusie. Jak trzeba, używaj słów". Dlatego ta forma jakoś mi nie pasowała. Dużo ludzi jednak odnajduje się w takim klimacie i są z tego owoce. Są ludzie, którzy opowiadają, że ktoś do nich podszedł, zaczęli rozmawiać i dzięki temu zaczęli Boga szukać. Muszę uczciwie powiedzieć, że to działa. Ale to chyba nie moja wrażliwość i nie moja forma.

Sądzę, że byłoby lepiej, gdyby Przystanek Jezus nie był konkurencyjną, osobną imprezą. Ludzie przyjeżdżają na Woodstock, żeby być razem. Byłoby chyba bardziej owocnie, gdybyśmy na samym Woodstocku mieli swój namiot – pomiędzy ludźmi, pomiędzy tymi walającymi się puszkami z piwem. I żebyśmy swoim zachowaniem mogli świadczyć, że jesteśmy normalnymi ludźmi, którzy odkryli w życiu coś ważnego. Żeby sami mogli zacząć nas pytać, po co tu jesteśmy. Jezus nie oceniał ludzi. Po prostu z nimi był. Biskupi obecni na Woodstocku ciągle powtarzali, że nie jesteśmy lepsi od innych, ale mam wrażenie, że przekucie tego na praktykę trochę gorzej wychodzi.

Czy Woodstock wciąż jeszcze jest kontrowersyjny? Świętej pamięci księdza Kaczkowskiego zapytano kiedyś, czy nie boi się, że po występie na Przystanku podzieli los księdza Lemańskiego lub księdza Bonieckiego, którzy na różnych etapach mieli zakaz wypowiedzi dla mediów.

Nie widzę w tym nic kontrowersyjnego. Cieszę się, że w tym roku była siostra Chmielewska. Przede wszystkim, nie wszyscy na taką imprezę są zapraszani. Trzeba chyba mieć nawet odpowiednie nastawienie do Kościoła, żeby takie zaproszenie otrzymać. Pytanie brzmi, co my głosimy. Zakaz wypowiedzi publicznych dotyczy osób, które wyrażają opinie niezgodne z nauczaniem Kościoła. Natomiast ksiądz Kaczkowski nigdy takich rzeczy nie głosił. Mówił jednak w taki sposób, że był do przyjęcia przez wszystkie strony. Myślę, że nieprędko znów się taki ktoś pojawi. Bardzo szkoda, że go straciliśmy. Ksiądz Kaczkowski godził różne zwaśnione strony i sądzę, że siostra Chmielewska też jest taką osobą. Na pewno za bycie na Woodstocku nie powinno nikomu w Kościele nic grozić (*śmiech*).

Jak wyglądają kontakty Siostry ze świeckimi? Czy ludzie cenzurują się albo dziwnie sztywnieją w obecności zakonnicy?

Zdarza się, że w szkole nauczyciele przepraszają mnie, jak przeklną. Z tym sztywnieniem faktycznie coś jest na rzeczy, ale nie jest tak, że nie chcą ze mną rozmawiać na kontrowersyjne tematy. Mam wrażenie, że mój świecki strój bardzo mi pomaga. W wielu sytuacjach odbiór byłby pewnie zupełnie inny, gdybym pojawiła się w zabudowanym habicie. Myślę, że w wielu przypadkach ludzie nie mieliby odwagi, by podejść. A tak wiele osób zapomina, że rozmawia z zakonnicą. Mówimy sobie na ty w pracy, nie ma blokady i niepotrzebnego dystansu. Często jednak zakłada się, że będę miała bardzo konserwatywne poglądy polityczne na wiele kwestii, stąd nie warto mnie pytać lub ze mną dyskutować. Czasem jakieś rozmowy milkną, gdy się pojawiam. Kiedy jednak okazuje się, że polityka i religia to nie jest to samo, to wiele osób wtedy dopiero dopuszcza możliwość rozmowy ze mną. Wtedy nawet potrafią zapytać: „A co ty o tym myślisz?".

Czy między siostrami zdarzają się różnice światopoglądowe lub kłótnie?

Jak najbardziej są różne poglądy. Jest sporo sióstr o prawicowych poglądach, ale są też siostry z opcji bardziej liberalnej czy lewicującej.

I jakoś siostry ze sobą wytrzymują?

Tak. Szczerze mówiąc, nie rozmawiamy wiele o polityce, przynajmniej we wspólnotach, w których byłam. Są ważniejsze sprawy. Zdarza się jednak, że coś komentujemy, gdy oglądamy wiadomości, i wtedy okazuje się, kto jakie ma poglądy. Nie przeszkadza nam to jednak zupełnie we wspólnym życiu.

A jeśli chodzi o związek polskiej religijności z patriotyzmem czy nurtami narodowymi?

Dla mnie te wszystkie nurty nacjonalizujące, te wszystkie marsze narodowców są niezrozumiałe, powiązane z agresją. Czym innym jest patriotyzm i miłość ojczyzny, a czym innym nacjonalizm. Często ten polski patriotyzm odwoływał się do wartości chrześcijańskich. Nacjonalizm natomiast powiązany z agresją wobec inności nie może mieć miejsca w Kościele. To jest zachowanie nieewangeliczne. Takie nurty nie mają nic wspólnego z naśladowaniem Jezusa, który wychodził absolutnie do wszystkich, nie przejmował się zastanymi podziałami, bo dla Niego ważny był każdy człowiek. On chce otwierać granice, a nie je tworzyć.

W społeczeństwie jest spory opór związany z przyjmowaniem uchodźców. Czy chrześcijanin może się obawiać najazdu muzułmanów i ataków terrorystycznych w Europie?

Dla Kościoła katolickiego wskazówką powinien być papież, który zajął bardzo jasne stanowisko w tej kwestii. Nie można udawać, że w tej sprawie jest jakaś dwuznaczność lub że Kościół się nie wypowiedział. Sądzę, że osoby, które podważają stanowisko papieża, robią to w sposób nieuprawniony. Ewangelia także dowodzi tego, że Jezus nie jest za podziałami i nie bez powodu tysiąc razy powtarza nam: „Nie lękaj się". Nie mamy się ludzi bać. Jako chrześcijanie nie powinniśmy nawet bać się śmierci. Gdzieś ten duch w nas zupełnie zgasł. Nagle zaczęliśmy się obawiać, że będziemy mniejszością. No to będziemy. To tym bardziej się zjednoczmy. Tym bardziej głośmy Jezusa i tym bardziej pokazujmy muzułmanom, że nasza wiara daje życie. Te nurty zastraszania są dla mnie niezrozumiałe.

Na swoim blogu po kolejnym zamachu napisała Siostra: „Każdy chrześcijanin powinien dziś objąć swoją duchową adopcją jednego terrorystę z ISIS. Powinien się gorliwie modlić

za niego codziennie, powinien pościć i ofiarować za niego swoje cierpienia”[6]. Czy to nie za dużo Siostro? Czy to nie jest aby wezwanie do heroizmu? I kolejne pytanie: czy takich wezwań: za wykluczonych, za osoby na marginesie, za homoseksualistów, nie brakuje w polskim Kościele? Ja spotykam się bardzo często z takimi wezwaniami w zachodnich kościołach.

Jeśli chodzi o pierwszą kwestię, to sama modlitwa chyba jeszcze nie jest heroizmem, post także. Jakbym miała życie oddawać, to byłby heroizm. Modlitwa jest moim i naszym obowiązkiem. Jeśli zaś chodzi o modlenie się za innych, pogubionych, to jest bardzo w duchu papieża Franciszka. Takich wezwań w Kościele faktycznie nie spotyka się często, ale to też się powoli zmienia z moich obserwacji. W tym, co napisałam na blogu, chodziło mi nawet nie tyle o samą modlitwę, ile o wiarę w to, że Pan Bóg naprawdę ma moc. Jak możemy się bać terrorystów, mając takiego Boga za sobą? Wierzę w to, że Bóg jest wszechmogący i ma moc tych ludzi nawrócić. I to nawet nie o to chodzi, żeby ten człowiek stał się chrześcijaninem, tylko żeby przestał czynić realne zło. Jeśli my nie wierzymy, że Bóg naprawdę działa w tym świecie, to co z nas za chrześcijanie?

Zatrzymajmy się na moment przy osobie papieża Franciszka. Ksiądz Andrzej Draguła napisał kiedyś na swoim blogu: „Jedną z cech tego papieża jest to, że ma bardzo dobry odbiór wśród ludzi spoza Kościoła, niewierzących i zdystansowanych przy jednoczesnym dystansie niektórych środowisk wewnątrz wspólnoty wierzących”[7]. Spotkałam się nawet z głosami oburzonych, którzy pytali: „Co to za papież, który mówi dzień dobry”, albo tych, którzy stwierdzali, że papież z Ameryki

Łacińskiej nie rozumie Europy. Myśli Siostra, że jest coś na rzeczy?

Wielu osobom nie podoba się to, co papież mówi, bo jest on człowiekiem, który głosi otwartość na wszystko. Próbuje nas wyciągnąć z naszej oblężonej twierdzy. Papież Franciszek wymyka się schematom, a przez to sprawia kłopot tym, którzy chcieliby go koniecznie włożyć do jakiejś szuflady. Jego ostatnia adhortacja[8] „Amoris Laetitia" jest absolutnie rewolucyjna. Papież mówi w niej wyraźnie, że koniec z myśleniem, w którym możemy powiedzieć, że ten jest grzeszny, a inny absolutnie bez winy. Osobiście nie znam księży, którzy w otwarty sposób krytykowaliby papieża Franciszka. Może dlatego, że obracam się głównie w kręgu jezuickim. A to jest ten sam duch. Mnie papież Franciszek jest bardzo bliski właśnie ze względu na jego otwartość. Ona jest ewangeliczna, bo oznacza nieustanne słuchanie Ducha i niezamykanie się w żadnych ramach. A to przecież byłby czysty faryzeizm. Jedyne osoby, które Jezus ganił, to byli właśnie faryzeusze, czyli ci, którzy chcieli zamknąć się w swoich religijnych strukturach, wyliczyć prawa, powiedzieć: ten jest dobry, a ten zły, ten będzie zbawiony, a ten potępiony. To tak nie działa. To wszystko jest dużo bardziej skomplikowane i zależy od serca.

Jakiś czas temu zrobiło się głośno za sprawą wypowiedzi papieża na temat diakonatu kobiet.

Tak. Papież powiedział, że należałoby zbadać, jaka dokładnie była rola diakonis opisanych w Dziejach Apostolskich. Wypowiedź ta została zinterpretowana w ten sposób, że papież chciałby teraz diakonat żeński wprowadzać. Nie o to jednak mu chodziło.

Czym miałby on być?

Diakonat jest stopniem święceń. Istnieją diakoni świeccy, również w Polsce, którzy mają żony i dzieci, ale są powołani do głoszenia

Ewangelii, mogą udzielać sakramentów: chrztu czy ślubu. Pojawiło się pytanie, czy do tej posługi nie dopuścić również kobiet. Na marginesie pojawiła się też dyskusja, czy nie pozwolić kobietom na głoszenie kazań. To nie jest tak, że kobieta nie ma nic do powiedzenia w Kościele, szczególnie teraz kiedy wiele kobiet głosi rekolekcje. Oficjalnie kobiety nie mogą głosić kazań, ale często rozwiązuje się to tzw. tylnymi drzwiami, kobieta może coś powiedzieć w trakcie ogłoszeń lub po mszy zamiast w momencie przeznaczonym na homilię.

Czyli Siostra nie może podczas Mszy wygłosić kazania?

Nie. Mogę natomiast w ramach homilii powiedzieć świadectwo, co mi się kilka razy zdarzyło. Wielu księży powoli się przekonuje, że kobieta może powiedzieć coś sensownego, choć oczywiście to zależy od środowiska.

Kilka lat temu „Więź" opublikowała numer poświęcony siostrom zakonnym pod tytułem: „Zakonnice – rodzaj nijaki?". Czasem mówi się, że zakonnice nawet w Kościele nie cieszą się prestiżem, a ich rola jest nierozumiana. Czy takie głosy są według Siostry uprawnione?

Myślę, że to jest kwestia złożona. Pytanie podstawowe brzmi, jak rozumiemy Kościół. Jeśli mamy na myśli tylko układ hierarchiczny, gdzie ktoś jest na górze, a ktoś na dole, to może się okazać, że zakonnice nie dorastają do piedestału księdza, który odprawia Mszę. Tylko że nie taka powinna być wizja Kościoła, w którym jest kapłaństwo powszechne. Ksiądz jest tylko przewodniczącym liturgii, a my wszyscy jesteśmy szafarzami tego sakramentu. Mam wrażenie, że z takich głosów, które utrzymują, że zakonnice powinny otrzymać więcej władzy, przebija niezrozumienie Kościoła. Nie o to chodzi. Każdy z nas w tym Ciele

Chrystusa ma inną rolę. Ktoś jest ręką, ktoś głową, ktoś okiem i nie chodzi o to, żeby wszyscy robili to samo.

Jak reaguje Siostra na głosy przemawiające za kapłaństwem kobiet?

Takie nurty pojawiają się głównie w Stanach, Wielkiej Brytanii i Hiszpanii. To nie jest coś nowego. Ale mnie się wydaje, że to wynika z takiego poglądu na Kościół, gdzie liczy się hierarchia i udział we władzy. Wtedy rzeczywiście można to odbierać jako rażącą niesprawiedliwość, bo przecież nie jesteśmy w niczym gorsze od mężczyzn. Osobiście uważam, że kapłaństwo kobiet nie byłoby czymś dobrym. Myślę, że Jezus z jakiegoś powodu był mężczyzną, a nie kobietą. Kapłan występuje *in persona Christi* – w osobie Jezusa – bardzo bezpośrednio. Zwróćmy uwagę na to, że w Kościele jest więcej kobiet niż mężczyzn.

Jakiś czas temu w Polsce toczyła się nawet dyskusja na temat Kościoła żeńsko-katolickiego.

Dokładnie. Jest nas więcej i mamy w Kościele swoją ważną misję. Wcale nie musi to być kapłaństwo. Zawsze dążenie do samowystarczalności jest według mnie wbrew Ewangelii. My mamy się uzupełniać, dokładać swoją część, mieć swój udział w inny sposób. Ważne, z jakiego powodu chciałybyśmy być kapłankami – czy rzeczywiście, by lepiej służyć Bogu, czy może dlatego, że domagamy się jakiejś „równości".

A czy siostry zakonne powinny być bardziej obecne na przykład w rozmaitych strukturach kościelnych?

Myślę, że akurat to się powoli zaczyna zmieniać pod wpływem papieża Franciszka. Kobiety zaczynają pojawiać się w Watykanie. Sądzę jednak, że na kobiecość należy patrzeć całościowo. Kiedy Bóg stwarza kobietę w Księdze Rodzaju i nazywa ją *ezer kenegdo*, to ma na myśli pomoc. To jest słowo używane

w stosunku do Boga, który ratuje. Rolą kobiety jest zatem ratować, wspomagać, wspierać. Mnie jako zakonnicy nie zależy na udziałach we władzy i zasiadaniu w gremiach i strukturach. Ważne, żeby pracować dla chwały Bożej, i nieważne, czy jest się kobietą czy mężczyzną, mamy ze sobą współpracować. Uważam, że mężczyzna i kobieta tworzą razem duet, który jest obrazem Boga.

Można by to przenieść też na małżeństwo.

Oczywiście. Dzisiaj bardzo się akcentuje równouprawnienie, prawa kobiet. Mówi się, że nie może być tak, że to mężczyzna rządzi w domu, bo zakłada to patriarchalne podejście do życia. A tu tak naprawdę chodzi o wzajemną współpracę. Dla mnie ten duet jako obraz Boga powinien być też obrazem Kościoła. Znam mnóstwo księży, którzy świetnie współpracują z zakonnicami. I to dopiero jest super. Mimo że nie tworzymy małżeństw, to ta nasza współpraca jest ogromnie ważna.

Czy zdaniem Siostry w Kościele można dzisiaj mówić o partnerstwie?

Myślę, że to bardzo zależy od tego, gdzie i jak. Znam przykłady dowodzące, że można świetnie współpracować. Ale wiem też, że w wielu miejscach bardzo o to trudno i dla księdza zakrystianka powinna tylko milczeć i nawet nie trzeba jej powiedzieć dziękuję. Takie sytuacje też się zdarzają. Wszystko zależy od podejścia i człowieka. Mam nadzieję, że młode pokolenie ma już do tego trochę inny stosunek.

Czy bywa Siostra pytana przez osoby postronne o stanowisko wobec tzw. grzechów Kościoła albo o komentarz w związku z konkretnymi skandalami w Kościele?

Najczęściej jestem o to pytana przez młodzież w szkole. To są nawet nie tyle pytania, ile prowokacje pod moim adresem.

Pojawiają się na przykład stwierdzenia, że „wszyscy księża to pedofile", że „z hierarchią kościelną w ogóle nie należy się zadawać, bo to źli ludzie". Otwarte pytanie brzmi, na ile w to wierzą, a na ile chcą mnie sprowokować do dyskusji. Trudno na te zarzuty odpowiedzieć sensownie, bo wiele osób jest powierzchownie lub wcale niezwiązanych z Kościołem i zatrzymują się na przekazach medialnych. Dla mnie jedynym wytłumaczeniem jest powiedzenie, że Kościół jest święty, ale składa się z grzesznych ludzi. To nie cały Kościół jest czemuś winien, tylko są to konkretne osoby, które popełniły konkretne przewinienia. Niektóre z nich są bardziej, a niektóre mniej widoczne. Każdy z nas jest grzesznikiem i każdy grzeszy. Gdyby Pan Bóg miał nas rozliczać według naszych grzechów, tobyśmy wszyscy skończyli marnie, bez względu na to, czy ktoś jest pedofilem, czy kogoś obgaduje, czego nie widać na zewnątrz. Jednak dla młodych taka odpowiedź to za mało, bo oni patrzą na ludzi Kościoła przez pryzmat tego, jacy powinni być, co powinni sobą reprezentować. Razi ich ten zgrzyt między tym, jak żyją, a tym, co głoszą. A ponieważ ta przepaść jest często bardzo widoczna, to bywa ona gorsząca i potrafi odwracać ludzi od Pana Boga. Próbuję ich bardziej nakierować na osobistą relację z Panem Bogiem niż tylko na krytyczne patrzenie na struktury. Tu od razu też widać, kto się czuje, a kto nie czuje Kościołem. Bo o Kościele mówi się w kategoriach „oni", a nie „my".

Matce Teresie przypisuje się często przesłania formułowane do przedstawicieli innych religii, między innymi wezwanie do tego, by muzułmanie byli lepszymi muzułmanami, a buddyści lepszymi buddystami. Czy to się da pogodzić z przekonaniem, że zbawienie jest tylko w Kościele?

Sobór Watykański II dobrze to wyjaśnił, mówiąc, że wszyscy jesteśmy Ludem Bożym, choć nie wszyscy wiemy, że do niego należymy. Można to przedstawić za pomocą kręgów: mamy Kościół katolicki, który jest w centrum. On jest najbliżej Boga, bo ma pełnię prawdy. Oczywiście taką pełnię, którą jesteśmy w stanie poznać naszym ludzkim rozumem. Natomiast w dalszej kolejności są pozostałe kręgi, w których są chrześcijanie, ludzie w ogóle wierzący w Boga. Są też w końcu ludzie, którzy zupełnie w Boga nie wierzą, ale którzy mają dobrą wolę. My wszyscy jesteśmy Ludem Bożym i wszyscy możemy być zbawieni. Za te wszystkie kręgi modlimy się bardzo pięknie podczas Liturgii Wigilii Paschalnej.

Czyli poza Kościołem jednak jest zbawienie?

Tak. Kościół definiowany jako Lud Boży cały zmierza do zbawienia, nawet jeśli niektórzy nie mają takiej świadomości. Ja widzę naszą eschatologiczną przyszłość w taki sposób, że po śmierci będziemy w stanie zobaczyć cały świat w prawdzie: nasze życie bez tych wszystkich klapek na oczach, które grzech i ten świat na nas zakłada. Wierzę w to, że my tam ostatecznie zdecydujemy, czy chcemy być z Bogiem czy nie, ale dopiero mając tę pełnię poznania. Wielu z nas nie otrzymało możliwości widzenia prawdy z rozmaitych powodów, bo na przykład urodzili się w innej części świata, bo ktoś ich zraził. To nie jest ich wina, że nie wierzą w Boga. Eschatologia nie jest czymś, co da się sprawdzić czy udowodnić, więc są różne nurty. Ja osobiście wierzę, że każdy zostanie zbawiony.

To taka wizja pustego piekła, jeśli dobrze rozumiem?

Trochę tak. Tylko nie jest to zbawienie na siłę. I nie oznacza to także, że piekło nie istnieje. Ono istnieje. Wierzę jednak, że będzie puste, bo każdy, kto stanie w prawdzie, nie będzie w stanie wybrać

inaczej. Zobaczy przecież pełnię dobra i pełnię zła. Większości z nas trudno wyobrazić sobie Niebo, w którym Edyta Stein spotka się z Adolfem Hitlerem, ale na tym właśnie polega radykalna miłość nieprzyjaciół, o której Jezus nam mówi. My tam będziemy żyć taką miłością, że nie będzie miał znaczenia fakt, iż ktoś coś złego zrobił. Będziemy zdolni do absolutnego przebaczenia, tak jak Bóg nam przebacza, i spojrzenia na każdego z miłością. Na ziemi nie potrafimy tego zrobić, dlatego jest to dla nas niewyobrażalne. Ale to się zmieni. Po to jest czyściec, żeby nas do tego stanu doprowadzić. Królestwo Niebieskie nie polega na tym, że Pan Bóg przyszykował dla nas jakieś fantastyczne atrakcje, których nie mamy teraz, ale na tym, że wszyscy będziemy potrafili patrzeć na rzeczywistość Jego miłującymi oczami. Dlatego do Nieba wcale nie mamy daleko – ono jest tam, gdzie sięga nasze spojrzenie serca.



Życie zakonne jest dla dorosłych

Siostra Bogna Młynarz należy do Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Duszy Chrystusa. Przez kilka lat zajmowała się duszpasterstwem powołań. Jest doktorem teologii. Specjalizuje się w duchowości, a konkretnie w mistyce. Głosi liczne rekolekcje oraz konferencje. Prowadzi także popularny blog, ale nie lubi, kiedy mówi się o niej blogerka.

O siostrze Bognie pierwszy raz usłyszałam w rozmowie z przełożoną jednego ze zgromadzeń

zakonnych: „Jeśli szuka pani kogoś w Krakowie, to polecam świetną rekolekcjonistkę i znakomitą rozmówczynię". Przy pierwszym kontakcie siostra Bogna mówi wprost, że wstępując do zgromadzenia, chciała po prostu być zakonnicą, żyć z Bogiem i modlić się. Nie przypuszczała, że będzie głosić rekolekcje oraz pisać książki.

W naszej rozmowie wyjaśnia, jak pojmuje życie zakonne: „Życie zakonne oferuje konkretny system wartości. Zależy kto czego szuka. Jeśli ktoś ma inne priorytety w życiu, to, oczywiście, będzie rozczarowany. Będzie jak klient w sklepie mięsnym, który chce kupić gwoździe. Przy dobrej woli możemy sobie grzecznie wytłumaczyć, że to sklep innej branży i rozstać się pokojowo. Ale czasem bywa tak, że niezadowolony klient ma pretensje, iż nie ma gwoździ. Taką postawę prezentują ci, którzy chcą nas na siłę »wybawić« od życia zakonnego. Mają inny system wartości (lub w ogóle nie uznają wartości, lecz jedynie potrzeby) i nie przyjmują do wiadomości, że my chcemy żyć w ten sposób".

Jak dalece, w opinii Siostry, życie zakonne różni się od życia świeckiego? Czy to są dwa zupełnie nieprzystające światy? Czy można mówić o wspólnej płaszczyźnie?

Rzeczywistość faktycznie dzieli się na dwa nieprzystające do siebie światy. Ale ta granica nie przebiega wzdłuż murów klasztornych,

lecz przez sam środek ludzkiego serca. Jest świat, który nazwałabym światem wartości, oraz inny, ufundowany na tym, co nazywamy potrójną pożądliwością: na pysze, na przyjemności stojącej w centrum, na chciwości. A pomiędzy nimi jest głęboka przepaść. Obie te rzeczywistości mieszkają we wnętrzu człowieka, walcząc o pierwszeństwo. Z jednej strony świat oparty na wierze – i nie chodzi mi o jakąkolwiek pobożność, bo religijność może mieć bardzo różne źródła. Mam na myśli świadome odniesienie do Boga, który jest Osobą, i konsekwencje, które z tego faktu wynikają. Z drugiej strony świat bezbożny. W dosłownym tego słowa znaczeniu, czyli taki, który neguje wszystko to, co wyższe, co ponad nami. Czyli w pewnym uproszczeniu wiara, wartości i miłość kontra egoizm.

Zakładając, że mamy świat oparty na wierze oraz świat bezbożny, ktoś może pomyśleć, że w takim razie podział na dobrych i złych przebiega między wierzącymi i niewierzącymi.

Określeń „wierzący", „niewierzący" zazwyczaj używamy, mając na myśli deklarowaną religijność. Tu chodzi o coś więcej. Mówiąc o podziale na świat wiary i bezbożności, sięgamy do głębokiego fundamentu ludzkiego serca. Do autentycznej relacji, do transcendencji. To coś więcej niż tylko metryka chrzcielna czy nawet deklaracja. Chodzi o postawę serca, które albo wychyla się ku czemuś, co jest poza czy raczej ponad nami, albo pozostaje w ciasnym kręgu własnego „ja". W tym znaczeniu wszyscy jesteśmy nie do końca jednoznaczni. Nie można etykietować ludzi, stawiając ich po jednej lub drugiej stronie barykady. Prawda jest taka, że nawet ten, kto deklaruje, że kieruje się w życiu wartościami: dobrem, miłością, prawdą, czasem oszukuje samego siebie i jego wybory są nie zawsze uświadomioną mieszaniną

dobra i egoizmu. Może też być odwrotnie. Nawet jeśli ktoś żyje daleko od świata wartości, to nosi w sobie głębokie pragnienie dobra. I ono może się objawić w najmniej oczekiwanym momencie. Fantastycznie te „podwójne myśli" w człowieku opisał Dostojewski.

Gdzie w tym wszystkim miejsce życia zakonnego?

Według mnie życie zakonne ze swej natury jest znakiem prorockim, który dla tego pierwszego świata jest potwierdzeniem, a przez ten drugi świat jest odrzucany. Dla mnie jako siostry życie zakonne jest znakiem i wezwaniem do ciągłego opowiadania się po „bożej" stronie. Wezwaniem i zadaniem, które jest ciągle przede mną. Można to wyrazić słowami św. Pawła: „Nie mówię, że już to osiągnąłem i już jestem doskonałym, ale pędzę, aby to zdobyć, bo i sam zostałem zdobyty przez Chrystusa" Flp 3, 12.

Jak taki znak należy interpretować? Czego znakiem powinny być osoby konsekrowane? Czy chodzi tylko o zewnętrzny wymiar, o noszony habit?

Chodzi o cały świat wartości, który wynika z prawdy, że Bóg jest naszym Ojcem. Czyli o coś nieporównywalnie głębszego niż tylko habit. Oczywiście, potrzebny jest i ten zewnętrzny znak, ale dużo bardziej ważne jest autentyczne świadectwo. I to nie tyle w znaczeniu konkretnych zachowań, gestów, czynów czy zaangażowania, ile czegoś, co człowiek nosi w sobie i czym promieniuje. Tego nie da się spreparować. Dla jednych to światło może być pociągające, innych może irytować. Generalnie powinno stanowić znak zapytania. Powinno rodzić pytania: Co ta osoba w sobie niesie? Dlaczego ona taka jest?

W jaki sposób siostry zakonne powinny dawać autentyczne świadectwo?

Przede wszystkim wezwanie do bycia świadkiem nie dotyczy wyłącznie sióstr, ale całego Kościoła. Choć oczywiście można powiedzieć, że my jesteśmy do świadectwa w szczególny sposób zobowiązane. Ale patrząc szerzej, albo chrześcijanin czuje się posłanym, albo traci swoją tożsamość. I jestem przekonana, że taka świadomość jest obecna w osobach konsekrowanych. Pozostaje jednak kwestia środków przekazu: języka, czytelnych znaków i szukania sposobów docierania do dzisiejszego człowieka. Czyli cała kwestia inkulturacji, nawet jeśli pozornie znajdujemy się w tym samym kręgu kulturowym. Świat się zmienia. I to coraz szybciej. A my, jako osoby zakonne, często obracamy się w swoim wąskim gronie, które ma swój język i swoje zwyczaje. One są łatwe do odczytania przez osoby, które są z kręgu kultury chrześcijańskiej. Jednak dzisiaj coraz bardziej paląca staje się potrzeba znalezienia takiego sposobu mówienia, świadczenia o swojej wierze i dokonywanych w życiu wyborach, który byłby czytelny dla osób znajdujących się poza. Bez negowania, zacierania granic i bez przymilania się, ale także bez namolnej agitacji i walki na argumenty. Chodzi o czytelne świadectwo, a nie zażartą apologię.

Gdzie leży granica?

Wydaje mi się, że, paradoksalnie, najbardziej zażartym apologetą jest ktoś, kto nie do końca jest przekonany do wartości, których broni. Ten brak pewności sprawia, że pojawia się przymus przekonywania wszystkich, a nawet zwalczania ich z powodu inności, ponieważ nawet jedna osoba myśląca inaczej niepokoi i podważa sposób myślenia. Oczywiście, tak uprawiana apologetyka działa na rozmówców jak płachta na byka i wywołuje dokładnie odwrotny do zamierzonego efekt, czyli opór. I słusznie, bo narusza wolność sumienia. Natomiast świadectwo polega

na swobodnym przebywaniu pośród inności i pokazywaniu swojej tożsamości bez żadnych kompleksów. Jest otwartym przyznawaniem się do tego, jak myślę, czuję i wierzę, bez pretensji do nawrócenia wszystkich. Chociaż, nie ukrywam, z takim pragnieniem. Bo czyż jest złą rzeczą pragnąć dla innych dobra?

W tym znaczeniu nie boję się stanąć w habicie pośród ludzi myślących inaczej. Oni mają prawo patrzeć na mnie, dziwić się, nie rozumieć mojego wyboru. To nie musi wywoływać od razu spięcia. Ale też nie musi prowadzić do tego, że wyrzeknę się mojej tożsamości, by sobie kupić ich akceptację. Sądzę, że najlepszym spotkaniem tych dwóch światów jest sytuacja, w której każda ze stron ma okazję pokazać siebie w swojej odrębności. Tylko wtedy w drugim człowieku mogą zrodzić się pytania: Dlaczego ona tak żyje? Skąd to się bierze? Wtedy powstaje przestrzeń do refleksji, do tego, żeby ktoś mógł postawić jakieś pytania. Raz jeszcze wrócę do kwestii języka, do tego, żeby mówić językiem zrozumiałym. Ostatnio na Facebooku opublikowałam jakiś wpis, który w swojej treści był głęboko chrześcijański i w rzeczywistości stanowił sparafrazowaną myśl z Biblii, ale formę miał lekką, jak dobry mem. Moja niewierząca znajoma skomentowała to, pisząc: „Wydaje mi się, moja droga Koleżanko, że masz rację". To jest ten moment spotkania, który może i powinien się dokonywać.

W jednej z książek napisała Siostra: „W chrześcijaństwie najpierw trzeba głosić bezwarunkową miłość Boga, a dopiero potem mówi się o grzechu. (...) Kiedy Jezus spotkał Samarytankę, nie zaczął rozmowy od rachunku sumienia: »Kobieto, ilu miałaś mężów? A ten, którego masz teraz? Kto to jest? Jak ty żyjesz?!«. Nic w tym stylu". O jakim języku mówimy? Jak mówić zrozumiale, a zarazem nie zniechęcać i nie moralizować?

Myślę, że to jest kwestia znalezienia złotego środka pomiędzy dwiema skrajnościami. Jedną skrajnością jest moralizatorstwo, które trafia w próżnię. Bo i w co ma trafić, skoro nie ma fundamentu wartości? W imię czego mam drugiego wzywać do takiego, a nie innego postępowania? To musi wypływać z jakiejś wizji życia, z jakiejś antropologii, z przekonań. Bez tego mamy do czynienia z próbą sterowania człowiekiem z zewnątrz, a przecież nie o to chodzi. Moralność musi zamieszkać we wnętrzu człowieka. Oczywiście, każdy nosi w sobie coś takiego jak prawo naturalne, i to może być punkt wyjścia w dyskusji o moralności, ale w moralizatorstwie przekracza się granice wolności, narzucając swój sposób myślenia, nawet bez uzasadnienia. Druga skrajność polega na tym, że w ogóle wycofujemy się z nazywania rzeczy po imieniu i nic już nie jest czarne ani białe. Fałszywie wstydząc się swojego systemu wartości, głosimy fałszywego Boga, który staje się jedynie takim misiem-przytulakiem, nieoceniającym, kochającym i nijakim.

Pomiędzy tymi dwiema skrajnościami jest miejsce na autentyczne głoszenie Boga, który kocha człowieka w prawdzie o nim samym. Który bez żadnych warunków wstępnych pierwszy wychodzi do człowieka i staje po jego stronie. Dopiero taki klimat akceptacji powoduje, że człowiek może spotkać się sam ze sobą. Także w wymiarze swojej biedy i grzechu. Bo grzech uwiera człowieka, nawet gdy człowiek temu zaprzecza. Wydaje mi się, że wychodzenie do drugiego powinno się dokonywać właśnie na takiej ścieżce. Między tymi dwiema skrajnościami. Osobiście mam bardzo dobre doświadczenia w kontaktach z ludźmi świeckimi, także tymi, którzy są dalej od Kościoła. Uważam, że tam, gdzie jest minimalna dobra wola, gdzie nie ma

zacietrzewienia ideologicznego, ludzie są w stanie się spotkać. I po prostu trzeba to robić.

Czy zarówno wierzący, jak i niewierzący noszą w sobie jakieś wyobrażenie Boga? Skąd bierze się to, że dla jednych jest On na przykład misiem-przytulakiem, a dla innych policjantem czyhającym na każde potknięcie?

Rzeczywiście, każdy nosi w sobie obraz Boga. Ateista też. I wbrew pozorom często do tego obrazu nieświadomie się odnosi. Człowiek z natury jest religijny i zanim otrzyma religijną formację szczególnie od osób bliskich, kształtuje sobie wizję Boga na podstawie tego, co go otacza. To bardzo pierwotne doświadczenie, które rzutuje na nasze późniejsze życie. To nasz punkt wyjścia w życiu religijnym i, niestety, wielu na tym etapie w życiu duchowym się zatrzymuje.

Chodzi jednak o to, żeby z punktu wyjścia, czyli od obrazu, przejść do spotkania z Bogiem żywym, gdyż dopiero tutaj zaczyna się żywa wiara. Przygoda relacji, w której wszystko jest możliwe, bo to relacja z Osobą, a nie z obrazem, do którego, według starego przysłowia, mówił dziad, nie uzyskując, jak wiemy, żadnej odpowiedzi. Niestety, łatwiej zostać przy obrazie, bo jest przewidywalny, chociaż fałszywy. Tak samo zresztą robimy w relacjach z ludźmi, przyczepiając im etykietki i ich szufladkując. Droga od obrazu do spotkania wymaga odwagi wyrzeczenia się tego obrazu, jego zakwestionowania. Co to oznacza w praktyce? Jeżeli w czyimś wyobrażeniu Bóg jest niemiłosiernie sprawiedliwy, czyhający na potknięcia i karzący, to rzecz polega na tym, by to wyobrażenie rozbiło się o Słowo Jezusa, o przypowieść o Ojcu Miłosiernym; by zbulwersowało i wstrząsnęło to całkiem nielogiczne postępowanie Ojca, który przyjmuje grzesznika za każdym razem, gdy ten do Niego

przychodzi. Na tym polega nawrócenie. Ono nie jest jedynie zmianą postaw. To przychodzi jako skutek. Nawrócenie to przede wszystkim zmiana myślenia, która dokonuje się w spotkaniu z Objawieniem, o ile tylko nie mamy ślepych oczu i głuchych uszu.

Oczywiście, na to, jaki mniej lub bardziej zafałszowany obraz ukształtował się w nas, nie mamy bezpośredniego wpływu. Odpowiedzialność spoczywa na barkach naszych bliskich, ludzi, którzy byli dla nas autorytetem, szczególnie ludzi Kościoła. Jednak to, co zrobimy z obrazem, czy staniemy się jego zakładnikami na całe życie, czy będzie on nas oddzielał od Boga żywego, to zależy od nas. Czy jest w nas gotowość do wyruszenia w drogę, czy jest w nas to coś, co o. Amedeo Cencini nazywa *docibilitas*, czyli pewna inteligencja serca, która sprawia, że nieustannie uczymy się z wydarzeń życia. Nieustannie. Celem wiary nie jest bowiem jakaś pobożność, znalezienie jakiejś formy, w której poczujemy się bezpieczni. Celem jest Bóg, który przekracza wszelkie nasze wyobrażenia, i w tym znaczeniu wszyscy jesteśmy poszukiwaczami Prawdy.

Życie w klasztorze jest jednak specyficzne i dla wielu niezrozumiałe. Czasem można nawet usłyszeć opinie, że życie ślubami zakonnymi jest wbrew ludzkiej naturze, wbrew temu, do czego człowiek z natury dąży. Jak odbiera Siostra takie głosy?

W moim odczuciu jest to życie według najgłębszej ludzkiej natury, bo akcentuje właśnie to, co najgłębiej wyraża ludzką istotę. Bo człowiek realizuje się w relacji do Boga. O wiele bardziej „nieludzkie" wydaje mi się życie bezbożne. I tu znowu muszę powrócić do podziału, który zakreśliłam na początku naszej rozmowy. Używając słowa „bezbożne", mam na myśli sytuację, w której człowiek zakłada, że spełni się w perspektywie tylko

horyzontalnej przez realizację własnych potrzeb. A to mało. Za mało, by naprawdę żyć.

Oczywiście, życie zakonne jest radykalną formą pójścia za Bogiem ze względu na swoje profetyczne znaczenie, stąd mocne środki, które akcentują priorytety, nawet kosztem innych wartości. Na przykład dobrowolna rezygnacja z założenia rodziny. Ona jest znakiem tego niezbywalnego pierwszeństwa relacji z Bogiem, jednak nie oznacza, jak wielu twierdzi, pogardy do małżeństwa czy zaprzeczenia wartości relacji z ludźmi. Wręcz przeciwnie, ślub czystości ma otworzyć szerszą perspektywę dla miłości bliźniego. Niestety, w dyskusjach w, nazwijmy to, szeroko rozumianej przestrzeni publicznej na pierwszy plan wysuwa się negatywny aspekt rezygnacji z czegoś i akcentuje się opresyjność życia zakonnego, tak jakby ktoś nam czegoś zabraniał. To nieporozumienie i duża krzywda dla wizerunku życia zakonnego.

Dlaczego, według Siostry, akcentowany jest opresyjny charakter życia zakonnego? Dlaczego wielu osobom klasztor kojarzy się z podporządkowaniem, ślepym posłuszeństwem i surowymi regułami?

Różnicę w percepcji życia zakonnego świetnie obrazuje przypowieść Jezusa o ukrytym skarbie. Spróbujmy stanąć w pozycji obserwatora tej sceny. Pewien człowiek sprzedaje wszystko, co ma, i nie targując się, kupuje kawałek ziemi, która sama w sobie nie ma większej wartości. Co myślisz o tym człowieku? Wariat. Naiwniak, który marnuje swój majątek i swoje życie. Właśnie, tak patrzy na nas świat. Ale perspektywa zmienia się diametralnie, gdy do świadomości dotrze fakt, że w tej ziemi jest ukryty skarb. Wtedy strata zmienia się w ogromny zysk. Jednak świat nic nie wie o naszym skarbie. Jest on ukryty przed ich oczami. Dlatego widzą jedynie cenę, którą płacimy,

wyrzeczenie, utratę czegoś. Ale ten sam świat z uznaniem patrzy, gdy ktoś kupuje za niewyobrażalne pieniądze kawałek grzyba zwanego truflą, czyli wie, że rzeczy wartościowe to... drogie rzeczy. Paradoks, prawda?

Kiedy mój bratanek był jeszcze malutki, a ja dopiero stawiałam pierwsze kroki w życiu zakonnym, bratowa zagadnęła mnie kiedyś przekornie: „Ja bym tak nie mogła żyć. Od wczesnego rana modlitwa, obowiązki itd.". „A ty wstajesz kilka razy w nocy do dziecka, karmisz je, przewijasz..." – odpowiedziałam. „Ale to jest moje szczęście" – powiedziała nieco zdziwiona. No właśnie. Jeżeli człowiek upatruje w czymś swojego skarbu, to nie koncentruje się na kosztach, które ponosi przy jego zdobywaniu. Życie, które ma swój cel, ma też swoją cenę. To jest nieuniknione i trzeba naprawdę być bardzo naiwnym, by myśleć inaczej. Chyba że dla kogoś celem samym w sobie jest komfort psychiczny, brak stresu czy trudu. Ale czy to można nazwać życiem czy jedynie wegetacją?

Zatrzymajmy się na moment przy znaczeniu ślubów zakonnych. Czy one za każdym razem sprowadzają się do rezygnacji z czegoś? Czy ubóstwo polega na rezygnacji z własnych pieniędzy, posłuszeństwo na rezygnacji z decydowania o sobie, a ślub czystości na rezygnacji z życia seksualnego?

Sama nazwa „rady ewangeliczne", a nie „zakazy ewangeliczne", już sugeruje pewną optykę. Podpowiada, że kryją się za nimi pozytywne wartości. Wyrzeczenie jest skutkiem ubocznym. Dlatego życie zakonne jest dla osób dorosłych, które mają w życiu jasno określony cel i są gotowe ponieść koszty tego wyboru. Weźmy za przykład choćby ślub posłuszeństwa. Żyjąc tą radą ewangeliczną, wyrażam pragnienie, by w życiu szukać woli Bożej. To jest dla mnie wartość. Chcę poznać i zrealizować plan Boży,

bo według mnie jest on najlepszym pomysłem. Ale ktoś powie: cóż za zniewolenie, wyrzec się swojej woli, żeby żyć czyjąś wolą.

Po pierwsze, to jest moja decyzja. Nie ma w niej ani grama przymusu. Zresztą, nawiasem mówiąc, według prawa kanonicznego śluby złożone pod jakimkolwiek przymusem, presją czy obarczone jakimś lękiem są nieważne. Bóg nie wywiera presji. Nie robię tego z lęku przed Nim, ale z miłości i z zaufania do Niego. Kiedyś mała Tereska[9] powiedziała do swojej rodzonej siostry Leonii, która opuściła klasztor wizytek, bo twierdziła, że ciągle musi tam robić nie to, co chce: „A ja ciągle robię to, co chcę". No właśnie, tak chcę i dlaczego ktoś miałby mnie od tego ratować wbrew mojej woli, tego nie bardzo rozumiem.

Po drugie, żeby poddać swoją wolę pod wolę Boga, to najpierw trzeba tę swoją wolę ukształtować, czyli posiadać zdolność do decydowania. I w tym kontekście podkreślam, że życie zakonne jest dla dorosłych. Umiejętność posługiwania się wolą, bycia wolnym, nie tylko od presji zewnętrznej, ale także od własnych „zachciołków" i przymusu potrzeb, to wszystko wymaga pewnej dojrzałości. Dopiero wtedy człowiek staje się zdolny do poddania się Bogu, który proponuje swój plan i zaprasza do współpracy. Bez tego jesteśmy często ofiarami własnych potrzeb i mylimy wolność z samowolą, która jest jedynie gonieniem za własnym ogonem.

Dlaczego Bóg i Jego wola, a nie własny projekt?

Chyba każdy uważny obserwator życia ludzkiego potwierdzi, że każdy swego pana ma (*śmiech*). Jest w nas naturalna skłonność do szukania autorytetu, podporządkowania się. I im bardziej buntujemy się i odrzucamy uznane autorytety, tym bardziej, mimo woli, lokujemy tę naszą potrzebę poddania się w osobach i rzeczach niewartych tego. Jednym słowem, abstrahując od indywidualnych przekonań, myślę, że każdy człowiek nosi

w sobie głęboką potrzebę pewnego złożenia w kimś swojej nadziei, całkowitego zaufania. W moim życiu jest to Bóg i w tym znaczeniu ja z Nim nie dyskutuję. Przedkładam to, co On mówi, nad swoje. Jednak to w żaden sposób nie ogranicza mojej ludzkiej wolności. To nie wynika też z jakiejś manipulacji. To, co mnie fascynuje w chrześcijaństwie, a ja doszłam do chrześcijaństwa z całkowitej „bezbożności", to to, że Bóg niesamowicie honoruje ludzką wolność. Mogę Mu się przeciwstawić, mogę odejść i pozornie nic się nie stanie. On będzie na mnie czekał, właśnie jak ten ojciec z opowieści o synu marnotrawnym. Zatem pełni życia doświadczam, kiedy żyję z Nim w relacji zaufania. To z tego i tylko z tego wynika ślub posłuszeństwa. On jest oczywiście związany z pewnym organizacyjnym porządkiem, czyli z tym, że są przełożeni i pewne reguły życia. Ale w ślubie zakonnym posłuszeństwa – wbrew temu, co się czyta czy słyszy, a nawet wbrew temu, co ktoś czasem, pomyliwszy się, przeżywa – nie ma nałożonego na przełożonych żadnego boskiego autorytetu.

Zaraz, ale przecież mówi się, że przełożony zastępuje Boga.

Słusznie, ale jedynie w tym znaczeniu, że decyzje przełożonych są sposobem rozeznawania woli Bożej. Nie zawsze jestem pewna, czego Bóg ode mnie chce. Chcę jednak pełnić Jego wolę, i to nie tylko ja, siostra zakonna, ale także wielu świeckich chrześcijan. Czyli szukam tej woli Bożej, a wyznacznikiem są dla mnie: Ewangelia, przykazania boskie, moje osobiste rozeznawanie i jednym z ważnych elementów, którego czasem niektórzy świeccy mi zazdroszczą, jest decyzja przełożonego. Moi znajomi czasem mówią: „Ty to masz prosto w życiu, idziesz do przełożonej i wiesz, czego Bóg od ciebie chce". Ale nie dzieje się to na zasadzie przypisywania przełożonym „boskiej wiedzy". Tym bardziej nie na podstawie osobistego autorytetu, chociaż dobrze, kiedy

przełożony jest kimś budzącym szacunek. Słucham dlatego, że chcę wypełnić wolę Boga, a nie dlatego, że przełożona jest mądrzejsza albo że chcę ciężar decyzji złożyć na kogoś innego. Raz jeszcze do tego wracam – życie zakonne jest dla dorosłych. Tu nie może być mowy o infantylnej potrzebie zrzucenia odpowiedzialności za swoje życie na drugiego człowieka. Posłuszeństwo nie zwalnia od osobistego rozeznawania.

Czy wykonując polecenia przełożonych, ma Siostra poczucie, że robi to, czego chce Bóg? Czy wtedy jest łatwiej?

W pewnym sensie tak. Zyskuję w ten sposób autorytet Kościoła, który potwierdza moją misję, gdy podejmuję tę, a nie inną posługę. Oczywiście, jest także miejsce na rozmowę, na dialog, wspólne rozeznawanie. Bo ja też mam jakieś pragnienia i najlepiej jest, kiedy to wszystko spotyka się w nurcie wymiany i dyskusji. Ale ostateczne potwierdzenie dostaję tutaj. Co więcej, to jest niesamowite w życiu zakonnym, że nawet gdyby przełożony nie rozeznał czegoś dobrze, czy niepoprawnie odczytał, to Bóg przeprowadzi swoje plany. Wiem, że dla kogoś niewierzącego, kto będzie to czytał, zabrzmi to jak niedorzeczność, ale moje doświadczenie mówi mi, że tak się dzieje.

A co ze ślubem czystości? Czasem można usłyszeć, że zdrowy człowiek nie może żyć bez aktywności seksualnej.

Kiedy wybierałam się do klasztoru, mój kolega, który jest ginekologiem, powiedział do mnie: „Ale wiesz, że to jest niezdrowe" (*śmiech*). Ludzie dziś często nie dowierzają nam, że naprawdę tak żyjemy. To nie mieści się im w głowie, a zarazem świadczy o tym, jak bardzo ten znak współcześnie jest potrzebny. Przypomina mi się w tym miejscu anegdota o dwóch przedstawicielach firmy obuwniczej, którzy zostali wysłani na pustynię. Pierwszy z nich odsyła do swojej firmy informację:

„Nie ma szans na sprzedaż. Wszyscy chodzą boso", a drugi pisze z tego samego miejsca: „Niesamowite możliwości rynku zbytu. Wszyscy chodzą boso". Bo o życiu w czystości też można tak pomyśleć: To jest tak nieprzystawalne do współczesnych realiów, że nawet nie eksponujmy tego, bo to ludzi śmieszy. Dziś młode kobiety niemalże wstydzą się dziewictwa. Ale może to jest właśnie ten moment, by przypomnieć światu jego wartość. I przypomnieć o prawdziwej miłości, której źródło bije w Bogu. To dotyczy nie tylko życia zakonnego. Dlaczego małżeństwo jest sakramentem? Bo pomiędzy małżonkami musi zamieszkać Bóg – jedyny gwarant i źródło prawdziwej miłości, a nie tylko „chemia". Miłość to dar z siebie.

W tym znaczeniu rezygnacja z założenia własnej rodziny nie oznacza jakiegoś zamknięcia czy izolacji, raczej szerszy upust dla Bożej miłości, większą dyspozycyjność i wolność w służbie drugiemu człowiekowi. Ostatnio ktoś zaproponował mi: „Niech siostra napisze coś na temat wyścigu szczurów, z którym mamy do czynienia dzisiaj w świecie". Zastanowiłam się i doszłam do wniosku, że nie jestem kompetentna, żeby na ten temat pisać, ponieważ, wybierając pewien styl życia, zwolniłam się z tego wyścigu szczurów. Jeżeli nie popycha mnie osobista ambicja czy pycha, mogę spokojnie zająć ostatnie miejsce. Choćby dlatego że nie mam rodziny i nie muszę walczyć o jej byt. Mogę zaryzykować, mogę gdzieś wyjechać, narażając siebie. Koszty ponoszę tylko ja. Ślub czystości sprawia, że jestem bardziej dyspozycyjna dla ludzi. Jak Jezus, On też chciał być dla wszystkich. Ale to nie jest wyrzeczenie się miłości czy relacji z ludźmi. To nie ma też nic wspólnego z postawieniem się w pozycji nadczłowieka, który „nie potrzebuje ludzi". Wtedy to byłoby życie konserwowane, a nie konsekrowane.

Przykazanie miłości Boga i człowieka dotyczy każdego z nas. To nie jest tak, że w zakonie jest tylko Pan Bóg i nic więcej. Jednak chodzi o takie relacje z ludźmi, które zakładają wolność osoby bez próby zawłaszczenia. Proszę zauważyć, jak wielu jest pośród nas dzisiaj wampirów emocjonalnych. Ile jest w relacjach szantażu, zniewolenia, prób kupowania sobie ludzi z lęku czy głodu, żeby doświadczyć trochę ciepła, żeby nie zostać samemu. Tymczasem, tyle miłości, ile wolności. W zdrowym małżeństwie też małżonek musi polegać na wolnej decyzji drugiego człowieka, a nie ufać „sposobom", jak go zatrzymać. W tym znaczeniu czystość nie narusza nic z zasad prawdziwej miłości. Mój styl życia, pokazując, że nie mam nikogo dla siebie, przypomina o tej regule. Nie chcę powiedzieć, że wybieram lepiej, ale wybieram inaczej to samo.

A ubóstwo – dlaczego taki styl życia?

Ubóstwo oznacza dla mnie wezwanie do wolności od rzeczy. I nie chodzi o to, że rzeczy materialne są złe. Bóg stworzył świat i my mamy z tego wszystkiego korzystać, cieszyć się tym, używać. Ale używać, a nie być niewolnikiem przedmiotów. Mówię to z wielką ostrożnością i pokorą, bo mnie dziś niczego nie brakuje. Mam zapewniony obiad i dach nad głową. W tym znaczeniu byłoby czymś pysznym i niewłaściwym pouczać ludzi, którzy z trudem wiążą koniec z końcem, że do pieniądza nie należy się przywiązywać.

Mnie chodzi jednak o postawę serca. O to, co mówi Biblia, że bycie bogaczem nie oznacza dużej ilości pieniędzy, ale wewnętrzny stosunek do bogactw. Podobnie, prawdziwie ubogim jest ubogi w duchu, a nie pozbawiony środków do życia. Czyli chodzi o to, by niezależnie od tego, ile posiadamy, sprawy tego świata służyły nam, a nie my im. Kiedy stawiamy siebie lub innych niżej od przedmiotów, upokarzamy nasze człowieczeństwo.

Ślub ubóstwa ma chronić ludzką godność i bronić ją przed potężną pokusą chciwości i zachłanności, która zagraża każdemu człowiekowi. Zresztą wszystkie trzy rady ewangeliczne są lekarstwem na potrójną pożądliwość. To jest ochrona, radykalne pójście w przeciwną stronę. Skoro pycha podpowiada człowiekowi, że jest pępkiem świata, a to, co przychodzi mu do głowy, jest najważniejsze, to ślub posłuszeństwa wybija go z tej logiki. Uświadamia, że ponad nami jest Bóg, a obok są ludzie tak samo ważni jak my, czyli burzy egocentryczny system. Na tej samej zasadzie ślub czystości przeciwdziała rozumieniu przyjemności jako celu samego w sobie. Czystość uświadamia, że w centrum powinna stać miłość i relacje z drugim człowiekiem oparte na szacunku i wolności. No i ślub ubóstwa, jak już powiedziałam, chroni przed chciwością.

W tym miejscu jedną rzecz trzeba wyraźnie podkreślić. Rady ewangeliczne tak naprawdę nie są adresowane tylko do zakonników. Miłość w wolności, szukanie woli Bożej czy właśnie ubóstwo rozumiane jako swobodne korzystanie z przedmiotów dotyczy wszystkich. My, jako zakonnicy, wybieramy tylko radykalniejszą formę życia. Nawet nie zawsze radykalniejszą, ale czytelniejszą. W tym sensie chciałabym wrócić do tego, o co zapytała pani na początku naszej rozmowy.

Granica między dwoma światami nie przebiega wzdłuż murów zakonów. My nie tworzymy jakiejś specjalnej kasty ludzi, nie żyjemy w zupełnie innej bajce. Życie zakonne miało i ma sens, tylko jeżeli jest znakiem wobec wszystkich ludzi, jeżeli pokazuje priorytety, w których każdy człowiek realizuje się w pełni. W tym znaczeniu ja potrzebuję świeckich, a świeccy potrzebują mnie. Tworzymy jeden Kościół. Bez kast. Niestety, to wzajemne

przenikanie wydaje mi się za małe, niewystarczające w stosunku do tego, jakie powinno być.

Dlaczego jest za małe? I jaki wpływ na to ma fakt, że jednak wiele osób patrzy na siostry zakonne jak na odrębną kastę?

Przyczyna jest jedna: za mało rozmawiamy ze sobą. A tam, gdzie mało się rozmawia, tworzą się slangi, miejscowe gwary i później coraz trudniej jest znaleźć wspólny język. Trochę jak odrębne plemiona. Jak dwie wioski, które się ze sobą nie mieszają, nie żenią. To przekłada się na konkrety. Na przykład, jeśli ktoś decyduje się na życie zakonne, to rodzina, środowisko często stawia ogromny opór wobec takiej decyzji, a jest to oparte na uprzedzeniach i mitach o życiu zakonnym. Myślę, że tu jest wiele do zrobienia z obydwu stron. To wzajemne przenikanie się jest trudne, jest niewątpliwą sztuką, której trzeba się uczyć i w której w sposób nieunikniony popełnia się błędy. Ale nie można rezygnować. Ostatecznie chodzi o to, by zachować swoją tożsamość, a równocześnie dobrze czuć się w różnorodności. W człowieku jest pokusa zamykania się w swojej grupce albo, przeciwnie, pewnego rozmywania specyfiki swojego powołania. To jest jak huśtawka: czasem zbyt się upodabniamy, chcąc zyskać zrozumienie i akceptację, czasem kopiemy rów, by zachować swoją odrębność. O, zdarza się, że jest to wielka przepaść, rów, okopy i fosa zalana wodą. Tymczasem trzeba zachować tożsamość, a równocześnie wychodzić do innych.

Głosi Siostra liczne rekolekcje oraz konferencje na temat duchowości. Co o tym zadecydowało? W Polsce wciąż nie jest popularne, że zakonnica głosi rekolekcje.

Z tym moim głoszeniem to nie było tak, że wymyśliłam sobie taki pomysł na życie. To raczej Boże wezwanie, które w pewnym momencie się pojawiło. Tym bardziej zaskakujące, że faktycznie nie

jest regułą, żeby siostry zakonne prowadziły rekolekcje. Zaczęło się dość banalnie. Pewna grupa osób (to były rodziny z ruchu Domowego Kościoła) miała rekolekcje i siostra, która opiekowała się ich dziećmi, zachorowała. Szybko potrzebowano kogoś na zastępstwo i moja przełożona wysłała tam mnie na kilka dni, mimo moich szczerych i dobrze uzasadnionych protestów (*śmiech*). Nie jestem osobą, która nadaje się na przedszkolankę. Nie ogarniam tego. Ale jakoś przetrwałam te kilka dni. Dzieci też. Któregoś wieczoru odpowiedzialni poprosili mnie, żebym opowiedziała uczestnikom rekolekcji coś o moim zgromadzeniu i jego duchowości. Opowiedziałam. I tak się zaczęło. Następnym razem zaprosili mnie, żebym poprowadziła dla nich rekolekcje. W ten sposób przez dziesięć lat głosiłam rekolekcje dla Domowego Kościoła (*śmiech*).

Nigdy nie zabiegałam o to, żeby gdzieś poprowadzić rekolekcje. To się działo całkowicie spontanicznie. Od człowieka do człowieka. Ktoś gdzieś coś usłyszał i potem prosił, żebym przyjechała do konkretnej wspólnoty, parafii itd. Od kilku lat prowadzę weekendowe, a czasem dłuższe rekolekcje w naszym domu rekolekcyjnym. I to jest jedyna forma rekolekcji, na którą to ja zapraszam. Jest formularz zgłoszeń na stronie, ludzie zapisują się i przyjeżdżają. Poza tym nie robię nic w tym kierunku, żeby gdzieś „zaistnieć". To dzieje się samo. Odczytałam to jako Bożą wolę. Jest to też oczywiście jakoś zgodne z moimi pragnieniami, bo lubię mówić o Bogu i dzielenie się wiarą jest dla mnie czymś naturalnym.

Nie upatruję jednak wartości głoszenia w sposobie mówienia czy w wiedzy. Nie jest także ważne, czy głoszenie jest efektowne i jak wielu mam słuchaczy. Myślę, że ten, kto głosi Słowo, musi bardzo bronić się przed myśleniem w kategoriach sukcesu czy

popularności. Bo głoszenie ma sens tylko wtedy, gdy człowiek pozwala działać Bogu. Gdy jest się narzędziem. Nie ma miejsca na PR. Trzeba umieć usunąć się w cień, by nie zasłaniać Boga. Ten motyw bycia narzędziem w ręku Boga jest bardzo obecny w duchowości mojego zgromadzenia. O powodzeniu rekolekcji ostatecznie decyduje żywa wiara, dzięki której Bóg może dzisiaj działać w swoim Kościele. To coś więcej niż tylko kuglowanie słowami, chwytliwymi hasełkami i błyskotliwymi puentami, bo przecież nie chodzi o to, żeby ludzie byli zadowoleni czy pod wrażeniem, ale żeby w ich życiu dokonał się jakiś krok wiary.

Powiedziała Siostra, że to głoszenie rekolekcji okazało się zgodne z Siostry pragnieniami. Jak to jest z możliwością realizowania w zakonie zainteresowań czy pasji? Tyle się słyszy o opresyjności zakonów, w których wykształcone kobiety są tłamszone i nie mają pola do realizacji swoich możliwości.

Mówiąc o moim głoszeniu, muszę podkreślić, że jest to coś więcej niż tylko osobista pasja. Po pierwsze, potwierdzają to moi przełożeni. Zawsze proszę matkę generalną o błogosławieństwo, kiedy jadę głosić i czuję się posłana przez zgromadzenie. Po drugie, mieści się to w misji zgromadzenia i, szerzej, w misji Kościoła, a dopiero po trzecie, odpowiada pragnieniu mojego serca. To jest posługa, misja, a nie jedynie hobby czy zainteresowanie. Są w życiu rzeczy pierwsze i te, które są na dalszym planie. Na przykład lubię oglądać mecze piłki nożnej i siatkówki i to jest hobby, ale nie priorytet w życiu. Gdybym miała wskazać jakąś dziedzinę, którą zaniedbałam, odkąd przyszłam do klasztoru, a w której mogłabym się rozwijać, wymieniłabym malarstwo. Ukończyłam przed wstąpieniem do zgromadzenia liceum plastyczne. Bardzo rzadko udaje mi się coś w tej dziedzinie robić,

ale nie z powodu opresyjności, tylko z tej prostej przyczyny, że doba ma dwadzieścia cztery godziny.

Byłoby to bardzo niepokojące, gdyby ktoś przyszedł do klasztoru z pretensjami, że musi zrealizować wszystkie swoje pasje, zainteresowania i rozmaite hobby i to będzie dla niego wyznacznik rozwoju. To świadczyłoby o jakimś pomieszaniu w hierarchii wartości i dowodziło niezrozumienia, czym jest życie zakonne. W naszym życiu wielką i pierwszą pasją jest Bóg. Życie zakonne bez Boga tak bardzo nie ma sensu, że nie ma w ogóle o czym dyskutować. Ta pasja jest też tak pochłaniająca, że wszystkie inne uzdolnienia czy zainteresowania albo się w to wpasowują, albo w sposób naturalny obumierają. To jest tak normalne i tak życiowe, że trudno tu mówić o jakiejś opresyjności. Być może na emeryturze zacznę malować. Być może. A być może nie. Nie jest to kwestia, która decyduje o tym, czy realizuję się w życiu czy nie.

W jednej z Siostry książek można przeczytać: „Rozejrzyjmy się po katolickich księgarniach. Ile jest tam książek o życiu duchowym napisanych przez siostry zakonne? Nie ma książek autorstwa sióstr? Ależ są! Kucharskie. (...) Coś tu na mój gust nie gra”. Jak postrzega Siostra rolę zakonnic w Kościele?

Może najpierw ustosunkuję się do przywołanego fragmentu. Chciałabym się usprawiedliwić, że jest to jeden z moich nielicznych zgryźliwych tekstów (*śmiech*). Być może zrodził się z prostej zazdrości, bo ja bardzo słabo gotuję (*śmiech*). Sama, słuchając dziś pani, jestem uderzona zgryźliwością tego tekstu. Przepraszam. A tak bardziej serio. Sądzę, że życie zakonne ma o wiele więcej do powiedzenia światu i o wiele bardziej istotnych rzeczy niż jedynie podzielenie się przepisami kulinarnymi. Ten głos sióstr brzmi dzisiaj słabo. I pewnie są tego jakieś przyczyny.

Nieśmiało się wypowiadamy. Czasem, pod obstrzałem nieprzychylnych opinii, tracimy przekonanie, że mamy światu coś istotnego do zaoferowania.

Gdy się patrzy na historię życia zakonnego, to mnisi byli zawsze specjalistami od jednego: od relacji z Bogiem. Zapewne my po cichu jesteśmy specjalistkami w tej dziedzinie, bo to jest centrum naszego życia, ale ciągle jakby nie dowierzamy, że to jest potrzebne światu. Tu się kłania przywołana przeze mnie wcześniej anegdota o przedstawicielach firmy obuwniczej, którzy mieli rozkręcić interes na pustyni. Patrząc na ten zwariowany i zajęty doczesnością świat, co jest, uważam, płytkim i pozornym spojrzeniem, można dojść do wniosku: „Cóż, mogę sobie żyć tym moim Panem Bogiem, ale dzisiaj jest to nieciekawe dla innych". Być może słabość tego głosu wynika nie tyle z przekonania, że to nie jest wartościowe, ile z lęku przed odbiorem.

Osobiście preferuję postawę tego drugiego agenta sprzedaży: uważam, że im bardziej świat jest zafiksowany na punkcie doczesności, tym bardziej potrzebuje Boga, nawet jeśli tego wprost nie nazywa, nie definiuje, a nawet nie uświadamia sobie. Potrzebne są zatem sposoby, żeby mu tę Dobrą Nowinę przynieść. Pisanie książek może być jednym ze sposobów. Ale nie jedynym. Notabene wszystkie książki, które napisałam, powstały z zewnętrznej inspiracji, to nie była moja inicjatywa. Dla mnie ideałem przekazywania Boga ludziom jest Maryja, która nigdy nie wygłosiła żadnego kazania, nie napisała żadnej książki, ale jak poszła do swojej krewnej i powiedziała „dzień dobry", to Duch Święty zstąpił. To jest wzór ewangelizacji. Przyjść do kogoś na kawę i odmienić jego świat!

Uważam, że życie zakonne ma w sobie potencjał, by tłumaczyć światu, kim jest Bóg, ale także kim jest człowiek. Dzisiaj nie jest to

ani oczywiste, ani jasne. Dzisiaj usiłuje się nam wmówić, że jesteśmy tylko jednymi ze zwierząt, i to z tych niżej zorganizowanych, bo właściwie delfiny są inteligentniejsze i szlachetniejsze... Uważam, że jesteśmy po to, by pokazać światu wartość i godność człowieka, niezależnie od tego, czy ktoś jest wierzący czy niewierzący.

A czy jest tu gdzieś miejsce na uderzenie się we własne piersi? Pojawiają się głosy, że to świadectwo sióstr jest niedostrzegalne. Siostra przywołała Maryję, która kojarzy się z pokorną cichą służebnicą. Może siostry zakonne powinny dziś robić coś szczególnego?

Można i trzeba uderzyć się, ale jedynie we własne, i ja nieraz to czynię, wyrzucając sobie, że ciągle nie dorastam do mojego powołania. Pewnie to „niedorastanie" jest w jakiś sposób wpisane w tę drogę, ale oczywiście nie usprawiedliwia braku świadectwa. Pyta pani o bycie cichą i pokorną. Uważam, że to bardzo aktualne cnoty. Ważne jednak, by były dobrze zrozumiane. Pokora, cichość i, mówiąc językiem Ewangelii, zajmowanie ostatniego miejsca, nie jest tożsame z poczuciem: jestem ofiarą losu, byle kim, strach mnie pokazać, więc tak sobie siądę w tym kątku. To właśnie człowiek, który czuje się Dzieckiem samego Boga, może pokornie stawać wobec innych ludzi jako równy z równym, nie będąc zmuszonym do ciągłego udowadniania swojej wartości przez wywyższanie się.

W tym znaczeniu robienie czegoś szczególnego jest niejednoznaczne. Zależy, z jakiej wynika motywacji. Można robić rzeczy wielkie i trzeba się czasem na nie porwać, żeby dokonać czegoś ważnego dla świata. To nie jest wbrew pokorze, bo pokora jest prawdą o człowieku i o jego powołaniu. Joanna d'Arc, prosta dziewczyna ze wsi, czuła się wezwana do tego, żeby wybawić Francję. Można w to wezwanie wierzyć lub nie, ale ona tego

dokonała! Ale za chęcią robienia rzeczy wielkich może się również kryć chęć udowodniania swojej wartości, a to już nie służy dobru. Bo jeśli człowiek swojej wartości nie odkrył w Bogu, to daremnie jej szuka w wielkich czynach. One nie będą służebne wobec świata, ale naznaczone egoizmem i chęcią dominacji. Gdy człowiek zna swoją wartość w oczach Boga, to spokojnie może usunąć się na bok, kiedy nie ma potrzeby działania. I równie bez kompleksów weźmie się do roboty, gdy zrozumie, że jest potrzebny. To kwestia rozeznawania. Czy należałoby robić dziś coś szczególnego? Coś, czego dotąd nikt nie robił? Po upewnieniu się, że jest to potrzebne, jak najbardziej. Tylko chodzi o właściwe rozeznanie tych nowych wyzwań.

Weźmy w tym kontekście pod uwagę na przykład dążenie kobiet do bycia kapłanami. To nie wytyczanie nowego szlaku, ale próba wejścia w czyjeś buty. W przestrzeń już zagospodarowaną. To nie jest nowe wyzwanie czy nowa potrzeba, którą nikt się do tej pory nie zajął. A przecież takich przestrzeni do twórczości jest całkiem sporo. To raczej konkurowanie z mężczyznami, w którym zbyt jasno widać chęć potwierdzenia swojej wartości przez porównanie się i pragnienie uzyskania przywilejów. Problem polega na tym, że kapłaństwo nie jest przywilejem i nie istnieje po to, by ktoś się czuł lepszy.

Jesteśmy wezwane do rzeczy szczególnych w tym znaczeniu, że ciągle na nowo i w świeży sposób mamy dawać świadectwo wiary. Jeżeli w czasie rekolekcji wygłosiłabym z kartki tę samą konferencję co dwa miesiące temu, to byłabym jak robotnik w fabryce: wciąż te same elementy według tego samego szablonu. A przecież przede mną są inni ludzie. I Bóg chce im coś teraz i tutaj nowego powiedzieć. To musi być świeże, przeżyte, przemodlone i w tym znaczeniu szczególne. W Kościele trzeba mówić nie tylko

do rzeczy, ale przede wszystkim do ludzi. Trzeba to robić w sposób nadzwyczajny, wyjątkowy i tak, jakby to była jedyna okazja do przekazania Dobrej Nowiny. Tu nie ma miejsca na rutynę czy banał. W tym znaczeniu każde nasze działanie ma być nadzwyczajne.

Czy w ocenie Siostry wybór życia zakonnego jest współcześnie wyborem ryzykownym?

Wybór życia zakonnego jest ryzykowny, ale jedynie od strony kruchości ludzkiej kondycji. My możemy być niepewni... siebie. To, że odczytujemy w sobie pragnienie pójścia za Bogiem, nie oznacza automatycznie, że faktycznie za Nim pójdziemy do końca. Jest to zazwyczaj historia wierności i chwil, gdy tej wierności odmawiamy. I w tym znaczeniu jest ryzyko, bo ze względu na ludzką kondycję nie wiemy, czy do wyznaczonego celu dojdziemy. Jednak bardziej ryzykowne wydaje się w tej perspektywie zawarcie małżeństwa, bo po drugiej stronie mamy równie kruchego człowieka, natomiast Bóg zawsze okazywał się wierny niezmiennie. Niemniej warto zaryzykować.

Jeżeli jednak jest to ryzykowne ze względu na ludzką kondycję, to czego właściwie potrzeba, żeby złożyć śluby wieczyste?

Potrzeba wewnętrznego przekonania, że to jest moje powołanie. Rozeznawanie powołania to, oczywiście, nie matematyka, ale też nie coś, co przekracza ludzkie możliwości. Bóg nie żąda od nas rzeczy niemożliwych. Człowiek jest w stanie odczytać swoje życiowe powołanie. Moje doświadczenie w tym względzie jest bardzo proste: kiedy spotkałam Boga w moim życiu, On objawił mi się jako tak piękny i pociągający, że... nie przyszła mi do głowy żadna inna alternatywa niż ta, żeby zostać zakonnicą. Coś na zasadzie zakochania. Zasadniczo przez dwadzieścia pięć lat życia

zakonnego nie straciłam tego spojrzenia. Życie raz było łatwiejsze, raz trudniejsze, ale to przekonanie nigdy mnie nie opuściło. Nigdy nie straciłam poczucia, że jestem na swoim miejscu i że jest to najlepsza droga, jaka mogła mnie spotkać. I nie mówię tego dlatego, że pani nagrywa, a mnie tak wypada powiedzieć. Jest to moje autentyczne przekonanie.

Przez jakiś czas towarzyszyłam osobom rozeznającym powołanie i wiem, że czasem pojawiają się rozmaite wątpliwości, zawirowania itd. Bardzo często do powodów, dla których ktoś wybiera życie zakonne „przyplątują się" też ludzkie potrzeby. I na tym polega proces rozeznawania, żeby „oczyścić" tę motywację, żeby się nie okazało, że ktoś podejmuje życie zakonne z powodów innych niż religijne, bo, na przykład, nie doświadczył w rodzinie miłości ani akceptacji i oczekuje, że znajdzie je we wspólnocie. Zdarzają się też przypadki, że ktoś ma tak fatalny obraz życia małżeńskiego, iż życie zakonne jawi mu się jako alternatywa i ucieczka od takiej drogi. Albo ktoś myśli, że zakon jest jakąś formą schronienia przed złym światem.

Czy z takimi pobudkami w ogóle możliwe jest życie zakonne?

Po to jest rozeznawanie, po to jest też bardzo długi czas formacji zakonnej, osiem, dziewięć lat do ślubów wieczystych, czyli do ostatecznej decyzji, żeby motywację oczyścić lub się wycofać. Albo w kimś przeważą powody natury religijnej, albo dojdzie do wniosku, że się pomylił. Tak samo przecież się dzieje, gdy człowiek decyduje się na narzeczeństwo. W związku z drugim człowiekiem także potrzeba czasu oczyszczenia, pogłębiania miłości. Szkoda, że dzisiaj coraz częściej, zamiast dojrzewać do miłości, ludzie chcą jedynie realizować swoje nie zawsze realistyczne oczekiwania, a gdy one zostają zawiedzione, szukają winnych na zewnątrz, zamiast zweryfikować swoje nastawienie.

Ktoś, kto ma nieadekwatne do życia zakonnego (czy małżeństwa) oczekiwania, przypomina klienta, który w sklepie mięsnym, chce kupić gwoździe. Oczywiście, możemy sobie grzecznie wytłumaczyć, że to sklep innej branży i rozstać się pokojowo. Ale czasem bywa tak, że niezadowolony klient ma pretensje, iż nie ma gwoździ. Taką postawę prezentują nie tylko ci, którzy z różnych powodów pomylili się w rozeznaniu drogi życia, ale przede wszystkim różni, nazwijmy to, działacze na rzecz kobiet (*sic*!), którzy na siłę chcą nas „wybawić" od życia zakonnego. Mają inny system wartości (lub w ogóle nie uznają wartości, lecz jedynie potrzeby) i nie przyjmują do wiadomości, że my chcemy żyć właśnie w ten sposób.

My jesteśmy (wiem, że to słabe porównanie, ale niech będzie) sklepem innej branży. Mamy wolny rynek i wolny wybór. Nikt nikogo do niczego nie zmusza. Jest pluralizm (modne słowo!). Życie zakonne nie jest konieczne do zbawienia. Jeżeli ktoś tego życia nie rozumie, może znaleźć inną drogę. Nawet w przestrzeni samego życia zakonnego jest ogromna różnorodność, począwszy od życia w ścisłej klauzurze po pracę misyjną w Afryce. Dlatego nie widzę podstaw do oskarżania życia zakonnego tylko dlatego, że rozmija się ono z wyobrażeniami i oczekiwaniami niektórych.

Czy będąc siostrą zakonną, można pielęgnować przyjaźnie i bliskie relacje z osobami poza klasztorem?

Pewnie to zależy od specyfiki zgromadzenia, bo innymi regułami rządzi się życie klauzurowe, a innymi wspólnoty apostolskie. Ogólnie, w życie zakonne wpisana jest pewna potrzeba klauzury, czyli przestrzeni, nie tylko fizycznej, ale i mentalnej, do której nie wpuszczamy świeckich. To potrzeba pewnego odejścia od świata, by nabrać do niego dystansu i skuteczniej nieść Boga. Gdyby nie ta przestrzeń, szybko upodobniłybyśmy się do świata. A wtedy

co miałybyśmy do zaoferowania? Ale poza potrzebą dystansu ważny jest też kontakt. Ja osobiście bardzo wiele zawdzięczam ludziom świeckim: rozumienie Kościoła, czasem krytyczne spojrzenie, urealnienie w wielu aspektach, a często świadectwo wiary, które umacnia i pogłębia moją więź z Bogiem. Sporo mam tych relacji. Razem ze świeckimi wspólnie prowadzimy rekolekcje i to jest bardzo cenne doświadczenie.

Może się jednak zdarzyć, że pewna nieprzystawalność naszego stylu życia będzie utrudniać bardziej zażyłe relacje. Jeszcze raz wrócę do kwestii tożsamości. Trudno, żebym zarzuciła mój styl życia, pracy i funkcjonowania, bo wieczorem chcę pójść ze świeckimi przyjaciółmi do knajpy. Albo, wprost przeciwnie, żebym narzucała im mój rytm dnia. Ale przestrzeń do spotkania jak najbardziej jest. Także do przyjaźni. Dialog między świeckimi a osobami zakonnymi jest niezwykle potrzebny i powinien się dokonywać w codziennych, a nie tylko w oficjalnych relacjach. To bardzo ubogaca. Jednak musi się to dziać w atmosferze poszanowania inności. Bycie siostrą to moja tożsamość. Ja po godzinach nie odwieszam habitu i nie przestaję nią być. To nie jest zawód. To powołanie. W tym znaczeniu, nawet kiedy siedzę z kimś przy herbacie i mam bardzo prywatne spotkanie, ciągle jestem zakonnicą. Tę odrębność bardzo bym chroniła. Ale to nie przeszkadza w relacjach.

Czy uważa Siostra, że wiara wielu osób praktykujących jest powierzchowna i wielu wierzących nie wyszło poza poziom wiary tradycyjnej?

Nie mnie oceniać, czy czyjaś wiara tradycyjna jest płytka czy głęboka. Sama mam takie doświadczenie, że do wnętrza Kościoła przyszłam z jego peryferii. Jednak niezależnie od historii życia, od sposobu, w jaki komuś przekazano wiarę, straszliwie ważne jest,

by dojść do żywej wiary rozumianej jako osobista relacja z Bogiem. Cudowny fenomen chrześcijaństwa polega na tym, że Bóg jest Osobą. To nie jest tylko kult albo jakaś forma pobożności, która uspokaja ludzkie sumienie. To przygoda przyjaźni z żywym Bogiem. A czy owa wiara rodzi się z tradycyjnego przekazu czy z nawrócenia, to już rzecz drugorzędna.

Myślę, że możemy się cieszyć, że w Polsce nie wygasł ten tradycyjny przekaz wiary w takim stopniu, jak to się przydarzyło na przykład we współczesnej Francji. Są kraje, gdzie stracono jedno pokolenie z powodu pustki, która powstała pomiędzy wiarą przekazywaną z dziada pradziada a spóźnioną nową ewangelizacją z jej nowymi wspólnotami i ruchami.

Kościół polski ciągle jeszcze w tym tradycyjnym nurcie żyje, a równocześnie otwarł się na nowe. Żeby chociaż wspomnieć wielkiego proroka nowej ewangelizacji w Polsce, jakim był ks. Franciszek Blachnicki[10]. W tej dziedzinie dzieje się dzisiaj naprawdę dużo. Istnieje u nas cała masa żywotnych i prężnych ruchów i wspólnot. Jeżeli ktoś mieszka w dużym mieście i mówi: „Mój proboszcz ględzi, więc nie ma dla mnie miejsca w Kościele", to widać niezbyt się wokoło rozejrzał...

Powiedziała Siostra, że do Kościoła przyszła z peryferii. Jak to należy rozumieć?

Po prostu, kiedyś od tego Boga byłam daleko. Owszem, byłam ochrzczona, ale moje drogi nie prowadziły do „kościółka". Prawdę mówiąc, sama nie do końca rozumiem, jak Bóg wkroczył w moje życie. Czasem ludzie mnie pytają: „No, ale ktoś coś powiedział? Coś się stało?". Nie, nic się nie wydarzyło. Po prostu, w pewnym momencie mojego nastoletniego życia poczułam dojmujący głód duchowości. Głód Boga. Nikt mnie tego nie uczył, a jednak zaczęłam się modlić, uczestniczyć w Eucharystii i miałam straszne

pragnienie, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tym Bogu. W mojej przestrzeni życiowej nie było żadnego księdza ani zakonnicy, z którymi mogłabym pogadać, nie tylko w rodzinie, ale rzekłabym nawet na najdalszym horyzoncie. Jedynym sposobem, jaki przyszedł mi do głowy, było czytanie książek. Moja koleżanka miała wujka księdza, a ten miał bibliotekę. „Na ślepo" pożyczałam od niej książki, pochłaniając je. Spektrum było szerokie: od naiwnych opowiadanek dla grzecznej młodzieży z początku XX wieku po dzieła św. Jana od Krzyża. Nie mając pojęcia, kim jest ten Jan od Krzyża, zaczęłam czytać jego dzieła i doszłam do wniosku, że to jest to, czego szukam. To dość nietypowe, zaczynać katechizację od nauk Doktora Mistycznego (*śmiech*). Nie osiągałam oczywiście szczytów mistyki przez tę lekturę, ale Bóg zaczął wydawać mi się pociągający. Tak zaczął się pewien naturalny proces, który doprowadził mnie do życia zakonnego.

To życie zakonne jest przez niektórych kojarzone z drogą samodoskonalenia, ascetycznym stylem życia, w którym dąży się do doskonałości. Co Siostra myśli o takim podejściu?

Ja też kiedyś startowałam z takiej pozycji. Wychodziłam z założenia, że życie chrześcijańskie jest piękne, więc popracuję nad sobą, będę starała się dużo modlić, zachowywać regułę i w związku z tym, jak ufam, w przeciągu dwóch, trzech lat stanę się świętą i doskonałą. Ot, taka naiwna iluzja. Przez lata nauczyłam się, że nie o to chodzi. Że jest to nie tylko nierealne, ale także niebezpieczne, bo kryje w sobie pokusę perfekcjonizmu. Owszem, w chrześcijaństwie jest dążenie do doskonałości, ale do doskonałej miłości. Natomiast perfekcjonizm to doskonały egoizm. To pycha. W chrześcijaństwie nie ma miejsca dla samotnych wojowników dążących do ideału. Samorealizacja, nawet pojmowana bardzo wzniośle, jest błędem w samych założeniach. Tym, co najbardziej

definiuje człowieka jako osobę, jest relacyjność. Dlatego celem jest miłość.

To, co najistotniejsze w życiu, otrzymujemy w relacjach. W relacji do Boga, do drugiego człowieka. Tymczasem ideał samodoskonalenia jest z natury egoistyczny. Kryje się w nim także herezja samozbawienia, w której niebo jest nagrodą za dobre sprawowanie. Gdzie tu miejsce na ofiarę Chrystusa, na przyjęcie zbawienia? Na szczęście Bóg szybko człowieka z tych niebezpiecznych iluzji wyprowadza. Nawet przy dużym zaangażowaniu każdy człowiek w końcu dochodzi do granic swoich możliwości i uświadamia sobie swoją niewystarczalność. Niezależnie od tego, czy jesteśmy wierzący czy nie, samodoskonalenie jest ślepą uliczką. Jak długo można się rozwijać i samorealizować? Co jest na końcu tej drogi? Frustracja? Pozór wszechmocy? Na pewno samotność.

Co jest złego w tym, że człowiek chce się rozwijać, a w konsekwencji być samowystarczalny? Co jest złego w tym, że chce zapewnić sobie komfort?

Nie byłoby w tym nic złego, gdyby był w stanie sobie wystarczyć i zapewnić ten komfort. To pragnienie szukania spełnienia, poczucia bezpieczeństwa, pewności, sensu życia jest bardzo słuszne, ale kiedy lokujemy je w samym sobie, jesteśmy skazani na porażkę. Chcemy być dla siebie bogiem, ale to nas przekracza, więc stajemy się dla siebie jedynie bożkiem, który nas samych niszczy. Mówiąc o niewystarczalności człowieka, nie chcę go deprecjonować czy mówić, że jest zły. W żadnym wypadku. Chodzi o to, żeby postrzegać człowieka jako aż i tylko człowieka. Nie narzucać mu wymagań i oczekiwań, którym nie może sprostać. Nie można od człowieka oczekiwać tego, czego od Boga: wszechwiedzy, wszechmocy, gwarancji bezpieczeństwa, miłości

i wierności bez warunków. Takimi oczekiwaniami można zniszczyć siebie lub drugiego. Owszem, mamy rozwijać nasze zdolności, ale po to, by je zagospodarować w służbie miłości, a nie jedynie dla poczucia bycia lepszym.

A co z tymi, którzy nie mają relacji z Bogiem? W czym mogą ulokować swoje pragnienia?

Osobiście podejrzewam, że wiele osób jest takimi kryptochrześcijanami. Z różnych przyczyn nie skojarzyli, że ich pragnienia są dokładnie opisane w Ewangelii. Ludzie wierzący mają ścieżkę dochodzenia do Boga w Kościele. Ta ścieżka jest dobrze opisana i oznakowana. Ale nigdzie nie jest powiedziane, że to jedyna ścieżka, jaką Bóg idzie do człowieka. Często spotykam ludzi niewierzących, którzy noszą w sobie pewne światło. Oni nieświadomie lgną do Boga, którego nie potrafią nazwać. Wiem to, bo sama przez długi czas chodziłam z takimi pragnieniami, nie umiejąc ich ulokować. Ważne jest, by pielęgnować w sobie te pragnienia i nie rozmienić ich na drobne. Jeśli ktoś szuka, znajdzie. Jestem tego pewna.



Obrona wartości nie jest anachroniczna

Siostra Barbara Chyrowicz – profesor filozofii, etyk, kierownik Katedry Etyki Szczegółowej KUL, członek między innymi zarządu Polskiego Towarzystwa Bioetycznego, w latach 2001–2016 Papieskiej Akademii Pro Vita. Należy do Zgromadzenia Misyjnego Służebnic Ducha Świętego. Za książkę *O sytuacjach bez wyjścia w etyce* otrzymała Nagrodę Znaku i Hestii im. ks.

Józefa Tischnera. W swojej najnowszej książce *Bioetyka. Anatomia sporu* wskazuje na źródła współczesnych dylematów bioetycznych. Podobnie jak we wcześniejszych publikacjach, czyni to bez moralizatorstwa, zadęcia i grożenia palcem.

Po raz pierwszy o siostrze Chyrowicz usłyszałam kilkanaście lat temu, sięgając po jeden z numerów „Tygodnika Powszechnego". Kiedy na dziennikarstwie nadarzyła się możliwość indywidualnego tutoringu i studiowania pod okiem wybranego w Polsce akademika, nie musiałam się długo zastanawiać. Niech mi wybaczą późniejsi promotorzy, ale żaden z nich nie przekazał mi warsztatu pracy porównywalnego z tym, który uzyskałam od siostry Chyrowicz. Nieprzypadkowo chyba jeden z polskich polityków i publicystów określił ją mianem „fenomenu polskiego Kościoła".

Z czego w opinii Siostry wynika wyraźny spadek powołań do żeńskich zgromadzeń zakonnych w ostatnich dwudziestu latach? Czy życie religijne jakoś przybladło, a zakony przestały być czytelnym znakiem?

Należałoby chyba zacząć od tego, że świat, w którym żyjemy, zmienia się nader szybko i niezmiernie trudno jest nam czasem za tymi zmianami nadążyć. Kiedy żyjemy w środowisku po trosze zamkniętym, to pewnych zmian zwyczajnie nie zauważamy. A społeczno-kulturowe zmiany spowodowały, że myślące o wstąpieniu do zgromadzeń zakonnych młode kobiety mają dzisiaj zupełnie inne oczekiwania niż trzydzieści lat temu.

Potencjalne kandydatki to dzisiaj kobiety po studiach, mające znacznie bogatsze doświadczenie życiowe niż kiedyś dziewczęta po maturze, bardziej nastawione na konkrety, mówiące otwarcie o swoich pragnieniach.

Co to znaczy?

To znaczy, że myśląc o wstąpieniu do konkretnego zgromadzenia, chciałyby wiedzieć, jak spożytkują swoją wiedzę i talenty. Zgromadzenia powinny więc dbać o klarowność przedstawianych kandydatkom apostolskich celów swoich wspólnot, czyli na przykład: dołączysz do nas, to możesz oczekiwać podjęcia w przyszłości takich to a takich zadań, mamy wobec ciebie w związku z tym jasno określone wymagania. W momencie kiedy młody chłopak zgłasza się do seminarium, ma w perspektywie zostanie księdzem, pytanie dotyczy miejsca pracy, którego mu nikt wcześniej nie określi. Może też – w miarę własnych możliwości – pracować naukowo, bo są zgromadzenia męskie, dla których praca naukowa jest jedną z istotnych form apostolstwa, na przykład dla jezuitów czy dominikanów. W przypadku zgromadzeń żeńskich mamy do czynienia z jednej strony z ogromną różnorodnością apostolatów, a z drugiej z pracą, która tradycyjnie przypisywana jest siostrom. Nie wiem, czy zadała sobie pani trud przejrzenia ofert czy stron internetowych różnych zgromadzeń żeńskich.

Owszem, zapoznałam się z wieloma stronami.

Pytanie brzmi: czy oferujemy kandydatkom do zgromadzeń zakonnych wystarczającą do podjęcia dojrzałej decyzji informację? Czy nie jest ona zbyt enigmatyczna dla młodej kobiety? Może w momencie dołączenia do wspólnoty chciałyby wiedzieć coś więcej, coś bardziej konkretnego? Z zastrzeżeniem wszakże, że nikt im nie zagwarantuje dzisiaj, co dokładnie będą robić za kilka lat, bo takich gwarancji nikt nikomu złożyć nie może, także poza

kontekstem życia zakonnego. Działalność misyjna jest w miarę konkretna, ale przecież na misjach można również pełnić różnorodne funkcje. Ponadto obraz misji, jaki rozpowszechniony był czterdzieści czy pięćdziesiąt lat temu, też się bardzo zmienił. Dzisiaj informacje o tym, że Bóg przyszedł na świat, żeby zbawić ludzi, można zdobyć bez większego trudu, bo internet jest na całym świecie. Miejsc dziewiczych na kuli ziemskiej jest już niezmiernie mało, a nawet do nich dociera informacja.

Dzisiaj misja jest raczej kwestią świadectwa – zawsze chodziło o świadectwo, ale dzisiaj w sposób szczególny. Ważny jest kontakt z tymi, którzy uwierzyli. Z faktu, że przeczytam książkę na temat wiary, nie wynika przecież, że uwierzę. Myślę, że mamy dzisiaj problem z odczytaniem naszej misji w nowej rzeczywistości. Patrzymy z obawą na zmieniający się świat, ale to jest nasz świat, innego nie mamy. Nie można wychodzić z założenia: świat jest zły, odgrodźmy się od świata. Pytanie, jak dalece powinniśmy podejmować się pracy niekojarzonej tradycyjnie z zakonnym powołaniem po to, by łączyć misję ze świadectwem życia? Apostolstwo nie polega na zamknięciu się za murami. To nie ludzie mają szukać nas, to my mamy wychodzić do ludzi. Pewnie warto byłoby porozmawiać z młodymi kobietami o tym, jak widzą swoje zaangażowanie w działalność apostolską. Młodość jest otwarta, pozwala na świeżość spojrzenia na problemy, którą czasem tracimy z wiekiem. Oczekiwania zgromadzeń zakonnych i młodych ludzi muszą się jakoś spotkać.

Dlaczego tak trudno zaakceptować fakt, że świat się zmienił?

Dlatego że ludzie generalnie boją się zmian. Sama idea życia zakonnego się nie zmieni, jej istotą pozostanie oddanie swojego życia Bogu i ludziom. Pozostaje jednak kwestia struktur, które można dostosować do zmieniającego się świata. To niełatwe.

Łatwiej jest nam żyć w świecie już raz ułożonym, a nie w takim, w którym ustawicznie trzeba odpowiadać sobie na pytania dotyczące zmieniającej się rzeczywistości, tym bardziej że tak szybko się zmienia. Nie ma jednak innego wyjścia, jak nieustanne rozpoznawanie znaków czasu, nowych okoliczności i nowych wyzwań. Inaczej „skostniejemy", staniemy się niepotrzebni.

Czy można powiedzieć, że na te nowe okoliczności w znacznym stopniu składa się inny profil kandydatki do zgromadzeń żeńskich?

Pewnie po części tak. Niewątpliwie należy uznać fakt, że przychodzące dziś do zgromadzeń kobiety są starsze, że mają doświadczenia, których kiedyś nie miały dziewiętnastolatki. Istotna jest tutaj różnorodność zgromadzeń zakonnych – specyfika podejmowanych zadań wiąże się z wymaganiami stawianymi kandydatkom. Można się też zastanawiać nad tym, czy obszar tradycyjnie podejmowanych przez siostry zadań nie powinien zostać znacznie bardziej poszerzony, co wiąże się z szerszą dyskusją na temat roli kobiet w Kościele. Kiedyś bardzo dużo sióstr pracowało w zakrystiach i na plebaniach. Dzisiaj można zaproponować tę pracę świeckim. To oczywiście nie znaczy, że siostry nie powinny pracować w zakrystii – przecież istnieją zgromadzenia, dla których pomoc w parafii to jedno z programowych zadań! Nie jest to jednak praca, którą z definicji mogą wykonywać jedynie osoby zakonne. Trudno mi podać gotowy profil kandydatki do zgromadzenia zakonnego, nie pracuję w formacji.

Na podstawie rozmów z młodymi ludźmi mogę jednak powiedzieć, że kwestia wykorzystania zdolności i nabytych umiejętności jest dla nich bardzo ważna, nacisk na to kładzie się dzisiaj na każdym etapie edukacji, także pisząc profil absolwenta.

Kandydatom na studia powtarza się, że zdobyte na studiach umiejętności mogą im pomóc w znalezieniu pracy. Jeśli młody człowiek przez większość swojej edukacji słyszy, że ma ona służyć możliwości podjęcia konkretnej pracy, to nic dziwnego, że przychodząc do zgromadzenia, będzie o to pytał – to dla niego jedno z podstawowych pytań.

Czy te rodzące się oczekiwania przeczą zaufaniu, jakie powinno wiązać się z wyborem życia zakonnego?

Niekoniecznie. Zaufanie nie wyklucza stawiania pytań ani przedstawiania oczekiwań, zaufanie wyklucza stawianie warunków. Nie chodzi przecież o to, żeby wstępując do zgromadzenia, dyktować przełożonym: „Dołączam się do wspólnoty pod warunkiem wykonywania w przyszłości tylko takiej pracy". To nierealne, nikt tego nie zapewni. A może się okazać, że Bóg otworzy przed nami zupełnie nową perspektywę. Zaufanie to otwartość, to gotowość na „niespodzianki" i umiejętność patrzenia na to, co nas spotyka, przez pryzmat ostatecznego celu naszego ziemskiego życia. To nie przeczy jednak temu, że młoda kobieta zastanawiająca się nad wstąpieniem do zgromadzenia będzie je wybierać pod kątem tego, czy wykorzysta w nim swoje talenty i umiejętności. Przecież ufamy także, że jeśli Bóg obdarzył nas talentami, to w jakimś celu! Nie widzę niczego niepokojącego w tym, że ktoś przychodzi do zgromadzenia z określonymi oczekiwaniami i otwarcie o nich mówi. Problem pojawia się jedynie wtedy, gdy z góry zakłada, że nic innego robić nie będzie. Ma to wtedy charakter swoistego szantażu: „Jeśli nie dacie mi możliwości realizacji moich marzeń, to odejdę". Powtórzę raz jeszcze, to nierealne żądania, gdyby wspólnota na nie przystała, nie mogłaby realizować swoich zadań, tylko bezustannie zmagałaby się z roszczeniowością swoich

członkiń. Pewnie czasem trzeba szczerze powiedzieć kandydatce: nie masz najmniejszych szans, że twoje oczekiwania będą w naszej wspólnocie spełnione, szukaj gdzie indziej. Wybór życia zakonnego bowiem to z jednej strony zaufanie, z drugiej zaś wnoszony przez kandydatkę, bynajmniej nieskrywany, potencjał – jedno nie przeczy drugiemu. To nie dotyczy tylko życia zakonnego. Człowiek, który zakłada rodzinę, też podejmuje ryzyko, że nie wszystkie jego oczekiwania będą spełnione, życie pisze czasem scenariusz, którego się nie spodziewał. Takie są realia naszego życia bez względu na to, jak je układamy. Zauważmy też, że znając czyjeś oczekiwania i pragnienia, łatwiej podjąć decyzję o skierowaniu kogoś do określonej pracy.

Czy takie podejście nie stoi w sprzeczności z wyborem drogi zakonnej? Pojawiają się głosy, według których w zakonie w ogóle nie powinno się używać słowa „samorealizacja", bo to nie przystoi. Bo do zakonu wstępuje się po to, żeby wykonywać polecenia przełożonych, a one są wyrazem woli Bożej.

To kwestia tego, co rozumiemy przez samorealizację. Jeśli ta samorealizacja jest rozumiana bardzo egoistycznie, czyli: „Nie obchodzą mnie potrzeby i oczekiwania innych, nie muszę się z nimi liczyć, muszę się realizować, bo taką mam wizję", to ktoś z takim przekonaniem nie tylko nie nadaje się do zakonu, ale nie nadaje się też do małżeństwa, a w życiu rodzinnym będzie powodem nieustannych konfliktów. Podjęcie w życiu określonych zobowiązań, w sposób szczególny zobowiązań wobec drugich, wiąże się konsekwentnie z samoograniczaniem. Bo tu nie chodzi o samorealizację rozumianą jako egoistyczne dążenie do realizacji własnego projektu, chodzi o to, żeby ten projekt włączyć w zadania i cele realizowane przez drugich, chodzi o zdolność

do kompromisu. Kiedy zatem ktoś świadomy swoich talentów – w końcu danych przez Opatrzność – oferuje je na służbę konkretnych zadań w konkretnej wspólnocie, ostatecznie realizuje siebie dlatego, że robi z nich użytek dla innych.

To paradoksalne, ale rzeczywiste realizowanie siebie jest zawsze konsekwencją życia dla drugich. Człowiek, który nie żyje dla drugich, karleje. Cóż zatem złego w tym, że ktoś zgłasza wspólnocie, że posiada określone talenty i pragnie je wykorzystać? Mądra wspólnota w miarę możliwości wykorzysta każdy talent, ponieważ każdy jej członek jest dla niej darem wraz tym wszystkim, co ze sobą do wspólnoty wnosi. Z zastrzeżeniem wszakże, że to nie musi być jutro albo za pięć minut, bo każda wspólnota ma określone zadania, bo mogą się pojawić sprawy pilniejsze, którym trzeba będzie dać pierwszeństwo. Czasem trzeba po prostu poczekać. Kiedy do zgromadzenia zgłasza się kandydatka pragnąca związać z nim swoje życie, oddaje wspólnocie Kościoła cały swój potencjał. Wspólnota ma prawo oczekiwać od niej, że będzie mieć na uwadze dobro całości, że mając na względzie bieżące i pilne potrzeby apostolskie wspólnoty, wspaniałomyślnie podejmie zadania, które niekoniecznie odpowiadają jej pragnieniom. Złożony we wspólnocie ślub posłuszeństwa jest obietnicą dyspozycyjności. Nie inaczej jest w rodzinie... Odłożenie na jakiś czas możliwości wykorzystania konkretnego talentu nie jest równoznaczne z jego „zakopaniem", nie poganiajmy Opatrzności. Z drugiej strony, jeśli z góry wykluczamy, że kandydatka do zgromadzenia wykorzysta w naszej wspólnocie swoje talenty, to lepiej powiedzieć jej o tym na samym początku! Jeśli mimo to wstąpi do zgromadzenia, to będzie to jej decyzja. Inna rzecz, że Bóg prowadzi nas w sposób, który dalece przekracza nasze nawet najśmielsze oczekiwania... Trzeba zaufać!

Rozumiem, ale ciągle spotykam się z opowieściami w stylu: „Marzyłam o psychologii, wysłano mnie na prawo". Może jest coś takiego w tym życiu, że jest w nie wpisana ofiarność, rezygnacja i poświęcenie?

W każde życie wpisana jest ofiarność i poświęcenie. Trzymajmy się pani przykładu. Jeśli ktoś ma wybitne uzdolnienia psychologiczne i natura nie poskąpiła mu inteligencji, to czy może pracować jako prawnik? Może. Czy pracowałby lepiej, gdyby został psychologiem? Zapewne tak, bo łaska suponuje naturę, ale jej nie znosi. Może zatem należałoby postawić pytanie, jaka decyzja odnośnie do podejmowanych studiów byłaby lepsza dla wspólnoty i dla niego? Z doświadczenia wiem, że dziesiątki, jeśli nie setki młodych ludzi podejmują studia, które nie odpowiadają ich zainteresowaniom i zdolnościom. Sami o tym mówią, wybierają to, co „modne", co wiąże się w przyszłości z większymi dochodami. Nie demonizujmy zatem sytuacji, w których w pojedynczych przypadkach siostry podejmują studia niekoniecznie odpowiadające zgłaszanym przez nie zainteresowaniom. Dzieje się tak najczęściej wtedy, gdy jakaś profesja jest wspólnocie pilnie potrzebna, inna natomiast nie. Nie sądzę nadto, by zgromadzenia zmuszały swoje członkinie do studiowania wtedy, kiedy zdecydowanie tego nie chcą, żaden z takich studiów pożytek.

Zdarzają się też osoby, które same rezygnują z realizacji określonych talentów, bo dostrzegają, że gdzie indziej mogą zrobić więcej. Nie traktują tego jako ofiary, są przeświadczone, że wybierają to, co ważniejsze. Ofiara i poświęcenie są cenne w perspektywie celu, nie są „sztuką dla sztuki". Żądanie, by ktoś w imię posłuszeństwa podejmował pracę, do której nie ma żadnych naturalnych predyspozycji, w sytuacji gdy może ją podjąć

ktoś inny, znacznie lepiej do tej pracy predestynowany, jest po prostu nieroztropne. Argument, że powinien nauczyć się „naginać swoją wolę", nie jest przekonujący, życie stawia nas przed tak wieloma sytuacjami, w których musimy rezygnować z tego, co akurat chcielibyśmy, że lepiej nauczyć się znosić z pogodą ducha to, co nieplanowane i nieoczekiwane, niż na siłę wymyślać sobie okazje do poświęcania.

Czy przyszła kandydatka do zgromadzenia powinna prześledzić strony internetowe albo kupić sobie leksykon zakonów i podejść do tego jak do wyboru firmy?

Zgromadzenie to nie firma, ale z całą pewnością warto jak najwięcej się o zgromadzeniu, do którego ktoś chce wstąpić, dowiedzieć. Na tej podstawie można rozeznać, czy podejmowane przez nie apostolstwo jest tym, w które chcę się włączyć; czy taka osoba jak ja, obdarzona konkretnymi talentami i mająca określoną wizję pracy dla dobra Kościoła, znajdzie się w tej oto wspólnocie. A że zgromadzenie to nie firma, to trzeba jeszcze czasu, modlitwy i rozeznania wspólnoty, która po upływie określonego czasu potwierdzi, że to moje miejsce. Takie rozeznanie może się dokonać jedynie w szczerości i wzajemnym zaufaniu zainteresowanych. Ogromnym błędem i krzywdą wyrządzoną młodej kobiecie przez zgromadzenie byłoby robienie jej złudnych nadziei tylko dlatego, że wspólnota obawia się o brak powołań. Z drugiej strony to żaden wstyd dojść na etapie formacji do przekonania, że to życie jednak nie jest dla mnie. Właśnie dlatego okres formacji jest długi, by młody człowiek dobrze przemyślał swoją decyzję. Wspólnota winna zachować wobec niego otwartość: zobacz, jak żyjemy, zastanów się, nie decyduj pochopnie, a jeśli dojdziesz do wniosku, że to nie dla ciebie, to szczerze nam o tym powiedz. Może twoje miejsce jest w innym zgromadzeniu, może powinieneś jednak

założyć rodzinę. Jesteśmy Kościołem, którego członkowie pełnią różne funkcje, życie zakonne jest środkiem, a nie celem. Nie jest ani lepsze, ani gorsze od życia rodzinnego, jest inne. Pozostań w swojej decyzji wolny, tylko wolne decyzje są dojrzałe. Trzeba też zdawać sobie sprawę, że życie zakonne – podobnie jak rodzinne – niesie określone trudności, że pojawiają się w nim kryzysy. Wcześniej czy później ich doświadczamy, byłoby ogromną złudą szukanie miejsc i wspólnot idealnych, takie nie istnieją

Czy uważa Siostra, że rolę sióstr zakonnych, a zarazem formacji należałoby na nowo przemyśleć, bo okoliczności zewnętrzne się zmieniły?

I tak, i nie, jedne rzeczy są zmienne, a inne niezmienne. Niezmienne są prawdy Ewangelii i idea oddania życia Bogu – od czasu powstania Kościoła w każdej epoce pojawiali się ludzie, którzy nie zakładali własnych rodzin i ślubowali miłość Bogu. Tutaj nic się nie zmieniło, zmieniły się natomiast formy wspólnego życia, czyli sposoby realizacji niezmiennych ze swej istoty idei. Inaczej wyglądało to i wygląda w zgromadzeniach kontemplacyjnych, inaczej w czynnych, których członkowie zaangażowani są w różne formy apostolstwa. W perspektywie historycznej było to zależne zarówno od zewnętrznych warunków zmieniającego się świata, jak i od rozwoju teologii duchowości. Praktyki pobożności w Kościele zmieniały się na przestrzeni wieków, niektóre z nich uważamy dzisiaj za nierozumne, ale przez ludzi żyjących w minionych wiekach były akceptowane. Mamy dzisiaj wrażenie, że lepiej rozumiemy ideę pobożności, być może przyszłe pokolenia wykażą nam błędy, podobnie jak my za błędne uznajemy średniowieczne praktyki. Kiedy myślimy dzisiaj o formacji, nie sposób nie wziąć pod uwagę tego, jak bardzo zmienił się model rodziny i relacja: nauczyciel – uczeń. Kiedyś dla

młodego człowieka to, co powiedzieli rodzice, było rzeczą świętą, dzisiaj ma on własne zdanie i nie obawia się go bronić. Niegdyś nauczyciel miał posłuch już na mocy pełnionej funkcji, dzisiaj to nie wystarcza. Praktycznie wszystko się kontestuje i krytykuje. Młodzi ludzie przychodzący dziś do zgromadzeń inaczej będą zatem traktowali posłuszeństwo. Będą dyskutować, zadawać pytania, oczekiwać argumentów. I dobrze! Bo posłuszeństwo ma sens wtedy, kiedy jest rozumne, a nie ślepe. Formator, który nie zadaje sobie trudu udzielania odpowiedzi na najtrudniejsze pytania, nie powinien być formatorem.

Jak więc należy traktować współczesne kandydatki albo szerzej osoby myślące o życiu zakonnym? Jak można im pomóc?

Odpowiadać na pytania, wchodzić w dialog, nie uciekać od trudnych rozmów, cierpliwie wyjaśniać wątpliwości, nie idealizować wspólnot zakonnych, trzeźwo przedstawiać trudności związane z życiem zakonnym. Dla młodych ludzi jest niezmiernie ważne, żeby mogli stawiać pytania w sposób szczery i otwarty. Jeśli zaczniemy się oburzać, dziwić wątpliwościom i co gorsza, w jakiś sposób piętnować pytających za zadawanie niewygodnych dla nas pytań, to po pierwsze, nigdy nie poznamy kandydatek do naszych wspólnot, a po drugie, nie pomożemy im ani podjąć decyzji, ani duchowo wzrastać. Ostatecznie taka defensywna postawa z naszej strony może się skończyć tym, że ktoś będzie nam zręcznie potakiwał, ale w istocie stanie się dobrym „graczem". Będzie miał jedno „ja" na użytek przełożonych i formatorów, a drugie „ja" na swój własny, ewentualnie tych, którym zaufa. Proszę zauważyć, że dzisiaj od formatora należałoby wymagać dobrej formacji intelektualnej, duchowej dojrzałości, a także dużej kultury osobistej. Inaczej nie sprosta swojemu zadaniu.

Ale gdy przyjmie się taką perspektywę, wali się cała idea formacji. Bo co to za formacja?

Niby dlaczego? Nie sposób nie zauważyć, że inaczej rozumiemy dzisiaj wychowanie młodego człowieka, stawiamy na samodzielność myślenia i aktywny udział w procesie wychowawczym. Nie oczekujemy od wychowanków biernego posłuszeństwa, co nie znaczy, że posłuszeństwo jest rzeczą nieważną. Ale posłuszeństwo dla posłuszeństwa jest bezsensem. Posłuszeństwo ma służyć wspólnocie, a ostatecznie misji Kościoła. Nie jest formą rezygnacji z własnego zdania i odpowiedzialności za podejmowane decyzje na zasadzie: „Robię to, co mi polecono, ktoś za mnie zadecydował, nic mnie nie obchodzi". Nie sądzę, by młodzi ludzie odnaleźli się dzisiaj w takiej formule. Ci, których znam i z którymi rozmawiam, chcą zrozumieć, czego się od nich oczekuje, i mają poczucie odpowiedzialności za to, kim się stają przy pomocy swoich duchowych mistrzów. Pytają i dociekają racji, chcą, żeby z nimi współmyśleć.

Czy w ocenie Siostry te początkowe motywacje młodych ludzi koniecznie muszą być najwyższych lotów? Może ktoś, poszukując zgromadzenia, szuka przygody albo życia z wymiarem religijnym? Czy to dałoby się jakoś połączyć, czy uległoby zweryfikowaniu?

Sądzę, że takie motywacje szybko uległyby zweryfikowaniu. Życie zakonne – znów podobnie jak życie rodzinne – naznaczone jest swoistą monotonią, trzeba się w niej odnaleźć. Poszukiwacze przygód szybko odejdą rozczarowani.

A co sądzi Siostra o opiniach, które czasem można jeszcze usłyszeć, że zakonnica to kobieta nieziemska, która tylko jedną nogą dotyka ziemi? Takie skrzyżowanie anioła z Matką Boską.

Spotkałam się z głosami, że w niektórych wspólnotach wciąż zdarzają się siostry, które tak o sobie myślą.

Trudno mi sobie wyobrazić, że ktoś mógłby się dzisiaj z taką mentalnością ostać. Chyba że miałby umiejętność totalnego wyłączania się z rzeczywistości. To iluzja! Ludzie pozostają ludźmi, gdziekolwiek są. W takiej iluzji może być nadto sporo pychy, przekonania, że jest się „wyżej i inaczej". Takie przeświadczenie o byciu kimś lepszym tylko dlatego, że złożyło się śluby zakonne, jest jeszcze gorsze niż egoistyczna idea samorealizacji. Z egoizmem można jeszcze trochę powalczyć, ale jak ktoś jest przekonany, że jest święty, to mamy już do czynienia niemal z paranoją. To zakłamanie, nikt z nas nie jest święty. Powtórzę, że życie zakonne to jedynie środek, a nie cel; kobieta, która wstępuje do zgromadzenia, absolutnie nie jest lepsza od kobiety, która decyduje się na założenie rodziny i macierzyństwo. Naszym wspólnym zadaniem jest uświęcenie, a to można realizować na wiele sposobów. Rzecz w tym, żeby nie żyć „na pół gwizdka", żyć dla innych, a nie dla siebie, a czy będzie to życie rodzinne czy zakonne, to kwestia wtórna. Pod koniec życia będziemy sądzeni z miłości.

À propos różnych funkcji, chciałabym zapytać o miejsce kobiet w Kościele. Czasem można usłyszeć, że przekaz Kościoła adresowany jest głównie do żon lub matek. Znajoma opowiadała mi ostatnio, że usłyszała w kościele, iż nie godzi się z wartościami chrześcijańskimi wybór, gdy kobieta dobrowolnie rezygnuje z macierzyństwa, a koncentruje się na karierze.

Są takie zawody, które ogromnie angażują, na przykład zawód lekarza czy pielęgniarki. Jeżeli kobieta rezygnuje z życia rodzinnego, bo wykonywanie zawodu lekarza wymaga od niej

pełnej dyspozycyjności, trudno dopatrzyć się w tym czegoś, co sprzeciwiałoby się idei chrześcijaństwa. Przecież żyje dla drugich! Kiedy jednak ktoś rezygnuje z życia rodzinnego, bo tak jest wygodniej, to generalnie ma problem z hierarchią wartości we własnym życiu. Ponadto ludzie, którzy kierują się w życiu głównie własną wygodą, wcześniej czy później przeżywają dramat samotności. Człowiek bowiem realizuje się w pełnym tego słowa znaczeniu jedynie wtedy, kiedy żyje dla kogoś. A to głęboko chrześcijańska idea! Samotne lekarki czy nauczycielki rozumiały czasem swoją pracę jako misję, nie myślały o karierze. Kariera jest pierwszorzędnie „dla mnie", służba dla drugich. Istotny jest zatem powód, dla którego ktoś zdecydował się na samotne życie. Istnieje dzisiaj moda na bycie singlem – wszystko można sobie przecież w życiu zapewnić, z nikim się nie wiążąc. Chrześcijańskie to zdecydowanie nie jest, ale bycie chrześcijaninem to nie obowiązek, to dar, łaska i decyzja. Mam znajomych, także kobiety, które pracują naukowo i są samotne. Nie dla kariery, a jeśli już, to nie rozumianej w sensie karierowiczostwa. Praca naukowa jest niezmiernie absorbująca, ale nie oznacza „zamknięcia się w sobie". Patrząc na niezmiernie aktywne życie naukowe samotnych osób, mogę sobie wyobrazić, jak trudne czy nawet niemożliwe byłoby dla nich sprostanie obowiązkom życia rodzinnego.

A czy zdaniem Siostry uzasadnione jest mówienie o tym, że w Kościele powinna się pojawić jakaś kobieca teologia?

To pytanie do Elżbiety Adamiak, zapewne mogłaby pani bardzo dużo na ten temat powiedzieć. Ograniczę się tylko do kilku uwag – nie sądzę, żeby sensowne było podkreślenie, że chodzi o teologię kobiecą jako taką. Teologia (rzymskokatolicka) jest jedna, podobnie jak jedna, i to zdecydowanie aseksualna, jest doktryna katolickiej wiary, jakkolwiek inny jest poziom wrażliwości mężczyzn, a inny

kobiet. Problemem jest raczej zaangażowanie kobiet w refleksję teologiczną i w nauczanie teologii na poziomie akademickim. Przez wieki teologia była tworzona głównie przez mężczyzn z tego tytułu, że to wyłącznie oni mieli niegdyś dostęp do edukacji teologicznej i to oni głównie zajmowali się misją apostolską w Kościele. W moim przekonaniu nie ma sensu dzielenie teologii na męską i kobiecą, można natomiast oczekiwać, że kobiety będą bardziej zaangażowane w tworzenie teologii. Czy są? Zupełnie inaczej wygląda to w naszym kraju niż np. w Stanach Zjednoczonych. Niewiele jest kobiet w gronie polskich teologów.

Czy zatem w Kościele więcej zadań, obowiązków, udziału w gremiach i komisjach powinno być delegowanych na kobiety?

Oglądałam kiedyś film na temat watykańskich instytucji, który pokazywał, że wśród osób pełniących w Watykanie prominentne funkcje jest zdecydowanie mało kobiet. Czy to znaczy, że kobiety się do tego nie nadają, nie mają dostatecznych zdolności lub wykształcenia? Nie, ale jakoś z większą aprobatą wita się w gronie osób odpowiedzialnych za Kościół mężczyzn. Czy należałoby to zmieniać? Sądzę, że tak, ale nie dysponuję gotowymi receptami na zmianę tej sytuacji. Nie ulega jednak wątpliwości, że większa obecność kobiet stanowiłaby ogromne ubogacenie instytucjonalnego Kościoła. I nie mam tutaj wcale na myśli kapłaństwa kobiet. Chodzi mi o udział kobiet w komisjach i gremiach doradczych Kościoła. Można to stosunkowo łatwo sprawdzić choćby na stronie naszego Episkopatu, przyglądając się składowi wszystkich komisji. Przykładowo: początkowo w Zespole Ekspertów Komisji Episkopatu Polski ds. Bioetycznych nie było kobiet, w tej chwili jest jedna, a przecież problemy współczesnej

bioetyki dotyczą w dużej mierze kobiet. Czy nie ma prawników ani lekarzy wśród kobiet?

Od czego zdaniem Siostry warto byłoby zacząć wzajemną współpracę kobiet i mężczyzn w Kościele? A jeśli nie zacząć, to co byłoby pożądane?

W polskim Kościele to przede wszystkim problem większego zaangażowania świeckich. Kościół to nie tylko hierarchia i prezbiterzy, zdecydowaną jego większość stanowią świeccy, to nasz Kościół! W mentalności polskiej Kościół kojarzy się głównie z hierarchią, a to podstawowy błąd, który wynika – jak sądzę – z tego, że głos świeckich w Kościele polskim nie jest zbyt donośny. Być może wynika to także z tego, że świeccy nie chcą się angażować... Sądzę, że potrzeba nam, to znaczy polskiemu Kościołowi, większego poczucia odpowiedzialności za wspólnotę. Taką odpowiedzialność miałam okazję zauważyć w Kościele amerykańskim. Parafia jest miejscem spotkań różnorodnych grup, które same się organizują, ksiądz nie jest postrzegany jako „pan i władca", co nie znaczy, że nie sprawuje pieczy nad tym, co się na terenie parafii dzieje. Parafia może ludzi łączyć. I nie chodzi tylko o to, żeby angażować parafianki do układania kwiatów i sprzątania kościoła, chodzi o dopuszczenie mężczyzn i kobiet do współdecydowania o wspólnocie parafialnej. Bo ksiądz z parafii po jakimś czasie odejdzie i przyjdzie inny, a parafianie zostają. Nie twierdzę, że w Polsce nie istnieją parafie, które w taki sposób pracują, twierdzę, że jest ich wciąż zbyt mało. Czy przeciętny proboszcz w Polsce pyta czasem o zdanie kobiet? Czy planuje z parafianami wydatki? Czy stara się zintegrować parafian, wykorzystując do tego nie tylko liturgię? A to wszystko po to, żeby wspólnota parafialna poczuła się współodpowiedzialna za Kościół. Chrześcijanin winien kochać Kościół, jeżeli dostrzega jego słabości,

też go kocha. Krytyka nie jest zła, jeśli nie przeradza się w bezpłodne krytykanctwo. Krytyka może być twórcza.

Czy obserwuje Siostra, że ta rola parafii powoli się zmienia? Ludzie w dużych miastach uprawiają tzw. churching. Ruchy, w które się angażują, także niekoniecznie znajdują przy swoich parafiach.

To dotyczy dużych miast. Wierni, którzy chcą się zaangażować w życie Kościoła, nie znajdując takiej możliwości w swojej parafii, angażują się w sąsiedniej. To zrozumiałe, chociaż ma swoje zarówno dobre, jak i złe strony. Do dobrych należy to, że znajdują w Kościele wspólnotę, a o to przecież chodzi. Ta wspólnota pomaga im wzrastać w wierze, jest miejscem spotkań i nawiązywania relacji, a w konsekwencji udzielania pomocy potrzebującym, wzajemnego wspierania, wspólnego przeżywania radości i smutków. Złą stroną – należy stawiać pytania o to, jak dalece zawinioną przez lokalnych duszpasterzy – jest „odpływ" wiernych z „przypisanej" im w sensie administracyjnym wspólnoty. Nie dziwię się wcale wiernym, którzy nie odwiedzają lokalnej parafii, bo ma charakter „czysto instytucjonalny", a odpowiedzialni za nią księża nie angażują się specjalnie w duszpasterstwo. Ludzie przeżywający głęboko swoją wiarę szukają czegoś więcej niż tylko udział w niedzielnej Mszy Świętej. Problem w tym, że w ten sposób wspólnoty nieco kostyczne stają się jeszcze bardziej „nieobecne". Praktyka pokazuje nadto, że jeśli lokalni duszpasterze angażują się w życie parafii, starają się ożywić liturgię i wspólnotę, churching jest znikomy. W zglobalizowanym świecie każde miejsce, w którym tworzą się więzi, jest nad wyraz ważne. I każdy sposób na budowanie takich więzi jest dobry, także witanie parafian przed kościołem i zapraszanie ich na kawę i herbatę po niedzielnej liturgii. Możemy się dziwić zachodnim zwyczajom,

ale oni już od dawna „przerabiają" problemy, z którymi polski Kościół spotyka się dzisiaj, możemy się od nich wiele nauczyć.

Dlaczego kładzie Siostra nacisk na to, by w dyskusji nie oddzielać zaangażowania kobiet i mężczyzn, tylko generalnie akcentować rolę świeckich?

Dlatego, że „gwałt się gwałtem odciska". Przez wieki w Kościele większą rolę odgrywali mężczyźni, to teraz szturmem weźmiemy go my, kobiety! To bez sensu. Nie widzę powodów, żeby w zaangażowaniu świeckich w Kościele większą rolę miały mieć kobiety niż mężczyźni i odwrotnie. Nie można też marginalizować funkcji kobiet do mało znaczących, a mężczyznom przypisywać ważniejszą rolę. To nasz Kościół, ani męski, ani kobiecy, po prostu nasz. Proszę zapytać przeciętnego parafianina w Polsce, czy ma takie przekonanie.

Zatrzymajmy się na moment przy Siostry działalności zawodowej. Należy Siostra do Zgromadzenia Służebnic Ducha Świętego, a zarazem jest profesorem filozofii. Chciałabym zapytać o odbiór habitu u naukowca. W jakich okolicznościach, zdaniem Siostry, lepiej jest występować po cywilnemu?

Jeśli kontekst danego przedsięwzięcia lub debaty jest typowo laicki, to występowanie w habicie niczego do niej nie wnosi, a czasem może ją utrudnić. Habit – czy nam się to podoba, czy też nie – tworzy czasem swego rodzaju barierę, która utrudnia kontakty. Takie jest moje doświadczenie z bardzo wielu spotkań. I nie chodzi tutaj wcale o ukrywanie tego, kim się jest. W polskiej rzeczywistości, w której zaangażowanie sióstr poza kontekst czysto religijny stanowi rzadkość, habit wiąże się ze stereotypami. Nie jest wcale tajemnicą, jak odbierane są na ogół siostry zakonne... Spotykam się czasami z opiniami, że habit jest wyrazem świadectwa, które należy dawać wszędzie i zawsze, ale świadectwo

to nie tylko strój, świadectwem są także słowa, a strój sprawia czasem, że słów nie odbiera się bezpośrednio, ale od razu przez pryzmat stroju. Nie jest też prawdą, że wszyscy i wszędzie potrzebują takiego świadectwa. Charakter naukowych spotkań jest tego rodzaju, że zaprasza się ludzi ze względu na to, co mają do powiedzenia, a to, czy są samotni, tkwią w związkach małżeńskich czy we wspólnotach zakonnych, jest kwestią wtórną. Ci, którzy mnie zapraszają, wiedzą, kim jestem, ale nie to jest dla nich najważniejsze. O pierwszych chrześcijanach mówiono: „Patrzcie, jak oni się miłują", a nie „Patrzcie, jak są ubrani"...

Czy zdarzyło się Siostrze spotkać w rozmaitych debatach publicznych czy dyskusjach z opiniami, że jest katolicką zakonnicą i musi mówić to, co mówi?

Proszę pamiętać, że nie jestem teologiem, zdecydowana większość moich kontaktów naukowych ogranicza się do grona filozofów. W debacie filozoficznej odwołujemy się do argumentów racjonalnych, a nie religijnych. Zdarza się, że adwersarze w dyskusji krytykują określoną argumentację natury filozoficznej, zarzucając jej religijny charakter tylko dlatego, że jest ona równocześnie akceptowana w nauczaniu Kościoła, ale to błąd. Z faktu, że określony, racjonalnie uzasadniony pogląd uznany jest przez magisterium Kościoła za słuszny, nie wynika, że jest poglądem religijnym. Inną kwestią są oczekiwania – jeśli wiemy, kim jest mówca, to z góry zakładamy, jakiej natury poglądy będzie przedstawiał. Dysputy filozoficzne nie opierają się jednak na autorytecie Kościoła i nie zawsze dotyczą problemów, które są z doktryną Kościoła związane. Czasem przedwczesne zarzucanie chrześcijańskim filozofom, że posługują się argumentami natury religijnej, wynika stąd, że uczestnicy konferencji czy wykładów nie

wykazują specjalnej subtelności myślenia i słyszą tylko to, co chcieliby usłyszeć.

W jakim stopniu Kościół włączający się do debaty bioetycznej powinien odwoływać się do argumentów pozareligijnych?

Bioetyka jest subdyscypliną etyki, co nie przeszkadza temu, by problematyka bioetyczna była przedmiotem teologicznej refleksji. Jeżeli Kościół oczekuje, że jego doktryna w kwestiach bioetycznych będzie respektowana przez osoby niewierzące, to musi posługiwać się argumentami natury racjonalnej. Jeśli ktoś podważa racjonalną argumentację, dopatrując się w niej przesłanek natury religijnej, można mu wtedy stosunkowo łatwo wykazać błąd. Przykładowo: norma „nie zabijaj" jest normą uniwersalną, z faktu, że jest jedną z norm Dekalogu, nie wynika, że jest normą religijną. Jej słuszność można uzasadnić, odwołując się do racjonalnej argumentacji, która jest dodatkowo przedmiotem sporu natury filozoficznej – filozofowie nie są zgodni co do tego, jaki jest zakres i stopień obowiązywalności normy „nie zabijaj". W interpretacji teologicznej podkreślamy nadto, że to Bóg jest Panem życia, że życie jest święte i że Bóg upomni się o każde życie. Dla osoby niewierzącej to żaden argument. Skoro nie ma Boga, to nie ma powodów, żeby się liczyć z Jego słowami. Istnieją też granice racjonalnej argumentacji – mamy z nimi do czynienia wtedy, kiedy dotykamy kwestii egzystencjalnych związanych z sensem życia lub sensem cierpienia. Religia odpowiada na pytanie o sens cierpienia, ale nie jest to odpowiedź, którą przyjmie człowiek niewierzący. Dlatego w dyskusji filozoficznej na temat eutanazji „argument z sensu cierpienia" nie będzie argumentem przeciw eutanazji – będzie nim w dyskusji teologicznej.

Czy jako etyk ma Siostra poczucie, że dysponuje bogatszą wiedzą teoretyczną i szerszym wachlarzem możliwości w sytuacjach granicznych czy kryzysowych od – mówiąc kolokwialnie – zwykłych śmiertelników? Czy zakłada się czasem, że jako ekspert od ludzkiego działania będzie Siostra wiedziała lepiej?

Nie poczuwam się do bycia „ekspertem od ludzkiego działania", im dłużej zajmuję się etyką, tym mniej mam ochotę pouczać innych. Nie twierdzę, że wiem lepiej, nie jestem guru. Mozolnie szukam odpowiedzi na trudne pytania, nie zawsze je znajduję. A jeśli chodzi o cierpienie – nie istnieją „eksperci od cierpienia". To doświadczenie, które jest intersubiektywnie niekomunikowalne. Kiedy zmagamy się z problemem cierpienia, nie szukamy pomocy u etyków, szukamy pomocy u kogoś, o kim wiemy, że życie go nie oszczędzało, doświadczył cierpienia, poradził sobie w chwilach trudnych, jest mądrym człowiekiem. Mądry to niekoniecznie ten, kto dużo wie. I nie jest z nim z definicji ksiądz czy osoba zakonna. Nikt nie ma „patentów" na przeżywanie cierpienia. Doświadczenia drugich odnoszą się do nas jedynie pośrednio – z cierpieniem każdy musi sobie poradzić sam, nikt nas w przeżywaniu cierpienia nie wyręczy. Nikt też nie rozwiąże za nas naszych problemów, jakkolwiek może nam pomóc.

Czy to znaczy, że nie odpowiada Siostra na pytanie: „A co ty byś zrobił na moim miejscu?"?

To nie jest pytanie konferencyjne. Gdyby ktoś zadaje mi takie pytanie, odpowiadam mu, zastrzegając, że nie jestem na jego miejscu. Być może znalazłam się kiedyś w podobnym miejscu, ale jednak w innym! Jestem kimś innym, mam inne doświadczenie. Mogę zatem powiedzieć: wydaje mi się, że taka decyzja byłaby słuszna, ale nie muszę mieć racji i nie mogę wziąć

odpowiedzialności za twoje decyzje. Ostatecznie musisz zadecydować sam, to twoje życie i twoja odpowiedzialność. Moralna dojrzałość polega na tym, że potrafimy korzystać z doświadczeń drugich, dysponując równocześnie umiejętnością odróżniania swojej sytuacji od sytuacji osób, które pytamy o radę. Korzystanie z rad drugich nie polega przecież na prostym powielaniu ich myślenia, w dziedzinie moralności każdy z nas jest po trosze „artystą". Jeśli do kogoś dotarł jakiś racjonalny, wypowiedziany przeze mnie argument, to niekoniecznie jest to moja zasługa; po pierwsze dlatego, że mógł to być argument pytającemu o radę znany, a udzielona rada stanowiła jedynie jego wzmocnienie, po wtóre natomiast to on sam uznał tę rację za słuszną, czyli samodzielnie rozeznał i podjął decyzję. Z faktu, że ktoś nam dobrze radzi, nie wynika nadto, że postępujemy słusznie.

Czy w przekonaniu Siostry wszyscy jesteśmy konfrontowani z dylematami moralnymi, niezależnie od tego, czy uznajemy transcendencję?

Myślę, że tak. Sądzę, że życie nikomu z nas nie szczędzi dylematów i trudnych wyborów. Zmagamy się z nimi, bywa, że nie udaje nam się znaleźć słusznych rozstrzygnięć. Któż z nas jest zresztą na tyle mądry, żeby zawsze wiedzieć, jak postąpić! Dylematy są jak burze, stawiają nas wobec bezprecedensowych sytuacji, zmuszają do ponownego przemyślenia priorytetów, wytrącają z przekonania, że wszystko już na temat moralnie słusznego postępowania wiemy, uczą nas pokory... Za podejmowane decyzje odpowiadamy ostatecznie przed własnym sumieniem i przed transcendencją, jeśli uznajemy, że to Bóg jest ostatecznym prawodawcą. Mamy na swoim koncie decyzje trafne i nietrafne,

mylimy się, błądzimy, życie moralne człowieka jest swoistym dramatem, w którym on sam jest głównym bohaterem.

Czy według Siostry Kościół jest wezwany do dialogu z niewierzącymi?

Oczywiście, że tak, tak było od początku, inaczej nie poznalibyśmy Ewangelii. Gdyby apostoł Paweł stanął na współczesnym Areopagu, Areopagu niewierzących w żadnego boga, powiedziałby zapewne: różne rzeczy was pociągają, za wartościowe uznajecie niekoniecznie to, co jest cenne, a ja chcę wam opowiedzieć o Kimś, kto może nadać waszemu życiu sens i sprawić, że przestaniecie gonić za złudnym szczęściem, które nie jest w stanie was zaspokoić. Zrozumiecie, że niezależnie od tego, czy głośno o was w mediach, czy nikt o was nie słyszał, jesteście niezmiernie cenni, wasze życie jest cenne, każde życie; jesteście przez Kogoś niezmiernie kochani. Jeśli w to uwierzycie, będziecie żyli wiecznie, bo życie zmienia się, ale się nie kończy, zmartwychwstaniecie. Kościół jest wezwany do głoszenia Ewangelii, Kościół jest z natury swej misyjny. W zlaicyzowanym świecie wezwany jest do nowej ewangelizacji.

Czy czuje się Siostra w jakiś sposób wezwana do dialogu z niewierzącymi, poszukującymi czy znajdującymi się gdzieś na obrzeżach ortodoksji?

Każdy chrześcijanin jest do tego wezwany. Współpracuję z wieloma naukowcami, którzy deklarują się jako agnostycy, w jednych sprawach się zgadzamy, w innych nie. W dyspucie filozoficznej spotykamy się, szukając odpowiedzi na trudne pytania. Wielu z nich jest szczerze przekonanych, że poza empirycznie doświadczaną rzeczywistością nic nie istnieje, ale to absolutnie nie wyklucza tego, że są prawymi, życzliwymi drugim

ludźmi. Wiara jest darem, nigdy nie wiemy, jak bardzo ktoś zmaga się z jej przyjęciem...

Jak w tym kontekście ocenia Siostra akcję: „Przekażmy sobie znak pokoju”?

Nie dopatruję się w niej żadnych prób akceptacji homoseksualizmu. W tej akcji chodzi o akceptację człowieka, a niego sposobu, w jaki realizuje własną seksualność. Osoby homoseksualne są wśród nas, zawsze były. Czasem nawet nie wiemy, że są homoseksualne. Potępianie i dyskryminowanie osób homoseksualnych przeczy ewangelicznemu przesłaniu nakazującemu braterską postawę względem wszystkich ludzi. Nie jesteśmy niczyimi sędziami. Z drugiej strony homoseksualiści nie powinni domagać się, by Kościół zmienił ocenę homoseksualizmu. Nie zmieni, bo wynika ona wprost z Objawienia.

Jak reaguje Siostra na głosy twierdzące, że Kościół w swoim nauczaniu moralnym jest anachroniczny: wstrzemięźliwość seksualna przed ślubem, seks tylko między małżonkami, niezmienne stanowisko wobec aborcji, sprzeciw wobec legalizacji związków partnerskich? Może ludziom marzy się Kościół, w którym gdy jest trudno, to się trochę nagina przepisy?

Myślę, że ludzie szybko porzuciliby taki Kościół. Dlaczego nauczanie moralne Kościoła ma być anachroniczne?

Bo świat się zmienił. Bo jesteśmy inni.

Zmienił się nasz sposób postrzegania świata, ale człowiek pozostał dokładnie takim samym człowiekiem jak u zarania Kościoła. Kościół nie żąda od ludzi rzeczy niemożliwych. Żąda trudnych. Wstrzemięźliwość seksualna przed małżeństwem nie jest niemożliwa. Jest trudna. Wiele się zresztą w nauce Kościoła na temat życia seksualnego zmieniło. Niegdyś uważane było

za sferę zdecydowanie podejrzaną, dzisiaj wskazuje się na zdecydowanie pozytywną rolę seksualności w tworzeniu więzi między małżonkami. Nauka Kościoła jest kontestowana, ponieważ żąda od swoich wyznawców rzeczy trudnych, a ludzie dzisiaj nie lubią rzeczy trudnych. Nie ma jednak obowiązku bycia członkiem tego Kościoła – to wolny wybór! Nauczanie moralne Kościoła jest wymagające, ale nie anachroniczne. Anachronizmem jest pogląd, zgodnie z którym jedynie mężczyźni mają prawo do nauczania w Kościele. Niedopuszczanie świeckich do przepowiadania jest anachroniczne. Niedopuszczanie kobiet do wykładania na uczelniach teologicznych jest anachroniczne. Ale obrona wartości nie jest anachroniczna.

II

W każdej kobiecie jest piękno do odkrycia.

W każdej kobiecie.

Ponieważ ona nosi w sobie obraz Boga. Nie musi piękna wyczarowywać, zdobywać w salonie kosmetycznym, przechodzić operacji plastycznych, wszczepiać implantów biustu. Nie, piękno jest czymś, co zostało dane każdej kobiecie przy jej stworzeniu[*4].

John & Stasi Eldredge



Kobieta to brzmi dumnie

Przygotowując się do spotkania z siostrą Cecylią Bachalską ze Zgromadzenia Misjonarek NMP Królowej Afryki (Sióstr Białych), oczekiwałam rozmowy o Afryce, o eksploatowaniu kontynentu afrykańskiego połączonym z naszym europocentryzmem. Tak też się stało. To była rozmowa o Afryce z perspektywy misjonarki, która przepracowała w Tanzanii i Kenii ponad piętnaście lat. To, co w opowieści siostry Cecylii nie pojawiło się ani razu, to ocenianie Afryki bez próby jej zrozumienia. Brak potrzeby przekształcania Afryki

na nasze zachodnie podobieństwo. Brak dążeń do przebierania jej mieszkańców, do nachalnego narzucania im wiary czy wartości. Uszanowanie tego, który jest inny.

W tej rozmowie pojawił się jeszcze jeden istotny wątek: rola kobiet (w Kościele, ale nie tylko). Kobiet w Afryce, w Europie i na całym świecie. Zagadnienie, które siostrę Cecylię żywo zajmuje. Szanujmy się, doceniajmy się nawzajem, zważajmy na siebie. Nie mówmy nigdy: „Jestem tylko kobietą".

Na mojej liście pytań jako ostatnie figurowało: „Czy czuje się Siostra spełnioną kobietą?". W trakcie rozmowy doszłam jednak do wniosku, że zadawanie go siostrze Cecylii jest kompletnie bez sensu, bo odpowiedź stała się dla mnie jasna.

Skąd wzięła się u Siostry fascynacja Afryką? Czy ona jest kluczem do późniejszej decyzji o zakonie?

Kluczem, jeśli mogę tak powiedzieć, i pierwszą bardzo ważną decyzją w moim życiu był wybór szkoły pielęgniarskiej. Może zabrzmi to banalnie, ale wychodziłam z założenia, że jako pielęgniarka będę mogła czynić dużo dobra. To była motywacja, która mi przyświecała. Z perspektywy czasu myślę, że wiele aspektów złożyło się na to moje pragnienie. Pierwszym z nich był na pewno dom rodzinny. Od zawsze obserwowałam hojność rodziców, skłonność do pomocy innym. To zaczynało się od bardzo małych rzeczy, choćby od pomocy sąsiadom. Kolejnym był czas, kiedy dorastałam. Mam wrażenie, że kiedyś z czynieniem dobra

nie trzeba się było afiszować, było ono normalną rzeczą. To dziś czynienie dobra staje się powoli modne, kiedyś było po prostu naturalne.

W mojej klasie w szkole podstawowej był na przykład chłopiec z porażeniem mózgowym. Zdarzało się, że w niektóre dni rodzice nie mogli go o czasie odebrać. Wtedy obowiązkiem dyżurnego było odwiezienie tego chłopca na wózku do domu. Nikt nie widział w tym żadnego problemu. Poza tym, już pod koniec szkoły podstawowej, zaczęłam się poważnie zastanawiać nad tym, co chciałabym w życiu robić. Wtedy przyszła mi do głowy myśl, że zostanę pielęgniarką po to, żeby być blisko ludzi chorych. Bliskość z człowiekiem w momencie, kiedy on tego bardzo potrzebuje, a zarazem kiedy sam nie może sobie pomóc, była dla mnie niezwykle istotna. Pamiętam poważny opór rodziców i dyskusje związane z wyborem szkoły. Próbowali mi uświadomić wagę tej decyzji i chyba generalnie usiłowali zniechęcić mnie do pielęgniarstwa. Ale ja byłam zdecydowana.

Jak w tym wszystkim pojawił się zakon?

Kiedy byłam w liceum medycznym, zaczęło mi brakować jakiejś grupy. Wiedziałam, że w parafii katedralnej w Gorzowie działa oaza. Dołączyłam do niej. Odpowiadały mi te spotkania. Z czasem zaproponowałam, żebyśmy zaczęli odwiedzać ludzi chorych. Tak też się stało. To chyba na spotkaniach oazowych zaczęłam odkrywać powołanie. Rozważaliśmy fragmenty Pisma Świętego i to: „Idźcie na cały świat" jakoś bardzo mnie dotknęło. Oczywiście, nie byłam pewna od razu. Myślałam wcześniej o założeniu rodziny. Miałam chłopaka, któremu musiałam powiedzieć, że wybieram inną drogę. Tak na marginesie, on wcale nie okazał się zaskoczony moim wyborem. To był dla mnie także dowód na to, że sobie czegoś nie wymyśliłam, lecz

odpowiedziałam na coś, co było we mnie. Skończyłam liceum i wstąpiłam do zgromadzenia.

Jak tę decyzję przyjęli rodzice?

Mama zmarła, kiedy byłam w czwartej klasie liceum. Tata był już sam i uważał, że najgorsze, co może mu się przytrafić, to moje pójście do zakonu. Pamiętam, że kiedy powiedziałam tacie, iż chcę wstąpić do zgromadzenia, jedną z jego pierwszych reakcji było zdanie: „Dziecko, ty już wtedy nie będziesz sobą". Zapewniałam go, że to nieprawda, że do samej śmierci pozostanę sobą i zawsze będę jego córką. Na co mój tata odpowiedział: „A ile jest zakonnic, które wchodzą do przedziału w pociągu i od wejścia zasłaniają się swoimi książeczkami, żeby nikt nie spróbował ich zagadnąć? Nawet ludzie przy nich milkną. Tak samo będzie z tobą". Tata zachęcał mnie, żebym została w domu i pracowała jako pielęgniarka. Nie chciał, żebym szła do zakonu.

Co Siostra pomyślała, kiedy usłyszała zdanie ojca: „Jako zakonnica nie będziesz już sobą"?

Chyba rozumiałam, co miał na myśli. Kiedy uczęszczałam do liceum medycznego, w trzeciej i czwartej klasie odbywałam praktyki w szpitalu. Tam spotkałam siostrę zakonną, która w ogóle nie nawiązywała relacji z ludźmi, czy to z pacjentami czy to z innymi pielęgniarkami. Była znakomitą pielęgniarką i cały personel doskonale o tym wiedział, ale nie zdarzyło się, żeby kiedykolwiek usiadła z nami przy stole, napiła się herbaty i zwyczajnie porozmawiała. Była bardzo skryta. Habit już stwarzał pewien dystans, a dodatkowo sama dystansowała się od innych. Jako uczennica nigdy nie mogłam nawiązać z nią kontaktu. Pamiętam, że obserwując tę siostrę, obiecałam sobie, że jeśli kiedykolwiek zostanę zakonnicą, to tylko taką, która będzie miała relacje z innymi ludźmi i która będzie nawiązywała kontakty.

Do dzisiaj tak do tego podchodzę. Jeśli ktoś zaprasza mnie na herbatę, to myślę sobie, dlaczego miałabym odmówić? Dlaczego miałabym się z kimś nie spotkać i nie porozmawiać? Dla mnie wartością jest drugi człowiek i chcę świadomie być blisko niego.

Z perspektywy czasu dostrzegam, jak bardzo to spotkanie z tą siostrą zakonną było mi potrzebne. Starałam się na przestrzeni lat budować relacje z ludźmi i widziałam, jak te relacje przynoszą wymierne efekty. Kiedy przez jakiś czas pracowałam jako pielęgniarka na sztucznej nerce w Katowicach, a równocześnie byłam już w zgromadzeniu, spędzałam wiele czasu z pacjentami przyjeżdżającymi regularnie na dializy. Niektórzy pacjenci lub ich rodziny po latach wciąż do mnie pisali, nawet kiedy byłam już w Afryce. Pamiętali, że ktoś im towarzyszył, kiedy przeżywali trudny czas.

Nie musiała Siostra jednak wstępować do zakonu, żeby móc pracować z chorymi, ani nawet nie musiała tego robić, żeby wyjechać na misje. Są organizacje, które umożliwiają taką działalność. Dlaczego więc zdecydowała się Siostra na życie zakonne?

Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Po prostu, miałam gdzieś takie silne przekonanie wewnętrzne. Czułam, że jestem wezwana do czegoś jeszcze innego. Nawet mając dyplom pielęgniarski w ręku, wiedziałam, że nie jest to najwyższy szczyt do zdobycia. Zdawałam sobie sprawę, że czeka na mnie inny szczyt, na który muszę wejść. Chyba tym szczytem okazało się dla mnie życie zakonne. To było w moim przypadku wejście jeszcze wyżej, pójście dalej.

Dlaczego zdecydowała się Siostra na zgromadzenie misyjne pracujące w Afryce, a nie jakiś zakon szpitalny?

To było w moim przypadku dość skomplikowane. Wstąpiłam początkowo do innego zgromadzenia, które nie miało charakteru misyjnego. Będąc w nowicjacie, czytałam listy św. Pawła i miałam poczucie, że te listy adresowane są do mnie. Po ich lekturze wiedziałam, że nie mogę być już taka, jaka byłam wcześniej. Pod koniec nowicjatu napisałam prośbę o wyjazd na misje. Po czterech latach pobytu w zgromadzeniu zostałam posłana do Tanzanii. Tam spotkałam siostry białe, których wówczas nie było jeszcze w Polsce. Siostry białe to nazwa nadana nam przez ludzi, od białych habitów, które kiedyś nosiłyśmy. W Tanzanii odkryłam, że ten aspekt misyjny jest dla mnie niezwykle ważny. Posługując się językiem sportu, zmieniłam drużynę. Skontaktowałam się z matką generalną. Powiedziałam, że chciałabym przejść do innego zgromadzenia. Otrzymałam zgodę. Od początku było też dla mnie jasne, że w nowym zgromadzeniu nie chcę żadnych przywilejów. Nie chciałam przeskoczyć ani jednego szczebla w formacji. Zaczęłam więc od kandydatury, później byłam w postulacie, nowicjacie i ostatecznie złożyłam śluby w Zgromadzeniu Sióstr Białych Misjonarek NMP Królowej Afryki. Całą tę formację odbyłam w Tanzanii, a później rozpoczęłam tam pracę jako pielęgniarka. Łącznie spędziłam tam dwanaście lat. Później przez trzy lata pracowałam w Kenii i zajmowałam się formacją zakonną. Pracowałam z dziewczynami, które będąc przed nowicjatem, miały czas na zastanowienie się nad swoją decyzją.

Czy kandydatki z Afryki różnią się od Europejek?

Trudno na to jednoznacznie odpowiedzieć. To był międzynarodowy nowicjat. Spotkałam bardzo różne dziewczyny z rozmaitych rodzin. Niektóre z nich pokończyły uniwersytety lub były gdzieś zatrudnione, a jednak dobrowolnie decydowały się na zakon. Ja generalnie nie różnicuję kandydatek Europejek czy

Afrykanek. Nie ma wśród nich kandydatek lepszych ani gorszych. W naszym zgromadzeniu istotne jest, żeby kandydatka była dojrzała osobowo, żeby nie była to zakompleksiona osoba z problemami emocjonalnymi. Ten aspekt dojrzałości osobowej jest szalenie istotny, bo on rzutuje i na dalszą formację, i na przyszły kontakt z ludźmi. Czasem ta dojrzałość osobowa jest zupełnie niezależna od formacji intelektualnej. Można skończyć studia, ale nie mieć w sobie jeszcze takiej dojrzałości. Nam nie zależy na tym, żeby kandydatka jak najszybciej złożyła śluby, bo wtedy ją „mamy". W naszym zgromadzeniu najważniejsze jest, żeby się dobrze zastanowiła nad swoim wyborem. Czasem nawet ten czas zastanowienia wydłużamy, żeby kandydatka mogła na spokojnie podjąć decyzję, żeby wiedziała, że świadomie i dobrowolnie chce złożyć śluby i zostać siostrą białą misjonarką Afryki.

Czy to właśnie orientacja na Afrykę powinna być zasadniczym rysem przyszłej kandydatki?

Ja bym powiedziała, że dużo istotniejsza jest orientacja na drugiego człowieka. To jest bardzo ważne. Kandydatka musi być otwarta na drugiego człowieka, a ten drugi człowiek to nie zawsze będzie katolik. To może być nasz niewierzący sąsiad czy Afrykańczyk. Jesteśmy posłane, by z każdym człowiekiem rozmawiać. Gdyby siostra biała odpowiadała na pozdrowienie tylko ludziom wierzącym, a resztę traktowała jako gorszą część ludzkości, to by znaczyło, że ewidentnie coś nie gra. W przypadku nas, misjonarek, relacje z drugim człowiekiem powinny być decydujące. Od tego, czy mamy taką relację, niezależnie, czy będzie to chory w szpitalu, trędowaty, bezdomny na ulicy, kobieta z dzieckiem czy nasz przyjaciel, zależy, czy będziemy w stanie przekazać mu wartości, którymi same żyjemy i które mogą stać się wartościami także dla tego człowieka.

Miałyśmy kiedyś tutaj, w Lublinie, sąsiada, już świętej pamięci, który często mówił do mnie: „Jestem niewierzący, ale bardzo was lubię i szanuję". Nasza znajomość zaczęła się od tego, że mówiliśmy sobie „dzień dobry". Z czasem zaczął przynosić nam kwiaty do kaplicy albo ryby na wigilię. Docierało do mnie później, że mówił o nas: „Znam siostry, które są normalne, nie odgradzają się, rozmawiają z innymi". Kiedyś zasugerował mi nawet, że powinnyśmy chodzić po domach niczym świadkowie Jehowy, żeby wielu ludzi mogło nas poznać (*śmiech*). Ale tak serio, wszystko zaczyna się od małych rzeczy, od szacunku i wzajemnej życzliwości. Od tego, żeby dla własnej wygody nie ucinać kontaktu z drugim człowiekiem. To są proste rzeczy, które wydają mi się konieczne.

Ma Siostra międzynarodowe doświadczenie w formacji kandydatek. Czy w formacji kładzie się nacisk na to, że przyszłe zakonnice będą posyłane do osób poszukujących lub niewierzących?

Mogę o tym opowiedzieć z perspektywy funkcjonowania naszego domu zakonnego. Nasze dwie kandydatki złożyły niedawno pierwsze śluby. Kandydatura nie jest już takim czasem, kiedy kandydatki są zamknięte w domu, a ja jako przełożona wypuszczam je na kilka godzin. Owszem, są w domu, modlimy się razem, jest medytacja, brewiarz, ale one też chodzą do pracy. Jedna z naszych kandydatek znalazła pracę w biurze turystycznym. Jej ówcześni przełożeni i współpracownicy wiedzieli, kim jest. Szef żartował czasem: „O, mamy zakonnicę, więc nie mogę przeklinać" (*śmiech*). Jej znajomi przychodzili i odwiedzali ją w naszym domu zakonnym. Widziałam, jak to ich interesuje. Że młoda, zdolna, ładna dziewczyna dobrowolnie wybiera taką drogę. Z kolei nasza

druga kandydatka podczas formacji pracowała w szpitalu jako lekarz, więc również była w kontakcie z różnymi ludźmi.

Czasem słyszę, jak ludzie mówią o nas: „Wy jesteście inne". Mogę się wtedy tylko domyślać, iż nie chodzi o inność w tym znaczeniu, że nie mamy habitów czy welonów. Sądzę, iż dużo bardziej chodzi o to, że zagadujemy czasem pijanych gromadzących się gdzieś w garażach, że tak samo podejmujemy arcybiskupa z Manili, który przyjechał na Światowe Dni Młodzieży i nocował w naszym domu, jak i naszego niewierzącego sąsiada. Wszyscy jesteśmy ludźmi i to jest najistotniejsze. Więcej już nie trzeba.

Wracając bezpośrednio do tematu formacji, czasem kiedy obserwuję dziewczyny wstępujące do zakonów, które po tygodniu chodzą już w identycznych strojach, mam taką refleksję, że coś dzieje się trochę za szybko. Uważam, że formacja powinna dokonywać się powoli. Należy kandydatce uświadomić, że jeśli chce, to oczywiście może być misjonarką, tylko czy ona naprawdę tego chce? Czy naprawdę chce pracować w różnych krajach i z różnymi ludźmi?

To chyba sięga gdzieś korzeni naszego zgromadzenia. Naszym założycielem jest pierwszy kardynał w Afryce Charles Lavigerie. Mawiał, że jeżeli ktoś z ludzi należących do religii tradycyjnej chciałby zostać chrześcijaninem, to powinien przynajmniej przez trzy lata uczęszczać na nauki, żeby przyjąć chrzest. Kardynał dodawał wtedy, że lepiej nawet ten okres wydłużyć. Żeby ta osoba naprawdę się zastanowiła, kim chce być. Nie chodzi więc o to, żeby kogoś szybko ochrzcić. To bardzo ważna decyzja. Nie wolno jej wymuszać. Analogicznie jest z kandydatkami. Ważne, by wiedziały, kim chcą być, żeby to nawet od nich wypłynęło. Żeby świadomie decydowały, że chcą być zakonnicami i misjonarkami, że chcą pójść tam, gdzie zgromadzenie je pośle.

Czy zdarza się, że do zgromadzenia przychodzą kandydatki z niewłaściwą motywacją?

Owszem. Może być na przykład tak, że ktoś ucieka przed problemami albo uważa, iż ktoś go tu przyjmie takim, jakim jest. Wydaje mi się jednak, że w długoczasowej perspektywie formacji gdzieś tę motywację powinno dać się zauważyć. Czasem dopiero po latach jakieś wcześniejsze sygnały okazują się bardziej zrozumiałe albo składają się w jedną całość. Okazuje się na przykład, że sama pasja Afryki to jeszcze za mało.

Czy kiedykolwiek powiedziała Siostra jakiejś kandydatce: „Nie, to chyba nie miejsce dla ciebie”?

Tak, miałam takie zdarzenie. Po konsultacjach psychologicznych musiałam podziękować jednej z naszych kandydatek. W trakcie formacji wyszły na jaw poważne problemy i istotne kwestie z przeszłości. Nie chcę tu wchodzić w szczegóły. Zastanawiałam się bardzo poważnie, co zrobić. Konsultowałam się z psychologami. Jeden z nich powiedział mi, że jako misjonarki pracujące w Afryce potrzebujemy osób odpornych na stres i przyzwyczajonych do radzenia sobie z nim. W Afryce takie sytuacje są przecież na porządku dziennym, abstrahując już nawet od ekstremów, jak wojny czy rozboje. Doszło do rozmowy. Zaproponowałam tej osobie, że może poszukałaby zgromadzenia, które nie tylko pracuje w Afryce, ale również w Polsce. Może tutaj czekałyby ją sytuacje, z którymi jest bardziej obyta i szybciej sobie poradzi.

Czym z kolei, zdaniem Siostry, należy tłumaczyć odejścia osób, które w zgromadzeniu były jakieś dwadzieścia lat?

Z moich bardzo osobistych obserwacji wynika, że czasem istotną rolę odgrywa zaniżone poczucie własnej wartości, które może przejawiać się na rozmaite sposoby. Przyczyny są jednak najczęściej złożone. Zdarzało mi się pytać byłe siostry, czy rozmawiały

o swoich problemach z przełożoną. Większość odpowiedziała, że nie. Same podjęły taką decyzję bez konsultacji z przełożonymi. Zapewne miały rozmaite obawy przed taką rozmową. Kryzys najczęściej długo narasta, a my o tym nic nie mówimy. Jeżeli jednak nie wyciągniemy ręki po pomoc, nie otworzymy się choćby na rozmowę, to same sobie nie damy rady. Potem jedyne drzwi, które zostają, to te wyjściowe. Może się też zdarzyć, że po iluś latach wygasa początkowa fascynacja. Ten Jezus i Ewangelia nie robią już wrażenia. Wtedy warto pracować nad przywróceniem tego, co było wcześniej. Może potrzebna jest jakaś radykalna zmiana, wyjazd, rekolekcje. Wtedy rolą przełożonych może być pomoc takiej osobie w dotarciu do początkowych motywacji.

Jak reaguje Siostra na opowieści o siostrach zakonnych, które odchodzą, a wspólnota ma zakaz utrzymywania kontaktu z nimi czy choćby brak możliwości pożegnania się?

To jest nieludzkie, żeby tak robić. Uważam, że jeśli gdzieś zdarzają się takie zachowania, to mamy do czynienia z jakimś wynaturzeniem. Jeżeli ktoś ma problem i chce odejść, to tym bardziej należy mu pomóc. To jest ktoś, kto sobie z czymś nie poradził, i należy mu się troska, życzliwość i dobroć. Bardzo ważne jest utrzymywanie wzajemnego kontaktu, zwłaszcza z osobami, które na przykład z rozmaitych powodów przebywają na eksklaustracji[11], podtrzymywanie się w tym trudnym czasie.

Pod adresem przełożonych zakonnych kieruje się często bardzo poważne zarzuty. Mówi się, że w zakonach przełożone „przetrącają" kręgosłupy siostrom, które im podlegają, lub że mają nad siostrami obezwładniającą władzę. Nawet Thomas Merton wielokrotnie w swoich pismach i korespondencji dawał wyraz temu, że jest wściekły na swoich przełożonych,

ale każdorazowo podporządkowywał się ich decyzjom. Siostra przez kilka lat była przełożoną lubelskiej wspólnoty. Jaka jest rola przełożonej?

To jest zagadnienie, w którym są dwie strony medalu. Pierwsza sprowadza się do tego, iż nasze konstytucje oczekują ode mnie jako przełożonej, że będę tworzyła spójność i jedność między siostrami, ale też między władzami naszego zgromadzenia. Nigdy nie chciałabym zabraniać komukolwiek osobistego rozwoju. Wręcz przeciwnie. Uważam, że siostry powinny móc się rozwijać, bo jeżeli druga osoba się rozwija, to rodzi się z tego radość i korzyść dla całej wspólnoty, a ja jestem jej częścią. Trochę jak z matką, którą cieszy rozwój jej dziecka. Druga strona medalu sprowadza się do tego, że przełożony jest osobą, która powinna umieć wyważyć pewne trudne kwestie, zadbać o balans między działalnością na zewnątrz a byciem we wspólnocie. Często siostry zakonne pracujące w domu wykonują ogrom ciężkiej pracy, której nie widać na zewnątrz. Niemal zawsze za jakimś dobrem i splendorem jednej znanej osoby kryje się codzienna praca wspólnoty, która po prostu wykonuje swoje obowiązki.

Czy przełożony zakonny jest od tego, żeby czegoś zabraniać lub coś nakazywać?

Mogę opowiedzieć w tym miejscu o własnej perspektywie. Za kilka dni lecę do Anglii do Instytutu św. Anzelma na roczne szkolenie dla liderów wspólnot. Kiedy matka generalna po raz pierwszy zwróciła się do mnie z taką propozycją, podziękowałam za nią i opowiedziałam o mojej skomplikowanej sytuacji rodzinnej, mój brat jest poważnie chory. Przełożona powiedziała, żebyśmy dały sobie czas na zastanowienie i na decyzję. Wyznaczyłyśmy jakiś termin. Kiedy nadszedł ten dzień, czułam, że sama nie jestem w stanie podjąć decyzji. Napisałam

przełożonej, że jestem gotowa zarówno jechać, jak i pozostać w Polsce – dostrzegałam dobre strony obu rozwiązań. Napisałam też, że zostawiam to jej decyzji, której się podporządkuję. Kilka dni później otrzymałam mail z informacją, że w takim razie jestem posłana do Anglii.

Poczułam wtedy ogromną wolność. I powiem szczerze, że tę wolność czuję w zgromadzeniu każdego dnia. Tak samo się czułam, kiedy leżałam na posadzce w dniu ślubów wieczystych i wiedziałam, że jest to moja decyzja. Z własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że za każdym razem, kiedy miałam być gdzieś posłana, doświadczałam dialogu, a nie narzucania mi cudzej woli. Wiem, że zdarzają się w zakonach także inne sytuacje. Ja jednak w swoim życiorysie ich nie mam. Wiele razy spotykałam się za to z dowodami na to, że przełożonym zależy na moim dobru. Kiedyś w nowicjacie w Afryce przełożona powiedziała, żebym kupiła sobie nowe buty. Ja nie lubię zakupów, wzięłam pierwsze, które się nadarzyły. Po powrocie przełożona zapytała mnie: „Naprawdę jesteś z nich zadowolona? Pomyśl, jesteś pielęgniarką, będziesz w szpitalu spędzać jakieś dziesięć godzin dziennie. Idź jeszcze raz i kup sobie solidne buty". To także przełożeni dopytywali się zawsze, czy utrzymuję regularnie kontakt z rodziną. Zwłaszcza gdy byłam młodą siostrą, zwracano moją uwagę na to, że powinnam dbać o kontakt z moim tatą. Kiedyś nawet przełożona powiedziała mi: „To ty masz powołanie, a nie twój tata. Dlatego powinnaś informować go tym, co słychać, a nie on ma zabiegać o kontakt z tobą". Więc generalnie, jeśli chodzi o kontakty z przełożonymi, jestem szczęściarą. Trafiałam na ludzi, dla których normalność, dobroć i życzliwość były na porządku dziennym. Sądzę, że takie zachowania w zakonie są szczególnie ważne.

Zatrzymajmy się na chwilę przy Afryce. Jak była tam Siostra odbierana jako biała kobieta? Skąd miejscowi wiedzieli, że mają do czynienia z zakonnicą?

W naszym przypadku, czyli misjonarek w Afryce, bardzo istotne jest uświadomienie sobie, że będziemy funkcjonować w niezwykle złożonym kontekście kulturowo-obyczajowym. Elementarna dla działalności w Afryce jest znajomość francuskiego bądź angielskiego. Jeden z tych języków trzeba dobrze opanować, bo od tego zależy sprawna komunikacja. Oprócz tego uczymy się zawsze języka miejscowego. To jest niezmiernie ważne. Nie da się pracować, nie znając języka miejscowych. Ja krótko po przyjeździe do Tanzanii zostałam posłana na sześciomiesięczny kurs suahili. To nie tylko kurs języka. Równie istotne jest poznanie miejscowych zwyczajów, kultury tamtejszych ludzi, kontekstów, które na przykład uświadamiają, jak niektóre komunikaty mogą zostać odebrane albo że pozdrowienia są ważne. Rytuały kulturowe w Afryce mają ogromne znaczenie, trzeba mieć ich świadomość. Oprócz języka jest cała masa pozajęzykowych relacji.

Miejscowi szybko się orientowali, że skoro mówię suahili, to na pewno nie jestem turystką, lecz osobą, która przyjechała do nich. Bycie zakonnicą tłumaczą sobie w prosty sposób. Często słyszałam na przykład zdanie: „Ty jesteś człowiek Boga". Oni mają świadomość, że – aby do nich przyjechać – zostawiłam coś w ich ocenie „lepszego": mój kraj, język itp. Dlatego podchodzili do mnie i mojej pracy z szacunkiem.

Jako siostry białe wszędzie tam, gdzie żyjemy, staramy się ubierać bardzo podobnie do miejscowych ludzi. Kobiety w Tanzanii noszą tzw. kitengi, kolorowe spódnice i bluzki, często z charakterystycznymi wzorami. Noszenie takiego stroju jest z naszej strony czytelnym sygnałem, że nie chcemy miejscowym

niczego narzucać. Już samo noszenie tego stroju oznaczało dla mnie, że nie przyjechałam z pozycji nauczyciela. Najpierw nauczyłam się angielskiego, potem suahili, następnie poznałam ich zwyczaje i wtedy dopiero rozpoczęłam pracę w szpitalu jako pielęgniarka. Bardzo lubię swój zawód i z moich obserwacji wynika, że będąc pielęgniarką, można szybko poznać ludzi. Wielokrotnie na przestrzeni lat ludzie powierzali mi swoje tajemnice. Poruszali ze mną kwestie, o których często nie mówi się na głos, bo dotyczą intymności, zdrowia, cielesności. To wszystko pomaga wejść w kulturę.

Czym jest tak zwana inkulturacja? Jak powinno „przekładać się" chrześcijaństwo na kulturę i obyczajowość danego kraju?

Kiedyś w zgromadzeniu czytałyśmy książki i miałyśmy całe sesje poświęcone inkulturacji, czyli temu, jak wejść w świat drugiego człowieka z poszanowaniem jego lokalnych tradycji. Myślę jednak, że nie o wykład w tym miejscu chodzi. Odpowiem, jak to rozumiem, odwołując się do kilku historii, które przeżyłam w Afryce.

Pewnego razu wykonywałam opatrunek mężczyźnie, który trafił do szpitala. W gabinecie zabiegowym wisiał krzyż. W pewnym momencie mężczyzna zapytał mnie, pokazując na krzyż: „Czy on coś ukradł?". Odpowiedziałam, że nie, że on z miłości do ludzi przyszedł na świat. Na co słyszę: „Jak to przyszedł? Z nieba, czy urodził się na ziemi?". Odpowiadam, że urodził się na ziemi, w Betlejem. Mężczyzna znów pyta, czy taka wioska jest na mapie? Odpowiadam, że tak. Dla tego mężczyzny ten nasz dialog, pewnie kompletnie niezrozumiały dla Europejczyka, to był jakiś kosmos. Z czasem ten człowiek trafił na katechezę, a później przyjął chrzest.

Inna scena ze szpitala. Kiedyś podczas mojego dyżuru zjawił się mężczyzna, który na rowerze przywiózł zupełnie nieznanego sobie

nieprzytomnego człowieka. Powiedział, że był w drodze do sąsiedniej wioski, kiedy przy drodze zobaczył rower i leżącego człowieka. Zostawił mi go i stwierdził, że wróci jeszcze po jego rower. Ten pacjent był nieprzytomny, od razu wiedziałam, że ma wysoką gorączkę i malarię. Podłączyłam mu leki i czekałam na powrót tamtego mężczyzny, żebym – gdy oprzytomnieje – mogła udzielić pacjentowi informacji, kto go tu doprowadził. Ten mężczyzna, jak obiecał, wrócił z rowerem. Zapytałam, jak ma na imię. W Afryce imiona wiele znaczą. Po samym imieniu można rozpoznać, czy ma się do czynienia z wyznawcą religii tradycyjnej, z muzułmaninem czy chrześcijaninem. Ten człowiek był wyznawcą religii tradycyjnej. Pewnie nigdy nie słyszał opowieści o miłosiernym Samarytaninie, a jednak postąpił jak on.

I może ostatnia historia. Mieszkałam kiedyś w wiosce zabitej dechami, liczącej około sześciu tysięcy mieszkańców. Do najbliższego dużego miasta miałyśmy ponad czterysta kilometrów. Jest Wigilia, siostra z młodzieżą przygotowała inscenizację Bożego Narodzenia. Noc, ciemno, kościół pokryty słomą, a w kościele wiele przypadkowych osób, także wyznawców religii tradycyjnej. Ludzie wiedzą, że w wiosce jest kościół i jakieś białe zakonnice, ale nie bardzo wiedzą, z czym to się je. Przychodzą z ciekawości. Młodzież zaczyna odgrywać scenę, w której Józef i Maryja szukają miejsca, gdzie Maryja mogłaby urodzić, i spotykają się z odmową. Nagle na środek kościoła wychodzi kobieta i mówi do wszystkich: „Wiecie co, to się naprawdę nie godzi. Wy tutaj macie duże domy, a nikt z was nie chce przyjąć tej kobiety. Jeśli nie chcecie, to ja ją przyjmę". Ktoś za chwilę podchodzi do tej kobiety i tłumaczy, że to tylko przedstawienie.

Dlaczego o tym mówię? To jest właśnie inkulturacja. Docieranie do ludzi na ich poziomie, w sposób dla nich przystępny

i zrozumiały. Dla mnie najbardziej zdumiewające w takich zdarzeniach jest to, że ludzie, którzy inscenizację Bożego Narodzenia oglądają niczym bajkę i nigdy o chrześcijaństwie nie słyszeli, mają w sobie odruchy, które nakazują im być dobrymi czy bezinteresownymi. Dla mnie jako misjonarki to jest dowód na to, że człowiek niezależnie od obecności misjonarzy nosi w sobie prawo, które nakazuje mu słusznie postąpić.

Jak z perspektywy pielęgniarki pracującej w Afryce, a zarazem katolickiej zakonnicy postrzega Siostra problem epidemii HIV i AIDS oraz profilaktyki związanej z upowszechnianiem prezerwatyw? Kościołowi zarzuca się czasem, że potępiając używanie prezerwatyw, przyczynia się do rozwoju choroby.

Spotkałam się z rozdawaniem prezerwatyw w niektórych afrykańskich szpitalach. Nie uważam jednak, że jak się wszystkich zaopatrzy w prezerwatywy, to problem zostanie rozwiązany. Po pierwsze, wydaje mi się, że naszych europejskich realiów i kontekstów nie daje się tak łatwo przenieść na kontynent afrykański, gdzie trzeba jeszcze uwzględnić miejscowe zwyczaje, jak choćby poligamię czy swobodę obyczajową. Może to zabrzmi stereotypowo, ale ja bym jednak akcentowała rolę wierności w związku jako gwarancji uchronienia się przed HIV czy AIDS. Po drugie, i przyznam, że ten punkt widzenia bardzo mnie interesuje, odbyłam wiele rozmów na ten temat z kobietami, które należą do religii tradycyjnej, czyli niemających nic wspólnego z chrześcijaństwem ani z islamem. Te kobiety pytały mnie często o to, jak funkcjonują małżeństwa w Europie, kiedy zawiera się śluby, kto za kogo płaci, czy zdarza się, że mąż zdradza żonę. To od nich usłyszałam, że z zazdrością patrzą na Europejki mające jednego męża. To one po raz pierwszy powiedziały mi, że bycie żoną mężczyzny, który oprócz nich ma jeszcze dwie lub trzy żony,

nie jest spełnieniem ich marzeń. Rozmawiałyśmy wielokrotnie o kwestiach obyczajowych i wyraźnie dały mi do zrozumienia, że chciałyby być w związkach opartych na wyłączności. Widziałam w nich tęsknotę za tym, by dla mężczyzny być tą jedyną. Kobiety w Afryce często wiedzą, że są zdradzane. Dla mnie te kobiety są prawdziwymi bohaterkami. To na ich głowie jest całe domostwo, inwentarz, czasem chore dzieci i brak środków do życia. Mają świadomość, że ich mąż przebywa w tym czasie u innej kobiety w sąsiedniej wiosce. Równocześnie jeszcze mają być piękne i zadbane. Afrykańskie kobiety niosą na swoich barkach nieprawdopodobny ciężar. Wielokrotnie słyszałam od mężczyzn, nawet od misjonarzy, że kobiecie w Afryce jest zupełnie obojętne, czy jest trzecią czy czwartą żoną jakiegoś mężczyzny. Moje rozmowy z kobietami dowodzą jednak czegoś zupełnie innego.

Jak bardzo ten status afrykańskiej kobiety różni się od standardów europejskich czy zachodnich?

W moim odczuciu bardzo. I nie chodzi o głupie przepuszczenie przez drzwi, bo to oczywiste, że w Afryce przodem pójdzie zawsze mężczyzna. On jest tym ważniejszym ogniwem w hierarchii społecznej. Nawet kiedy kobieta jest nauczycielką i wraca z pracy, a mężczyzna wraca z pola, to oczywiste jest, że sam nie będzie niósł motyki, że to kobieta powinna za nią chwycić. Kobiety posyłane są do najcięższych prac. Mężczyzna z kolei jest tym, który zawsze pierwszy się odezwie i który ma najwięcej do powiedzenia. Przypomina mi się w tym miejscu pewien epizod. Kiedy byłam w nowicjacie w Tanzanii, pojechaliśmy któregoś dnia na targ, żeby zrobić zakupy. Ja prowadziłam auto i czekałam w samochodzie, a jedna z sióstr z amerykańskim jezuitą pobiegli po zakupy. Wracają, jezuita niesie torby, a siostra idzie obok z pustymi

rękoma. To rzadki widok w Afryce. Ta siostra powiedziała później: „Dawno już nie czułam się tak kobietą".

Generalnie w Afryce przez długie lata pracowałyśmy nad budowaniem świadomości i poczucia wartości u kobiet. Zawsze mocno je zachęcałyśmy, żeby w dyskusjach zabierały głos, żeby się nie bały, tłumaczyłyśmy, jak wiele mają do zaoferowania i do zrobienia. Kiedyś nasze siostry były też obecne w seminariach po to, żeby uwrażliwiać na sprawy kobiet także przyszłych księży. Sądzę, że to jest bardzo potrzebne. Afryka chyba uwrażliwiła mnie gdzieś na sprawę kobiet. Na to, że często się napracują, a szybko są zapominane.

Czasem w modlitwie eucharystycznej wypowiadamy formułę: „Prosimy Cię, Panie, żebyś nam pobłogosławił, abyśmy mogli służyć naszym braciom". Myślę sobie, czemu nie „braciom i siostrom"? Albo „siostrom i braciom"? Skoro w samolocie wita się „panie i panów", to przestańmy wstydzić się kobiet w Kościele. Przecież każdego mężczyznę urodziła kobieta. Kiedyś jeden ksiądz powiedział mi, że to znaczy to samo. Skoro znaczy to samo, to powiedzcie tylko „siostrom" (*śmiech*).

Mija dziewięć lat od Siostry powrotu z Afryki. Czy ma Siostra wrażenie, że jesteśmy europocentryczni, że Afryka nie bardzo nas interesuje, a życie jest więcej warte w Europie niż w Afryce? Katastrofa kolejowa we Francji czy w Niemczech wzbudza większe zainteresowanie niż Nigeryjki porwane przez Boko Haram.

To prawda, że o Afryce mówi się mało. Kiedy jestem w Polsce i ktoś dzwoni do mnie czasem z radia czy telewizji z prośbą o wywiad, to pierwszą rzeczą, o którą pytam, są okoliczności rozmowy. Co i gdzie się stało? Najczęściej są to oczywiście złe wiadomości. Kilka razy zostałam pozytywnie zaskoczona, bo ktoś

przyjechał, żeby zrobić materiał, albo zostałam zaproszona bez bezpośredniego zewnętrznego pretekstu.

Zazwyczaj zgadza się Siostra na takie rozmowy?

Tak. Po pierwsze, spotykam się z osobą, która ten wywiad przeprowadza, więc już buduje się jakieś relacje. Po drugie, ta osoba też zaczyna się robić wrażliwa na kwestie Afryki, uruchamia się zainteresowanie, zwiększa się świadomość ludzi dzięki udziałowi mediów. Po trzecie, powiedziałabym, że nie tylko o Afryce, ale także o misjach mówi się dziś mało. Papież Franciszek coraz częściej mówi o tym, żebyśmy w końcu wyszli do świata, wstali z tych kanap, żebyśmy przestali siedzieć i czekać, aż ktoś do nas pierwszy przyjdzie. Ten drugi człowiek jest na wyciągnięcie ręki. To może być mój przyjaciel, mąż, sąsiad czy ktoś bliżej mi nieznany. Chodzi o to, żeby wykonać ruch, wyjść do drugiej osoby. Z takim przekazem wciąż jednak niełatwo jest się przebić.

Kiedyś po kolędzie przyszedł do nas ksiądz, który w pewnym momencie stwierdził: „Chyba jest mało powołań misyjnych". Zapytałam go: „A czy ksiądz chciałby być misjonarzem?". W odpowiedzi usłyszałam: „A co moja mama by powiedziała?". Odpowiedziałam: „Najwidoczniej ksiądz nie przeciął jeszcze pępowiny". My ciągle dbamy o ten swój ogródek. Przyzwyczajamy się do miejsca, do grupy, do kontaktów, które nawiązaliśmy. To daje nam ciepełko i jest wygodne, ale równocześnie skutkuje zawężonym spojrzeniem na Kościół. Kiedyś świętej pamięci biskup Życiński zapytał mnie, ile mam kandydatek. Odpowiedziałam, że tylko trzy. Wtedy usłyszałam: „Dlaczego mówisz, że tylko trzy? Masz aż trzy dziewczyny, które gotowe są oddać życie i wyjechać do Afryki". Ksiądz biskup opowiedział mi, że kiedyś prosił księży, żeby zechcieli wyjechać na misje na Ukrainę. Z Lublina to żadna odległość, ale tłumu chętnych nie było.

Myślę, że jeszcze jeden element jest istotny, kiedy mówimy o misjach czy szerzej o życiu zakonnym. Z perspektywy czasu niezwykle doceniam fakt, że w wieku piętnastu lat wiedziałam, co chcę robić w życiu. Teraz, kiedy mam dyżury na KUL-u i zdarza mi się rozmawiać z młodymi ludźmi, zauważam, że pytanie o to, co chcesz robić w życiu, jest najtrudniejszym, jakie można im postawić. Zdarza się, że osoby w wieku dwudziestu pięciu lat nie wiedzą, dlaczego studiują taki, a nie inny kierunek. Nie wiedzą, gdzie chciałyby pracować ani z kim się związać. W takich sytuacjach myślę sobie, że nawet Pan Bóg nie będzie wiedział, jakie marzenia ma im spełnić.

Czy jest coś, co można „poradzić" takim osobom?

To najczęściej są złożone indywidualne kwestie, ale tak generalnie powiedziałabym, że ważne jest, by zacząć pracować na małych decyzjach, to znaczy wyznaczyć sobie, co konkretnie dzisiaj zrobię, i wieczorem się z tego rozliczać. Myślę, że warto byłoby zacząć od małych decyzji.

Czy opierając się na Siostry międzynarodowym doświadczeniu, można stwierdzić, że bycie siostrą zakonną w Polsce jest łatwe?

Myślę, że nie chodzi o to, czy jest łatwe, ale czy daje szczęście i radość. Co z tego, że mam kościół na wyciągnięcie ręki, kiedy na przykład nie znam moich sąsiadów? Albo jestem bezkontaktowa? Jeżeli nasze życie ma być tylko wygodne, to ono nie ma sensu. Wydaje mi się, że w Polsce jest dużo zabezpieczeń. Kraj jest katolicki, mamy przyjaciół, znajomych, swoje gniazdka, ale w tym wszystkim można zagubić istotę. Czasem to, co najważniejsze, widać lepiej z kraju, który jest daleko, gdzie jest biednie, gdzie jestem zdana na Boga i Jego opiekę, w tym wymiarze duchowym i materialnym. Na misjach czasem przez kilka miesięcy pozostawałam bez możliwości spowiedzi i nie

czułam się z tym dobrze. W Polsce mamy konfesjonał w każdym kościele, ale nie zawsze zdajemy sobie sprawę, czemu służy. To chyba Gandhi powiedział kiedyś: „Byłbym chrześcijaninem, gdyby chrześcijanie byli nimi dwadzieścia cztery godziny na dobę". Pytanie brzmi, czym mierzyć to życie Ewangelią. Jak sprawdzić, czy to życie jest we mnie?

Na początku mojego życia zakonnego byłam krótko katechetką. Pewnego dnia z grupą dzieci odwiedziliśmy jednego z uczniów, który miał wypadek rowerowy. Odwiedziny tego chłopca to było dla mnie coś zupełnie naturalnego. Nie był to gest, który wykonałam, bo byłam zakonnicą. Tak zrobiłyby moja mama i babcia. Jestem o tym przekonana. Ten chłopak nigdy o tym nie zapomniał. Mało tego, jego rodzice i siostry po dziś dzień wysyłają mi życzenia, pisząc, że byłam inną katechetką. A to przecież oznaka normalności. Czasem zapominamy o tych prostych gestach. Podczas ŚDM gościł w naszym domu arcybiskup z Manili. Zapytałam go, czy odwiedzilibyśmy chorą sąsiadkę, bo na pewno by się ucieszyła. Biskup zgodził się chętnie. Chyba gdzieś tę normalność zatraciliśmy, te odruchy, które kiedyś ludzie na wsi mieli. Że chorego się odwiedza. Do tego nie trzeba studiów, ani teologicznych, ani żadnych innych. Czy papież Franciszek musi nam mówić o takich oczywistościach?

A czy o zakonnicach w Kościele powinno być głośniej? Czy powinny być bardziej eksponowane albo powinny jakoś promować swój wybór?

Jeszcze kilka lub kilkanaście lat temu odpowiedziałabym pewnie, że nie, bo po co? Teraz, po tylu latach życia zakonnego, odpowiedziałabym, że tak. Potrzeba mówić o siostrach zakonnych, bo nawet wśród wierzących panuje elementarna niewiedza na temat naszego życia. Ostatnio zdarzyło mi się, że przed ślubami

jednej z naszych sióstr byłam pytana o to, kiedy w końcu te święcenia. I na czym będą polegały. Rzeczywiście powinien to być temat. Nawet 2 lutego, w dzień życia konsekrowanego, zazwyczaj ogranicza się to do tego, że w Lublinie jest Msza w katedrze i ksiądz wygłasza konferencję, po czym wszyscy się rozchodzą. Kilka lat temu jeden zakonnik powiedział, że spotykamy się w święto życia „konserwowanego". Nie wiem do dziś, czy było to przejęzyczenie czy złośliwość. Czy na tym to powinno polegać?

Jak mamy święta zakonne w naszym domu, to lubię zapraszać sąsiadów, bo to jest dla mnie budowanie relacji. Pukam do naszych sąsiadów i zapraszam do nas. Jakiś czas temu zaprosiłam grupę młodzieży. Byli w naszym muzeum, a później zaprosiłam ich na herbatę. Powiedzieli mi, że są pierwszy raz w jadalni zakonnej, a przecież to nie jest jakieś nadzwyczajne pomieszczenie. Dlaczego budujemy ściany wokół zakonów? Jak ludzie mają nas poznać, jeśli same nie będziemy się na ludzi otwierać? Nawet jeśli idziemy do ludzi, to zadajmy sobie pytanie, czy oni mogą przyjść do nas.

À propos przejęzyczenia lub nie: jak silne w zakonie jest ryzyko wszelkiej „konserwacji"?

Od razu przychodzi mi do głowy hinduski jezuita Anthony de Mello i jego opowiadanie o zakonnikach, którzy w klasztorze mieli kota. Codziennie przed modlitwami wieczornymi, nieszporami, nalewali mu mleko, żeby nie mruczał. Pewnego dnia kot zdechł, ale mleko w dalszym ciągu było wlewane, bo taki był zwyczaj.

Są takie zwyczaje w życiu zakonu lub wspólnoty, które mogą okazać się niebezpieczne. Trzeba sobie zadawać pytania, po co to robimy, czy to ma sens. Jeżeli coś nie ma sensu, jeżeli coś praktykowano sto lat temu, ale dziś nie ma już takiej potrzeby, to może z czegoś należy zrezygnować? Ale może być też inna sytuacja.

Jeśli coś ma sens, ale ja go nie dostrzegam, to może trzeba się zastanowić nad nadaniem temu czemuś sensu, jakiegoś znaczenia? W zakonie chodzi o nieustanną weryfikację: czy moje życie jest wiarygodne? Trzeba trzymać rękę na pulsie, a nie działać na zasadzie: zawsze tak było.

W nas jest taka tendencja, żeby coś przyklepać. Często też człowiek się przyzwyczaja. Ale ciepło i wygoda w zakonie wiążą się z niebezpieczeństwem. W takich ciepłych gniazdkach najczęściej nie ma już Pana Jezusa i nie ma rozwoju. A życie zakonne, choć nie tylko ono, wymaga nieustannego rozwoju. Dlatego odrywanie się od codzienności, wszelkie zmiany i wyjazdy są dobre. Bo uczą nas zostawiania czegoś. Porzucania wygody i otwierania się na nowość. Zmiany przesuwają nas z pozycji mistrza na pozycję ucznia.

Doświadczyłam tego choćby w Afryce, kiedy zaczęłam się uczyć suahili. W szpitalu miałam kontakt z dziećmi i zdarzyło się, że początkowo myliłam poszczególne słowa. Dzieci pewnie myślały: „Dorosła kobieta, a nie zna podstawowych wyrazów". Zmiana zgromadzenia również była dla mnie zmianą pozycji. Po prawie pięciu latach w jednym zgromadzeniu przyszłam do sióstr białych i zostałam kandydatką. Dobrowolnie zdecydowałam się na taką opcję.

Nawet Przystanek Jezus był dla mnie takim doświadczeniem. Wychodzę rano i nie wiem, co mnie spotka: czy mnie wyśmieją, czy na mnie nakrzyczą. Te wszystkie wydarzenia z perspektywy czasu postrzegam jako szalenie rozwojowe.

Dlaczego zdecydowała się Siostra pojechać na Przystanek Jezus?

Słyszałam różne opinie o tej imprezie. Pomyślałam sobie: „Bachalska, co będziesz słuchać różnych historii. Jedź i zobacz".

Spakowałam się i pojechałam do Kostrzyna. Pamiętam, że na dzień dobry usłyszałam: „Ale my tutaj pod namiotami śpimy", na co odpowiedziałam: „Nie ma sprawy, namiot mam w samochodzie". Później słyszę: „Woda jest tylko zimna", na co znów odpowiadam: „Ale super, że w ogóle jest. W Afryce po wodę trzeba często iść kawał drogi". Nie przerażam się takimi rzeczami. Jadąc, myślałam nawet, że tam trzeba sobie samemu organizować jedzenie, a okazało się, że jest na miejscu. Później od kogoś usłyszałam, że to chyba tylko misjonarki tak w niczym nie widzą problemu (*śmiech*). Jakie były moje oczekiwania? Tak jak powiedziałam, chciałam sprawdzić, czy jest prawdą to, co ludzie opowiadają. Poza tym, po powrocie z Afryki chciałam mieć trochę kontaktu z polską młodzieżą. Odbyłam tam wiele dobrych rozmów. Spotkałam ludzi, którzy powiedzieli mi, że nie spowiadają się w swoich parafiach, tylko na Woodstocku. Ja wychodzę z założenia, że z ludźmi trzeba zawsze rozmawiać. Najbardziej zapadło mi w pamięć spotkanie z byłym lotnikiem, który z powodu uzależnienia został zmuszony do odejścia z zawodu. Ten mężczyzna opowiedział mi swoje życie.

> **Słuchając licznych opowieści o Przystanku Jezus, można odnieść wrażenie, że życie religijne bardzo się zmienia, że parafie czasem tracą na znaczeniu, że to już nie są firmy do zarządzania ludźmi, a proboszcz będący w jednym miejscu przez trzydzieści lat może stać się mało wiarygodny.**

Jest w tym pewnie trochę racji. Jeden z chłopaków na Przystanku Jezus organizował akcję mającą na celu ożywienie parafii. Opowiadał mi, że jego zadaniem było rozwiezienie plakatów do kilkunastu okolicznych parafii. Dzwoni do proboszcza w jednej z miejscowości i w domofonie słyszy: „Kto tam?". Tłumaczy, że przywiózł plakat. „To niech włoży do skrzynki". Chłopak

odpowiada, że do skrzynki się nie zmieści. „To niech poczeka”. Proboszcz odbiera plakat i mówi: „Następnym razem niech przyjedzie rano lub wieczorem, a nie w czasie sjesty”. Akcja dotyczyła ożywienia parafii. Są też i takie historie.

Jak postrzega Siostra kwestię kapłaństwa kobiet, a szerzej w ogóle roli zakonnic w Kościele?

Osobiście nie byłabym gotowa na kapłaństwo kobiet. Może to wynika z jakichś moich ograniczeń, ale nie wydaje mi się to dobrym pomysłem. Wiem za to, ilu umierających w Afryce wysłuchałam przed śmiercią albo ile dzieci doprowadziłam do chrztu. I to jest dla mnie istota mojej pracy. Jeśli myślę o roli zakonnic w Kościele, żałuję, że nie angażują się bardziej w kierownictwo duchowe. Najczęściej kierownikami duchowymi są księża i to do nich zwyczajowo trafiają dziewczyny myślące o życiu zakonnym. Wiem też, że często słyszą od nich zdania zniechęcające. Jestem przekonana, że siostry zakonne potrafiłyby się świetnie odnaleźć w tej roli.

W podobnym duchu wypowiedziała się ostatnio siostra Carmen Sammut, przewodnicząca UISG (Międzynarodowej Unii Przełożonych Generalnych). Zapytana, co myśli o tym, że zakonnice prawie zawsze udają się po duchową opiekę do księży i zakonników, czyli do mężczyzn, odpowiedziała: „Myślę, że zakonnice powinny nauczyć się wykonywać te zadania (...), mogą towarzyszyć duchowo także mężczyznom, a nie tylko innym zakonnicom. Jest to jednak wciąż jeszcze praktyka zbyt rzadka”[12].

Również uważam, że kobiety dobrze odnalazłyby się w takiej posłudze. Pewnie wiele z nich jeszcze się boi lub czuje się nieprzygotowanych. Ale zadajmy sobie pytanie: kto, jeśli nie zakonnice, które żyją we wspólnocie i mają relację z Bogiem,

powinien angażować się w duchową opiekę czy w kierownictwo duchowe? Kiedyś wywiesiłam w gablocie przed naszym domem zakonnym kartkę z napisem: „Przechodniu, jeśli masz problem, możesz tu zawsze przyjść i porozmawiać". Odzew był natychmiastowy. Niesamowity był dla mnie choćby przekrój wiekowy tych osób: od starszych po jedenastoletnich nastolatków, którzy chcieli porozmawiać o swoich problemach.

Po co dziś zostawać siostrą zakonną czy misjonarką?

Pewnie po to, żeby odpowiedzieć na miłość i przeżyć przygodę swojego życia. Jeżeli ktoś faktycznie odczuwa takie pragnienie, to zgromadzenie jest jedną z propozycji odpowiedzi na jego potrzeby. Dobrze jest być we wspólnocie, bo w Afryce trudno przeżyć w pojedynkę. Jako misjonarka nie chcę Afryce czegokolwiek narzucać. To ja jestem osobą, która wchodzi w cudzą kulturę, zwyczaje, języki, a nie odwrotnie. To nie jest podbój. Chciałabym, żeby ci ludzie mogli pozostać sobą. Ja jestem tam po to, żeby budować dialog z innymi, czy to z muzułmanami, czy to z wyznawcami religii tradycyjnej. Taka perspektywa oznacza zaakceptowanie faktu, że świat jest zróżnicowany i piękny. Że to nowe jest inne, ale nie lepsze ani gorsze. To także wybór wymagający dużego ryzyka i radykalizmu. Chyba tego ryzyka boimy się najbardziej.

Kiedy po raz pierwszy leciałam do Afryki, nie miałam pojęcia, kogo tam spotkam ani co zastanę. Z perspektywy czasu widzę jednak, jak wiele dała mi decyzja o zakonie, jak będąc zakonnicą, rozwinęłam się jako człowiek. Moja decyzja o zakonie nie pozostała też bez wpływu na moich najbliższych.

Dziś moja rodzina nawiązuje relacje z Afrykańczykami, są ciekawi świata, zapraszają ich do siebie. Tata przeczytał wszystkie książki Kapuścińskiego, siostra napisała świetną pracę o Masajach,

brat odwiedził mnie w Afryce. Na przestrzeni lat odbyłam mnóstwo spotkań o Afryce, o wielu innych kwestiach nie wspominając. Dziś, niezależnie od tego, czy ląduję w Rzymie, Londynie czy w Nairobi, czuję się u siebie. Świat stał się panteonem, na którym wszędzie mogę posługiwać. Tak też staram się patrzeć na ludzi: ze wszystkimi można rozmawiać i budować relację. Chciałabym jeszcze więcej. Tyle można zrobić.

Co najbardziej chciałaby Siostra jeszcze zrobić? Czego można Siostrze życzyć?

Chciałabym, żeby kobiety zrozumiały, jaki mają w sobie potencjał, jakie drzemią w nich siły. Chciałabym, żeby nigdy żadna z nas nie mówiła: „Jestem tylko kobietą". Krótko mówiąc, chciałabym, żeby kobieta uwierzyła w swoją moc. Nie mówię w tym momencie tylko o Afryce.

Kiedy patrzę na moje życie i życie wielu kobiet, które znam, to widzę, że mężczyźni dużo bardziej od nas potrafią się docenić. My zbyt często patrzymy na drugą kobietę jak na rywalkę. Życzyłabym sobie, żeby każda z nas znała swoją wartość, bo wtedy zrozumie, że jest stworzona do wielkich rzeczy. Ja nie mam ani potrzeby, ani żadnego interesu w tym, żeby pomniejszać drugą kobietę, deprecjonować jej znaczenie. Moją rolą jest pomóc jej wzrastać. Nie mam wątpliwości, że świat byłby o wiele piękniejszy, gdybyśmy my, kobiety, patrzyły w ten sposób na siebie i pomagały sobie nawzajem. Myślę, że warto zacząć od małych rzeczy. Od życzliwości w stosunku do siebie. Często zadaję sobie pytanie, skąd to się u nas, kobiet, bierze, że zamiast się wspierać, wciąż ze sobą rywalizujemy. O co chodzi? Dlaczego?

Kiedyś prowadziłam kilka turnusów rekolekcji dla dziewcząt. Po zakończonej turze jedna z dziewczyn przyszła do nas na kawę. Zapytałam ją o jedną rzecz, którą najbardziej zapamiętała z tych

kilku dni. Odpowiedziała mi: „Najbardziej utkwiło mi, żebym była życzliwa w stosunku do drugiej kobiety". Wtedy pomyślałam, że choćby dla tej jednej dziewczyny warto było zrobić te rekolekcje.



Misja Małgorzata

Kontakt do siostry Katarzyny Kmieć ze zgromadzenia sióstr pasterzanek otrzymałam od innej zakonnicy, pracującej z ofiarami handlu ludźmi. Dowiedziałam się, że to niezwykły człowiek o ciekawym zawodzie, bogatym doświadczeniu życiowym i niestandardowym rodzaju wykonywanej pracy. Wszystko to rzeczywiście potwierdziło się w naszej rozmowie. Poznałam bowiem bezhabitową siostrę zakonną, lekarza psychiatrę, wolontariuszkę Caritas pracującą z osobami uwikłanymi w prostytucję, kilkakrotną

ewangelizatorkę na Przystanku Jezus, osobę współpracującą z egzorcystami.

Na rozmowę umówiłyśmy się w Warszawie na Żytniej 1a w siedzibie Caritasu, gdzie zgromadzenie siostry Katarzyny prowadzi dzieło Misja Małgorzata. Jak poinformowała mnie siostra Katarzyna, adres prowadzonego przez siostry dzieła jest wymowny, bo dokładnie w tym miejscu wiele lat temu istniał dom zakonny, do którego zapukała Faustyna Kowalska w poszukiwaniu zgromadzenia, do którego miała wstąpić.

Z kilkugodzinnej rozmowy najbardziej utkwiły mi w głowie słowa siostry Katarzyny: „Myślę sobie, że w każdym z nas tkwi tęsknota, żeby zająć się czymś, co jest ważne, w co warto się całkowicie zaangażować". Moja rozmówczyni to, w co warto się zaangażować, odkryła dla siebie w zakonie.

Co znaczy być bezhabitową siostrą zakonną? Na czym polega istota takiego wyboru?

Nie wiem, czy to jest kwestia wyboru. W moim przypadku i chyba ośmielę się powiedzieć, że w każdym przypadku, jest to kwestia powołania. Ufam, że każda z nas, która jest powołana, rozeznaje to. Wierzę w to, że powołanie pochodzi od Boga. To jest coś, co się w człowieku odzywa, i szuka się tego, czym to coś jest. Porównuję to do zabawy w podchody z Panem Bogiem. Osobiście nigdy nie chciałam być zakonnicą. Nie miałam takiego pomysłu na życie. Dopiero na drugim roku studiów coś się zmieniło. To było jak odwrócenie mojego życia o sto osiemdziesiąt stopni.

Dlaczego nie chciała Siostra zostać zakonnicą? Jakie skojarzenia miała Siostra z zakonem?

Żadnych. Nie byłam na tyle związana z Kościołem, żeby dopuszczać do siebie myśl, że mogłabym być siostrą zakonną. Miałam po prostu inny plan na życie. Potem wydarzyło się coś, co zmieniło ten plan, i ufam, że był to pomysł Pana Boga. Niejednokrotnie zastanawiałam się nad tym później. Analizowałam to nawet od strony psychologicznej, rozważając, czy mogłam sobie coś takiego wymyślić. Nie miałabym takiej fantazji, żeby tak to wszystko poukładać, jak się rzeczywiście poukładało.

Wróćmy do pytania o bezhabitowość. Czy myśląc o powołaniu zakonnym, od początku wiedziała Siostra, że nie chce nosić habitu?

Różnie to ludzie rozpoznają. Ja odczytałam znaki Pana Boga, który doprowadził mnie do konkretnego zgromadzenia. Są osoby, którym podoba się dany habit, innym wręcz przeciwnie. Bóg wykorzystuje różne elementy czysto ludzkie, żeby naprowadzić na właściwy trop. Mnie naprowadzał po śladach, które odczytywałam. Jako lekarzowi psychiatrze było mi też łatwiej zaakceptować drogę bezhabitowego życia zakonnego właśnie z racji wykonywanego zawodu. Przygotowywałam się do tej profesji już w trakcie rozeznawania drogi zakonnej i było mi po prostu łatwiej pracować w tym zawodzie bez habitu. Nie byłam od początku postrzegana przez pryzmat mojej „zakonności".

Życie zakonne bezhabitowe nie zawsze było oczywistą kwestią w Kościele.

Tak, to prawda. Właściwie do Soboru Watykańskiego II nie było możliwe życie zakonne rozumiane jako życie bez habitu. Mało tego, długo nie było nawet możliwe w zgromadzeniach żeńskich prowadzenie dzieł apostolskich poza murami klasztoru. Dlaczego

na przykład elżbietanki, które pracują w szpitalach, budowały swoje klasztory w taki sposób, że w obrębie klasztoru był szpital? Ponieważ nie mogły opuszczać klauzury. Ominęły ten przepis, żeby móc wykonywać konkretną pracę, do której czuły się powołane. Jeżeli popatrzymy na Jezusa i Jego Matkę, to uświadomimy sobie, że nie ubierali się jakoś specjalnie i się nie wyróżniali. Nosili strój tamtejszych ludzi i żyli pośród nich. Nie byli w żaden sposób oddzieleni. Jezus gościł w domach różnych osób, przebywał z nimi, pracował. Prawie nikt do ukończenia przez niego trzydziestego roku życia nie wiedział, że ma jakąś misję do spełnienia. Przekładając to na nasze podwórko i na wątek bezhabitowości, powiedziałabym, że my także żyjemy wśród ludzi. Nie wyróżniamy się niczym szczególnym, poza tym, że serce mamy oddane Bogu i jesteśmy konsekrowane, czyli składamy śluby zakonne i należymy wyłącznie do Boga. Ale to jest tajemnica między nami a Bogiem i tak powinno zostać. Zakon nie polega na stroju, lecz na sercu, które jest oddane Panu Bogu. Takie jest założenie. Pomaga nam to też w apostołowaniu. Człowiek, widząc osobę w habicie, najczęściej tworzy sobie jakiś obraz. Niejednokrotnie ma już w głowie utrwalony schemat myślowy. Bywa, że jest zakłopotany na sam widok habitu. Wydaje mu się, że ma do czynienia z osobą z innej planety, do której w ogóle nie można podejść ani rozpocząć rozmowy. Jeśli w którymś momencie ta moja konsekracja wychodzi na jaw czy ludzie ją rozpoznają, to już inaczej na mnie patrzą, bo poznajemy się z zupełnie innej strony. Ale zaczynamy nie od stroju, nie od habitu, lecz od poznawania się wzajemnie jako ludzie. To ma zupełnie inny wymiar.

Czy rola sióstr bezhabitowych w Kościele jest inna niż habitowych choćby przez fakt, że strój nie rzuca się w oczy?

Rola w ogóle osób zakonnych jest taka, że mamy być chrześcijanami, którzy w zdecydowany sposób są po stronie Pana Boga i świadczą o Nim. Mamy świadczyć o tym, że warto Jemu oddać życie. Może sposób, w jaki to robimy, jest inny. Ideą było, by robić to w sposób nierzucający się w oczy, bardziej przykładem niż słowem. W przypadku osoby ubranej w habit od razu wiadomo, kim jest. My w inny sposób mamy do ludzi docierać. Osobiście kocham tę formę życia zakonnego. Kiedy wezmę pod uwagę charakter mojego zgromadzenia, czyli pracę z osobami, które są pod pewnymi względami bardzo biedne, poranione przez grzech, wykluczone, to forma bezhabitowości bardzo w tym pomaga. Pomaga docierać nam bezpośrednio do ludzi bez zwracania na siebie uwagi. Bariera zawsze jest, bo każdy człowiek jest odrębnym światem, ale nie ma początkowej stygmatyzacji, sztywnienia na widok habitu. Łatwiej jest mi rozpocząć rozmowę na ulicy z dziewczyną, kiedy nie od razu widać, że jestem zakonnicą. Bo wtedy taka dziewczyna może sobie pomyśleć: co zakonnica może o życiu wiedzieć albo co może czuć, że nie jest dla mnie partnerem do rozmowy. Nie chodzi więc o ukrywanie tego, lecz o to, że łatwiej wtedy dotrzeć do pewnych środowisk.

Z czego wynika taki charyzmat zgromadzenia i jego bezhabitowy charakter?

Naszym założycielem jest o. Honorat Koźmiński. To postać ciągle mało znana, ale bardzo ciekawa. „Człowiek renesansu", który stracił wiarę, będąc w gimnazjum. Kiedyś powiedział nawet do kolegi: „Jeżeli się nawrócę, naplujcie mi w oczy". Z dzisiejszej perspektywy powiedzielibyśmy, że jako młody człowiek był bluźniercą, często wpadał do kościołów, wykrzykując różne przekleństwa. Przeżył nawrócenie, kiedy trafił do X pawilonu Cytadeli w Warszawie – miejsca, z którego wędrowało się

zwyczajowo na cmentarz lub na Syberię. Ostatecznie wstąpił do kapucynów i założył wiele zgromadzeń zakonnych, w tym moje zgromadzenie. Sądzę, że jest to człowiek, który wyprzedził przynajmniej o sto lat swoją epokę.

Ojciec Honorat był świadkiem sytuacji społeczno-politycznej na przełomie XIX i XX wieku. Po upadku powstania styczniowego życie zakonne pod zaborem rosyjskim stało się niemożliwe, bo carat skasował wszystkie zakony i dążył do wyeliminowania osób zakonnych z życia publicznego. Zamknięto nowicjaty, nie pozwolono na przyjmowanie nowych kandydatów. On był już wtedy znanym spowiednikiem, do którego trafiały osoby z powołaniem zakonnym. Zaczął więc tworzyć grupy osób, które w swoim środowisku miały ewangelizować. Bezhabitowość była konieczna, aby to życie pozostało ukryte przed zaborcami, bo przecież nie można było działać oficjalnie.

Moje zgromadzenie, w dużym uproszczeniu, zostało skierowane do apostołowania w miastach i w sposób szczególny posłane do przyjeżdżających ze wsi dziewcząt, które wikłały się w problemy. Był to przełom XIX i XX wieku, czyli okres rewolucji przemysłowej. Ludzie wyjeżdżali z wiosek do miast w poszukiwaniu pracy. Wiele kobiet było kompletnie nieprzygotowanych do rozpoczęcia samodzielnego życia w miastach. Nie miały wykształcenia, trafiały na wykorzystujących je ludzi, stawały się ofiarami nadużyć swoich pracodawców, wiele trafiało w ręce sutenerów. Było to zjawisko dość powszechne. Dziś także czujemy się w sposób szczególny posłane do dziewcząt borykających się z problemami.

Składają siostry jakiś dodatkowy ślub jak niektóre zgromadzenia?

Nie. Składamy trzy śluby: czystości, ubóstwa i posłuszeństwa, ale w formule składanych ślubów zakonnych mamy zaznaczone, że składamy je jako wynagrodzenie za osoby grzeszące przeciw szóstemu i dziewiątemu przykazaniu, czyli jako wynagrodzenie za grzechy przeciwko czystości. Chcemy dla tych osób być ratunkiem, pomagać im żyć w miłości, starać się być antidotum na zło rodzące się z rozwiązłości.

Każdy zakon widzi w jakiś szczególny sposób Ewangelię, bo ona jest przecież jedna dla nas wszystkich. Upatruje jakąś niszę czy jakąś cechę Pana Boga, którą chce podkreślać. W naszym przypadku jest to postrzeganie Jezusa jako Dobrego Pasterza. On ciągle poszukuje. Nie stoi, nie czeka. Szuka zagubionych i tych, którzy od niego odeszli. Szczerze mówiąc, to jest dla mnie w Bogu najbardziej fascynujące, że On jest właśnie taki.

Co takiego wydarzyło się w życiu Siostry, że w pewnym momencie pojawiła się myśl o zakonie?

Jak wspomniałam, nigdy nie myślałam o życiu zakonnym. Moim celem było skończyć studia, zostać lekarzem i pracować w tym zawodzie. W rodzinie kładliśmy zawsze duży nacisk na wykształcenie. Nauka była dla mnie istotna, a medycyna to były trudne studia, które kosztowały mnie wiele wyrzeczeń. Pan Bóg na pewno nie był dla mnie wówczas numerem jeden. Był gdzieś na marginesie. Ja też nie pochodzę z jakiejś bardzo religijnej rodziny, powiedziałabym raczej średnia krajowa. Dodatkowo sprawę komplikował fakt, że mój tata był lekarzem wojskowym i jednocześnie oficerem, co wówczas niespecjalnie sprzyjało praktykowaniu. Pan Bóg jednak gdzieś tam zawsze był. Uczęszczałam do kościoła i na religię, przystępowałam do sakramentów, ale nic ponadto.

Przełomowe okazały się dopiero studia?

Tak. W tym okresie moi koledzy wciągnęli mnie do duszpasterstwa akademickiego Akademii Medycznej w Lublinie. Zaczęłam uczestniczyć w tych spotkaniach. Pamiętam, jak na jednym ze spotkań poznawaliśmy krucjatę wyzwolenia człowieka. To było wówczas czymś absolutnie nowym. Młodzież dobrowolnie rezygnowała na przykład z picia alkoholu, żeby wspierać osoby uzależnione. Poznawaliśmy cztery prawa duchowego życia i oddawaliśmy życie Jezusowi. Na jednym spotkaniu również oddałam swoje życie Jezusowi. Dzisiaj tak to odczytuję, że wszystko, co się później zadziało, było konsekwencją tego aktu mojej woli. Choć muszę wyraźnie zaznaczyć, że od momentu samego aktu do odkrycia mojego powołania upłynęło jeszcze bardzo dużo czasu.

Dodatkowo na drugim roku, który był dla mnie ciężki, zawarłam „umowę" z Bogiem: jeśli uda mi się zaliczyć egzaminy w sesji letniej w pierwszym podejściu, to w podziękowaniu pójdę na pielgrzymkę. Byłam już wcześniej na pielgrzymkach, ale nie przeżyłam ich dotąd jakoś nadzwyczajnie. Faktycznie, udało mi się pozaliczać wszystkie egzaminy i poszłam na tę pielgrzymkę. Tam zaczęło się ze mną coś dziać. Trudno to określić jakimś przeżyciem mistycznym. Po prostu nagle zaczęłam inaczej postrzegać Mszę św., modlitwę. Odkrywały się przede mną obszary, których wcześniej nie zauważałam, mimo że one zawsze były. Wróciłam z pielgrzymki z takim wewnętrznym głębokim przeświadczeniem, że po pierwsze, muszę przekonać się, kim jest Pan Bóg, tak naprawdę odkryć to dla siebie. Wtedy zaczął się dla mnie czas czytania lektur duchowych, doszukiwania się, kim Bóg jest, czego ode mnie oczekuje. Po drugie, wróciłam z przeświadczeniem, że On czegoś ode mnie chce, ale ja jeszcze nie wiem czego i muszę to koniecznie odkryć. Tak zaczęła się cała podróż, odkrywanie

powołania, które doprowadziło mnie do rozpoznania drogi zakonnej w konkretnym zgromadzeniu.

Jak trafiła Siostra właśnie do pasterzanek?

Na pielgrzymce była osoba, która uczestniczyła w rekolekcjach powołaniowych w naszym zgromadzeniu. Była ze mną w jednej grupie i ciągle opowiadała o pasterzankach. Zastanawiałam się, po co ta kobieta mi o tym mówi, co mnie to obchodzi? W ogóle nie zwracałam na to uwagi, chwilami mnie to nawet irytowało. Potem uświadomiłam sobie, że nie znam żadnej zakonnicy ani zgromadzenia. Odkrywałam, że chciałabym się zbliżyć do Boga, i rozpoznałam, że On chce mnie na wyłączną własność. Tak trafiłam na pasterzanki. Byłam jeszcze przez moment w domu, bo chciałam najpierw skończyć studia i zrobić staż. Dopiero po stażu wstąpiłam bezpośrednio do zgromadzenia.

Czy od początku wiedziała Siostra, że chce studiować medycynę?

O tym, że ma to być medycyna, wiedziałam od siódmej klasy szkoły podstawowej. Wywodzę się z rodziny z tradycjami medycznymi. Mój tata był lekarzem. Moja mama pracuje w służbie zdrowia, brat taty i bratowa również są lekarzami. Jednak decydującą rolę odegrał mój już świętej pamięci tata. Był dla mnie zawsze ideałem lekarza oddanego pacjentowi i temu, co robił. Z dzisiejszej perspektywy powiedzielibyśmy, że pracował przez wiele lat, mając nienormowany czas pracy. Miał rzadką specjalność na tamte czasy, był jedynym anestezjologiem w szpitalu, w którym pracował. Nigdy nie wiedział, kiedy będzie musiał jechać do pracy ani kiedy będzie mógł z niej wrócić. Szedł do pracy, bo miał kilka planowych operacji, ledwo wracał do domu, otrzymywał telefon, że za parę minut podjedzie pod dom sanitarka, bo wiozą kogoś z wypadku i potrzebny jest

anestezjolog. Całe lata funkcjonował w ten sposób. Dodatkowo był jeszcze anestezjologiem wojskowym. Miało to związek z wypadkami w wojsku, a my mieszkaliśmy wtedy na zachodzie Polski. Był człowiekiem, który pokazywał mi, że warto poświęcać się dla dobra innych, kierować się w życiu wartościami. Dziś myślę sobie, że w każdym z nas tkwi tęsknota, żeby zająć się czymś, co jest ważne, w co warto się całkowicie zaangażować. Kiedy byłam dzieckiem, znajomi i rodzina często mówili do mnie: „Ty to na pewno będziesz lekarzem", a ja przekornie odpowiadałam: „Nie, nie będę lekarzem". W siódmej klasie zdecydowałam jednak, że warto ten zawód wykonywać i że zrobię wszystko, żeby skończyć medycynę.

A wybór specjalizacji? Czy psychiatria to niszowy wybór wśród studentów medycyny?

Trudno mi powiedzieć. Nie śledzę tego, jak to dzisiaj wygląda. Za moich czasów, a studiowałam w latach 1985–1991, na psychiatrię było mało chętnych. To była specjalizacja stale niedoinwestowana. Ja rzeczywiście w pewnym momencie odkryłam tę psychiatrię dla siebie. Całe moje życie studenckie myślałam o specjalizacji zabiegowej, ale psychiatria mnie pociągała. Z czasem uświadomiłam sobie, że przez całe studia szukałam odpowiedzi na różne pytania z pogranicza psychiatrii i psychologii. Ta dyscyplina jako nauka od początku do mnie trafiała, podobały mi się wykłady, czułam się w niej jakoś na swoim miejscu. Na szóstym roku wiele osób przychodziło do mnie, żebym wytłumaczyła im jakieś zagadnienia z psychiatrii. Pomyślałam w pewnym momencie, że być może mogłabym to wykonywać jako swoją specjalność, niekoniecznie poprzestawać tylko na zainteresowaniu. Moje życie było już wtedy w pewnym stopniu związane z Panem Bogiem, to znaczy, brałam pod uwagę

to, czego On chce, zadałam Mu pytania i prosiłam o jakąś wskazówkę. Wahałam się też, kiedy pójść do zakonu, bo wiedziałam, że powołanie zakonne mam. Była jeszcze kwestia zrobienia stażu podyplomowego, żeby mieć prawo wykonywania zawodu. Nie wiedziałam, jak to wszystko poukładać. Kiedy już byłam w zakonie, poszukiwałam zatrudnienia jako lekarz psychiatra, znalezienie pracy po konsultacjach z przełożoną trwało około dziesięciu minut. Potraktowałam to jako zielone światło ze strony Pana Boga. Później bez specjalnej zwłoki zrobiłam specjalizację. Dzisiaj, kiedy patrzę na to wszystko z perspektywy lat, wiem, że w innej dziedzinie nie mogłabym robić tych wszystkich rzeczy, które obecnie są moim udziałem. To wszystko ułożyło się w logiczną całość. W tej chwili mogę spokojnie powiedzieć, że bardzo lubię swoją specjalizację i nie wyobrażam sobie innej.

Czym się Siostra na co dzień zajmuje?

Pracuję w poradni zdrowia psychicznego jako lekarz psychiatra. Jestem też od kilku lat wolontariuszką w Caritasie. Pracujemy z dziewczętami, które są zagrożone prostytucją i uwikłane w prostytucję. To dzieło nosi ogólną nazwę Misja Małgorzata. Zawiera się ono bardzo w charyzmacie mojego zgromadzenia i tego, co chciałyśmy jako zgromadzenie wykonywać, a właściwie do czego chciałyśmy wrócić.

O jaką Małgorzatę chodzi?

Nazwa misji pochodzi od Małgorzaty z Kortony, mało znanej średniowiecznej świętej i bardzo ciekawej postaci. Małgorzata przez kilka lat była kochanką młodego arystokraty, któremu urodziła dziecko. Dopiero fakt, że jej ukochany został zamordowany, spowodował jej nawrócenie. Poprzez swoją powikłaną drogę do Boga pokazuje, że nie ma takiego momentu

czy takiej sytuacji w życiu, kiedy nie można by zacząć od nowa, zamknąć jakiegoś rozdziału.

Jak wygląda praca w dziele Misja Małgorzata?

Mamy dyżury uliczne. Obecnie dzieło się rozszerzyło i biorą w nim udział także osoby spoza naszego zgromadzenia. Chodzimy dwa razy w tygodniu po tych rejonach Warszawy, o których wiemy, że możemy tam spotkać osoby uwikłane w prostytucję, i po prostu nawiązujemy z nimi kontakt.

Z jakimi reakcjami się Siostra spotyka? Przedstawia się Siostra od razu? Mówi, kim jest?

Nie, występujemy jako wolontariusze z Caritasu. W tej chwili mamy kontakt z osobami, które nas już kojarzą i znają. Natomiast generalnie jesteśmy albo wolontariuszami z Caritasu, albo misjonarkami, jak osoby, które z nami współpracują. Różne są reakcje. Jak sobie przypomnę początki naszej pracy, 2008 rok, to raczej dużo pozytywnych reakcji, dużo otwartości ze strony tych osób. Nawiązywanie relacji zazwyczaj wymaga czasu. Zasadą jest właśnie nawiązywanie relacji. Nie pouczanie kogoś ani moralizowanie.

Ktoś mógłby powiedzieć, że zakonnica wychodzi na ulice, by nawracać.

Nie, nie idę tam nawracać. To nie tak wygląda i nie na tym to polega. Ma to być po prostu spotkanie dwóch osób, które są dla siebie ważne. Chcemy szczególnie docierać do tych, którzy mają przeświadczenie, że są nic niewarci. Nie postrzegamy tych osób przez pryzmat tego, co robią. Nie znamy ich historii. Często, o czym się wielokrotnie przekonałam, są bardzo dramatyczne. Ja chcę zawsze takiemu człowiekowi powiedzieć: „Jesteś dla mnie ważny jako osoba, z którą mogę porozmawiać, spotkać się. Jeśli będziesz

kiedykolwiek chciał zmienić swoją sytuację, to wiedz, że postaram ci się pomóc". Z takim przekazem wychodzę na ulice.

Czy można mówić o realnych efektach takiej pracy?

Trudno szacować tu efekty, bo poruszamy się w wymiarze bardzo wewnętrznym. Mogę jednak na podstawie kilku sytuacji powiedzieć, z czego się cieszę. Cieszę się z osoby, którą poznałam w niełatwych okolicznościach, a która dawno porzuciła to, czym się zajmowała. Dziś ma fajną rodzinę, radzi sobie, znalazła pracę. Robi wszystko, by nie wrócić do prostytucji. Druga osoba po latach wróciła do szkoły, zaczęła się uczyć. Trzecia osoba poszła na studia, w tej chwili pracuje, jest szczęśliwa.

Na przestrzeni lat poznałyśmy też kobietę, która miała bardzo trudne życie. Była wielokrotnie ofiarą i świadkiem przemocy, a także świadkiem samobójstwa bliskiej osoby. Maltretowana przez swojego konkubenta, który korzystał z jej sposobu zarobkowania. W którymś momencie poważnie zachorowała na nowotwór. Trafiła najpierw do szpitala, później do hospicjum. Tam ją odwiedzałyśmy. Im bardziej choroba się przedłużała, tym mniej osób do niej zaglądało. Na koniec już tylko my. Ta kobieta wierzyła po swojemu. Mówiła do nas: „Wiem, że po drugiej stronie coś jest". Wyspowiadała się i umarła. Poszłyśmy na pogrzeb, nie pierwszy zresztą, bo zawsze odprowadzamy nasze podopieczne. Pamiętam, że na tym pogrzebie byłyśmy tylko my trzy za trumną. Miałam wtedy taką refleksję, że kiedy była „potrzebna", a właściwie wykorzystywana jak przedmiot, to kręciło się wokół niej pełno ludzi. Kiedy przechodzi na tamtą stronę, jesteśmy tylko my. Mocno wierzę, że ona jest już po tamtej stronie i czeka na nas, tak jak czekała kiedyś w jednej z warszawskich bram. Mam nadzieję, że kiedyś będzie na nas

czekała już w innej bramie i że nas przywita jak zawsze, mówiąc: „Cześć, dziewczyny".

Inna historia jest dość podobna. Osoba w podeszłym już wieku, która do niedawna trudniła się prostytucją. W końcu zaniemogła zdrowotnie. Też miała bardzo skomplikowane życie. Przebywała w więzieniu, żyła na ulicy. W ostatnim okresie jej życia jedna ze współpracujących z nami sióstr regularnie ją odwiedzała. Ta kobieta wyspowiadała się przed śmiercią. Pamiętam, że na jej pogrzebie czytany był fragment Ewangelii akurat przypadający na ten dzień: „Celnicy i nierządnice wejdą przed wami do Królestwa Niebieskiego". Dla mnie są to czytelne znaki. To, że ktoś w ostatniej chwili mógł się wyspowiadać, to są rzeczy, które cieszą. Reszta pozostaje tajemnicą między Bogiem a konkretnym człowiekiem.

Kilka miesięcy temu papież Franciszek spotkał się na obrzeżach Rzymu z grupą byłych prostytutek, za co między innymi spotkały go zarzuty o to, że po raz kolejny za bardzo koncentruje się na „zagubionych owcach". Na prostytutkach, bezdomnych, wykluczonych, niewierzących. Czy widzi Siostra wysiłek Kościoła, by szukać tych, którzy są daleko?

Odwołałabym się do przypowieści o miłosiernym ojcu, czy w starej wersji o synu marnotrawnym. Mamy w niej dwóch synów, z których właściwie żaden nie kochał ojca. Pytanie brzmi, z którym synem bardziej się utożsamiamy. Z tym, który mówi do ojca wprost, że nie chce, by ojciec już żył, i domaga się połowy majątku, czy z tym, który wypomina ojcu, że zawsze wiernie mu służył, a nie dostał nigdy nic, by się zabawić? Czy ten drugi syn kochał ojca? Co takiego musiało się zadziać w sercu tego „przyzwoitego", że nie czuł się częścią domu ojca, nie czuł więzi z ojcem ani ze swoim bratem?

Odpowiadając na pani pytanie: każdy z nas jest grzesznikiem. Nie wiadomo, jak wyglądałaby moja droga, gdybym urodziła się w innej rodzinie, w innym domu, w innych okolicznościach. Wiem, że grzeszę tak samo jak osoby, nazwijmy je, wykluczone. Moje grzechy może nie są tak rzucające się w oczy albo są trochę inne, ale czymże się różnię od innych? Oczywiście, są grupy osób w Kościele czy na obrzeżach, do których powinny być dostosowane różne formy duszpasterstwa. Bo inaczej wygląda kontakt z osobami zaangażowanymi w Kościół, działającymi na przykład w neokatechumenacie, a inaczej z osobą, która faktycznie Panu Bogu się nie narzucała. To jest dla mnie oczywiste, że powinna być inna forma przekazu. Ewangelia jest jedna, ale należy dostosować formę przekazu. Pyta pani, czy Kościół wychodzi na obrzeża? Uważam, że tak. Wystarczy choćby raz pojechać na Przystanek Jezus i zobaczyć, co się tam dzieje.

Co się dzieje na Przystanku Jezus? I po co siostry zakonne jadą na Woodstock? Czy chodzi o to, żeby kogoś nawracać?

Proszę pozwolić, że zacytuję w tym miejscu s. Annę Bałchan, która powiedziała kiedyś, że nawrócić to się może krowa ze szkody. Ja też, będąc ileś lat w zakonie, nieustannie próbuję się nawracać i nic z tego nie wychodzi. Wielokrotnie wracam do tych samych grzechów i słabości. Nie o to chodzi, żeby kogoś nawracać. Nie wiem, po co jeżdżą inne siostry zakonne na Przystanek Woodstock. Ja kilkakrotnie jeździłam tam po to, żeby spotkać się z ludźmi i powiedzieć im o Jezusie, o moim doświadczeniu miłości Bożej. Miałam też tam każdorazowo doświadczenie tego, że autentycznie żyjący Kościół z żywym Jezusem wychodzi do ludzi, żeby ich szukać. Tam spotyka się wiele osób. Wielu przyjeżdża dla muzyki. Dla innych jest to forma odreagowania stresu, codziennych zajęć. Osobiście nie umiałabym odpoczywać w takich warunkach, ale to

kwestia wrażliwości. Nic do tego nie mam. Jest za to na Woodstocku zawsze wiele osób, które zdają się czegoś lub kogoś poszukiwać.

Czy na Przystanek Jezus jedzie się z takim przekonaniem, że oto ktoś lepszy przychodzi do tego gorszego?

Nie wiem. Osobiście chyba nie doświadczyłam tam takich motywacji. Wiem za to, że na Przystanku Jezus można spotkać wiele osób, którym to wydarzenie zmieniło życie. Wśród ewangelizatorów jest na przykład chłopak, który kiedyś został znaleziony w śmietniku na Woodstocku przez ludzi z Przystanku Jezus. W tej chwili przyjeżdża jako ewangelizator, założył rodzinę, ma dzieci.

Jeśli się idzie ewangelizować, to można mówić wyłącznie o tym, co się samemu przeżyło. Tu nie chodzi o to, żeby ktoś komuś cytował katechizm. To się nie sprawdza. Chodzi o opowiedzenie komuś, że ja spotkałem Boga i coś w moim życiu się zmieniło. Uważam to za coś naprawdę bardzo wartościowego i chcę się tym dzielić z tobą. Ale w wolności. Jeśli nie chcesz rozmawiać, to ja to przyjmuję i szanuję. Wiele osób przyjeżdża na Woodstock, żeby skorzystać ze spowiedzi na Przystanku Jezus. Nie pójdą do siebie do kościoła, bo mają różne doświadczenie parafii, księży. Tutaj spotykają Kościół, który po nich wychodzi. Ma dla nich propozycję, z której mogą, ale nie muszą, skorzystać.

Jako ewangelizatorka wierzę w to, że to Jezus mnie tam posyła. Wiele razy namacalnie to odczułam. Na ostatnim Przystanku mocno utkwiło mi w pamięci spotkanie z chłopakiem, który w wypadku samochodowym stracił narzeczoną oczekującą ich dziecka. Ten chłopak dzielił się z nami tym tragicznym przeżyciem. Pamiętam księdza w sutannie, który pochylił się nad tym chłopakiem, i utkwił mi w głowie obraz stuły tego kapłana

powiewającej po ziemi w tym brudzie, kurzu, pomiędzy walającymi się butelkami i papierem toaletowym. Obraz tego smutnego chłopaka bardzo mocno utkwił mi w głowie. Do dziś mam przekonanie, że wtedy to Jezus pochylił się nad tym chłopakiem.

Ufam, że tam, gdzie jest dobro i miłość, tam jest Bóg. Ludzie zawsze czegoś poszukują. Część osób szuka na Przystanku odpowiedzi na swoje pytania. Wszyscy mamy wdrukowane jedno: chcemy być kochani i kochać. Na różne sposoby próbujemy do tego dochodzić. Jeśli nie znajdujemy prawdziwej miłości, usiłujemy sobie pomóc różnymi namiastkami. Spotkałam tam osoby z bardzo różnym doświadczeniem Kościoła, nie zawsze pozytywnym. Spotkałam także wielu ludzi z ogromną wiedzą, którzy nawiązując rozmowę, byli do niej świetnie przygotowani.

W jakim stopniu Kościół dzisiaj jest adresatem ludzkich pytań? Dlaczego młodzi ludzie mają odwagę zadawać pewne pytania dopiero na Woodstocku?

Trudno mi powiedzieć. To zależy od księży w parafii, katechetów. Niewątpliwie należałoby wychodzić i konfrontować się z tymi pytaniami. Nie wiem, jak to jest być księdzem w parafii. Natomiast generalnie bywa tak, mówię to też na postawie Woodstocku, że część duszpasterzy wydaje się dość zamknięta na alternatywne formy ewangelizacji. Pewnie, nie każdy jest powołany, żeby rozumieć specyfikę ewangelizacji na Przystanku. Księża, którzy tam przyjeżdżają, robią to w ramach własnego urlopu. Spotkałam tam między innymi księdza, który miał około siedemdziesięciu pięciu lat. Przyjechał pierwszy raz na Woodstock i był zachwycony. Ludzie przychodzili do niego do spowiedzi. Tam zazwyczaj są ogromne kolejki do spowiedzi, więcej chętnych niż

spowiedników. Każdy zostaje wysłuchany. Nie ma stygmatyzowania.

Pewnie na polach Przystanku ludzie mają większe zaufanie. Nie mają obawy, że ktoś na nich nakrzyczy czy od razu ich oceni.

Pewnie tak. Niewątpliwie, są różne grupy wiernych w Kościele i jest miejsce dla każdego. Jest też miejsce na różne formy duszpasterzowania. Osoby, które nie czują, że mogłyby wyjść na zewnątrz, na pewno znajdą tych wiernych w kościele, ale jest też grupa osób, która sama raczej nie przyjdzie. Ja w takiej sytuacji zadaję sobie pytanie, co zrobiłby Jezus. Myślę, że szukałby tych, którzy są daleko. Zwłaszcza że On nie czekał w miejscu, żeby do niego przyszli. Fakt, przychodzili sami. Ale On też sam wychodził po ludzi i sam nawiązywał relacje. Tak to działa.

Powróćmy na moment do Siostry zawodu. Czy bycie lekarzem psychiatrą i bycie siostrą zakonną to są dla Siostry dwa rodzaje powołań czy jedno?

Dwa rodzaje powołań.

A czy któreś jest ważniejsze?

Ważniejsze jest bycie osobą konsekrowaną. To ono określa moją tożsamość. W ramach tego zawiera się to, że jestem psychiatrą.

Czy w Siostry praktyce zawodowej na przestrzeni lat zdarzyły się sytuacje, kiedy miała Siostra poczucie, że jedno wchodzi z drugim w konflikt?

Trudno powiedzieć, bo według mnie nie ma tu sprzeczności. Natomiast generalnie wiem, że są różne podejścia na przykład w ramach psychologii, że się oddziela te rzeczy. Są księża terapeuci, którzy trzymają się zasady, że kiedy są terapeutami, to są terapeutami, a bycie księdzem schodzi wtedy na dalszy plan. Jakoś to oddzielają. Ja tego nie oddzielam. Zawsze jestem sobą.

Czy między religią a zdrowiem psychicznym zachodzą korelacje? Wiele badań dowodzi tego, że ludzie religijni czy wierzący są szczęśliwsi i zdrowsi psychicznie. Jakie Siostra ma obserwacje?

Spotkałam się rzeczywiście z takimi badaniami. Jeżeli o mnie chodzi, to po prostu wiem, że jako ludzie mamy głęboką potrzebę szeroko rozumianej duchowości. Nie tylko jako obszaru, gdzie liczy się czynnik religijny i wchodzi w grę osoba Boga, ale też duchowości jako poczucia piękna, dobra, prawdy. Mamy w sobie część biologiczną, czyli poziom funkcjonowania naszych organów; część psychiczną, czyli emocje, popędy, odczucia, myślenie i przeżywanie rzeczywistości, oraz jest jeszcze wyższe piętro, miejsce, gdzie spotykamy się z Bogiem. Ja akurat wierzę w Boga osobowego. Ale jakkolwiek byśmy rozumieli tego kogoś, kto jest dla nas jakimś autorytetem czy bóstwem, to jest właśnie to miejsce.

Czyli pewna integralność?

Tak. Obszary te są na tyle ze sobą powiązane, że jeśli coś w jednym z nich nie działa jak trzeba, to pozostałe też zaczynają szwankować. Osoby religijne wierzą w to, że wszystko, co się wokół nich dzieje, ma jakiś sens. Jest cierpienie, ale jest i nadzieja. Myślę, że takie poczucie sensu daje wiara rozumiana jako relacja z kimś wyższym, a nie wiara traktowana jako zestaw nakazów, zakazów i różnych formułek. Relacja z kimś, kto kocha, kto jest nad tym wszystkim. Z tego rodzi się nadzieja. Natomiast otwarta pozostaje jeszcze kwestia, czy ktoś w ogóle ma potrzeby duchowe, czy ma rozwinięte życie wewnętrzne, czy jest w stanie zauważyć, że jakiś obszar mu na przykład nie działa. Są osoby, które funkcjonują na poziomie niższym i wtedy trudno odwoływać się do czegoś więcej.

À propos – człowiek jest biologią. Czy kiedykolwiek, obserwując choroby psychiczne i fizyczne, pomyślała Siostra, że może Bogu coś się nie udało, może nas z jakimś błędem zaprojektował?

Pojawiały mi się na przestrzeni lat różne kryzysy spowodowane pytaniami, przede wszystkim doświadczeniem jakiejś formy niezawinionego cierpienia czy przemocy, która nie mieściła się w moim odbiorze. Dalej noszę w sobie mnóstwo pytań. Rzeczywistość, która nas otacza, daleka jest od ideału. Odwołując się do życia Jezusa, tamta rzeczywistość też nie była sielankowa. Ludzie zawsze są tacy sami. Zdobycze kulturalne i cywilizacyjne są wprawdzie na innym poziomie, ale ludzkie namiętności, grzechy są od lat takie same. Nikt nam zresztą nie obiecywał niczego innego. Religia nie jest opium dla ludu, jakąś podpórką dla ludzi słabych. Jeżeli ktoś uważa, że religia jest dla słabych, to proponuję mu, żeby przebaczył temu, kto go skrzywdził. To jest oznaka słabości czy charakteru?

Czy zdarzało się Siostrze kiedykolwiek być adresatem pytań o to, gdzie w tym wszystkim jest Bóg? W przypadku tych mocno pokiereszowanych ludzkich losów, jakiegoś cierpienia fizycznego lub psychicznego?

Bardzo często bywam konfrontowana z takimi pytaniami. Ale przyznam od razu szczerze, że odpowiedzi na nie po prostu nie ma. Cierpienie jest tajemnicą, zawsze nią było i dalej jest. Oczywiście można w tym miejscu zrobić cały wykład o chrześcijańskiej teologii grzechu, ale to nie o to przecież chodzi. Nie wiemy, dlaczego Pan Bóg dopuszcza różne rzeczy i niełatwo jest pocieszyć człowieka, który doświadcza cierpienia. Można mu różne rzeczy tłumaczyć, ale najczęściej niczemu to nie służy. Wiemy jednak, że nasz Bóg sam przeszedł przez cierpienie. Mam gdzieś taki

obrazek, na którym jest napisane: „Mam doła. Nie dotykać. Nie ruszać. Nie pocieszać. Płakać razem ze mną". Czyli nie mieć na wszystko gotowych odpowiedzi. Myślę sobie, że Bóg zrobił właśnie to samo. Przyszedł i był. Ludzie do dziś nieustannie stawiają pytania, gdzie był Bóg w Auschwitz, gdzie był, kiedy ludzie ginęli w komorach gazowych. Mnie wtedy przychodzi na myśl tylko jedno: Bóg był z tymi, którzy cierpią. Zawsze jest z tymi, którzy cierpią. Wierzę, że kiedyś zrozumiemy to wszystko po tamtej stronie. Natomiast w tej chwili dawanie łatwych odpowiedzi osobie, która cierpi, jest bez sensu.

Czy kiedykolwiek spotkała się Siostra z tym, że psychologia czy psychiatria jest w Kościele traktowana z podejrzliwością?

To się bardzo zmienia. Generalnie można chyba mówić o dwóch nurtach. W pierwszym całą duchowość można sprowadzić do roli psychologii, coś w rodzaju przepsychologizowania duchowości. To jedno niebezpieczeństwo. Drugie to niezauważanie psychologii czy przesadna obawa, że psychologia może odwieść od Pana Boga. To też zależy od tego, o jakim nurcie mówimy i jak do niego podchodzimy.

A czy psychologia może odwieść od Boga?

Jeśli się zacznie tłumaczyć pewne rzeczy w sposób czysto psychologiczny, to można czasem dojść do absurdów. Jak bowiem od strony psychologicznej wytłumaczyć osobiste doświadczenie Pana Boga? No można bardzo różnie wytłumaczyć. Jak pani sądzi?

Można sprowadzić je pewnie nawet do choroby psychicznej.

Otóż to.

Czy ta praca z osobami jakoś wykluczonymi, nazywanymi czasem ludźmi z marginesu, to był świadomy wybór Siostry, czy tak życie się potoczyło?

Kiedy dziś odczytuję to w kluczu powołania, to myślę, że ten rodzaj pracy jest czymś najbardziej fantastycznym, co mogło mi się przydarzyć, choć przyznaję, że czasem bywa ona męcząca. Pierwsze, co mnie określa, to powołanie franciszkańskie. To znaczy życie Ewangelią w taki sposób, jak ją odczytywał św. Franciszek. Nasze zgromadzenie założył kapucyn, ślubujemy żyć według Reguły franciszkańskiej. Święty Franciszek zrobił przewrót kopernikański w Kościele. Nie chcę tu za głęboko wchodzić w jego duchowość. To były inne czasy, średniowiecze, inny podział społeczny, inna mentalność ludzi. Generalnie jednak św. Franciszek odkrył Boga jako tego, kto się uniża i z miłości do człowieka rezygnuje ze swoich wszystkich przywilejów i prerogatyw boskich. Przychodzi jako najbiedniejszy z biednych, chce być jednym z nas. To z tego wywodzi się franciszkańskie ubóstwo. On chciał być ubogi jak Jezus. I chodzi tu o ubóstwo szeroko rozumiane, nie tylko materialne. Franciszek, będąc spadkobiercą majątku ojca, zrezygnował z rodzinnej firmy i zamieszkał z bezdomnymi na „dworcu" – tak byśmy to nazwali z dzisiejszej perspektywy. Zrobił to nie dlatego, że był ekscentrykiem, ale dlatego, że chciał naśladować Jezusa. Powołaniem św. Franciszka było więc bycie wśród najmniejszych, odrzuconych. Wychodząc z tej duchowości, ja też czuję się posłana do wykluczonych. Druga szalenie bliska mi kwestia to przykład Jezusa, który wychodził do ludzi i nie przebywał tylko w miejscach ekskluzywnych i świętych. Był wielokrotnie przyczyną zgorszenia wśród swoich współwyznawców. Jadał z celnikami i grzesznikami, żeby pokazać, jaki naprawdę jest Bóg. Ja też jestem przekonana, że Bóg jest właśnie taki, że pierwszy wychodzi i szuka człowieka. To jest dla mnie Jego najbardziej istotna własność czy cecha

charakterystyczna. Osobiście tą cechą jestem zafascynowana. Ona się wpisuje w naszą duchowość i tak ją odczytuję.

Współpracuje Siostra także z egzorcystami, których działalność wywołuje wiele kontrowersji, emocji, a nierzadko wzbudza niechęć. Jak Siostra sądzi dlaczego?

W niektórych krajach jest wysyp zainteresowania tego typu formą pomocy i przybiera to czasem nawet niezdrowe przejawy. Z jednej strony jest tendencja, by tłumaczyć, że wszystko jest spowodowane złym duchem, a z drugiej strony pojawiają się głosy, które mówią, że wszystko da się wytłumaczyć w sposób naturalny.

Czy są jakieś wytyczne, które regulują, kiedy należy sięgać po tak nadzwyczajne środki?

Są jasno określone wskazania dla działania egzorcystów. Po występowaniu pewnych charakterystycznych cech czy objawów można przypuszczać, że ktoś może być poddany egzorcyzmowi lub że coś budzi wątpliwość.

Jakie to cechy?

Są to między innymi: nadludzka siła, znajomość rzeczy, których dana osoba nie ma prawa znać, awersja do rzeczy świętych. To trzy zasadnicze zjawiska, w przypadku których mogą pojawić się przesłanki do konsultacji i fachowej pomocy. Chciałabym tu jednak bardzo mocno zaznaczyć, że podstawową sprawą nie jest zaraz bieg do egzorcysty, lecz życie sakramentalne, które stanowi podstawę do tego, by trwać w łasce uświęcającej. Czasem odnosi się wrażenie, że w tym pędzie do egzorcysty albo dziwnej ekscytacji jego działalnością zakłada się, że diabeł jest kimś równym Panu Bogu. Nie ma nic bardziej mylnego. Pan Bóg jest nad tym wszystkim, diabeł jest Jego stworzeniem. To nie są dwie porównywalne siły i nie należy ich tak traktować.

Czy egzorcyści współpracują z psychiatrami?

Tak. Ja mam doświadczenie współpracy. Część psychiatrów w ogóle neguje istnienie życia duchowego, a także istnienie osobowego zła. Uważają oni, że wszystko, co jest, da się wytłumaczyć chorobą psychiczną. Osobiście jednak mam doświadczenie, że nie wszystko da się wytłumaczyć chorobą psychiczną. Są zjawiska, które sugerują, że poza chorobą psychiczną występuje jeszcze coś innego. Mam też doświadczenia w drugą stronę.

Co to znaczy?

To znaczy, że na przykład zastanawiam się nad jakimś konkretnym przypadkiem, wydaje się, że coś może być wynikiem działania złego ducha. Objawy są niecharakterystyczne, są dziwne dla choroby psychicznej. Nie do końca jestem przekonana, że jest to kwestia tylko psychiatryczna, na leki jest słaba reakcja albo żadna. Odsyłam pacjenta do egzorcysty. Egzorcysta się modli i stwierdza w pewnym momencie, że to nie jego działka. Rozmawiamy o tym, analizujemy, zastanawiamy się wspólnie i dochodzimy do wniosku, że nie egzorcyzm, tylko leczenie.

Czy pacjent jest gotowy na taką konsultację z egzorcystą?

Przede wszystkim nie wygląda to tak, że pacjent przychodzi, mówi „dzień dobry", a ja wysyłam go na konsultację do egzorcysty. Nie. To tak nie działa. Do tego prowadzi bardzo długa droga. Są odpowiednie wskazania. Muszę mieć pewność, że ta osoba prowadzi jakieś życie wewnętrzne, że to jest dla niej ważne, żeby coś uporządkować. Jeżeli mam wątpliwości, ale widzę, że osoba jest z dala od Kościoła, to nie forsuję egzorcysty na siłę. Dużo częściej niż do egzorcysty zdarzało mi się posyłać wierzących pacjentów, dla których Pan Bóg był ważny, do spowiedzi. Nawet z takich względów, by mogli oczyścić swoje poczucie winy. To się

ze sobą łączy. Kiedy widzę, że pacjent zupełnie nie ma gotowości przebaczenia pewnych rzeczy samemu sobie, coś wraca przy okazji depresji czy zaburzeń tego typu, kiedy te historie życia są bardzo skomplikowane, to zdarza się, że proponuję osobom wierzącym, by odbyły spowiedź z całego życia. Wielu osobom bardzo to pomogło.

Ktoś mógłby powiedzieć, że to jest psychologiczne zagranie.

Owszem, mógłby, ale tak nie jest. Ja często mogę kogoś wysłuchać, mogę mu współczuć, ale nie mam możliwości powiedzenia mu: „Wymazuję ci to, nie masz już tego grzechu, nie chodź z nim więcej, jesteś wolny". Nie mam takiej władzy. Jeszcze raz podkreślam, to można powiedzieć tylko osobom wierzącym i zaangażowanym, dla których życie sakramentalne ma wartość, które rozumieją, czym jest spowiedź. Istotne jest także, by na taką spowiedź nie iść „z partyzanta" do pierwszego lepszego księdza, wiąże się to bowiem z pewnym procesem przygotowywania się. Proszę się jednak nie obawiać. Na pewno nie jest tak, że każdemu, kto do mnie przychodzi, proponuję, by poszedł do spowiedzi generalnej. Jak mówi pewna moja znajoma: „Trzeba wiedzieć, z czym do gościa".

Jak definiuje Siostra istotę swojego życia? Dlaczego jest zakonnicą i żyje ślubami?

Spróbuję na to odpowiedzieć, posługując się pewnym obrazem. Wyobraźmy sobie kielich wykonany przez jubilera. Jeśli jest zakonsekrowany, można go używać wyłącznie do Mszy św. Nikt go nie weźmie na imieniny do cioci. Ten kielich jest do czegoś. Osoba konsekrowana stanowi wyłączną własność Boga. Potwierdza, że chce należeć tylko do Niego. Szeroko to ujmując, każdy z nas należy jakoś do Boga, ale życie zakonne jest pewnym

rodzajem wyłączności, absolutną zgodą i wyłączeniem z innych obszarów życia. Dlatego na przykład nie zawieramy małżeństw.

Gdzieś na marginesie powiedziała Siostra, że istotą Kościoła nie jest apostolstwo, czyli jeżeli dobrze rozumiem, istotą wyboru Siostry także nie jest ciągłe działanie. O co więc chodzi w takim życiu?

Istotą jest bycie w relacji z Jezusem. To jest podstawa. Bo czy zakony klauzurowe, które nie apostołują, są niepotrzebne? Dlaczego św. Teresa z Lisieux, która nie zrobiła kroku poza klauzurę, a wstąpiła do karmelu, mając lat piętnaście, została patronką misji? Jak się ma jedno do drugiego? Aktywność dla aktywności nie jest celem Kościoła ani życia zakonnego. Jeżeli apostołujemy, to po coś. Po to, żeby pokazać, że jest inna rzeczywistość. Jezus też wszystkich nie nawrócił. Przez trzydzieści lat prawie nikt nie wiedział o Jego istnieniu. Ktoś mógłby powiedzieć, że przez te trzydzieści lat prawie nic nie zrobił. Tylko trzy lata trwał okres jego publicznej działalności. Można by zadać pytanie: dlaczego nie trzydzieści? Dlaczego te proporcje nie były odwrotne? To też pokazuje perspektywę. Swoich uczniów Jezus powołał przede wszystkim po to, by byli z Nim, a dopiero później, by mógł ich wysyłać na głoszenie.

Co należy porzucić, decydując się na życie, które Siostra wybrała, czyli życie zakonne?

Na pewno trzeba porzucić wygodę. Można sobie oczywiście stworzyć gniazdko, ale nie o to chodzi. Należy porzucić przekonanie, że w życiu zawsze będzie mi dobrze, że nie będzie stresu, że będę miała swoje podwórko i swój ulubiony fotel, i to się nigdy nie zmieni. Trzeba też porzucić swoje plany na życie, jakąś formę dążenia do samorealizacji, bo nie o to w tym wszystkim chodzi. Trzeba zaakceptować, że nie zawsze wszystko

musi się dziać według mojej woli. Niezależnie od tego, czy człowiek jest w zakonie czy w małżeństwie, zawsze jest coś, z czego rezygnujemy w imię czegoś większego. Kwestia posłuszeństwa. Pewien jezuita powiedział kiedyś coś, co do mnie bardzo trafiło: „Dlaczego mam nie zrobić czegoś, o co ktoś mnie bardzo prosi?". Zobowiązałam się do tego, że chcę robić to, o co mnie poproszą. I tak staram się żyć. A że rodzą się w życiu różne frustracje, kryzysy, pytania o logikę i sens, to się rodzą. Nikt nikomu na naszej drodze nie mówi, że będzie łatwo. Akurat tego Jezus w żadnym miejscu nie gwarantuje. Taka deklaracja nigdzie nie pada. Sprawdza się za to Jego obietnica, że jeśli porzuci się dom i najbliższych, to w zamian otrzyma się więcej domów, braci i sióstr. Sprawdzają się wszystkie Jego obietnice, ale ta o łatwym życiu nigdy nie padła.

Co jeszcze z tych obietnic sprawdziło się w życiu Siostry?

Powiem tak: sama nie wymyśliłabym sobie takiego scenariusza, jaki mi Pan Bóg zafundował. W najśmielszych oczekiwaniach nie myślałam, że wyląduję w takich miejscach, z takimi ludźmi, w takiej konfiguracji i że moje życie będzie tak oryginalne. Krótko mówiąc, Pan Bóg ma szalone poczucie humoru i wielokrotnie się o tym przekonałam. Rzeczy po ludzku niemożliwe, stają się możliwe. Bóg ma masę pomysłów na to, żeby życie było bogate, twórcze, nieprzewidywalne. Bo moje życie takie jest.

A czy w życiu zakonnym istnieje ryzyko konserwacji starych przyzwyczajeń, utartych schematów i przywiązania do struktur? Przed takim ryzykiem ostrzegał ostatnio papież Franciszek podczas spotkania z duchowieństwem.

Takie ryzyko oczywiście istnieje. To ryzyko pewnego zamknięcia. Tak jak istotą życia małżeńskiego jest więź, tak samo jest ona istotą życia zakonnego. Tylko że w tym drugim przypadku mówimy

o więzi z Bogiem. Jeśli stawiamy jakieś schematy ponad Ewangelię czy ponad miłość, to możemy zacząć iść w niezbyt dobrym kierunku. Wtedy owszem, można myśleć schematami, a nie Ewangelią. Albo ktoś się w ogóle zwalnia z myślenia na zasadzie: tak zawsze było, to tak trzeba robić. I nie chodzi o to, by znieść jakieś prawa często funkcjonujące od pokoleń i mające swoje uzasadnienie. Chodzi o to, by w ramach tych praw pozostać chrześcijaninem. Żeby to prawo nie okazało się ważniejsze od bycia chrześcijaninem czy bycia siostrą zakonną.

Jezuita James Martin powiedział kiedyś: „Dla chrześcijanina nie ma żadnego »innego«. Nie ma żadnych »onych«, jesteśmy tylko »my«. Czas, by skończyć z tym »my« i »oni«. Nie ma miejsca na »onych« w Kościele, bo dla Jezusa nie było żadnych »onych«". Jak nie zamykać się na innych?

Jest jeden sposób, który może brzmieć abstrakcyjnie, ale abstrakcyjny nie jest. Patrzenie na to wszystko oczami Jezusa. Zerwanie z myśleniem schematami, czyli na przykład nieocenianie czyjegoś życia wiary po liczbie przyjętych Komunii Świętych czy po uczestnictwie we Mszy św. One oczywiście mają ogromną wartość. Ale Bóg patrzy inaczej. Widzi to, co w sercu. Nie znamy nigdy całej drogi drugiego człowieka. Nie wiemy o licznych uwarunkowaniach, o tym, co przeszedł i z czym w życiu musiał się zmierzyć. Każdy z nas ma jednak doświadczenie własnej grzeszności, chyba że jest całkowicie bezrefleksyjny lub bezkrytyczny. Decydujące jest zatem przyjęcie tego drugiego jako grzesznika. Oraz, co może okazać się równie trudne, przyjęcie siebie samego jako grzesznika. Ten problem jest aktualny od czasów Jezusa. Celnik i faryzeusz. Bogu zależy na każdym i On inaczej to wszystko ocenia. Myślę, że kto choć raz w życiu porządnie zgrzeszył, będzie wiedział, o co w tym wszystkim chodzi.

O co tak naprawdę w życiu chodzi? Co jest – zdaniem Siostry – najważniejsze?

Tu akurat nie muszę się długo zastanawiać: miłość.



Kwestie życia i śmierci

Siostra Augustyna Milej należy do Zgromadzenia Sióstr Boromeuszek, które znane są z tego, że pracują w szpitalach i posługują w służbie zdrowia. Po skończonym liceum medycznym wstąpiła do zgromadzenia zakonnego. Pracowała jako pielęgniarka, a następnie została wysłana na studia medyczne i specjalizację do Rzymu. Po trzynastu latach spędzonych we Włoszech oraz po roku w Afryce wróciła do Polski. Szybko

przekonała się, że ginekolog w habicie niejednokrotnie ma do czynienia z dystansem i niezrozumieniem.

Siostra Augustyna Milej cieszy się za każdym razem, gdy uda jej się pomóc pacjentce. Doświadcza wdzięczności par, które długo borykały się z niepłodnością, a dziś mają dzieci. Utrzymuje kontakty z pacjentkami, których poród odbierała, oraz z ich dziećmi. Ma świadomość niezwykłej wagi swojego zawodu: „To jest rodzenie się i umieranie. Poród niesie z sobą bardzo dużo niebezpieczeństw. Nam się wydaje, że jest to rzecz powszechna, bo każdy z nas jakoś się urodził. Ale to jest sprawa niezwykle skomplikowana i poważna".

Wśród pacjentów zdecydowanie dominują wysokie oceny i rekomendacje pracy siostry Augustyny Milej. Jedna z pacjentek napisała: „Konkretna babka. Lekarz ten potrafi poświęcić czas pacjentom. Przyjęła nas pomimo tego, że dopiero schodziła z dyżuru nocnego. Podchodzi indywidualnie, a nie na odwal, jak reszta ginekologów, którzy na wszystko przepisują środki antykoncepcyjne. Niesamowita osobowość. Polecam".

Naszą kilkugodzinną rozmowę siostra Augustyna rozpoczęła od wyznania, które zapadło mi w pamięć: „Szczerze powiedziawszy, trochę się

dziwię, że siedzę na tym miejscu. Tak się życie potoczyło. Widocznie taki był plan. Dojrzewam coraz bardziej do tego, żeby go nie psuć".

Jakie okoliczności zadecydowały o tym, że wybrała Siostra życie zakonne?

Każda odpowiedź na pytanie, jak zrodziło się czyjeś powołanie, jest wielopłaszczyznowa. To nie był jakiś jeden moment. Już kiedy byłam małym dzieckiem, to gdzieś wewnątrz wiedziałam, że zostanę siostrą zakonną. Dlaczego? Nie wiem. Mam starszą o pięć lat siostrę, która jest w zakonie klauzurowym. Ona już po ósmej klasie chciała iść do zakonu, ale nikomu o tym nie mówiła. Kiedyś do niej podeszłam i powiedziałam: „Ty idziesz do klasztoru". I nie czekając na odpowiedź, dodałam: „Ja też". Nie pamiętam tej rozmowy, ale moja siostra po latach mi o niej opowiedziała. Ona nikomu nie mówiła o swoich planach. Nie zdradzała tej swojej chęci i początkowo przestraszyła się, że ja to jakoś rozszyfrowałam. Nie wiem, jak to w niej zobaczyłam.

Kiedy moja siostra wstąpiła do zakonu, byłam nastolatką. W tym okresie zakon za bardzo mnie nie obchodził. Myślałam, że będę miała męża i dzieci. Podobnie jak moja siostra, zaczęłam liceum medyczne. Wiele sąsiadek zaczepiało mnie w tamtym czasie i mówiło: „Irena poszła do klasztoru, więc ty na pewno też pójdziesz. Ona skończyła medyk i ty zaczynasz medyk". Kiedy spotykałam takie panie, przechodziłam zazwyczaj na drugą stronę ulicy, bo miałam jakiś bunt wewnętrzny i nie chciałam, żeby ktoś mi mówił, co zrobię w życiu. Z perspektywy czasu myślę sobie jednak, że w tych słowach było jakieś proroctwo.

Jako nastolatka bardzo świadomie podchodziłam do kwestii, co powinnam w życiu robić. Należałam do oazy. Oaza była wtedy

bardzo elitarną sprawą i tajnym ruchem. Był komunizm i taką działalność należało ukrywać. Ta oaza jakoś otwierała mi drogę na świat i najróżniejsze problemy. Po części sprawiła, że zaczęłam krytycznie patrzeć na moją szkołę średnią. Pamiętam sytuację, kiedy nauczycielka zleciła mi przygotowanie akademii, na której miałam recytować wiersz Majakowskiego o partii. Uczyłam się z przejęciem na pamięć fraz o tym, że naród to partia, i w pewnym momencie doszło do mnie, że coś tu nie gra. Zadałam sobie pytanie: „Co ty mówisz?". Zaczęłam konfrontować moje życie z ideologią wpajaną mi w szkole. Poszłam do pani profesor i powiedziałam, że nie mogę tej akademii przygotować i tego wiersza nie będę mówić. Nauczycielka zaczęła na mnie krzyczeć. Pamiętam, że powiedziała mi między innymi: „Nie patrzysz w przyszłość". Na co ja jej odpowiedziałam: „Myślę, że patrzę dalej niż pani profesor" (*śmiech*). Nie wiem zupełnie, skąd to mi się wzięło. Pamiętam, że już wtedy czułam naglącą potrzebę, żeby się opowiedzieć za własnym sumieniem. Już jako nastolatka byłam więc bardzo radykalna, trochę na zasadzie: choćby głowę za wiarę dam (*śmiech*).

W szkole średniej ta dziecięca myśl o powołaniu zaczęła być we mnie ponownie obecna. Coraz częściej zadawałam sobie pytanie, co naprawdę chciałabym w życiu robić, i zrozumiałam, że muszę prosić Boga o światło. Ostatecznie po czwartej klasie podjęłam decyzję. Ten mój wcześniejszy szkolny bunt na szczęście skończył się bez poważnych konsekwencji. Pani profesor nakrzyczała i pogroziła, ale dyrektor ostatecznie mnie nie wezwał. Do końca roku zostały już tylko dwa miesiące. Jakoś mi wydali świadectwo, nic nie mówiąc. Jak tylko dostałam świadectwo, poszłam po pozostałe dokumenty do sekretariatu. Wszyscy

myśleli, że rodzice się rozwodzą, a ja zmieniam szkołę, bo się przeprowadzamy. W rzeczywistości wstąpiłam do klasztoru.

Ostatnią, maturalną klasę robiłam już jako kandydatka, ale chodziłam ubrana po świecku. W szkole nikomu nic nie mówiłam. Adres zameldowania miałam inny, na wypadek gdyby ktoś przyszedł po zeszyt na przykład. Konspiracja w całej pełni (*śmiech*).

Medycyna nie pojawiła się w tym wszystkim szybko, prawda? To nie było zaraz po wstąpieniu do zgromadzenia?

Nie. Najpierw była oczywiście formacja. Po dwuletnim nowicjacie jako absolwentka liceum medycznego podjęłam pracę w szpitalu jako pielęgniarka. Pracowałam na oddziale chirurgicznym, potem na sali operacyjnej. Kilka dobrych lat pracowałam z dziećmi niepełnosprawnymi. W pewnym momencie matce generalnej zrodził się plan, żebym rozpoczęła studia medyczne w Rzymie. W Polsce był wówczas komunizm. Studia dla zakonnicy, w dodatku na medycynie, były rozwiązaniem mało realnym i bardzo nietypowym.

Czy Siostra miała w sobie takie pragnienie, żeby studiować medycynę?

Raczej nie. Sama chybabym na to nie wpadła. Poza tym jestem z pokolenia, dla którego wyjazd za granicę był długo czymś niesamowitym. Tego się nie da porównać z obecnymi realiami, kiedy są komórki, internet i otwarte granice. Za moich czasów nie wyjeżdżało się za granicę. To był inny świat, inna bajka.

Jak Siostra zareagowała na taką propozycję?

Najpierw tydzień płakałam. Byłam piętnaście lat po maturze. Nie znałam słowa po włosku. Nie wiedziałam, co znaczy „buongiorno". Popłakałam, popłakałam i mi przeszło. Zaczęło się załatwianie dokumentów. Wyjeżdżałam za komuny. Wtedy zorganizowanie

czegokolwiek nie trwało tyle co dzisiaj. Trzy tygodnie szedł list z Rzymu do Warszawy i drugie trzy tygodnie wracał. Kiedy kupowałam bilet, nie było opcji, żeby kupić go w jedną stronę. Musiałam kupić również powrotny, chociaż miałam dokumenty potwierdzające, że jadę na studia i tam zostaję.

Jak wyglądały początki?

Marnie. Bardzo marnie. Było mi niezwykle ciężko. Zrobiłam trzymiesięczny kurs włoskiego i zaczęłam przepisywać podręcznik z biologii, żeby się czegoś konkretnego nauczyć. W jaki sposób zdałam wstępne testy – do dzisiaj nie wiem. Mam taką teorię, że to Duch Święty stawiał krzyżyki. Po rozpoczęciu studiów mieszkałam w akademiku przy Poliklinice Gemelli. Byłam zmuszona słuchać i mówić w tym języku. To był jakiś kosmos, kiedy dziś o tym myślę. Długo też trwało uznanie dokumentów z Polski. Ale wszystko dobrze się skończyło i sześć lat studiów szybko upłynęło. Zaraz po skończeniu studiów wybierało się specjalizację.

Mogła ją Siostra wybrać sama czy decydowali przełożeni?

Zasadniczo sama rozeznawałam, co chciałabym robić. Myślałam sporo o internie, ale interna mnie przerażała, bo byłam bardziej nastawiona na chirurgię. Chirurgia wydawała mi się jednak niemożliwa. Specjalizacja trwała z mojej perspektywy za długo, choć dzisiaj sobie myślę, że niewiele dłużej niż ginekologia. Nie pamiętam już moich szczegółowych rozważań. Pojawiła się nowa matka generalna i miała taki pomysł, żebym jako lekarz pojechała na misje. Od razu też było jasne, że na misjach byłaby duża potrzeba ginekologa. Dzisiaj wiem, że w tym wszystkim było prowadzenie Pana Boga. Sama bym tego nie wymyśliła. Tak że łącznie spędziłam w Rzymie trzynaście lat: dwa lata pracy przed studiami i jedenaście lat konkretnych studiów. Po Rzymie

wyjechałam na rok do Afryki jako ginekolog, a później wróciłam do Polski.

Jak odnalazła się Siostra w środowisku medycznym?

Myślę, że gdybym miała inną specjalizację, byłoby dużo prościej. Kiedy przyjechałam, pojawiły się trudności z uznaniem dokumentów. Urzędy były dużo bardziej przyzwyczajone do sytuacji, w których wykształcony lekarz wyjeżdża z Polski, by pracować za granicą. Tych zwrotów w drugą stronę wówczas w zasadzie nie było. W którymś momencie jakiś lekarz mi powiedział: „No to Ukraińcy w Polsce mają łatwiej niż siostra". Te trudności wydawały się nie do przeskoczenia. Usłyszałam nawet, że powinnam zdawać wszystkie egzaminy od początku, jeśli mój dyplom ma zostać uwierzytelniony. Dopiero po półtora roku otrzymałam Prawo wykonywania zawodu lekarza na terenie Rzeczypospolitej. Przez ten czas pracowałam jako pielęgniarka.

Czy trudno było znaleźć pracę ginekologowi w habicie?

Nie było łatwo. Kiedy zdobyłam uznanie dyplomu, zaczęły się kolejne schody. Gdziekolwiek poszłam, okazywało się szybko, że ginekolog w habicie nie jest mile widziany. Byłam na rozmowach w kilku szpitalach i od razu widziałam, że problemem jest kwestia habitu. Różne powody mi oficjalnie podawano. Pamiętam taki moment przełomowy dla mnie, kiedy pomyślałam sobie: albo – albo. Mogę do końca życia pracować jako pielęgniarka, ale muszę skończyć z tym poszukiwaniem. W pewnym momencie dostałam sygnał, że szpital w Rydułtowach pilnie potrzebuje ginekologa. Wysłałam najpierw CV, żeby dyrekcja od początku wiedziała, z kim ma do czynienia. Zostałam zaproszona na rozmowę. Umówiłam się na konkretny dzień, wzięłam dwa dni wolnego i pojechałam nocnym pociągiem. Rano byłam w szpitalu na rozmowie u dyrekcji. Po południu wracałam

powrotnym pociągiem, bo już miałam wszystko załatwione. Wszystkie dokumenty, podania, datę rozpoczęcia pracy.

Z jakimi reakcjami na przestrzeni lat spotykała się Siostra w środowisku medycznym i wśród pacjentek?

Z bardzo różnymi. W środowisku pacjentek w większości dobrze. Mimo wszystko czas ciąży i porodu dla ludzi poważnie myślących to jest czas dużego ryzyka. Chyba że ktoś zupełnie nieświadomie podchodzi do życia. Wiele razy spotykałam się z tym, że pacjentki, najczęściej przy porodach, kojarzyły habit z jakimś błogosławieństwem. A jak ktoś przychodził po antykoncepcję, to trudno, rozczarowywał się.

Co wtedy Siostra odpowiadała i co słyszała?

Różne rzeczy. Niektóre przykre. Niektóre agresywne. Czasami nic nie słyszałam. Odpowiadałam: „Szanuję pani poglądy, ale proszę, żeby pani uszanowała moje. Ja pani tego nie przepiszę. Wiem, że bym pani zaszkodziła, a jestem lekarzem i szkodzić pani nie chcę ani nie mogę".

Jeśli chodzi o środowisko lekarskie, bardzo ciekawą sytuację miałam kiedyś podczas kilkudniowego kursu dokształcającego dla ginekologów. W hotelu dostałam pokój dwuosobowy. Przyjechałam pierwsza. Pomyślałam, że wieczorem poczekam na współlokatorkę w pokoju, żeby się nie wystraszyła. Wiem, że może to być dla niej niecodzienna sytuacja. Pani doktor weszła i od progu wykrztusiła: „Ale ja jestem niewierząca". Na co ja odpowiedziałam: „Ja jestem wierząca, ale może tydzień przetrwamy?". Pani doktor pokręciła się trochę, wzięła walizkę i powiedziała: „Idę zobaczyć, czy mojemu koledze przydzielono księdza" (*śmiech*). Na tym kursie było nas wielu. Wiele różnych osób ze mną rozmawiało, ale ta pani tylko z boku mnie obserwowała.

Czy spotkała się Siostra z opiniami, że fakt, iż jest Siostra katolicką zakonnicą, odbiera Siostrze profesjonalizm?

Raczej takie głosy zasłyszałam gdzieś, niż ktoś wyraził je bezpośrednio. Kiedyś w przedsionku przychodni, gdzie przyjmuję, usłyszałam: „To czemu taką specjalizację wybrała, skoro nie przepisuje antykoncepcji? Mogła sobie internę zrobić. Jak jest ginekologiem, to powinna wszystko przepisywać". Może więc nie tyle chodzi o kwestię profesjonalizmu, ile o rozpowszechnione dziś w wielu środowiskach przekonanie, że w tym zawodzie nie należy kierować się sumieniem.

Rzeczywiście, wiele osób twierdzi, że ginekolog nie powinien kierować się klauzulą sumienia. Czym dla Siostry jest lekarskie sumienie? I jaki wpływ na Siostry zawód ma fakt, że jest Siostra zakonnicą?

Nie wchodzę w takie szczegółowe rozgraniczenia. Najpierw jestem człowiekiem, a habit tylko podkreśla moje wybory. Czy człowiek jest chrześcijaninem czy nie, czy jest wierzący czy niewierzący, jest coś takiego jak prawo naturalne. Ponadto jako lekarz mam przysięgę: przede wszystkim nie szkodzić – *Primum non nocere*. Można by to sparafrazować i powiedzieć: nie rób drugiemu, co tobie niemiłe. Takie bardzo podstawowe rzeczy. Twierdzenie, że w tym zawodzie nie wolno się kierować sumieniem, to dla mnie mit. Każdy chciałby spotkać człowieka, który w stosunku do niego będzie się kierował sumieniem, który wysłucha, postara się pomóc, wykaże się empatią. To sprawa człowieczeństwa.

Czy kiedykolwiek sugerowano Siostrze, żeby chodziła ubrana po świecku?

Nie, nigdy nie spotkałam się z takimi sugestiami. Ale od wielu kolegów słyszałam na przykład: „I tak będziesz przepisywać antykoncepcję. Inaczej się nie da w tym zawodzie". Teraz już

wiedzą, że nie przepisuję. Zdarza się nawet, że kiedy jakaś pacjentka mówi, że antykoncepcja jej szkodzi albo z jakichś powodów nie może jej brać, to przysyłają ją do mnie.

Ludzie mają różne oczekiwania. Ja chodzę w habicie. Jakiś czas temu na oddziale usłyszałam: „To u was katechetki pracują?". Dopiero położna wyjaśniła: „To nie jest katechetka, to pani doktor". Albo mąż przyszedł z żoną do porodu, a pacjentka pyta: „Od kiedy katechetki odbierają poród?".

Zajmuje się Siostra naprotechnologią, której osiągnięcia bywają czasem kwestionowane. Czym jest naprotechnologia?

To skrót od Natural Procreative Technology. Chodzi o to, żeby w trosce o zdrowie kobiety wykorzystać jej naturalny cykl, współczesną wiedzę oraz osiągnięcia techniki. To technologia, która ma na celu podniesienie jakości zdrowia danej kobiety, łącząc obserwacje jej cyklu z aktualną wiedzą medyczną. Adresowana jest do kobiet w wieku rozrodczym. U nas, w Polsce, przybrała ona funkcję opozycji do *in vitro*, a tak naprawdę jej możliwości są znacznie większe. I chodzi przede wszystkim o ginekologiczne zdrowie kobiety, a nie wyłącznie o prokreację. Zwykło się uważać, że naprotechnologia leczy wyłącznie problemy z płodnością. A ja mam na przykład pacjentki, które chcą mieć regularne cykle i szukały lekarza, który bez antykoncepcji pomoże im to osiągnąć.

Twórcą naprotechnologii jest amerykański ginekolog Thomas W. Hilgers. Jako młody lekarz został zainspirowany encykliką Pawła VI *Humanae vitae* z 1968 roku. Podjął wyzwanie, aby opracować metodę, która precyzyjnie wyznaczy moment owulacji. Poświęcił temu całą swoją karierę. Przez wiele lat śledził cykle swoich pacjentek. Zebrał karty obserwacji tysięcy kobiet i stworzył ogromną bazę danych. W konsekwencji opracował model, który na podstawie biologicznych wskazówek pozwala określić moment

owulacji. Profesor Hilgers jest ginekologiem – mikrochirurgiem. Wykonuje niesamowite operacje plastyki jajowodów czy usuwania endometriozy. Nie do przecenienia jest to, że stworzył mocne naukowe podwaliny pod metody naturalne.

Czy zdaniem Siostry uprawniona jest teza, że naprotechnologia może być alternatywą dla in vitro?

To jest nie tylko alternatywa dla *in vitro*, ale jeszcze raz powtórzę, w tej technologii chodzi o solidne ginekologiczne zdrowie kobiety. Kwestia posiadania czy nieposiadania dzieci jest kwestią wtórną. Proszę zauważyć, że *in vitro* też nie daje dzieci wszystkim. Myślę uczciwie, że gdyby tyle było wkładu i poparcia dla naprotechnologii, ile jest dla *in vitro*, to byłoby nieporównywalnie lepiej dla kobiety i niewątpliwie jest to dla niej zdrowsza propozycja. Mam pacjentki, które doświadczyły niepowodzeń w *in vitro*, a śledząc swoje cykle i dostosowując się do leczenia, dzisiaj cieszą się narodzinami własnego dziecka.

A jak Siostra reaguje na opinie, które czasem można usłyszeć, że Kościół wyklucza osoby urodzone metodą in vitro albo pary, które zdecydowały się na taką procedurę?

Jeśli ktoś coś takiego powtarza, to zwyczajnie brak mu rzetelnej wiedzy. Trzeba by całą naukę Kościoła wykładać. Inną kwestią jest, że często wyciąga się jakieś frazesy, zdania wyrwane z kontekstu i wmawia się, że ktoś coś takiego powiedział. Podczas gdy po zapoznaniu się z całością wypowiedzi okazuje się, że wydźwięk był zupełnie inny. Ale to musi być merytoryczny dyskurs, a nie wyrwane z kontekstu zdanie, które świadczy o niewiedzy, nieznajomości tematu, niedoczytaniu lub złośliwości. Niestety, pogłębiona analiza nie jest medialna.

Jeszcze inną kwestią jest fakt, że różni są ludzie Kościoła. Apostołów było dwunastu i był wśród nich Judasz. Taki jest też

obraz Kościoła dzisiaj. Ale dobro jedenastu apostołów jest nie do podważenia. Nie można koncentrować się tylko na Judaszu. Judasz jest, będzie i tak pozostanie do końca czasów. Apostołowie to także byli bardzo różni ludzie. Każdy z innej bajki, można by powiedzieć. To też dowodzi, jaka we wspólnocie jest możliwość różnorodności albo możliwość dogadania się, nawet jeżeli jesteśmy w najróżniejszych kulturach. Możemy się porozumieć, jeśli znajdziemy płaszczyznę szacunku. Nie zgadzam się z tym, co powiedział jeden z polskich dziennikarzy, że ludzie dzisiaj są głupi. Uważam, że wielu jest ludzi myślących i poszukujących prawdy.

Czy pamięta Siostra swój pierwszy odebrany poród? Albo taki, który jakoś szczególnie zapadł Siostrze w pamięć?

Niestety, pierwszego nie pamiętam. Byłam wtedy na specjalizacji. Specjalizacja w Rzymie wyglądała tak, że byliśmy normalnie rozpisywani na dyżury. Było kilka ekip. Dwóch uczących się wykonywało swoją robotę, a starszego lekarza wzywało się, kiedy coś się komplikowało. Generalnie każdy poród jest dla mnie poważnym i niesamowitym przeżyciem. We Włoszech za każdym razem, kiedy urodziło się dziecko, było święto w sali porodowej. Naprawdę. Oni pewnie mają trochę inną mentalność od naszej. Tam tę radość bardzo mocno odczuwałam. Urodził się człowiek, więc wszyscy składali życzenia pacjentce i przychodzili z gratulacjami. To było coś przepięknego.

Teraz na poród patrzę od strony lekarza. Mój umysł zajmuje kwestia, żeby wszystko prawidłowo przebiegło. Myślę sobie, że na radość przyjdzie czas, ale póki poród trwa, trzeba być w nieustannej gotowości i mieć wszystko pod kontrolą. Kiedy jestem odpowiedzialna za poród, podchodzę do niego od strony

zawodowej. Zwykle na koniec znajduję czas, żeby zrobić dziecku krzyżyk na czole.

Na Zachodzie rozpowszechniona jest opinia, że przy porodzie fizjologicznym, jeśli wszystko przebiega prawidłowo, w zasadzie dla lekarza nie ma miejsca. Poród może odebrać położna, a lekarza wzywa się tylko w przypadku komplikacji. Co Siostra myśli o takim podejściu?

Może tak być, ale ja w tej kwestii zachowałabym jednak pewną ostrożność. Bo jak na przykład precyzyjnie rozpoznać ten moment, kiedy należy lekarza wezwać? Czasem, kiedy pojawia się komplikacja, decydujące są sekundy. A tu przecież chodzi o ludzkie życie. To nie jest takie proste. Miałam kilka podbramkowych sytuacji, kiedy do pewnego momentu wszystko przebiegało prawidłowo, a niemal w jednej chwili zrobiło się bardzo poważnie. Kolejną kwestią jest fakt, że na Zachodzie pacjentka może otrzymać do domu na przykład detektor do wysłuchiwania tętna dziecka... W Polsce jeszcze nie mamy takich możliwości.

Teraz powoli modne stają się porody w domu. Wyobrażam sobie, że to może być piękne przeżycie, ale czasem niezwykle trudno odróżnić fizjologię od patologii. A patologia może się czasem zacząć zupełnie niespodziewanie. Oczywiście, że jestem za tym, żeby poród nie sprowadzał się do medykalizacji. Uważam, że jest czymś bardzo cennym akcentowanie wymiaru fizjologicznego porodu. Ale nie byłabym za tym, żeby porody odbywały się w domu. Na razie nie. Proszę zauważyć, że umieralność okołoporodowa znacząco zmalała, od kiedy porody odbywają się w szpitalach. Jasne, że zawsze można popaść w drugą skrajność. Mówi się na przykład o cięciu na życzenie.

To cięcie na życzenie to też jest szerokie zagadnienie. Na Zachodzie kładzie się duży nacisk na informowanie

pacjentki o negatywnych skutkach ubocznych cesarskiego cięcia dla niej i dziecka. Akcentowana jest rola porodu naturalnego, oczywiście jeżeli nie ma przeciwwskazań.

Tu mówi się to samo. Ten głos ma przebicie lub go nie ma. Czasami strach matki przed bólem porodowym tak zdominuje sytuację, że ona nie jest zdolna do żadnej współpracy. Strach jest normalną rzeczą. Czasem słyszę: „Mnie nie może boleć, musi być cięcie". To marny argument. Bo po cesarskim cięciu nie jest tak, że nie czuje się bólu. Dla mnie jako lekarza cięcie jest rozwiązaniem łatwiejszym. To jest maksymalnie godzina ze wszystkim i skończona sprawa.

Przy porodzie wygląda to zupełnie inaczej. Trzeba się nastać, napracować, dopilnować tego porodu. To nie jest proste. Doskonale rozumiem pacjentki krzyczące, że je boli. Mnie też nie jest łatwo znosić krzyk pacjentki i nie móc jej czasem tego bólu skrócić. Mogę tylko towarzyszyć. Poród to nie jest spacer. Poród jest trudem. Mamy współcześnie najróżniejsze środki przeciwbólowe, które mogą złagodzić ból, ale to nie jest jednak całkowite zniesienie bólu. Mam różne doświadczenia porodów. Niektóre pacjentki bardzo cierpiały. Inne z kolei, może nie bezboleśnie, ale mówiły, że „spokojna sprawa", że spodziewały się gorszego przeżycia.

Czy zdarza się, że ma Siostra kontakt z dziećmi, które odebrała?

Oczywiście. Rodziny przysyłają zdjęcia, piszą, dziękują. Czasem przyjeżdżają. Myślę nawet o zorganizowaniu spotkania, ale na razie nie mam warunków ku temu. Tutaj, w Żorach, kiedy rozeszła się o mnie opinia, zaczęły do mnie trafiać przede wszystkim pacjentki mające problemy z płodnością. Trochę na zasadzie głuchego telefonu. Dziś mam dzieci od Wrocławia do Łodzi. Przyjeżdżały pacjentki z Poznania, Częstochowy, Opola.

A co sądzi Siostra o głosach wzywających do likwidacji „okien życia", bo według ONZ „naruszają prawo dzieci do tożsamości", bo dziecko nie ma możliwości poznania rodziców?

Jestem całym sercem za „oknami życia". Proszę mi powiedzieć, jaką możliwość poznania rodziców mają dzieci z *in vitro*, które w wyniku błędnie przeprowadzonych procedur czasem całe lata zabiegają o to, żeby poznać swoich biologicznych rodziców? Latami trwają procesy o milionowe odszkodowania z tytułu błędów przy *in vitro*. Nie nagłaśnia się tego chętnie, bo cały przemysł *in vitro* jest jak kura znosząca złote jaja. Albo jaką możliwość poznania swoich rodziców mają dzieci urodzone przez matki surogatki, wynajmowane do donoszenia ciąży, urodzenia dziecka i oddania go rodzicom? Albo jakie prawo do poznania swojej tożsamości mają dzieci urodzone dzięki bankom nasienia? No jakie?

Nie wszyscy mają cywilną odwagę, by urodzić dziecko i zostawić je w szpitalu. Mnie zdarzało się na przestrzeni lat pracy, że dziewczyna urodziła dziecko i zostawiła je do adopcji. Próbowałam ją przekonać, żeby się jeszcze zastanowiła. Nie zmieniła swego zdania, ale to jest czysta sprawa. Zostawia je, nie robi się mu krzywdy. Jest tyle rodzin, które chętnie dziecko przygarną. Między zabiciem a oddaniem dziecka w bezpieczne miejsce nie ma dla mnie dyskusji.

Czy są jakieś sytuacje w pracy, których boi się Siostra najbardziej?

Boję się najróżniejszych rzeczy. Wiesz, jak się boję, żeby mi ktoś nie umarł na dyżurze? Pracuję w obszarze, w którym rozstrzygają się kwestie życia i śmierci. Naprawdę. Jeden z moich profesorów sprzed lat mawiał: „Kobieta w połogu jest jedną nogą na tamtym świecie". W połogu, a co dopiero poród. To jest rodzenie się

i umieranie. Poród niesie z sobą bardzo dużo niebezpieczeństw. Nam się wydaje, że jest to rzecz powszechna, bo każdy z nas jakoś się urodził. Ale to jest sprawa niezwykle skomplikowana i poważna. Nawet zwykłe na pozór cięcie może mieć mnóstwo powikłań. To nie jest prosta rzecz zrobić cięcie, zwłaszcza teraz, kiedy zdarza się coraz częściej cięcie po cięciu w tej samej bliźnie. Macica jest czasem tak sfatygowana, że „ratuj się, kto może". A trzecie cięcie? To są ogromne niebezpieczeństwa. Można uszkodzić narządy wewnętrzne, może być krwotok. Najróżniejsze sytuacje.

Albo sytuacja, kiedy dziecko umiera. Przez te wszystkie lata umarło mi jedno dzieciątko. Na moim dyżurze. Pacjentka nie zgłosiła krwawienia położnej, zignorowała je i poszła dalej spać. Rano robiliśmy, co mogliśmy, ale było już za późno. Do dzisiaj to pamiętam. Doskonale pamiętam też sytuację, kiedy musiałam przeprowadzić cesarskie cięcie po śmierci pacjentki. Przywieziono ją po porażeniu prądem. Mój kolega mawia: „Każdy z nas ma mały cmentarzyk". Im dłużej pracujesz, tym więcej widzisz takich przypadków. Są niepowodzenia położnicze, których nie przewidzisz żadnym sposobem. Albo przyjdzie do szpitala pacjentka z martwym już dzieckiem. Takich przypadków się nie zapomina. Do dziś pamiętam twarze tej mamy i dziecka.

III

Gdybym był osobą, która rzadko bywa w kościele, chciałbym usłyszeć: „Nie bój się. Nawet w tym symbolicznym pokropieniu wodą święconą, która spadnie na Twoją głowę, jest nadzieja. Nadzieja, że od tego momentu możesz wystartować od nowa”[*5].

ks. Jan Kaczkowski



Anonimowi chrześcijanie

Siostra Jolanta Glapka – psycholog, taterniczka, siostra Sacré Coeur. W dzieciństwie czytywała „Kontynenty" i „Poznaj Świat". Marzyła, by zostać detektywem lub podróżnikiem. Do klubu wysokogórskiego przyjmowała ją Wanda Rutkiewicz. Po studiach wyjechała jako wolontariuszka do umieralni Matki Teresy. Przekraczając rzekę w górach Kaszmiru, omal nie straciła życia. Po ośmiu latach pracy jako psycholog w wieku trzydziestu trzech lat wstąpiła do zgromadzenia sióstr Sacré Coeur. Od dwudziestu lat pracuje z osobami uzależnionymi od narkotyków. Założyła Fundację „Pasja Życia", która działa na rzecz profilaktyki uzależnień.

Rozmawiamy w klasztorze sióstr Sacré Coeur na Tanecznej w Warszawie. Zapadają mi w pamięć szeroko otwarte drzwi i bramy domu zakonnego. Odnoszę wrażenie, jakby w tym zewnętrznym geście było coś metaforycznego. Tu nikt przed nikim się nie zamyka. Siostra Jolanta Glapka od pierwszych minut spotkania ujmuje prostotą, byciem sobą, normalnością i dobrze pojętym dystansem. Zaczynam rozumieć, co miał na myśli jeden z przyjaciół siostry Jolanty, określając ją w dokumencie filmowym mianem „Bożej wariatki". Trzeba bowiem pewnego szaleństwa, by bez względu na zewnętrzne okoliczności wychodzić po tych, którzy w najlepszym wypadku znajdują się na obrzeżach Kościoła, by dostrzegać w nich dobro i piękno, by motywować do realizowania swoich pasji. By wreszcie nawet w tych znajdujących się często poza Kościołem dostrzegać – za Karlem Rahnerem – anonimowych chrześcijan.

Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że życiorysem Siostry można by spokojnie obdarzyć kilka osób: psycholog i terapeuta uzależnień. Wolontariuszka w umieralni Matki Teresy w Indiach. Liczne przygody, malaria, niemal utrata życia w rzece. W Polsce znajomość z Wandą Rutkiewicz oraz po latach uczestniczenie w tworzeniu od podstaw katolickich mediów – mimo oporu środowiska. Do tego bogate doświadczenie w telewizjach w Ameryce Północnej i Południowej... Kim jest Jolanta Glapka?

Zakonnicą Serca Jezusowego, siostrą ze zgromadzenia Sacré Coeur. Myślę, że odkrycie powołania zakonnego było niewątpliwie największym wydarzeniem w moim życiu. I zaskoczeniem. Pan Bóg mnie zaskoczył tym zaproszeniem, a ja jestem wdzięczna, że się na nie otworzyłam. Nigdy nie myślałam, że tak się potoczy moje życie. Jest w tym spory element zadziwienia. Mnie szalenie fascynuje fenomen powołania, jego tajemnica, to, czym ono jest. To naprawdę jest niesamowita historia.

Od dwudziestu lat pracuje Siostra z narkomanami. Jak na katolicką zakonnicę na przestrzeni lat reagowali i wciąż reagują podopieczni, którzy często chyba nie mają żadnych związków z Kościołem?

To prawda, nieczęsto są związani. Zdarza się, że – delikatnie rzecz ujmując – mają wręcz negatywny czy niechętny stosunek. Wiedząc to, dyrektor merytoryczny ośrodka, w którym pracowałam, poprosił mnie o zdjęcie welonu, żeby trochę zmniejszyć barierę. Zgodziłam się na to. Myślę, że w pewnym sensie było to dobre i konieczne. Wielu nie wiedziało od razu, że ma do czynienia z zakonnicą, dopiero na pracy w grupie, kiedy się przedstawiałam, dowiadywali się o tym. W ośrodku była też duża rotacja pacjentów. Narkomania jest trudną i przewlekłą w leczeniu chorobą. Pacjenci niechętnie poddają się leczeniu i też się często zmieniają. Więc na początku mnie nie znali. No ale przez tyle lat jakoś wyrabia się opinia. Dotarły do mnie głosy, tak ogólnie mówiąc, że można ze mną wytrzymać i nie jest źle (*śmiech*).

Dlaczego akurat narkomani? Co odpowiedziałaby Siostra osobom twierdzącym, że tacy chorzy w niczym nie zawinili, a narkoman niejako sam zadecydował o swoim losie?

Mnie się wydaje, że jest to kolejny mit na temat narkomanii. Niewiedza. I wielka nieprawda. A równocześnie krzywda, jaką się

wyrządza takim sądem osobom uzależnionym. To jest choroba jak każda inna i ona też z czegoś wynika. Nikt świadomie i samodzielnie nie poddaje się destrukcji. Ktoś, kto czuje się szczęśliwy, chciany i potrzebny, ktoś, kto wie, że od momentu przyjścia na świat był akceptowany, oczekiwany, afirmowany, raczej nie wchodzi w narkomanię. Bo narkomania jest w rzeczywistości wielką autodestrukcją. Zachęcałabym wszystkich, którzy twierdzą, że narkomania jest wyborem na własne życzenie, by zapoznali się z życiorysami osób uzależnionych, żeby ocenili, czy faktycznie chorzy sami sobie zawinili. Myślę, że gdyby posłuchali historii i życiorysów, które ja znam, zmieniliby zdanie. A dlaczego narkomania? Myślę, że był w tym jakiś palec Boży. Pracowałam wtedy w Telewizji Niepokalanów, wcześniej byłam zaangażowana w jej zakładanie. W pewnym momencie stwierdziłam, że trzeba by zrobić program o problemie narkomanii w Polsce.

Które to były lata?

Dziewięćdziesiąte. Zaprosiłam księdza Arkadiusza Nowaka, który pracował wtedy w Krajowym Biurze ds. Narkomanii i był dyrektorem dużego, nowo powstającego ośrodka w Anielinie. Rozmawialiśmy o tym wspaniałym przedsięwzięciu, które zainicjował, o ośrodku, który jest jego wielką zasługą. Tam jest i hospicjum, i centrum leczenia HIV i AIDS – na ówczesne lata to było bardzo odważne przedsięwzięcie. Zaprosiłam księdza Nowaka do programu i kiedy nagranie miało się ku końcowi, ksiądz Nowak – wiedząc, że jestem psychologiem i że przygotowałam ten program – powiedział wprost: „Zapraszam do mnie, do ośrodka". Wtedy się tylko uśmiechnęłam, nie bardzo jeszcze w to wierząc. Ale kiedy skończyła się moja praca w telewizji, przypomniały mi się te słowa i zgłosiłam się do księdza. I chyba tak to się zaczęło.

Kiedy po raz pierwszy zetknęła się Siostra z problemem narkomanii? Czy już jako zakonnica?

Nie, to było jeszcze przed wstąpieniem do zgromadzenia, kiedy przez osiem lat pracowałam jako psycholog w Jeleniej Górze. Mam specjalizację z psychologii wychowawczej i w sposób szczególny zajmowałam się trudnościami wychowawczymi. Miałam do czynienia w poradni z trudną młodzieżą. Pewnego wieczoru ksiądz z parafii, w której się udzielałam, przyprowadził do mnie osobę uzależnioną. To były lata siedemdziesiąte. W Jeleniej Górze wprawdzie działał już pierwszy Monar, ale narkomania jako choroba była niemal nieznana, nie mówiąc już o rozmaitych formach jej leczenia. Ksiądz przyprowadził do mnie chłopca imieniem Adam, już świętej pamięci. To był człowiek o bardzo ciekawej historii. Relacje z nim były dla mnie wówczas pierwszą szkołą wiedzy o narkomanii, o przebiegu choroby. Później byłam w klubie wysokogórskim i tam spotkałam Franciszka – wspaniałego, niezwykle utalentowanego, jeśli chodzi o wspinaczkę, chłopaka, pewien fenomen. Został bardzo wcześnie, chyba na swoją szkodę, zabrany na słynną wyprawę na Annapurnę, którą organizował Sudecki Klub Wysokogórski z Jeleniej Góry. Byłam członkiem tego klubu. I on w czasie tej wyprawy, będąc w Katmandu prawdopodobnie, zaczął swoje eksperymenty z marihuaną, które niestety zakończyły się poważnym, nigdy nieleczonym uzależnieniem. Kariera światowej sławy wspinacza legła w gruzach. Były to więc dwie historie, które poznałam jeszcze przed zgromadzeniem i które ogromnie mnie poruszyły. Z perspektywy czasu uświadomiłam sobie, że przyjmując po latach zaproszenie księdza Nowaka i zgłaszając się do pracy w ośrodku, odpowiedziałam na coś, co było już we mnie wcześniej.

Co najbardziej Siostrę zaskoczyło w początkach pracy w Anielinie?

Przede wszystkim przekonałam się, że moja tożsamość jako siostry zakonnej ma w tym miejscu ogromne znaczenie. Spotkałam osoby, którym w leczeniu najbardziej pomógł powrót do Boga. Pracowałam w ośrodku dla osób pełnoletnich, głównie między dwudziestym a trzydziestym piątym rokiem życia, więc spotykałam dorosłe osoby, które chciały, żeby je przygotować do spowiedzi. Często były to ich pierwsze spowiedzi po wielu latach, np. od bierzmowania. Miałam wrażenie, że zaczyna się dla nich perspektywa duchowego życia, możliwość rozpoczęcia go na nowo. Wprowadziłam też o godzinie piętnastej możliwość wspólnego odmówienia Koronki do Miłosierdzia Bożego dla chętnych.

Siostry podopieczni pewnie niekoniecznie uznają rolę duchowości w procesie zdrowienia czy leczenia uzależnienia. Jak to wygląda z Siostry perspektywy? Czy spotkała się Siostra z głosami typu: „A co mi tu będzie zakonnica opowiadać?". Siostra podkreśla fakt, że w leczeniu ważny jest element holistyczny. Dlaczego?

Dlatego, że człowiek ma ten wymiar w sobie i nie można o tym zapominać. Niektórzy sobie to uświadamiają, są otwarci na leczenie w wymiarze holistycznym, a inni są zamknięci. Ja z takimi sformułowaniami czy jawną niechęcią nigdy się nie spotkałam ze strony pacjentów. Może nie ujawniali tego, bo mieli świadomość, że muszą się poddać pewnemu procesowi. Ze strony terapeutów różnie bywało, choć zazwyczaj nie było dezaprobaty wyrażonej wprost. Bardziej wierzyli w doświadczenia terapeutyczne. Kierownictwo i większość pracowników raczej była otwarta. Po latach zdaję sobie sprawę, że byli bardzo wyrozumiali

dla mnie, bo sprowadzałam tam charyzmatyków czy nawet egzorcystów, którzy dla nich zachowywali się nienormalnie. Podziwiam tę ich wyrozumiałość. W tym miejscu mocno doświadczyłam, że pacjentów można poruszyć autentycznym świadectwem, a nie jakimś teoretyzowaniem. Takim mocnym głosem był zarówno dla pacjentów, jak i terapeutów Lech Dokowicz, który swego czasu współtworzył niemiecką scenę techno, a w ośrodku opowiadał o swoim doświadczeniu ze sceną techno i późniejszym nawróceniu. To było bardzo mocne i poruszające świadectwo. Trudno było podważyć jego opowieść. Pacjenci identyfikowali się z jego doświadczeniem. Mimo że mogło się to wówczas wydawać dziwne czy nowe, raczej nie pozostawiało słuchaczy, ani pacjentów, ani terapeutów, ani rozmaitych sceptyków, obojętnymi. Terapia jako taka też uczy tolerancji, otwarcia, akceptacji, także na to, czego nie rozumiemy.

Czy jest coś w procesie leczenia narkomanii, co zdaniem Siostry jest najistotniejsze?

Przede wszystkim należy zachować równowagę między psychiką i stroną duchową a całym wymiarem fizycznym człowieka. Często to ludzka psychika jest chora. Pamięć jest chora. Ludzka wola nie działa. Na tym polega największy problem tej choroby, że człowiek nie ma wpływu na własną psychikę i wolę. To narkotyk determinuje działanie. Narkomania jest według mnie leczeniem pewnych traum i ludzkiego cierpienia. Dlaczego ludzie biorą narkotyki? Żeby nie cierpieć. Bo narkotyki przynoszą pewną ulgę czy namiastkę pokoju. On jest chwilowy, fałszywy, ale jest choć na chwilę. Potrafi wyciszyć na moment stan bólu egzystencjalnego.

W pewnym dokumencie o Siostrze, który obejrzałam, jeden z podopiecznych stwierdził, że dzięki Siostrze nauczył się

wybaczać samemu sobie. Dlaczego to ma takie znaczenie? Co człowiek powinien sobie wybaczyć?

Myślę, że chodziło mu o to, że w ogóle się za tę autodestrukcję wziął. Osoby uzależnione w trakcie procesu leczenia często zaczynają sobie zdawać sprawę z tego, w jakie bagno weszli. Rozpoczyna się refleksja nad tym, dlaczego tak się stało, jak mogli, ile przez to stracili. Dociera do nich, że było to głupie, prymitywne, beznadziejne. Muszą to sobie wybaczyć, żeby nie żyć z ciągłym wyrzutem sumienia. Jakiś powód najczęściej był, często jest to szereg złożonych okoliczności. Ale trzeba to sobie wybaczyć. Bóg tego nie chciał, ale to dopuścił. Pojawia się perspektywa, że mając taką wiedzę, są w stanie pomagać innym wychodzić z uzależnienia. Czasem dzięki takiemu doświadczeniu ich zdolności empatyczne zupełnie się zmieniają, stają się bardziej wyrozumiali dla innych. Generalnie umiejętność przebaczenia samemu sobie czy przebaczenia krzywdzicielom jest wielką łaską. O to trzeba się modlić. Sądzę jednak, że to nie jest etap leczenia w ośrodku. To przychodzi później. Prowadziłam takie zajęcia w ośrodku, gdzie mówienie o przebaczeniu było czymś nieprawdopodobnie trudnym. Bo jeżeli pacjentka była gwałcona przez własnego ojca, to o czym tu w ogóle mówić? Mogłam ją jedynie podziwiać za to, że chce własnemu ojcu przebaczyć. Bo to są rzeczy, których po ludzku nie da się zrobić. Do tego potrzebna jest najczęściej długa i porządna terapia, podczas której człowiek po raz pierwszy poznaje samego siebie. No i potrzebna jest modlitwa o uwolnienie z noszenia ciężarów, których nie chcemy nosić, jak nienawiści do kogoś.

Narkomania jest trudną chorobą z nawrotami. Jak dawała sobie Siostra z nimi radę na przestrzeni lat? Czy one uderzały w Siostrę osobiście?

Oczywiście, że uderzały. Było ich wiele. Jak choćby pacjent, który ledwo wyszedł z ośrodka, a dwa dni później leży naćpany na dworcu centralnym i dzwoni do mnie, prosząc o pomoc.

Co można powiedzieć? No beznadziejnie. Takie sytuacje chyba poruszają każdego terapeutę. Pojawiają się pytania – no i po co była ta cała terapia? Takie indywidualne historie uświadomiły mi potrzebę domu, który buduję – żeby było miejsce na profilaktykę, żeby młodzi ludzie nie wchodzili w uzależnienia.

Co sprawiło, że w 2006 roku założyła Siostra Fundację „Pasja Życia", udzielającą profesjonalnej pomocy osobom uzależnionym?

Myślę, że właśnie nagromadzenie takich doświadczeń i życiorysów. Bo przecież takie historie wydają się bez sensu. Na tym polega dramat tej choroby. Przeżywaliśmy wraz z innymi zaangażowanymi osobami ogromną frustrację z powodu tych historii. Chcieliśmy stworzyć fundację działającą na zasadach chrześcijańskich, która równocześnie zajmowałaby się profilaktyką. Zrozumiałam na przestrzeni lat, że by móc skoncentrować się na profilaktyce, konieczne jest stworzenie centrum, w którym młodzi ludzie mogliby rozwijać swoje pasje. Takie centrum powstaje właśnie w Legionowie. Będzie się ono składało z dwóch części. W jednej będą prowadzone zajęcia, a w drugiej powstanie hostel dla osób po terapii, które wracają powoli do życia w społeczeństwie. Zauważyłam, że często osoby kończące terapie zwyczajnie nie miały się gdzie podziać ani co ze sobą zrobić. Centrum oferowałoby pewien program, opiekę duchową, warunki do tego, by pracować dalej i żyć w trzeźwości. Bo szansą na wyleczenie jest praca nad sobą.

Budowa, którą Fundacja rozpoczęła w 2009 roku, nosi nazwę Młodzieżowe Centrum Rozwoju Artystycznego i Duchowego.

Jaka jest główna idea centrum?

Chodzi o rozwijanie talentów i pasji po to, by przeciwdziałać uzależnieniom. W ośrodku miałam raz wybitnie utalentowanego muzycznie pacjenta i zupełnie wyjątkowego człowieka, Przemka. Ten chłopak powiedział mi kiedyś: „Gdybym w pewnym momencie wylądował w ośrodku kultury i mógł się skupić na rozwoju talentu, narkotyki nigdy by mnie nie zainteresowały". Idąc za tą myślą, staram się przeprowadzać profilaktykę uzależnień. W dużym skrócie dla mnie profilaktyka uzależnień sprowadza się do rozwoju ludzkich pasji i swojego człowieczeństwa.

Fundacja powstała 10 lat temu. Na jakim etapie jest teraz centrum? Skąd ma Siostra fundusze?

Dwa miliony zdobyłam od ludzi. Budowa jest w stanie surowym zamkniętym: tysiąc pięćset metrów kwadratowych. Duży dom. Ciągle jeżdżę i zbieram fundusze. Wybieram się między innymi za granicę, byłam już w USA. Żeby wszystko dokończyć, potrzebne byłyby pewnie jeszcze jakieś cztery miliony.

Czy takie proszenie, by nie rzec żebranie o pieniądze, stanowi dla Siostry problem?

Żaden. Pójdę wszędzie, nie mam oporów. Już się do tego przyzwyczaiłam. Najważniejsze dla mnie to wiedzieć, gdzie mam iść. Ktoś mi ostatnio powiedział, że taki rząd, jaki mamy teraz, powinien pomóc przy tej inicjatywie. Mam nadzieję, że tak się stanie. Czekam długo, ale ufam przede wszystkim Panu Bogu, że „popchnie" nasze sprawy. Cały czas szukam ludzi dobrej woli. Do tej pory doświadczyłam pomocy wielu osób szlachetnego serca. Wszystkie osoby pracujące w fundacji są wolontariuszami, nikt nie jest w niej zatrudniony. Wszyscy angażują się z dobrego serca. Doświadczam też życzliwości prezydenta miasta Legionowa. Byłoby idealnie, gdyby znalazł się jakiś milioner.

Cofnijmy się trochę w czasie. Jednym z przełomowych wydarzeń w życiu Siostry był wyjazd w latach osiemdziesiątych do Kalkuty, spotkanie z Matką Teresą i praca w umieralni jako wolontariuszka. Czego młoda, wykształcona dziewczyna, w dodatku za komuny, szukała w takim miejscu?

Myślę, że dwie kwestie okazały się decydujące. Od zawsze miałam w sobie chęć pomocy innym ludziom. Może po tacie, który był społecznikiem, radnym, udzielał się w klubie sportowym. Coś takiego wyniosłam z domu. Miałam pragnienie, by pojechać na misje jako osoba świecka. Z kolei Kalkuta i Himalaje były związane z klubem wysokogórskim, w którym działałam. To wszystko jakoś mi do siebie pasowało. Zresztą jako młoda dziewczyna marzyłam o podróżach i chyba nie przeszkadzały mi w tym zamknięte granice ani komuna. Prenumerowałam czasopisma podróżnicze. Świat mnie naprawdę fascynował. I fascynuje do dziś. Do Indii wyjechałam po wakacyjnym pobycie w Jugosławii, gdzie trochę z siostrą i młodymi ludźmi podróżowaliśmy autostopem. Znałam Budapeszt, byłam w Paryżu, w Berlinie, w Dreźnie. To były inne czasy... Ta ciekawość świata była we mnie zawsze. Chęć zobaczenia, co jest dalej.

Pod adresem Matki Teresy z Kalkuty zarówno za jej życia, jak i po śmierci formułowano rozmaite oskarżenia. Wytykano jej bezkompromisowość w kwestii aborcji, niechęć wobec zdobyczy techniki, a nawet niedostateczne dbanie o odpowiedni poziom opieki medycznej nad chorymi. Jak ocenia Siostra te zarzuty z perspektywy kogoś, kto był naocznym świadkiem jej pracy?

Myślę, że Matka Teresa inaczej postrzegała człowieka niż wielu współczesnych. Dla niej technika nie była ważna. To jest kwestia spojrzenia na człowieka i jego potrzeby. Z mojej perspektywy,

osoby, która pracowała w umieralni Matki Teresy, myślę, że trudno wówczas było mówić o technice czy odpowiednim poziomie medycznym. Czego tak naprawdę było potrzeba tamtym ludziom? Zostali przeniesieni z ulicy i wreszcie mieli dach nad głową. Jeśli chodzi o niedostateczny poziom medyczny, sądzę, że ten zarzut jest bardzo krzywdzący i nieuprawniony. W umieralni pracowali jako wolontariusze lekarze z całego świata. Pamiętam, że wtedy miałam nawet w głowie taką myśl: po co tutaj ci wszyscy lekarze, skoro ci ludzie umierają? Okazywało się jednak, że niektórych można było jeszcze uratować. Do dziś mam w głowie obrazy lekarzy pochylających się nad ludźmi w agonii, nad osobami, których stan w większości uniemożliwiał już jakiekolwiek leczenie. Jednak tym, co najbardziej zapamiętałam, była miłość. Zainteresowanie człowiekiem przyniesionym z ulicy, którego ciało niejednokrotnie znajdowało się w stanie rozkładu. Możliwość odejścia z tego świata w atmosferze bycia akceptowanym i nieocenianym. Ktoś wreszcie, zapewne często po raz pierwszy, nad tymi ludźmi się pochylał i nimi zajmował. Ktoś choćby regularnie ich karmił, do czego nie byli przyzwyczajeni i ciągle ukrywali w łóżku jedzenie.

Matka Teresa była wymagająca i surowa w stosunku do sióstr i samej siebie. Chorzy mieli lepsze warunki od sióstr, bo leżeli na przykład w pomieszczeniach klimatyzowanych. Siostry tej klimatyzacji były pozbawione. Myślę, że trudno tę kwestię wyjaśnić komuś, kto nie rozumie sensu jednoczenia się z Chrystusem i ofiarowania swojego życia za innych. Żeby zrozumieć, jak żyła i pracowała Matka Teresa z Kalkuty, trzeba uruchomić zupełnie inną mentalność, nieprzystającą do świeckiego życia. Jej absolutnie nie zależało na tym, żeby podobać się światu. Do rozmaitych opinii na swój temat nie

przywiązywała wielkiej wagi. Trochę jakby chciała powiedzieć: myślcie sobie, co chcecie, to jest wasza sprawa. To była kobieta, która żyła pod absolutnym natchnieniem Ducha Świętego. Jej siostry wspominają, że zdarzało jej się przerywać rozmowę, bo czuła nagłe wezwanie, by pójść do kaplicy. Wiele osób na taki komunikat mogło reagować kompletnym niezrozumieniem. Przypomina mi się w tym momencie Przemuś, jeden z moich ukochanych podopiecznych, który czasem mówił do mnie: „Jola, no jak ta Faustyna mogła widzieć Jezusa? No, Jola, pomyśl". Więc to jest kwestia mentalności tego świata. Jesteśmy krótko po kanonizacji Matki Teresy, więc może te zarzuty są pewnym starciem różnych okoliczności, którym trudno znaleźć wspólną płaszczyznę porozumienia. Duch tego świata i Duch Boży są nie do pogodzenia.

Jedną z motywacji wyjazdu do Kalkuty były góry. W młodości należała Siostra do Akademickiego Klubu Wysokogórskiego, do którego zresztą przyjmowała Siostrę Wanda Rutkiewicz. Powiedziała też Siostra kiedyś, że gdyby nie zgromadzenie, pewnie oddałaby się Siostra pasji gór. Dlaczego? Co takiego jest w górach?

Góry to całe moje życie. Gdybym nie odkryła powołania, na pewno bym chodziła po nich dalej. Co w tych górach jest dla mnie? Chyba skondensowana obecność Boża zawarta w tym pięknie i majestacie wysokich gór. Kocham ich doniosłość. Ich ciszę. Jakąś antycypację nieba z całą moją ograniczonością ziemskiego oglądu. Góry jakoś kojarzą mi się z niebem. To na rozmaitych górskich szczytach przeżywałam największe uniesienia mojego życia. Do dziś mam żywe wspomnienia z Himalajów Zachodnich, a od tego momentu minęło już ponad

trzydzieści lat. To w górach zawsze najbardziej czuję, że Bóg jest dobry i piękny. Góry to pasja i wielka przygoda mojego życia.

Zatrzymajmy się na chwilę przy tej przygodzie. Niektórzy zarzucają himalaistom lekkomyślność i zwyczajne narażanie życia. Jak Siostra na to patrzy? Czy w wyczynowej wspinaczce wysokogórskiej można mówić o jakimś dylemacie moralnym?

Na pewno jest to dylemat i dla tych, którzy wyruszają, i tych, którzy pozostają. W moim odczuciu to nie jest jednak lekkomyślne. Oczywiście dla laików tak, ale to jest przecież sport. On ma swoje zasady. Jest cały system zabezpieczeń i ogromna wiedza na ten temat. Można wiele rzeczy przewidzieć. Jest w tym wszystkim też dużo szczęścia, jak w każdym sporcie. Ryzyko jest zawsze, bo na przykład pogoda bywa też nieprzewidywalna. Ale z drugiej strony i sprzęt jest dzisiaj na nieporównywalnie wyższym poziomie, i medycyna poszła bardzo do przodu. Myślę, że dużą rolę odgrywają też indywidualne uwarunkowania, charakter itp. Czasem zadaję sobie pytanie, myśląc o Wandzie Rutkiewicz, czy musiała się tego dnia wspinać na Kanczendzongę i być taką upartą, żeby nie zejść, choć była już chora... To był jej wybór, należy go uszanować. Ale każda śmierć jest tajemnicą i nie nam ją oceniać. Każdy z nas ma prawo do decydowania o sobie. Ja w każdym razie doskonale rozumiem osoby kochające góry i to, że są dla nich w stanie wiele poświęcić, nawet życie.

A co sprawiło, że młoda kochająca życie kobieta, psycholog, krytycznie nastawiona do świata, z rogatą duszą, jak sama Siostra o sobie powiedziała, córka ojca uważającego się za ateistę, zdecydowała się na życie zakonne?

Myślę, że to jest tajemnica oddziaływania Boga w sercu człowieka i pewnych zewnętrznych okoliczności. Przede wszystkim latałam po górach, wiele podróżowałam, przygotowywałam się

do wypraw i nie wyobrażałam sobie, że miałabym to nagle porzucić. Jakoś też Pan Bóg dopuścił, że ta wyprawa na Annapurnę pod koniec lat siedemdziesiątych okazała się tak tragiczna, bo najtragiczniejsza w skutkach.

Siostra była na liście rezerwowej tej wyprawy, prawda?

Tak. To mi dało do myślenia. Pamiętam taki moment, że krótko po tym wydarzeniu byliśmy z grupą przyjaciół klubowych na Słowacji. Wszyscy byliśmy przygnieceni naszą tragedią klubową. Zginęli nasi najlepsi przyjaciele. I gdzieś tam pojawiła mi się taka refleksja: czy dla tych kamieni warto życie oddawać? Krótko po tym jeden z kapłanów powiedział mi, że mam powołanie do życia zakonnego, i to od dziesięciu lat. Pomyślałam wtedy, że coś może być na rzeczy. No bo czego ja tak szukałam przez te wszystkie lata? Czego szukałam w Kalkucie? Czego szukałam w górach? Na ten głos pozostawałam jednak długo zamknięta.

Dlaczego?

Zakonnice kojarzyły mi się z czarnymi habitami i smutnym towarzystwem w kościele. Myślałam: gdzie ja? Taka energiczna do zakonu? Od momentu, kiedy te pytania pojawiły się we mnie, upłynęły cztery lata, zanim wstąpiłam do zakonu. Szukałam intensywnie. Myślę, że byłam zamknięta na dopuszczenie takiej opcji, że to mogę być ja. Dopiero ten spotkany ksiądz, rozmowy z nim i wspólna praca nad rozeznaniem tego, co chcę w życiu robić, sprawiły, że się powoli otwierałam. Znamienne było dla mnie, że kiedy wreszcie z tej mojej wielkiej tajemnicy pójścia do zakonu zwierzyłam się koledze, towarzyszowi wspinaczek, to on się wcale nie zdziwił. Spodziewałam się wielkiego zaskoczenia, a on to przyjął zupełnie naturalnie. Zapytałam go: „Dlaczego ty się nie dziwisz?" A w odpowiedzi usłyszałam: „Zobacz, jakie ty masz

książki na półce". A tam opasły tom, który mam do dzisiaj, zatytułowany *Rozważania dla zakonnic*. Przypomniał mi też, że na wyprawach jako jedyna latałam do kościoła (*śmiech*). Z perspektywy czasu myślę, że w różnych miłościach i relacjach damsko-męskich zawsze zachowywałam dystans. Ktoś mi się podobał, ale to były platoniczne fascynacje. Do dziś pamiętam taką rozmowę z jednym z moich przyjaciół, który zapytał mnie, czy może poszlibyśmy razem wspólną drogą. Pomyślałam sobie: jaką wspólną drogą? I szybko zmieniłam temat. Ten mój bardzo drogi kolega jest dziś w Ameryce i ciągle utrzymujemy kontakt. Ale ja byłam wtedy poważna i niedostępna (*śmiech*). Jak wstępowałam do zakonu, ci moi przyjaciele – mimo że nie mieli związków z Kościołem, ale są osobami niezwykle szlachetnymi – poprosili mnie, żebym się za nich modliła.

Chciałabym na moment zatrzymać się przy osobie ojca Siostry. Co zawdzięcza Siostra niewierzącemu ojcu, zagorzałemu wyznawcy ideologii marksistowskiej? Czy to laickie spojrzenie ojca na świat stanowiło dla Siostry jakąś wartość w momencie wstępowania do zakonu? Przyznam szczerze, że spotykając osoby konsekrowane wywodzące się z laickich lub częściowo laickich domów, mam wrażenie wielkiej wartości, którą wnoszą do Kościoła.

Z perspektywy czasu dostrzegam w tym również wartość. Proszę choćby popatrzeć na to, czym się zajmuję. Pracuję na obrzeżach Kościoła. Nie mogłam też wykształcić w sobie pewnych schematów, które być może utrudniałyby mi tę dzisiejszą pracę. Może to jakiś bardziej wolny sposób myślenia czy otwartość, którą wyniosłam z domu.

Ale wracając do pierwszej części pytania, myślę, że mojemu tacie zawdzięczam to, że zajmuję się ewangelizacją. Bo to najpierw jego

ewangelizowałam (*śmiech*). To dzięki niemu wyrobiłam sobie pozytywnie rozumiane zmaganie o wiarę. Pewnie dzięki niemu mam dużo serca i otwartości dla osób dobrych i szlachetnych, często wojskowych, których jednak nie spotykamy w kościele. Nasi znajomi to raczej nie są osoby biegające do kościoła, a z perspektywy czasu widzę, że bardzo pozytywnie reagują na fakt, że jestem siostrą. Może to zabrzmi dziwnie, ale niektórzy z nich mają poczucie, że przynależą do Kościoła, bo się ze mną przyjaźnią. Chciałabym być dla nich takim pomostem czy bramą do Kościoła. Czasem mam wrażenie, że jestem dla nich tą osobą, dzięki której czują, że mogą wejść do Kościoła, jakoś identyfikować się z Bogiem, poruszyć tematy wiary czy religii. To dał mi mój tato kochany. Myślę, że zawdzięczam mu też zdrowy krytycyzm. Mówił do mnie czasem: „Córuś, ale popatrz, czy ten biskup musi się tak zachowywać?". Wtedy próbowałam z nim dyskutować, usprawiedliwiać, dziś wiem, że w wielu kwestiach miał rację. Mówił do mnie też: „Ale popatrz, jak ta hierarchia kościelna wygląda", na co ja mu odpowiadałam: „Ale popatrz, jak ten wasz komunizm wygląda" (*śmiech*). W młodości kłóciłam się z nim z przekory. Dziś wiem, że często miał rację. Zostawił mi taką świeżość spojrzenia. Wbrew logice mój tato był bardzo ewangeliczny, radykalny w swoim spojrzeniu i chcący widzieć Ewangelię taką, jak jest głoszona. Chciał ją taką usłyszeć w kościele. Nauczył mnie na pewno radykalizmu i konfrontacji. Papież Jan Paweł II, jego postawa i nauczanie na pewno przyczyniły się do nawrócenia taty, a dziś byłby zachwycony nauczaniem papieża Franciszka.

Od taty nauczyłam się też umiłowania Ojczyzny. Mój dziadek dostał od Piłsudskiego Order Virtuti Militari – tata był z tego dumny, mimo że był w partii. Nigdy nie zapomnę też fascynacji

mojego taty, jeszcze wtedy niechodzącego do kościoła, Janem Pawłem II, który mówił o ojczyźnie. Przeżywał każdą jego wizytę. Ta historia była pokręcona, skomplikowane dyskusje o Katyniu – do dziś nie wiem, ile tata na ten temat naprawdę wiedział. Żałuję, że nie przeprowadziliśmy w tych ostatnich latach otwartych dyskusji na ten temat. Miał w sobie prawość i był niezwykle wyczulony na sprawiedliwość społeczną. Chyba nawet był na tym punkcie przewrażliwiony. To działanie na rzecz ubogich chyba także mam po nim. Pomagał biednym, wykorzystywał swoje dojścia jako pułkownik. Wszyscy często od niego czegoś chcieli. Był liderem w rodzinie, miał kapitalny kontakt z ludźmi. Myślę, że po nim mam jakieś ciepło w kontaktach. Jako harcerz był też człowiekiem wspólnotowym, człowiekiem drużyny, zresztą „Leszczyńskiej Siódemki".

Mnie wydał się człowiekiem wielkiej wolności. Siostra zdecydowała się na drogę, której raczej sobie nie wymarzył, a mimo to nie było żadnego oburzenia czy prób zakazywania czegokolwiek.

To prawda. Nigdy niczego mi nie zabraniał, choć faktycznie przeżył szok. Wcześniej pozwolił mi na wyjazd do Indii, do Jugosławii, na wspinanie się w wysokich górach. Zdarzało się, że musiał mnie później obwozić po szpitalach, kiedy bardzo się połamałam w Tatrach, ale nigdy niczego nie zabraniał. Jak szłam do zakonu, powiedział mi wyraźnie: „Jeśli masz być tam szczęśliwa, to idź. Ale pamiętaj, dziecko, jeśli będzie ci źle, wracaj. Nie patrz na nic i wracaj". Wiedział, że człowiek musi czasem iść za swoją pasją. To on uczył mnie odkrywania świata, on zaraził mnie wielkimi marzeniami. Lubił przygodę, cieszył się życiem, nie siedział w domu. Kochał życie i to mi przekazał. Dzisiaj, kiedy czasem bywa ciężko w pracy nad domem w Legionowie, przypominam

sobie jego słowa, że mam być dzielna i chyba jest ze mnie dumny, powiem nieskromnie.

Wstąpiła Siostra do zgromadzenia w 1984 roku, mając trzydzieści trzy lata. Dzisiaj kandydatki w tym wieku są już czymś normalnym, ale wówczas budziło to chyba zdumienie. Z jakimi reakcjami się Siostra spotykała? Czy trzydziestoletnia kobieta z bagażem życiowych doświadczeń to trudniejszy materiał dla formacji zakonnej?

W naszym zgromadzeniu kandydatki po trzydziestce nie są niczym niezwykłym. W tej grupie było nas osiem. Faktycznie byłam najstarsza, a najmłodsza kandydatka była młodsza ode mnie o piętnaście lat. Ale pomiędzy było takie towarzystwo, które też miało jakieś życiowe doświadczenia. Czułam się w naszej grupie bardzo dobrze. Do dziś czujemy się wspólnotą i razem się spotykamy. Te poważniejsze przyjaźnie mam właśnie z tego okresu. Czy jest trudniej? Teoretycznie tak. Ale moim zdaniem to wszystko zależy od otwartości ludzi. Jeśli chodzi o płaszczyznę wiary, myślę, że wszystkie byłyśmy w podobnym stopniu otwarte na to, żeby rozwinąć swoje powołanie, poznać zgromadzenie i jego duchowość. W pewnym wieku oczywiście trudniej zmienić pewne nawyki, ale przecież jest łaska powołania i to na jej podstawie próbujemy budować. Moje mistrzynie, siostra Maria Stecka i siostra Maria Ślipek, mogłyby więcej na ten temat powiedzieć i ta odpowiedź mogłaby być ciekawa (*śmiech*). Osobiście odbieram siebie jako entuzjastkę powołania. Byłam bardzo szczęśliwa, kiedy je odkryłam, i czuję, że ono mnie niesie cały czas.

Czym to powołanie jest według Siostry? Czy da się je w ogóle zdefiniować? Wcześniej wspomniała Siostra, że ten fenomen Siostrę fascynuje.

Myślę, że jest to Boże wezwanie, na które człowiek odpowiada. Jest to Boży dar. Pan Bóg woła rzeczywiście. Ja mogę na to wezwanie odpowiedzieć lub nie. Jestem wolna. Myślę, że powołanie jest tym, co Pan Bóg mi wyznaczył, czyli np. czy mam być lekarzem, czy mam wyjść za mąż za tego człowieka, czy ożenić się z tą dziewczyną. Sądzę, że pójście za tym wezwaniem daje szczęście. Zmierzenie się z pytaniem, co powinienem w danym momencie z sobą zrobić.

Czy w powołaniu chodzi o to, żebym odkryła, co sama chcę robić, czy co Pan Bóg chce, abym robiła?

Ja mam odkryć to, co Pan Bóg mi dał i co jest w moim sercu. To pragnienie jest we mnie. Nie gdzieś w powietrzu, nie na zewnątrz, nie dookoła mnie, tylko we mnie. Ja to odkrywam w sobie. To jest najgłębsze pragnienie mojego serca, które odkrywam i bez względu na wszystko, bez względu na okoliczności, idę za tym. Okoliczności mogą być trudne, na przykład pozostając na płaszczyźnie życia zakonnego – siostry jedynaczki, które mają schorowanych, starszych rodziców. A jednak bez względu na wszystko idą. Kiedy odkryłam swoje powołanie, przestałam zważać na wszelkie głosy krytyczne, także te mówiące, że chyba oszalałam. Miałam głębokie poczucie, że wiem, o co mi chodzi. Czułam w sobie siłę, odwagę, upór. Ojciec, czasem mawiał: „Jak już, córuś, wiesz, co masz robić, to rób". Więc ja po prostu idę i robię.

Czy ojciec miał opory, by odwiedzać Siostrę w zakonie?

Z tatą i jego przyjazdami do zakonu były całe historie. Wiele razy miał przyjechać, ale brakowało mu odwagi. Jak miał przyjechać pierwszy raz do mnie do Nowicjatu, to chciał się odpowiednio zachować. Pojechał na wieś do rodziny, by się skonsultować, jak to zrobić. Wpadł na pomysł, pewnie mu poradzono, że przywiezie

nam przedwojenną walizkę pełną śliwek. Pamiętam, że wtedy zamiast się ucieszyć, powiedziałam: „Tato, ale my tu w sadzie mamy pełno śliwek", na co tato oburzony: „Ja nie wiedziałem. Powiedzieli mi na wsi, żeby przywieźć, to przywiozłem" (*śmiech*). Cudowny był! On tu podbił serca sióstr. Przyjeżdżał w mundurze. Miał wielbicielki. Mój tato był bardzo przystojnym mężczyzną. Ponazywał siostry: kwiaciarka, kwatermistrz, harcerka. Przekładał sobie słownictwo wojskowe na zakonne. Podobało mu się, że – jak w wojsku – mamy umundurowanie zimowe i wiosenne. Wtedy jeszcze nosiłyśmy habity. Wszystko sobie przekładał na wojsko i mówił: „To mi się podoba". Był ciekawy naszych struktur. Mimo że wtedy jeszcze był niewierzący, to był nieprawdopodobnie wyczulony na *sacrum*. Wyczuwał też sympatię sióstr. Zaprzyjaźnił się z paroma, miał swoje ulubione siostry. Podobało mu się, że zakonnice to takie morowe panny.

Jak doszło do tego, że zaangażowała się Siostra w tworzenie od podstaw katolickich mediów w Polsce?

Zaczęło się od tego, że to ojcowie jezuici poprosili o naszą obecność w mediach. Pracowałam w Ogólnopolskim Stowarzyszeniu Rozgłośni Katolickich VOX oraz w TV Niepokalanów. Istotny był dla mnie także wyjazd do Ameryki. Byłam tam na praktyce w Nowym Jorku w kanale TV 13. Chodziłam na plany, przyglądałam się, jak filmują dokumenty, uczestniczyłam w realizacji rozmaitych programów, przechodziłam szkolenia z nowych mediów, które u nas nie były jeszcze tak popularne. Przeprowadzałam swój pierwszy wywiad z szefem stacji. Przywiozłam też licencję na program o narkomanii. Ten wyjazd ogromnie dużo mi dał, ale chyba najwięcej nauczyłam się od amerykańskich sióstr. To one wpoiły mi, żeby się nikogo nie bać i być odważnym, żeby w realizowaniu projektów udawać się

do wszystkich, niezależnie, jak są wysoko. Być może konsekwencją tego wyjazdu jest to, że nie mam dziś żadnych oporów, kiedy trzeba z kimś rozmawiać lub załatwić jakąś sprawę.

To od sióstr Amerykanek zaczerpnęła siostra ideę Charytatywnego Sklepu Niebo, który działa w Warszawie na ul. 11 Listopada 10. Co jeszcze, zdaniem Siostry, warto czerpać z doświadczeń amerykańskich sióstr?

Chciałabym otworzyć sieć takich sklepów, żeby móc dalej się rozwijać. Tym, co warto zaczerpnąć od Amerykanów, jest duch pionierstwa. To można przenieść na wszystko. Siostry Amerykanki motywowały mnie do działania. One się nie boją, idą do przodu, są odważne. Mają pomysły i je realizują. My tu w Polsce chyba często nie jesteśmy tak odważne i śmiałe. U nas zawsze jest więcej sceptycyzmu, zastanowienia się. Są niewątpliwie bardzo kreatywne, także w pracy z najuboższymi. Kreatywność, odwaga, realizowanie wciąż nowych pomysłów – z tym kojarzą mi się siostry Amerykanki. One chyba lepiej rozumieją ten nasz skomplikowany świat i nie boją się go. Niosą Dobrą Nowinę „w porę i nie w porę". Funkcjonują też w bardzo różnorodnych dziełach.

Siostro, a jak w zakonie przeżywa się kobiecość? Wciąż pokutują opinie, że w zakonie należy zarzucić swój kobiecy wymiar. W jakim stopniu siostry mogą kierować się emocjami?

Jesteśmy kobietami i oczywistością jest, że okazujemy emocje i uczucia. Sądzę, że okazując uczucia, siostra zakonna daje wyraz temu, że kogoś zauważa, że okazuje mu miłość Jezusa. Nie powinnyśmy bać się dotknąć czy przytulić człowieka, klepnąć go po ramieniu. To się też uwidacznia w byciu matką. Na początku mojej pracy dziwiło mnie, że pacjenci tak bardzo potrzebują przytulenia. Dziś wiem, że w tym przytuleniu niejednokrotnie

poszukiwali akceptacji czy nawet odruchów matczynych. To mnie dziwiło, bo jako terapeuta byłam uczona dystansu. Cenię sobie bardzo te wszystkie sytuacje, kiedy choćby przytuleniem potrafiłam powiedzieć drugiemu człowiekowi: jesteś dla mnie ważny. Byłam też w takim wieku, że dawałam im wsparcie, którego pewnie szukali u matki. Z wieloma tymi osobami mam kontakt do dziś. Dalej witamy się serdecznie i sądzę, że jest to szalenie ważne, by pokazać, że jesteśmy normalne. Ludzie oczekują ode mnie serdeczności. Nasza seksualność przejawia się przecież całościowo: także w uśmiechu, w dotyku, uścisku dłoni i w tym, że człowiek kogoś po bratersku przytuli. Tak bym widziała tę kobiecość. Jako pewną naturalność.

A czy zakochana siostra zakonna to naprawdę koniec świata?

Oczywiście, że to nie jest żaden koniec świata. Myślę, że jako terapeuta też jestem w stanie pomóc siostrom w takich doświadczeniach, bo nie wierzę, że siostry się nie zakochują. Czasem takie zakochanie potrafi okazać się wielkim bogactwem i tak bym na to patrzyła. Myślę, że w dzisiejszej formacji podejście do tego też się zmienia.

Po obszernym researchu na Siostry temat nie mogę oprzeć się wrażeniu, że na przestrzeni swojego życia nieustannie Siostra o coś walczy: o realizowanie pasji, których omal nie przypłaciła Siostra życiem, o samodzielnie dokonywane wybory, wreszcie o tych, którzy sami nie mają sił, by o siebie zawalczyć. O co zdaniem Siostry warto dziś walczyć i dlaczego?

Warto walczyć o swoje marzenia. O to, żeby je odkryć i zacząć realizować. Jak będziemy mieli odwagę pójść za naszymi marzeniami i je realizować, to będziemy szczęśliwi. Nasze pragnienia, czy nazwiemy je powołaniem czy pasją, pochodzą od Boga. To są zadania, które mamy w życiu wykonać. One dają

nam satysfakcję i poczucie spełnienia. Zatem odpowiedziałabym na to następująco: walcz o siebie, walcz o swoje marzenia i swoje szczęście, niezależnie od tego, czy jesteś wierzący czy niewierzący. Bo tylko wtedy, kiedy sam będziesz szczęśliwy, będziesz w stanie to szczęście dać innym. A Pan Bóg, tak sobie myślę, też się wtedy uśmiecha do nas, bo to przecież są Jego marzenia w stosunku do nas i do świata, które my realizujemy.



Moje życie zakonne nie jest celem

„Uśmiecham się tylko, kiedy ktoś mi mówi, że życie zakonne jest marne czy ograniczające człowieka, a ja w tym wszystkim jestem taka biedna, bo tyle straciłam” – mówi o swoich ponad dwudziestu latach w klasztorze. „Śmieszą mnie opowieści, że w zakonie jest zero prywatności. To ludzie dzisiaj nie mają prywatności. Wszystko wywlekają, wszystko filmują, wszystko wrzucają do sieci. Ja uważam, że jestem najbardziej prywatną osobą”.

Siostra Maura Leszek należy do Zgromadzenia Sióstr Benedyktynek Misjonarek i od sześciu lat pracuje w Zielonej Górze. Po maturze zdała

egzaminy wstępne na chemię, ale ostatecznie wybrała zakon, choć wszyscy odradzali jej ten pomysł. Mówili, że się nie nadaje, że ma niewłaściwy charakter i że zmarnuje sobie życie. Dziś śpiewa profesjonalnie, nagrywa płyty, gra na gitarze, tańczy. Pracuje z młodzieżą. Nie narzeka na młodych ludzi. Choć jest świadoma ich słabości, to jeszcze bardziej ich kocha. Za działalność na rzecz szkoły i miasta została nominowana do nagrody prezydenta Zielonej Góry.

Jedna ze znajomych siostry Maury powiedziała o niej: „To pełna pasji kobieta, która czerpie z życia całymi garściami, nie tracąc przy tym tego, co najważniejsze. Łączy w sobie pierwiastek męski i żeński, bo to Maura, ale i Leszek". Mnie w mojej rozmówczyni najbardziej ujmuje jej prostota i spontaniczność. Uczniom mówi często o swoim powołaniu: „Wiecie, jaki to jest luksus: otwieram szafę i wiem, co mam włożyć. Pięć minut i jestem gotowa do wyjścia".

Od ponad dwudziestu lat jest Siostra w zakonie, od osiemnastu pracuje z młodzieżą. Czym zajmuje się Siostra w tej chwili?

Pracuję jako katechetka w jednym z najlepszych liceów w Zielonej Górze. Mamy młodzież z górnej półki, może nie od razu wielkich olimpijczyków, ale uczniów z dobrymi średnimi. Znaczny procent dojeżdża spoza Zielonej Góry. To wypracowana, systematyczna młodzież ze środowisk, w których rodzina jest ważna. Takie perełki.

Wielu z nich o szóstej jest już w drodze do szkoły, a do domu wraca po osiemnastej. Angażują się po lekcjach w akcje charytatywne, pomagają przy rozmaitych zbiórkach, bywają wolontariuszami. Często, kiedy szukam kogoś do pomocy, potrafią przyjechać w sobotę lub niedzielę. Doceniam te moje dzieciaki.

Generalnie jednak na młodzież się narzeka. Można usłyszeć utyskiwania: „Ach, ta dzisiejsza młodzież!". Pojawiają się głosy, że współczesnym młodym ludziom nic się nie chce, że są leniwi, konformistyczni i zapatrzeni w siebie.

Jak ktoś narzeka na młodzież, odpowiadam, że każdy młody człowiek wychodzi z konkretnej rodziny. Nie spadł z nieba. To po pierwsze. A po drugie, jest w tym ryzyko łatwych generalizujących ocen. Nie mam wrażenia, że nic im się nie chce. To z młodzieżą co roku robię przedstawienia w mieście, koncerty pieśni patriotycznych, koncerty bożonarodzeniowe. Razem z nimi organizowałam wydarzenia upamiętniające wprowadzenie stanu wojennego, żołnierzy wyklętych czy sybiraków. A to nie są już dzieci (choć tak o nich myślę), którym można coś nakazać. Oni, robiąc to, kierują się wolnym wyborem. Biorą udział w akcjach, za które nic nie dostają, mimo że angażują swój czas, energię, przychodzą na próby, zostają po lekcjach. Młodzież jest naprawdę dobra. Inną kwestią jest, że czasem nie mają dobrych przykładów w rodzinach, we własnych środowiskach. Ale to przecież nie jest ich wina, a od kogoś muszą się uczyć...

Czy ma Siostra poczucie, że dla tych licealistów jest osobą, do której mogą się zwrócić ze swoimi problemami? Czy dominuje raczej obawa, że zakonnica zaraz zrobi im wykład z moralności?

Może odwołam się do konkretu. Wczoraj miałam w szkole wolną godzinę (okienko) i przyszedł do mnie uczeń, żeby pogadać

o swoim problemie. Jestem przyzwyczajona do tego, że wszelkie wolne godziny czy dodatkowe zajęcia są w moim przypadku albo przygotowaniem uczniów do konkursów albo są czasem przegadanym – bo młodzież przychodzi, żeby porozmawiać. Myślę, że moi uczniowie wiedzą, że zawsze mogą przyjść. Czasem też dzwonią – nawet w niedzielę. Wiedzą też, że jeśli przyjdą do mnie z czymkolwiek, to zostanie to między nami.

Umożliwiam im też na lekcjach to, żeby się nie zgadzali, żeby mogli wykrzyczeć, co ich boli, żeby w cudzysłowie „popluli" sobie – na Kościół, na innych ludzi, na życie... Wychodzę z założenia, że powycieramy to razem. Pamiętam katechezę, podczas której uczniowie stwierdzili, że wszystko w Kościele jest bez sensu. Usiadłam z nimi i zaczęłam pytać o konkretne propozycje zmian. „Straciłam" całą lekcję, a pod koniec usłyszałam: „Dobra, niech może zostanie, jak jest, bo chyba tego lepiej nie ułożymy". Kiedyś arcybiskup Życiński powiedział takie słowa: „Krytykujesz? – Proponuj! Proponujesz? – Wykonuj!". I tego się trzymam.

Można by powiedzieć, że dzięki tym młodym ludziom ma Siostra perspektywę świeżego i krytycznego spojrzenia na Kościół.

Z tą „ich" perspektywą należy zachować ostrożność. Oczywiście, „ich" perspektywa byłaby bardzo pożądana i ona mnie najbardziej interesuje. Ale często zdarza się, że młodzi ludzie przychodzą z gotowymi tekstami swoich rodziców i nawet nie rozumieją, o czym mówią. Albo stwierdzają: „Bo moja mama/tata tak mówi". Trudno wtedy dyskutować. W takich sytuacjach odpowiadam, że mogę z nimi o tym porozmawiać, pod warunkiem że mają rzetelną wiedzę i argumenty na dany temat. Często do takich dyskusji należy się gruntownie przygotować.

Liceum to jest już pewien poziom rozmówcy. To już są ludzie, z którymi mogę porozmawiać poważnie, z którymi można poruszać kwestie bioetyczne, jak choćby plusy i minusy zapłodnienia *in vitro*. Oczywiście, trzeba zacząć od zbudowania i uporządkowania wiedzy, bo oni jej najczęściej nie mają. Chyba że mam do czynienia z klasami o profilu medycznym. Wtedy z kolei rzucam hasło, na przykład, „eutanazja", a oni znają nie tylko definicję, lecz także rozmaite jej rodzaje. Inna rozmowa jest w klasach humanistycznych, w których hasło: „zapłodnienie homologiczne" nic nie mówi. Inna jest też rozmowa z pierwszakiem, a inna z trzecioklasistą, który za chwilę zdaje maturę. Z mojego doświadczenia wynika, że pierwsze dwa lata w liceum są zdobywaniem wiedzy, a w trzeciej klasie można już swobodniej podyskutować.

Wracając do tej „ich perspektywy", ona jest często ograniczona do zasłyszanych gdzieś opinii. W ubiegłym tygodniu rozmawialiśmy na katechezie o tym, jak należy rozumieć biblijne teksty o stworzeniu świata i człowieka. W trakcie dyskusji zapytałam, jak ma się biblijny opis do teorii Darwina. Co się okazało? Nikt w klasie nie czytał teorii Darwina, a mimo to wszyscy „wiedzą", że nie zgadza się ona z Biblią. Na tej samej lekcji, kiedy doszliśmy do opisu, w którym Bóg stworzył mężczyznę i niewiastę, pobłogosławił im i powiedział: „Bądźcie płodni i rozmnażajcie się", pytam uczniów: „O czym to jest?". I druga klasa liceum patrzy na mnie i mówi: „No o stworzeniu" (*śmiech*). Pytam dalej, ale dokładnie o czym? I zaczyna się rozmowa o tym, co Biblia mówi o seksie. Zaraz też pada pytanie, dlaczego Kościół nie zgadza się na związki homoseksualne?

Czy nauka Kościoła dotycząca na przykład homoseksualizmu jest z Siostry perspektywy dla młodych ludzi niezrozumiała lub

nie do zaakceptowania?

Oni nie znają nauki Kościoła. Nie znają jej na temat homoseksualizmu i tysiąca innych kwestii. Znają naukę Kościoła głównie z przekazów medialnych. Kiedy dotykamy na przykład zagadnienia homoseksualizmu, to przede wszystkim należy sięgnąć po Katechizm Kościoła Katolickiego, który tę kwestię jasno tłumaczy. W szkole zawsze mam ze sobą katechizm. Mam też Youcat[13] i parę innych pozycji, do których często zaglądam. Ale generalnie katechizm to podstawa. Im trzeba wyraźnie tłumaczyć, że z homoseksualizmem czy wieloma innymi zagadnieniami w Kościele nie jest tak, że ja – siostra Maura, się na coś nie zgadzam albo polski Episkopat lub papież Franciszek jest przeciwko czemuś. Po prostu takie jest nauczanie Kościoła. Czytamy więc o konkretnym problemie w katechizmie. Katechizm odsyła nas do Pisma Świętego. Tam znajdujemy odpowiednie fragmenty i dyskutujemy o tym. Wtedy dopiero namacalna okazuje się kwestia, jak bardzo nauczanie Kościoła jest nieznane. Bo to, że nie każdy je stosuje w życiu czy się z nim zgadza, to już zupełnie odrębna sprawa.

Jak z Siostry perspektywy wygląda godzenie w szkole lekcji etyki i religii?

Religia i etyka w naszej szkole funkcjonują na zasadzie deklaracji. Uczeń może wybrać, na który przedmiot chce uczęszczać. Może także chodzić i na etykę, i na religię. Miałam uczennicę, która chodziła na religię jako wybraną opcję, a na etykę dodatkowo. Zdarza się również (niestety coraz częściej), że rodzice wypisują uczniów z jednego, i drugiego przedmiotu. Żeby było zabawniej, często ci wypisani z religii uczniowie mówią mi na korytarzu: „Szczęść Boże”. Zdarzają się też rotacje: ktoś najpierw chodził na religię, później na etykę lub odwrotnie.

Czy kiedy ktoś przychodzi do Siostry na religię albo zwraca się z konkretnym problemem, to – w ocenie Siostry – oczekuje, że usłyszy religijne argumenty, czy przychodzi do osoby, do której ma zaufanie?

Z moich obserwacji wynika, że młodzi ludzie nie szukają najpierw argumentów religijnych – chociaż ostatecznie właśnie o to im chodzi. Ja nie tylko jestem ich nauczycielem treści religijnych – jestem przedstawicielem Kościoła, więc nawet jeśli pytają o moje zdanie, to chodzi im też o to, że ja opieram swoje opinie na Bogu i Jego przykazaniach.

Ostatnio od jednego z uczniów usłyszałam: „Moja ciocia urodziła dziecko z *in vitro* i w domu strasznie nadaje się na Kościół. Nawet jakbym chciał coś powiedzieć, to nie umiem". I ja też nie mam specjalistycznej wiedzy w wielu obszarach, o które mnie pytają. Muszę się sporo przygotowywać do zajęć, grzebać w literaturze, szukać rzetelnych konferencji. Ale ponieważ do młodych ludzi bardzo przemawiają historie z życia, więc zbieram mnóstwo reportaży, filmów. Argumentów racjonalnych można im podawać setki, ale czasem czyjaś historia życia robi większe wrażenie. Pytasz, czy przychodzą do mnie po argumenty religijne? Raczej nie, ale zarazem tak. Oni nie mają relacji osobowej z Jezusem. To jest dzisiaj problem młodych ludzi. Dla nich religia to jest sztuczny twór. To jest przestrzeń, w którą trzeba się ubrać w niedzielę jak w kombinezon. Wracam, ściągam z siebie, odhaczam i żyję dalej – na co dzień bez Boga. Chyba że wypadnie święto w tygodniu i znowu trzeba włożyć religijność jak jakiś płaszcz...

Ale gdzieś głęboko w nich jest ukryte pragnienie życia z Bogiem, którego nie dostrzegają, bo są tak zagłuszani przez sprawy tego

świata – jednak to pragnienie jest tak silne jak źródło wybijające się spod ziemi.

Zdarza się, że uczniowie pytają Siostrę o osobistą motywację albo indywidualne podejście do wielu spraw?

Jasne. Czasem prowokują mnie, mówiąc: „Siostra tak mówi, bo musi". Generalnie staram się bardzo jasno odróżniać, co jest nauką Kościoła, a kiedy mówię w swoim imieniu. Czasem mówię, że nie znam wszystkich dokumentów Kościoła, ale ja, siostra Maura, robię coś dlatego, że... I to ma dla nich niejednokrotnie większe znaczenie niż sama doktryna.

Ja mam dość spóźniony refleks i uczniowie już chyba się zorientowali, że czasem potrzebuję czasu, żeby zmierzyć się z jakąś kwestią. Zdarza się, że uczniowie zadadzą mi jakieś pytanie. Ja wracam z nim do domu, idę do kaplicy, modlę się i często po dwóch, trzech godzinach myślę: o, teraz bym wiedziała, co odpowiedzieć (*śmiech*). Trzecie klasy już wiedzą, że jak wracam do jakiegoś tematu, to znaczy, że coś do mnie właśnie dotarło – i teraz mogę z nimi o tym porozmawiać, bo to ważny temat.

Czy na przestrzeni lat Siostry podejście do nauczania religii w szkole jakoś ewoluowało?

Mój pogląd na to, czym katecheza jest i czym być powinna, cały czas się zmienia. Byłam nauczona, że dobrze zrobiona katecheza ogranicza się do konkretnego tematu, realizacji wszystkich punktów z konspektu i notatek w zeszycie. Dzisiaj patrzę na to inaczej. Owszem, założenia programowe są istotne, bo ktoś ten podręcznik napisał i on ma uczniów do czegoś prowadzić – im dłużej pracuję na programie, tym jaśniej widzę, jak lekcje układają się w logiczną ciągłość. Ale jestem niewątpliwie bardziej otwarta na propozycje uczniów. Staram się na bieżąco reagować, kiedy

widzę, że jakiś problem ich faktycznie interesuje, że mają wiedzę i pytania.

Zdarza się też, że otrzymuję listy od uczniów z poprzednich szkół. Kiedyś uczennica przytoczyła moje słowa sprzed iluś lat i napisała, że w pewnej konkretnej sytuacji bardzo jej pomogły. Ja w ogóle nie pamiętam, kiedy coś takiego powiedziałam. A już wiele razy moi uczniowie dali mi odczuć, że coś, co kiedyś, gdzieś powiedziałam, jakoś do nich wraca – czasem po latach.

Czy choćby wczorajszy przykład, o którym wspomniałam. Przyszedł chłopak, żeby porozmawiać, bo trzy dni wcześniej poruszyliśmy pewien temat na lekcji, po której uczniowie podjęli dyskusję na przerwie i ta dyskusja zburzyła mu pewien obraz siebie. Powiedział do mnie: „Siostro, ja już nie wiem, czy dobrze robię czy nie". Odpowiedziałam mu: „Jeśli myślisz, że ja odpowiem ci na pytanie, czy dobrze robisz, to się mylisz". Moją rolą nie jest dostarczanie im gotowych odpowiedzi. Mogę im pewne kwestie wytłumaczyć. Ale oni sami dochodzą do własnych konkluzji czy rozwiązań. I to jest najlepszy owoc lekcji.

Czy wyróżnienia za działalność na rzecz szkoły i miasta albo nagroda prezydenta Zielonej Góry, do której została Siostra nominowana, są jakimś dodatkowym bodźcem czy motywatorem?

Przyznam szczerze, że niespecjalnie. Faktycznie, dwa dni temu zostałam przez dyrektora wyznaczona do nagrody prezydenta miasta. Czy ona jest mi do czegoś potrzebna? Nie bardzo. Czasem to trudno komuś zrozumieć. W szkole jestem jedną z nielicznych osób, które nie wypełniają podania o dodatek motywacyjny, i nie dlatego, że mi się nie chce albo nie mam się czym wykazać. Robię sporo na rzecz szkoły i miasta. W ubiegłym roku przygotowałam sześć koncertów w mieście. Ale nie robię tego po to, żeby ktoś

wystawił mi papier i napisał, że pięknie pracuję z młodzieżą. Regularnie muszę to tłumaczyć nauczycielom i dyrekcji. Często dziwnie na mnie patrzą i mówią: „Ale siostro, to jest satysfakcja". Ja mam satysfakcję, jeżeli przygotowując młodzież do występu, nauczę ich mówić wiersz tak, że mnie samej ciary chodzą po plecach, a po występie podchodzą do nich starsze zapłakane osoby i opowiadają historie o swoich przeżyciach, i dziękują im za piękny występ, to wierz mi – nic więcej nie potrzebuję. Albo kiedy na koncercie pieśni patriotycznych cały kościół ludzi śpiewa pieśni intonowane przez moich uczniów, to ja już jestem cała szczęśliwa, że cel osiągnięty – ludzie mają możliwość pośpiewać pieśni, które tyle znaczą dla Polaków, a tak często są już zapominane.

Cały czas mam gdzieś w tyle głowy, że nie jestem zwykłym nauczycielem. Gdybym była zwykłym nauczycielem, to mogę zrzucić habit, pracować w szkole po te trzydzieści kilka godzin i brać za wszystko wynagrodzenie. Ale ja nie jestem zwykłym nauczycielem. I nie chodzi o to, że jestem kimś lepszym, tylko innym. I to nie jest tak, że uczę tam „przy okazji".

To jak Siostra definiuje swoją rolę?

Uważam, że jako zakonnica mam w tej szkole być przede wszystkim świadkiem. I tu nie chodzi tylko o uczniów, ale także o nauczycieli. Świadkiem choćby tego, że są rzeczy ważniejsze niż pieniądze. Na przykład kiedy umiera ktoś bliski moim współpracownikom, to jest dla mnie czymś normalnym, że się modlę za tę osobę, za jej rodzinę, że nie trzeba mnie „zapraszać" na pogrzeb. Czasem zdarza się, że ludzie potem podchodzą i dziękują. Pytam się: za co? Po to tu jestem.

Dla mnie katecheza jest nie tylko pracą. Ona mnie mobilizuje. Mówię o tym moim uczniom, że jeśli przygotowuję jakiś temat, to

nie katechizuję tylko ich, ale także samą siebie. Jeśli wspólnie poszukujemy argumentów przemawiających za pewnymi racjami, to szukam ich także dla siebie. Uważam, że mam być przyjacielem tych ludzi, a nie osobą, która przychodzi, przeprowadzi lekcje i wraca do swojego „świata".

Z jednej strony mówi Siostra: „To mi wystarczy" oraz definiuje swoją rolę w szkole jako świadka, z drugiej strony ktoś mógłby powiedzieć, że – oprócz tej satysfakcji – nie ma Siostra nic: nie posiada Siostra nic na własność.

Zależy, na co się stawia. Z jednej strony nie mam nic, a z drugiej strony mam wszystko. Mam mieszkanie, pracę, ubezpieczenie... czyli wszystko, co jest niezbędne w życiu codziennym. Nie muszę się o to martwić. Kiedy potrzebuję, idę do lekarza. Kiedy muszę wyjechać lub się zawodowo doszkolić, jest to też możliwe. Z mojej perspektywy wszystko mam. Oczywiście, nie mam rzeczy, które są mi zbędne, ale uważam, że właśnie dzięki temu jestem wolna. Byt materialny jest ważny, ale sądzę, że ludzie, którzy stawiają na to, żeby przede wszystkim mieć, popełniają gdzieś podstawowy błąd. Pieniądze mają znaczenie. To nie jest też tak, że gdybym wygrała milion w totka, tobym poszła i rozdała, bo mi to jest niepotrzebne. Znaczenie ma choćby fakt, że z mojej pensji utrzymywane są również dzieła misyjne.

Z drugiej strony nie potrzebuję motywacji na takiej zasadzie. Rodzice inaczej mnie wychowali. Nie miałam nigdy kieszonkowego. Nie otrzymywałam pieniędzy za pracę, którą wykonywałam w domu. Pamiętam, że choć w domu się nie przelewało, to co roku jeździłam na kolonie – na to rodzice zawsze odłożyli, sama nie wiem skąd! Pamiętam też doskonale zupełnie inne realia lat osiemdziesiątych. Czasem stałam pół nocy z piątku na sobotę w kolejce po mięso i ryczałam, jak pani stojąca przede

mną wzięła ostatnie parówki. Kiedy opowiadam to dziś moim dzieciakom, patrzą na mnie jak na wariatkę, która opowiada historie z innego świata. W liceum już sobie dorabiałam i jak chciałam gdzieś pojechać czy coś kupić, to miałam własne pieniądze – uczciwie zapracowane. Myślę, że to moje wychowanie w domu miało zasadniczy wpływ na to, jak podchodzę do kwestii ubóstwa.

Zresztą ubóstwo nie dotyczy wyłącznie życia zakonnego. Decydując się na jakiś styl życia, liczymy się z jego ograniczeniami. Z tym, że moje potrzeby nie zawsze będą najważniejsze. Oczywiście, ja nie chodzę do restauracji czy na kawę wtedy, kiedy mam na to ochotę, ale na przykład kiedy chcę się zawodowo doszkolić, to się doszkalam. Od iluś lat mam pozwolenie na studia podyplomowe i w dalszym ciągu ich nie podjęłam, dlatego że nie ma kierunku, który mnie interesuje.

Czy to oznacza, że w zgromadzeniu jest całkowita wolność, jeśli chodzi o wybór studiów?

Niekoniecznie. Nie zawsze robi się tylko to, co się chce. Czasem jest konkretna potrzeba w zgromadzeniu, trzeba kogoś wykształcić w danym kierunku. Ja miałam wybór, kiedy rozpoczynałam studia. Mogłam wybrać studia muzyczne albo teologię. Rozważałam nawet studiowanie dwóch kierunków jednocześnie, ale logistycznie okazało się to mało realne. Na szczęście mogę powiedzieć, że dokonałam właściwego wyboru.

Wielką pasją Siostry jest muzyka, a mimo to zdecydowała się Siostra na teologię. Czy dziś określa się Siostra najbardziej przez swój zawód?

Zawód jest dla mnie istotny, ale to nie on mnie definiuje. Kiedy się gdzieś przedstawiam, to zawsze najpierw jako siostra Maura, bo to imię jest dla mnie ważne. Później, kiedy mnie pytają, „jakiej

maści" jestem siostrą, mówię, że benedyktynką. Na trzecim miejscu jest gdzieś katechetka i to, że pracuję z młodzieżą. Często jeżdżę pociągami i bywam pytana o moją pracę i bycie siostrą. Kiedyś ktoś mnie zapytał: „Jak się siostrze pracuje z młodzieżą, skoro nie ma siostra własnych dzieci?". Odpowiedziałam: „Jak to nie mam? Mam dwieście czterdzieścioro" (*śmiech*). Tylu mam uczniów. „To nie to samo" – słyszę. „Wie pani co – odpowiedziałam tej kobiecie w pociągu – zanim »omodlę« ich wszystkich, to się cieszę, że nie mam więcej". Więc to bycie katechetką i praca z młodzieżą ma dla mnie ogromne znaczenie, ale nie jest na pierwszym miejscu.

Zatrzymajmy się na moment przy tych „częściach składowych", które Siostrę określają. Maura to dość oryginalne zakonne imię. Skąd taki pomysł? I o co chodzi w tej zmianie imienia?

Mówiąc w pewnym uproszczeniu, zmiana imienia oznacza zmianę stylu życia. Już w Piśmie Świętym widać, że wraz z nową rolą, zadaniem ktoś otrzymywał także nowe imię. Imię związane jest zawsze z jakąś misją. Rzadko się zdarza w naszym zgromadzeniu, żeby siostry pozostały przy swoim imieniu chrzcielnym. Wchodząc na nową drogę, otrzymujemy zewnętrzne znaki: habit i imię. Oczywiście dla mojej mamy jestem ciągle Moniką. Tak też mam w dowodzie i w rozmaitych dokumentach.

Skąd u mnie imię Maura? Imię benedyktyńskie. Święty Maur był najwybitniejszym uczniem świętego Benedykta, mnichem i opatem. Pochodził z arystokratycznej rodziny. W wieku dwunastu lat został oddany na naukę do klasztoru i to życie bardzo mu odpowiadało. Po śmierci świętego Benedykta został opatem klasztoru na Monte Cassino.

Dla mnie to imię to był strzał w dziesiątkę. Maur, o ile wiem, był zakonnikiem posłusznym, z czym ja mam czasem problem. Nie

w takim sensie, że jestem nieposłuszna, ale ze wszystkich ślubów to chyba jest dla mnie największe wyzwanie. Sądzę, że to w znacznym stopniu wynika z mojego temperamentu.

A dlaczego została Siostra właśnie benedyktynką?

Dobre pytanie. Chciałam iść do franciszkanek. Już nawet miałam wyznaczoną datę przyjazdu, ale mama się rozchorowała i pomyślałam, że pojadę później. Benedyktynki z kolei wychowywały mnie niemal od początku, bo pracują w mojej parafii rodzinnej. Z jednej strony zapierałam się, że w życiu do nich nie pójdę, z drugiej strony wszystkie rekolekcje odbywałam u benedyktynek, a w liceum nawet grałam w kaplicy u sióstr jako organistka. Rano leciałam na siódmą do sióstr na Mszę, tam zjadałam szybkie śniadanie, a później szłam do szkoły. To było naturalne, że one mi towarzyszyły – naprawdę na co dzień.

Niestety, nie umiem podać konkretnego momentu, w którym poczułam, że chcę zostać zakonnicą. Nie miałam nigdy olśnienia. Pamiętam, że jak kiedyś opowiadałam uczniom, że nigdy niebo się przede mną nie otworzyło, nigdy Jezus nie powiedział: „Maura, zrób to i to", że nie było porażenia piorunem, a nawet nie słyszałam żadnego głosu, to jeden z moich uczniów podsumował: „Bo to siostrze nie było potrzebne". Pomyślałam sobie, że on ma rację. Ja naprawdę chciałam tak żyć, od zawsze miałam przeczucie, że będę siostrą.

Jak rodzice przyjęli Siostry decyzję o zakonie?

Nie dopuszczali do siebie tej myśli. Kiedy powiedziałam w domu, że zgłosiłam się do zgromadzenia, mama wywiozła mnie za granicę (*śmiech*). Pojechałyśmy na wakacje. Mama chciała, żebym zobaczyła trochę świata i jeszcze przemyślała tę decyzję. Chyba liczyła na to, że się rozmyślę. Tym bardziej że po maturze zdałam egzaminy wstępne na chemię, a później na prośbę mamy

zdawałam na resocjalizację – ale tam się na szczęście nie dostałam. W mojej rodzinie wszyscy stwierdzili, że się nie nadaję do zakonu. Nie ten charakter. „Ty, do zakonu? Odpuść sobie od razu". Wszyscy się śmiali, mama płakała, ojciec klął, że co tam sobie wymyśliłam. Jedynie moja siostra stanęła po mojej stronie i powiedziała rodzicom, że jestem pełnoletnia, że to moje życie i nawet jeśli stracę rok, to zawsze mogę wrócić. Do dziś jestem jej wdzięczna za te słowa.

Moja mama, o czym dowiedziałam się dużo później, po moim wstąpieniu do zgromadzenia wszystkim mówiła wymijająco, że się uczę. Dopiero jak już przyjechałam w habicie na pierwszy urlop, nie dało się dłużej ukryć, że córka jest w zakonie. Jej najbliższa koleżanka powiedziała mi: „Ona nawet mnie nie powiedziała, że poszłaś do zakonu". Zapytałam później moją mamę: „Wstydziłaś się?". Na co mama mi odpowiedziała: „Nie, nie wstydziłam się, ale miałam nadzieję, że wrócisz..."

A jak to się stało, że w zakonie zaczęła Siostra śpiewać i nagrywać płyty?

Od dziecka śpiewam i gram. W pewnym momencie w naszym zgromadzeniu pojawiła się inicjatywa, żeby założyć scholę gregoriańską. Jako benedyktynki mamy w rysie troskę o liturgię wzbogaconą śpiewem gregoriańskim. Na początku śpiewałyśmy na potrzeby zgromadzenia – podczas Eucharystii i *Officium divinum* oraz podczas uroczystych celebracji. Dobrze nam to szło i zaczęłyśmy się rozwijać. W tej chwili koncertujemy po całej Polsce i nie tylko. W zeszłym roku śpiewałyśmy we Włoszech w Fossanovie, w przepięknym klasztorze pocysterskim podczas festiwalu kultury średniowiecznej. Super są te momenty, kiedy ludzie podchodzą i dziękują za to, że – jak mówią – przez chwilę czuli się jak w niebie, kiedy nas słuchali.

Do śpiewu gregoriańskiego powoli w Kościele się powraca. To jest to przeczucie Kościoła z pierwszych wieków. Ja osobiście nie umiem słuchać chorałów z płyt. Ale przeżywać chorał na żywo to zupełnie co innego. A nam nie chodzi przecież o „występy", o jakiś lans, ale o to, że jak nagramy płytę albo zaśpiewamy koncert, to ludziom coś zostanie, gdzieś głęboko w sercu coś przeżyją. Fantastyczne jest też to, że zgromadzenie daje nam taką możliwość.

Ale śpiewam nie tylko chorał. Kilka lat temu nagrałam płytę z młodzieżą w Biłgoraju. Studio zrobiliśmy sobie w klasztorze, bo przełożona nam na to pozwoliła. To nie byli ludzie po szkole muzycznej, a wyszła nam naprawdę profesjonalna płyta. Dziś te dzieciaki poszły w świat. Studiują kierunki, których nazw nie potrafię powtórzyć. Chłopcy pozakładali przedziwne firmy, ale z uśmiechem wspominamy tę płytę jako prawdziwe szaleństwo. Wiele z tych osób odnalazło się w wierze przez muzykę i to jest dla mnie fantastyczne. Odnaleźć Boga przez muzykę, a nie odwrotnie.

Wydaje się Siostrze, że występ włoskiej zakonnicy s. Cristiny Scuccii w The Voice of Italy, który wywołał wielkie zainteresowanie na świecie, byłby w Polsce możliwy?

Nie sądzę.

Dlaczego? Przełożeni by się nie zgodzili?

Nie, tu w ogóle nie chodzi o przełożonych. Do dzisiaj nie potrafię zrozumieć, dlaczego na polskiej scenie muzycznej świetni artyści, jak Mietek Szcześniak, TGD[14], którzy tworzą muzykę na bardzo wysokim poziomie, nie są lansowani w Polsce. Nie usłyszysz ich na listach przebojów. Dlaczego? Bo śpiewają o Bogu. A to dla wielu stanowi problem. Pewien kulturowy obciach.

Mówię o tym czasem moim uczniom. Zdarza się, że jestem we Włoszech, idę na kawę do kawiarni i nikogo to tam nie dziwi. W Polsce kiedy przyjeżdża do mnie rodzina i idziemy do bardzo

kulturalnej kawiarni, to wzbudzam powszechne zainteresowanie. Gdzie tu problem? Dlaczego zakonnica nie może pójść w Polsce do kawiarni, żeby nie wzbudzić sensacji?

Może byłoby łatwiej, gdyby habit w niektórych sytuacjach można było ściągnąć? Jakie ma Siostra doświadczenia, jeśli chodzi o odbiór habitu w przestrzeni publicznej? Czy w ogóle jest potrzebny?

Pewnie, że byłoby łatwiej, gdyby można go było czasem ściągnąć, tylko postawmy sobie pytanie, czy chodzi o to, żeby było łatwiej. Są momenty, kiedy poszłabym na jakiś koncert, ale wiem, że w habicie tam nie wejdę. Nie dlatego, że wstydzę się habitu. Absolutnie nie. I też nie dlatego, że habit nie byłby spójny z tym występem czy koncertem. Ale ze względu na ludzi, którzy mogą być pijani i mogą dziwnie reagować na habit. Pytasz, czy habit jest potrzebny? Uważam, że tak. Święty Benedykt mówi, że w noszeniu habitu chodzi o przebywanie nieustannie w obecności Bożej (habit z łac. *habitare* znaczy zamieszkiwanie).

Kiedy na ulicy w Zielonej Górze przechodzę obok transwestyty, nie mam z tym żadnego problemu. Nie przechodzę na drugą stronę, nie pluję na niego, nie obrażam go. Kiedy ja idę ulicą, słyszę za sobą wyzwiska, których nie będę tu cytować. Dlaczego? Podejrzewam, że transwestyty nikt by w ten sposób nie obrażał, a jeśli tak by się zdarzyło, to zaraz podniosłyby się głosy obrońców praw człowieka, którzy nagłośniliby to jako problem społeczny.

Czasem mówię uczniom, że kiedy nie masz habitu, możesz iść ulicą, możesz mieć na palcu różaniec, łańcuszek na szyi, krzyżyk gdzieś wbity w kurtkę i nikt cię nie opluje. Na nikim nie zrobisz wrażenia. A mnie, ponieważ jestem w habicie, publicznie wyzywają. Ja naprawdę, idąc ulicą, nie głoszę: Jezus was kocha! Nie krzyczę tak. Zero takich przekazów. A mimo to ktoś nie może

zdzierżyć mojego widoku. Dlatego uważam, że habit jest potrzebny. Ten ktoś nie mnie wyzywa. Jeśli habit ma przypomnieć ludziom, że Bóg jest, i jeśli mam być dla wielu jakimś wyrzutem, to osobiście jestem za.

Nie traktuję habitu jako tarczy, którą wypinam i mówię w duchu: plujcie teraz na mnie. Bo kiedy się tego doświadczy, to już się tego nie zapomina. Do dzisiaj pamiętam, jak mnie kilkanaście lat temu w Warszawie chłopak najpierw wyzwał, a później opluł – wciąż czuję na sobie to miejsce. W pierwszym momencie zacisnęłam pięści, a później przyszła mi myśl: pierwszy raz w życiu czuję się jak Jezus. Jego opluwali i na mnie plują. Wyciągnęłam różaniec i zaczęłam się modlić za tego chłopaka – choć słowa grzęzły w gardle.

Wielokrotnie w rozmaitych słownych prowokacjach pojawiał mi się dylemat: lepiej jest odpowiedzieć czy nie? Umiem odpalić, bo po tylu latach pracy z młodzieżą język się wyostrza. Ale myślę sobie: czy warto? To ten człowiek ma problem, a nie ja. Gdybym ściągnęła habit, nawet by mnie nie zauważył. A w ogóle to najbardziej rozbraja mnie tekst, kiedy gdzieś słyszę: „Taka ładna, a tak sobie życie zmarnowała". Pytam wtedy: „Przepraszam, to o mnie?".

Z czego w opinii Siostry biorą się takie głosy? Że zakon to totalna ofiara i zmarnowane życie?

W moim przekonaniu biorą się z całkowitej nieznajomości życia zakonnego. Nie ma tego niezrozumienia u ludzi, którzy mają kontakty z siostrami. Moi uczniowie mówią mi wprost, że na lekcjach obaliłam wiele ich stereotypów. Oni kończąc katechizację, niejednokrotnie dziękują mi za to, że poznali zakonnicę, która jest normalnym człowiekiem. Zauważyłam, że kiedy pierwszaki dowiadują się, że nagrywam płyty i śpiewam

profesjonalnie, to trochę nie gra im to z obrazem zakonnicy zamkniętej za kratami, która tylko modli się na różańcu.

Ta nieznajomość życia zakonnego była też udziałem mojej rodziny. Mój ojciec uważał, że mogę spać tylko w czarnych piżamach, bo tak mu powiedzieli koledzy w pracy, i jak kiedyś mama uszyła mi koszulę nocną z sierotką Marysią i krasnoludkami, to twierdził, że mi zabiorą. Więc mistrzyni zrobiła mi zdjęcie i powiedziała: „Wyślemy tacie" (*śmiech*). Ja dziś naprawdę rozumiem płacz mamy i nerwy taty, kiedy im powiedziałam o zakonie. Wtedy ich nie rozumiałam, bo ja znałam siostry, a oni nie. Dzisiaj, kiedy moja mama spotyka się z reakcjami w stylu: „Twoja córka jest zakonnicą, czyli tylko się modli", denerwuje się, że ludzie nie mają pojęcia, o czym mówią (*śmiech*). No bo z czego wynikają opowieści o kontrolowanej w zakonach korespondencji czy o totalnym braku prywatności? Z niewiedzy. A co do braku prywatności, to w moim odczuciu nie zakonnice cierpią z tego powodu najbardziej.

Drobna sytuacja ze szkoły: siedzę w gabinecie podczas przerwy i dociera do mnie zza drzwi rozmowa dwojga uczniów opowiadających sobie tak intymne rzeczy, o których ja nie rozmawiam nawet z siostrami, chociaż je bardzo kocham. Spowiednikowi można o tym powiedzieć, ale nie koleżance z klasy. Śmieszą mnie opowieści, że w zakonie jest zero prywatności. To ludzie dzisiaj nie mają prywatności. Wszystko wywlekają, wszystko filmują, wszystko wrzucają do sieci. Ja uważam, że jestem najbardziej prywatną osobą w swoim otoczeniu. Uczniowie nie znają szczegółów mojego prywatnego życia. Czasem, korzystając z komunikacji miejskiej albo stojąc gdzieś w kolejce, mam wrażenie, że ludzie nie mają oporów,

by przez telefon w miejscu publicznym opowiadać o prywatnych sprawach albo o intymnych detalach.

Moi rodzice strasznie się bali, że mnie stracą, kiedy wstąpię do klasztoru. Po iluś latach mojego bycia w zakonie usiedliśmy kiedyś w trójkę z rodzicami przy stole i zapytałam ich: „I co? Jak wyglądają realia, a jakie były założenia?". Na co ojciec: „A kto to wiedział". Więc tylko się uśmiecham, kiedy ktoś mi mówi, że życie zakonne jest zacofane czy ograniczające człowieka, a ja w tym wszystkim jestem taka biedna, bo tyle straciłam. Wcale tak nie jest.

A czy ma Siostra wrażenie, że zakonnice nawet w Kościele postrzegane są jako osoby od „czarnej roboty"?

To bardzo zależy od indywidualnych doświadczeń. Czasem widzę u młodzieży z małych miejscowości z jednym kościołem, gdzie nie ma sióstr, że oni naprawdę mają problem, jak się do mnie zwrócić, bo nigdy żadnej zakonnicy nie widzieli. Dla nich to taki dziwny, nieznany twór w Kościele. Dużo zależy też od nas samych. Choćby tu, gdzie mieszkamy, jest dom na pozór niewyróżniający się na osiedlu, furtka. Łatwo stworzyć sobie konformistyczny styl życia na zasadzie: idę do pracy, realizuję temat, wracam do domu i mam czas prowadzić życie zakonne, czyli idę do kaplicy i dajcie mi święty spokój. Miałam taki etap w swoim życiu, kiedy myślałam, że to tak powinno funkcjonować.

A jak powinno?

Przede wszystkim należy zrozumieć, że życie zakonne to nie cel, tylko sposób na jego osiągnięcie. Nie mam męża i dzieci, bo wiem, że wtedy nie mogłabym być „na maksa" dla innych. Kiedy przychodzi do mnie ktoś porozmawiać, to czasem „tracę" dwie czy trzy godziny. Mogę poświęcić mu właśnie tyle czasu, bo taki styl życia mi to umożliwia. To jest jeden wymiar. Drugi sprowadza się

do tego, że istota naszego życia jest w pewien sposób niedostrzegalna. Sobór Watykański II, mówiąc o życiu konsekrowanym, podkreślił, że jest to „życie ukryte w Bogu". I tak jest dobrze – Bóg widzi wszystko, a przecież dla Niego żyjemy, pracujemy, jesteśmy...

Mam nadzieję, że przeze mnie moi uczniowie kształtują sobie obraz Kościoła. Że kiedyś będą wspominać, że znali kobietę, która poświęciła życie Bogu, a była normalna, można było z nią pogadać, pożartować, a jak trzeba, to i czasem popłakać. Tak powinno zostać. Nie lubię, kiedy ktoś chce mnie na piedestał wyciągnąć. W szkole czasem „odwalam czarną robotę" i nie mam z tym problemu. Śmieję się z osób, które mówią, że swojego kubka nie umyją, bo innym za to płacą. Ja nie pracuję dla pieniędzy.

Jednocześnie mam świadomość, że wszędzie swoją osobą reprezentuję zgromadzenie. Zdarza się, że jadę z dzieciakami do opery i ktoś mnie pyta: „Czy to szkoła katolicka?". Odpowiadam, że nie. I widzę zdziwienie: „I siostra do opery z dziećmi?". A dlaczego nie? Nie chodzę z nimi na piwo, ale nie widzę powodu, dla którego mam nie pójść z nimi do kina, do filharmonii czy do opery.

Jak zapytasz młodzież, w jaki sposób mogą pogłębiać swoją relację z Bogiem, to oni wyliczą ci tylko jeden wymiar: modlić się, chodzić do kościoła i na religię. Tylko tyle! Gdybym kazała im wypisać swoje grzechy, to stworzą niekończącą się listę, ale kiedy pytam: „W jaki sposób oddajesz chwałę Bogu i okazujesz Mu miłość?", to tylko jedno przychodzi im do głowy: chodzenie do kościoła, no i może jeszcze na religię. Pytam więc dalej: „Co robisz ze względu na Jezusa? Gdyby nie On, tobyś tego nie robił?". Żebyś ty widziała ich zdziwione miny. Bo ja wiem, co robię

tylko ze względu na Jezusa – noszę habit. Gdyby Go nie było, to te moje dwadzieścia lat jest bez sensu.

Młodym ludziom często wydaje się, że możesz być wielkim męczennikiem, ewentualnie fantastycznym charyzmatykiem albo – jesteś nikim. A Pan Bóg – jestem o tym przekonana – nie weźmie od nas wielkich akcji charytatywnych. Czasem dużo cenniejsze jest, że się przy kimś zatrzymasz, mimo że się śpieszysz. Nie trzeba jechać na misje, nawracać nie wiadomo kogo i szukać spragnionego, któremu podasz kubek wody. Zauważenie kogoś, kogo normalnie byś zlekceważyła, nie zauważyła, jest ważniejsze i nawet trudniejsze, śmiem twierdzić. To drobiazg. Dzisiejszy świat tak strasznie skupia się na wszystkim, co jest spektakularne, że przeocza te drobiazgi. A Jezus nie weźmie tych wielkich rzeczy. Bo za wielkie rzeczy mamy zapłacone już tu, na ziemi – podziwem innych.

Gubimy się w poszukiwaniu wielkości i tego wszystkiego, co sprawi, że na chwilę wstrzymamy oddech. A w tym czasie przez palce przelatuje nam życie. Co z tego, że znasz pięć języków, skoro nie znasz języka miłości i napotkanego człowieka nie traktujesz jak brata? Fantastyczne jest wybudowanie szkoły czy studni w Afryce, ale wcale nie jest powiedziane, że chodzenie do moich uczniów, kochanie ich, wściekanie się na nich, modlenie się za nich jest mniej ważne.

Biskup Grzegorz Ryś w jednej ze swoich książek napisał: „To jest przerażające, że nam się wydaje, iż jedność w Kościele polega na tym, że wszyscy będą tacy sami. Uwierzcie, że to jest rozbijanie wspólnoty. Najłatwiej to zrozumieć, gdy się jest w zakonie". Czy w zakonie można zachować indywidualną wolność, czy należy wtłoczyć się w jakiś szablon?

Wydaje mi się, że odpowiedź jest jedna. Jeśli masz poczucie, że to jest twoja droga, to wewnętrzne struktury i formacja nie tylko nie będą żadną przeszkodą ani szablonem, ale wręcz przeciwnie, pomogą ci lepiej pojąć pewne kwestie. Jak wstępowałam do klasztoru, zakładałam, że będę organistką – taki był mój plan. Mogłam sobie na czole napisać hasło: „Dajcie mi tylko habit, bo już nic więcej mi nie potrzeba".

Formacja zaczęła totalnie burzyć pewne moje przekonania. Nagle okazało się, że jeszcze tego nie wiem, tego nie umiem, tego jakoś nie ogarniam. Pamiętam moment, kiedy powiedziałam mojej mistrzyni nowicjatu, że zazdroszczę jej tego, że wszędzie, w każdej sytuacji się umie odnaleźć. Wtedy mi odpowiedziała: „Pożyjesz, popatrzysz i się nauczysz". I faktycznie tak się stało – choć czasem były to bolesne lekcje. Czemu bolesne? Bo przychodzisz do zakonu z konkretną historią życia, z konkretnymi zranieniami, potrzebami, swoimi planami i życie zakonne pewne rzeczy przestawia. Ale moje doświadczenie dowodzi, że jeśli jesteś na swojej drodze, to nawet jak będą ci rzucać kłody pod nogi, nawet jak ludzie źle będą mówić, jak się będzie wydawało, że wszystko się przeciw tobie sprzysięgło, to Bóg sam cię przeprowadzi przez wszystkie tarapaty i problemy. Co więcej, one okażą się w konsekwencji jakimś dobrem, środkiem do czegoś większego. Dla mnie błogosławieństwem jest to, że w pewnym momencie zrozumiałam, iż moje życie zakonne nie jest celem.

Pytasz, czy w zakonie można zachować indywidualną wolność? Tak, tylko trzeba wiedzieć, jak tę wolność definiujemy. Ja na swoje życie patrzę często jak na kawałek materiału. Moja mama jest krawcową i to porównanie jest mi bardzo bliskie. Mama nigdy nie wycinała żadnych sztywnych szablonów ani nie pracowała na gotowych wzorach. Po prostu mierzyła, rysowała, kroiła. Potem

zwężała, poszerzała i tak dalej. Ja tak pojmuję swoje życie zakonne. Jestem belą materiału. Bóg ze mnie coś wycina. Ale nie na takiej zasadzie, że wyciosa sobie Maurę, równo wsadzi w ramki i będzie miał skończony produkt. Prawdziwym artystą nie jest ten, kto ma formę, coś odrysuje, a potem zszyje. Tak pracuje rzemieślnik. Natomiast działalność artystyczna polega na podejściu indywidualnym: tu trochę wyżej, tu niżej, tu zmarszczymy, tam dodamy. Dokładnie tak widzę swoje życie i tak działa Bóg.

Moje wszystkie plany runęły w gruzach. Chciałam pójść do franciszkanek, zostałam benedyktynką. Chciałam być organistką, jestem katechetką. Chciałam studiować chemię, skończyłam teologię. W jednej szkole miałam ksywę „tabelka", bo do mnie najlepiej przemawiają struktury, tabele i liczby – wszystko przedstawiam w wykresach. Lubię konkrety. I jakby ktoś mnie zapytał, kto dokonał we mnie tych wszystkich „niemożliwych" dla mnie zmian, mam jedną odpowiedź: Jezus. Kiedy podczas studiów jechałam na niektóre egzaminy, w duchu modliłam się: „Jak mnie wsadziłeś na te studia, to teraz mi pomóż. Wiesz, co ja chciałam robić. Miałam inny plan, ale poddałam się temu. Teraz po prostu mnie prowadź". I przez te wszystkie lata totalnie mnie poprowadził. Gdyby mi ktoś dwadzieścia pięć lat temu powiedział, że będę katechetką, tobym mu się roześmiała w twarz. Dzisiaj gdyby ktoś mi zaproponował inny zawód, to nie chcę. Ale nie wiem, jakie dalsze plany ma dla mnie Bóg!

A że w życiu zakonnym są ramy – to prawda. Ale one porządkują, ustawiają właściwą hierarchię. Choćby plan dnia: ustawia na pierwszym miejscu Boga, liturgię, później jest wspólnota zakonna i dopiero dalej jest praca. I to się sprawdza. I tak jest dobrze. Życie zakonne bardzo wiele mnie nauczyło. Kiedyś powiedziałam moim uczniom, że nie rozumiem ludzi,

którzy odchodzą z zakonów. No i jakiś czas później doszłam do momentu kryzysowego, kiedy jedyną perspektywą wydawało mi się zostawić to wszystko i pójść do świata.

Co sprawiło, że tak się nie stało?

To złożona kwestia. Przede wszystkim wydaje mi się, że żyjemy w rzeczywistości, która alergicznie reaguje na kryzysy, która nie chce przyjąć do wiadomości, że czasem kryzysy się pojawiają i nie muszą być niczym złym. Nie wierzę, że można przeżyć w zakonie kilkadziesiąt lat, nie doświadczając rozmaitych kryzysów. Uczniom tłumaczę to w ten sposób, że zdrowy, normalnie funkcjonujący organizm łapie wirusy i infekcje. Podobnie jest z życiem wiary. Jeśli masz zdrową wiarę, która naprawdę żyje, to będziesz miał kryzysy. Jeśli nie masz kryzysów, to znaczy, że nie masz wiary. Dla mnie to jest ze sobą połączone. I zawsze w kryzysie masz dwa wyjścia: możesz problem zostawić i poszukać sobie czegoś innego – nowego, atrakcyjniejszego, albo o to zawalczyć – jeżeli jest to dla ciebie ważne. Jeśli moja wiara jest żywa – a tę wiarę pojmuję jako relację osobową z Jezusem – to jest normalne, że przyjdą słabsze, trudniejsze momenty i dni. Wiesz, kiedy mam kryzysy? Jeśli przez trzy dni nie spędzam dość dużo czasu na modlitwie, nie czytam Pisma Świętego. Wystarczy przestać się modlić. Na kryzysy ma wpływ także struktura naszej kobiecości: cykl, zmęczenie, stres. To normalne i trzeba sobie dać do tego prawo. Wtedy inaczej się przeżywa kryzys.

Ja moich uczniów kocham, ale są dni, kiedy ich nienawidzę (*śmiech*). Zdarza się, że po powrocie ze szkoły mówię siostrom we wspólnocie: „Jutro do szkoły nie idę, mam tego dość" (*śmiech*). Wtedy przełożona mi odpowiada: „Siostro, wyśpij się". I kiedy tak zrobię, to następnego dnia wstaję i znowu idę do tych łotrów...

Z kryzysami w relacjach nierozłączne jest także błędne pojmowanie miłości. Miłość traktowana jest dzisiaj często jako uczucie. Po roku młodzi małżonkowie nic do siebie nie czują, więc się rozstają. Poszukają kogoś innego i znów „poczują miłość" przez rok, lub dwa. Uczucia miną. Mówię do moich dzieciaków: „Myślicie, że czasem nie mam was dość?". Zwłaszcza kiedy przychodzę do szkoły wściekła, bo trzeci raz z rzędu chleb mi się spalił (*śmiech*). Przychodzę wściekła do szkoły, widzę ich buzie i złość mi mija. Co to jest? To jest uczucie. Gdybym podejmowała decyzje na zasadzie uczuć, to marne moje decyzje i marne życie. Bo dzisiaj kocham, jutro nienawidzę, a trzeciego dnia płaczę ze szczęścia. To dotyczy wszelkich kryzysów: i w małżeństwie, i w zakonie.

A czy ma Siostra wrażenie, że życie zakonne przeżywa dziś kryzys? Czy dostrzega Siostra spadek liczby powołań?

Myślę, że kryzys przeżywa dziś młody człowiek, który często nie potrafi podjąć poważnej decyzji. A z życiem zakonnym jest trochę jak z miłością ludzką. Trzeba się najpierw zakochać. Gdyby mnie jakaś kobieta przekonywała, że jej mąż jest najlepszy na świecie, to ja jej wierzę, ale nie chciałabym się zamienić miejscami. Podziwiam młodych ludzi, którzy zawierając związek małżeński, ślubują, że będą z kimś na dobre i na złe. Bo nie wiadomo, jaka ta osoba będzie za dziesięć czy dwadzieścia lat. A co do tego, że się zmieni, nie mam wątpliwości. Podziwiam tych ludzi. I nie wymagam, żeby ktoś rozumiał moje życie zakonne i mój wybór Jezusa.

A czy zauważam spadek? Spadek jest widoczny ogólnie w Kościele. Pochodzę z Lubelszczyzny. Pamiętam kościół tak zapchany na roratach, że szło się pół godziny wcześniej, żeby można było usiąść. Na niedzielną Mszę, żeby usiąść, wychodziło

się czterdzieści minut wcześniej. W Zielonej Górze wejdę do kościoła punktualnie i będę miała miejsce. To zupełnie inna rzeczywistość. Owszem, odczuwa się spadek liczby powołań i kapłańskich, i zakonnych – liczby nie kłamią. Ale w moim przekonaniu kryzys powołań jest nierozerwalnie związany z kryzysem rodziny, ze zmianą pewnych ról społecznych i z klimatem, w którym dzieci dorastają. Współczesna młodzież wcześniej niż kiedyś rozpoczyna życie seksualne. Wielu z nich życie w czystości wydaje się, po pierwsze, niemożliwe, a po drugie, bez sensu. Po co sobie czegoś przyjemnego odmawiać?

Uczniowie pytają mnie czasem, jak żyć bez telefonu i dostępu do sieci przez osiem dni, kiedy odprawiam rekolekcje. „Nie nudzi się siostrze?". „To jak z akumulatorem" – odpowiadam. Nie da się efektywnie żyć i pracować, wiecznie działając. Musi być moment, żeby się naładować. Niektórzy „ładują się" przez weekendowe imprezy, picie czy narkotyki. W moim odczuciu to nieopłacalny w dłuższej perspektywie styl ładowania. Ja z kolei nie widzę na przestrzeni lat negatywnych skutków ubocznych tego, że pomilczę przez osiem dni. Na osiem dni zostawiam swoje obowiązki i jestem tylko ja i On – Bóg. Moje dzieciaki pytają mnie również: „Skąd siostra ma tyle radości? Siostra pewnie nie ma problemów". Mówię im: „Myślicie, że czasem nie ryczę?". Pytanie brzmi: skąd czerpiesz siłę? Wiem, że współczesny człowiek jest zajęty. Ale uważam, że im bardziej jesteś zajęty, tym więcej powinieneś się modlić. Może trzeba wstać godzinę wcześniej. Przestać tracić bez sensu czas. Dzisiaj coraz więcej ludzi potrzebuje psychologów, bo się nie modlą, bo brakuje im harmonii wewnętrznej. Albo traktują Kościół jak stację obsługi. Wrzucisz żeton i dostaniesz. A relacja z Bogiem na tej zasadzie nie działa.

Denerwują mnie pytania w stylu: czy jedzenie mięsa w piątek to grzech ciężki czy lekki? Co to za podejście: tyle mi wolno, tyle mi nie wolno. I po co? Kiedyś kobieta zapytała mnie, ile razy dziennie ma zmówić litanię, żeby była skuteczna. Powiedziałam: „Ja mówię raz dziennie. I działa!".

Powiedziała Siostra, że często cytuje uczniom zdanie brytyjskiego pisarza W.J. Tomsa: „Dla niektórych ludzi twoje życie może być jedyną Biblią, jaką przeczytają". Co chciałaby Siostra, by przeczytali w tej Biblii?

Że niezależnie od tego, co się stanie z ich życiem, jak się ono potoczy – Bóg ich kocha.

Czy taki przekaz jest dziś jeszcze zrozumiały?

A czy ja go rozumiem? Ja się też go uczę. Z każdą relacją osobową jest tak, że są dni, kiedy bywa cudownie, ale są też takie, kiedy modlę się, mówiąc: „Pokaż mi, Boże, że jesteś i mnie prowadzisz. Daj mi tego doświadczyć, bo tego potrzebuję". Rozumowo wiem, że Bóg przy mnie jest, ale modlę się o wiarę w to i łaskę doświadczania tego na co dzień. Dla mnie najtrudniejszym wyzwaniem jest pokazać moim uczniom, że Bóg ich kocha. Nie chcieć wmówić im tego. Nie nauczyć ich formułek. Ale dać im tego doświadczyć. Powinnam ich kochać tak jak Bóg, ale nie potrafię, bo się potrafię obrazić na nich, denerwuję się i złoszczę. A Bóg taki nie jest. Pokazuję im różnicę, czym jest obraz, a czym rzeczywistość. Nasza miłość jest zaledwie obrazem miłości Boga. Tylko obrazem. A Bóg jest Miłością.

Czasem można usłyszeć, że bardzo udanym pomysłem był czas, kiedy katecheza odbywała się przy kościele, bo po zajęciach można było pójść do kościoła, uklęknąć i tego Boga doświadczyć. Gdyby tak było, to moje pokolenie, dorastające przecież w salkach katechetycznych, powinno wychować religijnie dzieci. Dziś już

wiemy, że tak się nie stało. Dlaczego? Pewnie nie ma jednej krótkiej odpowiedzi na to pytanie. Kiedy przychodzą na religię pierwszoklasiści, proszę ich, żeby napisali, dlaczego tu są, dlaczego przyszli, dlaczego wierzą. Te ich odpowiedzi sobie zachowuję i oddaję im w drugiej lub trzeciej klasie. To jest niezwykłe zderzenie. Sami się z siebie śmieją. Z tego, co napisali kilkanaście miesięcy wcześniej. Ze swoich często górnolotnych wyznań w stylu: „Wierzę, bo Chrystus jest dla mnie najważniejszy" (*śmiech*) – naprawdę tak piszą. Nie napiszą, że wierzą, bo mama im to przekazała, nie są jeszcze tego świadomi.

„Ja modlę się o wiarę dla siebie, a ty?" – pytam tych z najbardziej zdziwioną miną...



Zakon to nie reality show

Siostra Sybilla Kołtan – marianka, założycielka pierwszego i jak dotąd jedynego w kraju duszpasterstwa akademickiego prowadzonego przez siostrę zakonną. Inicjatorka wrocławskich obchodów Dnia Judaizmu. Studiowała historię na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim oraz na uniwersytecie w Konstancji. Obroniła doktorat z historii najnowszej na Uniwersytecie Wrocławskim. Interesują ją relacje niemiecko-polskie po drugiej wojnie światowej.

Kontakt do siostry Sybilli otrzymałam od przyjaciół ze studiów, którzy przekazali mi,

że we Wrocławiu jest „świetna zakonnica zajmująca się relacjami z judaizmem". Przy pierwszym spotkaniu okazuje się, że poznałyśmy się kilka lat temu podczas studiów w Lublinie. Podczas naszej rozmowy szybko udzielił mi się entuzjazm przyjaciół. Uprzytomniłam sobie, że mam przed sobą rozmówczynię, która w szerokim spektrum poruszanych tematów łączy autentyczne zaangażowanie w obraną przez siebie drogę ze zwyczajną mądrością.

Zacznijmy od banalnego na pozór pytania, które zaprząta głowę wielu osobom: jak witać się z siostrą zakonną? Czy „dzień dobry" obraża?

Witać się powinno uprzejmie i kulturalnie. „Dzień dobry" to bardzo ładne polskie pozdrowienie. Często dzwoniąc do świeckich instytucji czy do miejsc, w których nikt akurat nie spodziewa się zakonnicy, mówię „dzień dobry". Czasem ludzie zwyczajnie nie wiedzą, jak mieliby się zachować czy zareagować na „szczęść Boże". Mówię więc „dzień dobry" i czasem dopiero na zakończenie, kiedy z rozmowy wyraźnie wynika, że jestem siostrą zakonną, dodaję na przykład „szczęść Boże". Zwykle też w odpowiedzi słyszę „szczęść Boże". Wydaje mi się jednak, że uprzejme „dzień dobry" to bardzo dobre powitanie.

Cytat z artykułu Siostry: „Wybieranie prostego, ubogiego życia w klasztorze może wydawać się współczesnym czymś zupełnie niedorzecznym. Dla wielu ludzi życie zakonne traci dzisiaj na swej wartości, stając się swego rodzaju »folklorem religijnym« czy średniowiecznym reliktem"[15]. Co takiego

wydarzyło się w życiu Siostry, że zdecydowała się Siostra na folklor religijny i średniowieczny relikt?

Wow (*śmiech*). Co się stało? Będąc młodą dziewczyną, rzeczywiście w taki sposób myślałam o życiu zakonnym. Kiedy byłam w liceum, coś jednak wydarzyło się w moim życiu, uznałam wówczas, że muszę dołączyć do tego reliktu. Po prostu. Dzisiaj mogę zrozumieć wielu ludzi, którzy twierdzą, że życie zakonne jest przestarzałe, kompletnie archaiczne i nieprzystające do czasów współczesnych. Sama do szesnastego czy siedemnastego roku życia tak postrzegałam zakon.

To co stało się później?

Historia mojego powołania wydaje mi się czasem trochę dziwna, ale chyba każda w pewien sposób taka jest. Pochodzę ze zwykłej katolickiej rodziny – w niedzielę do kościoła, ale poza tym nie wychylaliśmy się zbytnio. Jako nastolatka byłam mocno zaangażowana w harcerstwo. Te ideały były mi bliskie i właściwie cały swój wolny czas poświęcałam harcerstwu. Od połowy liceum wiedziałam też, że chciałabym studiować biologię lub nauki przyrodnicze. Bardzo mnie to interesowało. Harcerstwo, biologia i szkoła – w dużym skrócie – wypełniały moje życie. Punkt zwrotny pojawił się, kiedy moja młodsza siostra zainteresowała się zakonnicami, które miały placówkę niedaleko naszej miejscowości, i zapragnęła pojechać do nich, do Barda, na rekolekcje. Nie wiem, skąd u niej takie zainteresowanie. W każdym razie skończyła dopiero szkołę podstawową i rodzice nie chcieli się zgodzić, żeby jechała sama. Wymyślono, że mam jechać z nią. Ja oczywiście odmówiłam, bo nie miałam ochoty na żadne rekolekcje u zakonnic, nawet pięciodniowe. Moja mama znalazła wtedy na mnie sposób i stwierdziła, że mogę nie jechać, ale wtedy nie

dostanę też pieniędzy na obóz harcerski. Pojechałam więc na te rekolekcje w celach „zarobkowych" (*śmiech*).

I tam od razu zapragnęła Siostra wstąpić do klasztoru?

Skąd! To były dla mnie koszmarne dni. Z perspektywy czasu myślę, że to jest dziwne, jak Pan Bóg działa, bo te rekolekcje okazały się ważnym punktem w moim życiu, ale wtedy kiedy na nich byłam, odebrałam je jako mękę. Byłam tam wbrew sobie, postrzegałam siostry zakonne jako takie relikty. No fajnie, że są w kościele, ale dlaczego ja muszę w tym uczestniczyć? A przy tym nie poznawałam mojej siostry, która tak zachwycała się tymi rekolekcjami. Myślałam: czym tu się ekscytować? Pamiętam pewną drogę krzyżową podczas tych rekolekcji. Siostra prowadząca poprosiła mnie, żebym przez jakiś czas niosła krzyż. Ja w ten dzień miałam jakieś kłopoty z żołądkiem i bardzo źle się czułam. Pamiętam do dziś, jak niosę ten krzyż przed całą grupą – to jest dla mnie taki symbol tego, co wtedy przeżywałam. Więc wracając do pani pytania, nie, nie zamarzyłam tam, by zostać siostrą.

Po rekolekcjach wróciłam do domu. To była połowa liceum. Myślałam, że szybko zapomnę o tych kilku dniach i wszystko wróci do normy. I tak też się stało. Ale pół roku później, kiedy zastanawiałam się już bardzo konkretnie nad wyborem studiów, coraz częściej pojawiała się myśl: a może do zakonu? Im bliżej matury, tym poważniej o tym myślałam. To było jakieś mocne wewnętrzne przekonanie, które pojawiło się mimo mojego wewnętrznego oporu. Mimo że ten pomysł – mówiąc delikatnie – mi się nie podobał oraz mimo że kompletnie nie byłam w stanie wyobrazić sobie siebie jako zakonnicy. To, co wtedy myślałam o siostrach zakonnych, całkowicie nie przystawało do mojej osobowości.

Co konkretnie Siostra myślała?

Myślałam, że są smutne i infantylne. Że ich życie jest zamknięte i bezsensowne. Że gdzieś tam po cichutku siedzą i modlą się, nic ciekawego nie robią.

A co myślała Siostra wtedy o sobie?

Siebie widziałam jako taką przebojową, pełną życia, działaczkę, harcerkę, uważałam, że życie przede mną. Chciałam coś osiągnąć, coś zrobić. A tu nagle do zakonu? Myślałam sobie: co ja tam będę robiła? Tam pewnie są same kobiety z kompleksami, których nikt nie chciał. A ja wówczas miałam sympatię. To pragnienie, by życie oddać Panu Jezusowi, stawało się jednak silniejsze od mojego oporu. Nic innego nie mogłam wybrać. Wtedy w liceum zdarzało mi się malować nocami obrazy. Podczas tego malowania lubiłam się modlić. Pewnej nocy pomyślałam, że mimo iż ani tego intelektualnie nie ogarniam, ani w moim przekonaniu się nie nadaję i zwyczajnie nie chcę być siostrą zakonną, to jednocześnie jestem wewnętrznie przekonana, że muszę to zrobić, bo tylko tam będę szczęśliwa. Myślałam, no dobra, są zamknięte, infantylne, reliktowe, wiodą nudne życie, ale coś mi mówi, że muszę iść i sama to zobaczyć. To było niesamowite doświadczenie. Nigdy wcześniej nie zdarzało mi się tak postępować. Robiłam coś wbrew sobie, ale jednocześnie w całkowitej wolności, jakoś wewnętrznie z tym pogodzona.

Jak trafiła Siostra do swojego zgromadzenia?

Miałam w głowie jeden adres, który wpadł mi w ręce ostatniego dnia tych pamiętnych rekolekcji. I tyle mi wystarczyło. Nigdy nie miałam dylematu, jakie wybrać zgromadzenie, jaki rodzaj charyzmatu, wykonywanej pracy. Wiedziałam, że chcę oddać życie Bogu. Po prostu. Rozeznałam, że powinien to być zakon. Jakoś instynktownie wiedziałam, że będę tam szczęśliwa. Miałam poczucie, że klasztor to nie jest jakiś atrakcyjny wybór, ale czułam,

że tylko tam znajdę szczęście. Nie potrafię tego logicznie wytłumaczyć, bo wiem, że jest to trudne do zrozumienia. Byłam przekonana, że gdybym odrzuciła tę myśl, mogłabym żałować czy stracić coś bardzo cennego. Miałam też głębokie przekonanie, że to mocne pragnienie we mnie nie pochodzi z mojego wydumania czy wykalkulowania.

Czyli postanowiła Siostra spróbować?

Tak bym tego nie określiła. Wiedziałam od samego początku, że jeśli podejmę decyzję i wstąpię do zgromadzenia, to nie idę tam na próbę. Nie idę zobaczyć, jak to będzie. Zanim tutaj pierwszy raz przyjechałam, wiedziałam, że muszę podjąć decyzję ostateczną, taką jak na śluby wieczyste. Wtedy nawet nie wiedziałam, że są. Po prostu miałam poczucie, że podejmuję decyzję, która będzie nie do odwołania. Albo się decyduję i idę, albo po prostu się nie decyduję. Nie zależało mi na tym, żeby wiedzieć, jak siostry żyją czy jak chodzą ubrane, bo to mnie w ogóle nigdy nie interesowało. Czułam, że muszę do nich dołączyć. Pamiętam moje przyjście tutaj. Przyjechałam, żeby dowiedzieć się, jakich dokumentów będę potrzebowała, co zabrać, kiedy przyjść. To był ten dom, a nawet ten sam pokój, w którym teraz rozmawiamy. Wszystko było dla mnie nowe. Nie miałam żadnych wyobrażeń, co się robi, gdy się wstępuje do klasztoru. No i przyszłam tutaj w sierpniu po zdanej maturze.

A rodzice?

Mój tata już nie żył. A mama? Cały czas mówiłam, że idę na studia biologiczne. Długo nie mówiłam mamie ani rodzeństwu, że idę do klasztoru. Zwlekałam ze składaniem podania na studia, a czas mijał. W końcu moja mama, nie wiem, jak na to wpadła, zapytała mnie wprost: „Słuchaj, a może ty myślisz o pójściu do klasztoru?". Skąd wiesz? – pomyślałam wtedy. To była okazja, żeby wszystko

powiedzieć. Mama mnie wysłuchała. Przyjęła to spokojnie, stwierdziła, że to jest moje życie. Powiedziała mi wtedy, bo tak też byliśmy wychowywani, że jeśli się na coś zdecyduję, to powinien być to z mojej strony dojrzały wybór, że powinnam tę decyzję traktować poważnie: „Jeśli chcesz iść, to idź, ale jeśli nie jesteś jeszcze pewna, to zostań, przemyśl to jeszcze". Pamiętam, że w tej jej reakcji dominował spokój. Nie było wielkich emocji czy nerwów. Płacz był dopiero wtedy, kiedy wróciłam z urzędu z informacją, że jestem wymeldowana z domu.

Kiedy zaczął się dla Siostry okres takiego świadomego bycia w zakonie, kiedy opadają emocje?

To się tworzy powoli, po to jest kandydatura. W tych pierwszych tygodniach po wstąpieniu byłam zdecydowana na wszystko. Zupełnie siebie nie poznawałam. Zazwyczaj byłam liderką, w harcerstwie prowadziłam swoją drużynę, a tutaj chodzę tam, gdzie mnie poślą, wszystko zrobię, co każą. Myślałam też, chociaż nie wiem dlaczego, że nic nie wolno. A tu szybko się okazało, że to można, tamto można. Powoli zaczął się też dla mnie proces odkrywania, dlaczego tu przyszłam. Właściwie mogę powiedzieć, że do dzisiaj wciąż to odkrywam. Czemu tu jestem, czemu to zgromadzenie. Pan Bóg mi to ciągle pokazuje i powoli odkrywa przede mną.

Pamiętam pewną z pozoru banalną sytuację. Kilka dni po przyjściu do klasztoru miałam pomóc w kuchni. Dostałam do szatkowania kapustę. Zaczęłam ją szatkować i w końcu dotarła do mnie myśl: „To teraz będzie tak przez całe życie?" (*śmiech*). Pamiętam, że wtedy rozpłakałam się i pomyślałam, co ja zrobiłam. Siostra kucharka, bardzo mądra kobieta, powiedziała wtedy: „Idź na ogródek, tam sobie popłacz, i przyjdziesz, jak będziesz mogła". Nie chciała mi nic tłumaczyć, pewnie wtedy nie miała też na to

czasu. Powoli docierało do mnie, że to życie, które wybrałam, jest inne, ale dostrzegałam jego sens.

Kiedy zaczęła się Siostra czuć jak u siebie, na swoim miejscu?

Od początku czułam się na swoim miejscu. Wiedziałam, że chcę tu być. Po prostu wszystko, z czym spotykałam się pierwszy raz, musiałam w sobie „oswoić", musiałam zapoznać się z tym jako swoim. Musiałam na przykład zaakceptować, że plan dnia w klasztorze wygląda tak i tak, że to są moje obowiązki. Od początku czułam, że jest to jedyne miejsce, w którym chcę być. Miałam też głębokie przeświadczenie, że moje życie będzie miało sens tylko wtedy, gdy je spożytkuję dla Pana Boga i dla innych. Byłam przekonana, że ta droga da mi największe szczęście w życiu. Forma była dla mnie drugorzędna. Jak wspomniałam, to nie była moja kalkulacja. Nie wyliczyłam sobie na chłodno, że tu się zrealizuję. Po przyjściu do klasztoru każda rzecz, każde zadanie, nawet każdy spotkany człowiek uświadamiał mi, po co tu przyszłam. Mój obraz zakonnicy, który miałam w momencie wstępowania do klasztoru, zmienił się diametralnie, gdy w nim trochę pożyłam.

Skąd bierze się mało zachęcający obraz sióstr zakonnych w przestrzeni publicznej? Dlaczego – mówiąc kolokwialnie – mijana na ulicy siostra zakonna raczej nie kojarzy się ze szczęściem?

Myślę, że składa się na to kilka kwestii. Pewną rolę niewątpliwie odgrywa kreowany w mediach stereotypowy wizerunek sióstr, bardziej poszukiwanie sensacji niż rzeczywistego obrazu. Być może w niektórych sytuacjach siostry także same są sobie winne, bo nie zawsze chce im się uśmiechnąć do kogoś na ulicy. Zakonnice to jednak tylko ludzie. Też miewają gorsze dni i mają do nich prawo. Nie chodzimy tanecznym krokiem po ulicy jak wyznawcy Kryszny.

Pewną barierą jest zapewne również klauzura, w której żyją siostry zakonne. Są – chyba we wszystkich klasztorach – miejsca zarezerwowane tylko dla członków wspólnoty, gdzie nikt z zewnątrz nie powinien wchodzić. To u niektórych osób z zewnątrz może budzić jakieś podejrzenia. Takie są przepisy i one mają swoje uzasadnienie.

Czemu klauzura powinna służyć? Czemu służą miejsca, w które nie można zajrzeć?

W dużym uproszczeniu powiedziałabym, że klauzura jest po to, by człowiek miał odrębne miejsce, w których będzie tylko on i Pan Bóg. Jest to miejsce pewnej intymności, do której inni nie mają i nie powinni mieć dostępu. Nie może być jak w *Big Brotherze*, że teraz w celach zakonnych pozakładamy kamery i będziemy przyglądać się życiu, którego nie znamy.

W hiszpańskiej telewizji realizowany jest reality show o życiu w zakonie, którego celem jest pokazanie widzom zamkniętego dla większości świata klasztorów. Jak się Siostra zapatruje na taki pomysł? Myśli Siostra, że coś takiego sprawdziłoby się na polskim gruncie?

Pomysł jest żenujący. Myślę, że nie sprawdzi się ani na polskim, ani nawet na hiszpańskim gruncie. Hiszpania strzela sobie w stopę, ale to już nie tylko z tym pomysłem. To w ogóle temat na odrębną dyskusję.

Jak wygląda początkowa zakonna formacja?

U nas najpierw jest kandydatura, czyli czas, kiedy kandydatka przychodzi, przygląda się, zastanawia, czy to jest dla niej, czy chce tu być. Później, jeśli się zdecyduje, zostaje na dwa lata nowicjatu, bo tak jest w naszym zgromadzeniu. Nowicjat to jest podstawowa formacja. On przygotowuje do złożenia ślubów. To w nim nabywa się wiedzy i pewnego rodzaju doświadczenia zakonnego.

Czy jest to czas „pod kloszem”, pewnego rodzaju okres ochronny?

Jest to w pewnym sensie część formacji „pod kloszem”, „warunki cieplarniane”. To są dwa lata duchowego luksusu. Wszystko jest zapewnione, czas podzielony na pracę fizyczną i życie duchowe. Człowiek jest odłączony od świata, szczególnie w pierwszym kanonicznym roku. Ten czas jest po to, żeby się przestawić. I jest to zarazem czas bardzo potrzebny. Życie zakonne jest cudowną sprawą i wspaniałą przygodą, ale tylko wtedy, gdy człowiek cały czas pracuje nad sobą. Weźmy na przykład kobietę, która jest matką. Całe jej życie, zachowania są określone przez jej rolę i obowiązki. U nas to wszystko wygląda inaczej, bo zachowania musimy sobie wypracować. W tym znaczeniu formacja ma nam pokazać, w jaki sposób żyć w zakonie, w jaki sposób być szczęśliwym tutaj, realizować swoje życie w pełni. Te dwa lata szczególnie to pokazują i uświadamiają. Człowiek ma bardziej ograniczony kontakt z rodziną. Bo chodzi o to, żeby oderwać się od tej rodziny. Ja jestem szczęśliwa, że jestem wolna od mojej rodziny. To nie znaczy, że ich nie kocham. Wręcz przeciwnie, bardzo troszczę się o moje siostry, tylko one dwie mi zostały.

Co to znaczy, że jest Siostra wolna od rodziny?

To znaczy, że nie jestem do niej tak przywiązana. Nie muszę codziennie zadzwonić, zapytać się, jak sobie radzą, nie muszę raz w tygodniu pojechać do domu rodzinnego, bo tęsknię itp. To jest pewien rodzaj odcięcia pępowiny.

W zakonie kontakt z rodziną jest ograniczony, żeby zacząć żyć tu i teraz. Rodzina po takim dobrze przeżytym nowicjacie jest bardzo ważna, ale już w trochę innym wymiarze. Jest pewna perspektywa. Jest pewien dystans do tej rodziny. Jest to niezbędne, żeby rozpocząć normalne życie w klasztorze i żeby móc

skoncentrować się na pracy dla innych. W przeciwnym razie, jeśli człowiek jest zamknięty w klasztorze, przygotowuje się do czegoś, a cały czas ma kontakt z rodziną, to tak naprawdę on żyje ciągle w swojej rodzinie. Wtedy to nic nie daje i trochę szkoda tego roku czy dwóch. Jeśli zaś odetnie się od rodziny i skupi na tym, co będzie jego przyszłością, to potem – wiem to z własnego doświadczenia – nawet mocniej wraca się do rodziny. Bo wtedy więzi stają się głębsze – nie tylko chcę się dowiedzieć, co słychać. To jest bardzo ważne i to daje nowicjat. Tak więc formacja to jest inny czas.

Co następuje po nowicjacie?

Składa się śluby czasowe, na rok, na dwa i tak aż do ślubów wieczystych. Ale podczas ślubów czasowych już normalnie się żyje i pracuje w klasztorze, choć nie ma jeszcze tej perspektywy, że to jest na zawsze. Jeśli złożyłabym śluby czasowe na rok i po upływie roku doszłabym do wniosku, że to nie jest moja droga, to mogę odejść. Po nowicjacie zwykle przybywa obowiązków i czas modlitwy nie jest już tak uregulowany, trzeba go sobie często samemu szukać. Życie staje się bardziej samodzielne.

Czy to jest dobre rozwiązanie z Siostry perspektywy? W niektórych zgromadzeniach kandydatki są posyłane do pracy i powinny zobaczyć życie po ślubach?

Kandydatki są z siostrami od samego początku i widzą, jak wygląda codzienne życie w zgromadzeniu. Pracują z siostrami, znają ich obowiązki, ale nie wiedzą jeszcze, co je czeka po ślubach, bo nie wiedzą, jak te śluby będą realizowały. To nowicjat przygotowuje do rozumienia poszczególnych ślubów i dopiero wtedy można je realizować. Często kandydatki, obserwując siostry, konfrontują swoje wyobrażenia z rzeczywistością.

Czy jest różnica między wspólnotą zakonną a rodziną, gdzie ludzi łączą więzy krwi?

We wspólnocie trzeba dążyć do jej ciągłego budowania. Więzy rodzinne są naturalne. Czasem zdarzają się w rodzinie tzw. czarne owce, ale przyjmujemy to zupełnie naturalnie. Mówimy: cóż, to jest rodzina, rodziny się nie wybiera. We wspólnocie, jak wszędzie, też zdarzają się „czarne owce" i niektórzy próbują to zmieniać. To jest zła droga. Dla mnie wspólnota jest pewną odmianą rodziny. Do tego powinnyśmy dążyć. Powinnyśmy też zaakceptować fakt, że w każdej wspólnocie mogą zdarzyć się „czarne owce". To już święty Benedykt mówił w swojej regule, że jeśli we wspólnocie nie ma brata, który wszystkich denerwuje, to należy się o takiego brata postarać (*śmiech*). Tak to jest. Nie mogę powiedzieć, że w każdej wspólnocie zakonnej wszyscy zawsze się kochają, wspierają i skaczą za sobą w ogień. Jest tak jak w każdej rodzinie. Nie zawsze się rozumiemy, ale dla mnie obraz rodziny jest wzorem rodziny zakonnej. Jako przełożona mówię czasem siostrom, że powinnyśmy dążyć do tego, by żyć jak w rodzinie. Nie jesteśmy rodziną, nie łączą nas więzy krwi, czasami nawet kultura nas nie łączy, bo siostry pochodzą nie tylko z różnych regionów, lecz także z różnych krajów. Jednak w tym wszystkim mimo wszelkich przeciwieństw powinnyśmy tworzyć rodzinę. Jest to trudne, ale to jest do wykonania. Ten obraz rodziny naturalnej jest dla mnie ogromnie ważny. Przecież w rodzinie też mamy lepsze i gorsze momenty. Nie wszystkich tak samo lubimy, nie ze wszystkimi jesteśmy w identycznej zażyłości. Podobnie jest we wspólnocie. Chodzi tylko o to, by nie narzekać na to, by nie mówić, że w rodzinie jest super, a u nas odstajemy od ideału. U nas jest tak samo jak w rodzinie. I tak to należy przyjmować. Musimy żyć z tym, że osoba, która właśnie nadepnęła mi na odcisk, to też jest

moja rodzina. Rodziny się nie wybiera i wspólnoty tak naprawdę też w pewnym stopniu się nie wybiera. Pan Bóg zsyła nam różnych ludzi, jednych lubimy bardziej, innych może mniej, ale kochać trzeba wszystkich.

Czy do życia zakonnego konieczne są specjalne predyspozycje, czy może jest to droga dla każdego i wystarczy chcieć? Czy „chcenie" jest ważne?

Nie, „chcenie" nie jest ważne. Ja na przykład nie chciałam. Myślę za to, że powołanie jest ważne, czyli to wewnętrzne przekonanie, które nie pochodzi od nas.

To jest to, że chcę.

Nie. Ja chcę dopiero, jeśli się na to otworzę. Mój przykład dowodzi, że to nie jest tak, że się czegoś chce. To się po prostu dostaje. Dostaje się łaskę, którą należy odpowiednio odczytać. Wierzę w to, że w ten sposób, często trudny do wyjaśnienia, Pan Bóg w nas działa. Więc to wewnętrzne przekonanie jest najważniejsze, a to, czy się chce, czy się nie chce, to jest sprawa drugorzędna. Nigdy nie wiadomo, kogo Pan Bóg w ten sposób dotknie. Dlatego też przyjmuje się wszystkich. Owszem, zdarzają się zgromadzenia przyjmujące kandydatki tylko po studiach, natomiast generalnie patrzy się na to w ten sposób, że jeśli wszystko jest w porządku, jeśli kandydatka jest zdrowa fizycznie i psychicznie i nie ma innych przeszkód kanonicznych, to jest przyjmowana.

Czy dobre zdrowie jest jednym z warunków przyjęcia?

Tak.

Czyli nie ma możliwości przyjęcia do zgromadzenia osoby niepełnosprawnej, na przykład na wózku?

Byłoby z tym ciężko, choć właściwie nie jest to całkowicie wykluczone. Życie zakonne ma podwójny wymiar. Pierwszy

wymiar to ten duchowy. To pewien wybór stylu życia. Jedni zakładają rodziny, żyją w małżeństwie, inni są w kapłaństwie, w życiu zakonnym, jeszcze inni są samotni. To pewien styl życia, pewien też styl relacji z Panem Bogiem. Styl życia ślubami zakonnymi, czyli radami ewangelicznymi. Natomiast drugi, nierozłączny wymiar życia zakonnego sprowadza się do posługi innym. Wykonujemy niejednokrotnie bardzo ciężką pracę i jesteśmy posłane do różnych zadań. W zgromadzeniu nigdy nie jest tak, że robisz to samo przez całe życie. Trzeba być dyspozycyjnym i gotowym przyjąć czasem różne obowiązki.

A jeśli na przykład do zgromadzenia przychodzi kandydatka po dwóch kierunkach studiów, która chciałaby zarządzać ludźmi, bo uważa, że do tego najlepiej się nadaje, to co należy jej powiedzieć? Czy zakon jest także od tego, żeby się w nim realizować?

Realizować należy się w miłości Bożej – tak bym na to odpowiedziała. Generalnie z przymrużeniem oka słucham czasem kandydatek, które mówią, że chciałyby przyjść pod warunkiem, że... I tu następują często różne wyliczanki. Że będą tu na przykład mogły realizować swój konkretny talent lub jakieś umiejętności. Myślę sobie wtedy, że to chyba nie jest ten adres. Najczęściej jest tak, że owszem, ona ten talent w zakonie wykorzysta, ale to nie jest dostateczna motywacja, by decydować się na życie zakonne. Motywem, żeby przyjść do zakonu, jest chęć poświęcenia życia Panu Bogu. On już najlepiej wie, co zrobić z naszymi wszystkimi talentami. Jeśli się w ten sposób do tego podchodzi, to po pierwsze, człowiek jest szczęśliwy, a po drugie, na pewno wykorzysta swoje możliwości albo odkryje tysiące innych, o których jeszcze nie wie. Trzeba poddać się Bogu i oddać Mu

swoje życie w klasztorze. Na razie, na początek, zostawić te swoje talenty. One się pewnie dadzą realizować albo pojawią się nowe.

Jak to było w przypadku Siostry? Czy decyzja przełożonych o tym, że będzie Siostra studiować historię, była dla Siostry spełnieniem marzeń?

To, o czym mówię, jest moim doświadczeniem życiowym. Wspominałam, że ogromnie kochałam biologię. Byłam w niej dobra, jeździłam na konkursy, olimpiady. Kochałam też harcerstwo, pracę z młodzieżą. Bardzo lubiłam malować obrazy. Z takimi zainteresowaniami przyszłam do klasztoru, bo coś kazało mi tu przyjść. Może raczej Ktoś przez duże K. Wiedziałam, że chcę oddać życie Bogu. Przychodząc tu, wiedziałam od razu, że ta biologia czy to moje malowanie schodzą na dalszy plan. W drugim roku nowicjatu zaczęłam chodzić na wykłady z biblistyki na Wydziale Teologicznym i „zakochałam się" wtedy w Biblii. Zamarzyłam, żeby studiować teologię lub biblistykę. Wiedziałam już wtedy, że biologię trudno będzie przeforsować i nawet dałam sobie z tym spokój. Zgromadzenie, do którego wstąpiłam, jest ukierunkowane raczej na pracę wychowawczą i ewangelizacyjną, ale nie prowadzimy szkół, więc po biologii byłoby trudno o realizację charyzmatu rodziny zakonnej, do której dołączyłam. Wiedziałam też, że przełożone będą się mnie wkrótce pytać, w jakim kierunku chciałabym dalej się rozwijać.

Pod koniec nowicjatu zostałam zaproszona na rozmowę do siostry prowincjalnej. Spodziewałam się, że zostanę posłana na teologię. Ale zaproponowano mi studiowanie... archiwistyki. Moja pierwsza reakcja wtedy to było jakieś niedowierzanie: „Ja, taka organizatorka, harcerka, liderka na archiwistykę?" (*śmiech*). Historia była dla mnie najnudniejszym przedmiotem w liceum, kompletnie mnie nie interesowała. Nawet się nie zastanowiłam

i powiedziałam wtedy: „Nie pójdę na historię, bo sobie tego nie wyobrażam. A w ogóle to nawet nie zdam egzaminu". Na spokojną reakcję siostry prowincjalnej i pytanie, co bym chciała robić, odpowiedziałam, że przecież chcę studiować teologię. Pamiętam, że po tej pamiętnej rozmowie wróciłam do pokoju i od razu pojawiła mi się refleksja: przyszłam tu oddać swoje życie. Chciałam, żeby to Pan Bóg mną kierował, a przy pierwszej poważnej decyzji w mojej sprawie bez namysłu mówię nie. Wróciłam do siostry prowincjalnej i powiedziałam: „Dobrze, zgadzam się, ale przystąpię do egzaminu (wstępnego) w jednym miejscu i jeden raz". To był jeszcze czas, kiedy można było zdawać w kilku miejscach jednocześnie.

Co dokładnie sprawiło, że zdecydowała się Siostra w tej konkretnej kwestii zdać na wolę przełożonych?

Nauczyłam się na przestrzeni lat, że Pan Bóg działa w moim życiu najbardziej wtedy, kiedy poddaję się Jego woli. Nawet jeśli pozornie coś mi się wydaje bezsensowne, ale czuję, że On mnie tam prowadzi, to należy iść. Wiele razy mi się to sprawdziło i dobrze na tym wychodzę. Oczywiście kwestia posłuszeństwa też w tym wszystkim grała rolę. Siostra prowincjalna niczego mi nie nakazała, jedynie zaproponowała i zapewniła mnie, że głęboko przemyślała tę decyzję.

Stanęło ostatecznie, że będę zdawać na KUL. Do ostatniego momentu nie wierzyłam, że do tych studiów dojdzie. W krótkim czasie nadrobiłam całe liceum. Pamiętam, że na egzaminie pomyliłam Sikorskiego ze Świerczewskim (*śmiech*). Po wakacjach zaczęłam studia i to było dla mnie zupełnie nowe doświadczenie. Pierwsze dwa lata były koszmarem, bo musiałam wiele nadrobić w stosunku do pasjonatów historii. Na drugim roku zrozumiałam,

o co chodzi w historii. Dzisiaj myślę sobie: dzięki Bogu, że tę historię studiowałam.

Dlaczego?

Bo ogromnie dużo zyskałam. Nie tylko wiedzy historycznej, choć to oczywiste. Uważam, że bez wiedzy historycznej niewiele wiemy o świecie współczesnym. To po pierwsze. Historia otwiera oczy i umysł na wiele spraw. Po drugie, studia w Lublinie oraz rozmaite stypendia bardzo mnie rozwinęły. Udało mi się pojechać na kilka stypendiów, zobaczyć, jak się studiuje gdzie indziej. Zyskałam wiele różnych refleksji. Byłam też sama przez tych kilka lat. Studiowałam poza zgromadzeniem. Mieszkałam w akademiku i ten czas także wiele mnie nauczył.

Czy danie takiej przestrzeni wolności nie stanowiło dla zgromadzenia problemu?

Myślę, że to wszystko było oparte na zaufaniu. Przez pięć lat nikt mnie nie sprawdzał ani nie kontrolował. Ogromnie dużo zawdzięczam moim przełożonym. Jeśli ktoś mi tak zaufał, to wiedziałam, że nie wolno mi tego zaufania zawieść. Takie obdarzenie zaufaniem jest wspaniałym uczuciem, i to mi w życiu dużo dało.

Z jakimi reakcjami spotykała się Siostra na stypendiach zagranicznych i na uczelniach niekatolickich?

W zdecydowanej większości dominowały bardzo pozytywne i miłe reakcje. Nawet na habit. W wielu wypadkach w tych środowiskach byłam jedyną siostrą zakonną, a często nawet jedyną osobą związaną z Kościołem katolickim. To dało mi też ogromnie dużo z perspektywy nie tylko mojego rozwoju, ale także postrzegania świata. Za granicą na studiach nigdy nie spotkałam się z tym, by ktoś potraktował mnie niepoważnie. Wręcz przeciwnie, zdarzały mi się wielokrotnie zabawne i bardzo

sympatyczne sytuacje, kiedy ludzie nawet nie wiedzieli, że mają do czynienia z zakonnicą, bo nie rozumieli, co ten strój oznacza.

Podczas stypendium w Niemczech chciałam podszkolić mój niemiecki, ucząc się w tandemie. Został mi przydzielony chłopak, który był ewangelikiem i synem pastora. Okazał się bardzo ciekawym człowiekiem, choć na pierwszym spotkaniu był w szoku, że trafiła mu się akurat katolicka zakonnica. Nie było w nim jednak cienia niechęci czy rozczarowania, dominowała ciekawość i ogromna otwartość. Przyszedł na naszą pierwszą umówioną lekcję i powiedział: „Nauczyłem się po polsku różnych słów, które mogą ci się spodobać". I tu zaczął wymieniać: „brewiarz, habit, różaniec" (*śmiech*). Bardzo mi się to spodobało. To, że w ogóle wpadł na taki pomysł i że był to gest w moją stronę. Dzięki niemu poznałam lepiej ewangelików, często zapraszał mnie do swojego domu. Widziałam w nim autentyczną radość, że może uczyć się języka z zakonnicą.

A w Polsce? Czy ktoś potraktował Siostrę kiedyś niezbyt serio ze względu na habit?

Jeden raz na studiach w Lublinie spotkałam się z taką sytuacją. Zawsze starałam się przygotować do każdego egzaminu najlepiej jak umiałam. Wychodziłam z założenia, że jestem poza wspólnotą, nie mam innych obowiązków prócz studiowania, więc powinnam moją naukę traktować poważnie. Przygotowałam się do jednego z egzaminów. Wykładowca był zresztą cudownym człowiekiem, z którym nawet po latach utrzymywaliśmy kontakt. Na egzaminie scena wyglądała mniej więcej tak: „Dzień dobry", „Dzień dobry", „No, to poproszę indeks". Podałam indeks i czekam na pytania. Nagle słyszę: „Trójka może być?". Na co ja: „A dlaczego trójka? A gdzie jakieś pytanie?". W odpowiedzi słyszę: „Siostro, ja nie będę

siostry pytał. Przełożona pewnie każe dużo pracować, siostra nie ma czasu, żeby się uczyć. Ja to wszystko rozumiem".

Na czym ostatecznie stanęło?

Zbulwersowana powiedziałam, że się porządnie przygotowałam i że nie chcę żadnej trójki (chyba że będzie to wynikało z moich odpowiedzi na pytania). Wykładowca mocno się zdziwił i po prostu grzecznie zaczął mnie odpytywać z materiału. Udało mi się uniknąć tej trójki. To był tylko ten jeden raz.

Kiedy zaczęła się Siostra zajmować relacjami polsko-niemieckimi? Już w Lublinie czy na stypendiach?

Chyba najbardziej podczas stypendium, na które wyjechałam po drugim roku. Z wyjazdem na stypendium też wiąże się zabawna historia. Na studiach tworzyliśmy paczkę z dwójką przyjaciół: jeszcze jedna siostra zakonna i jeden chłopak. Zawsze się dobrze dogadywaliśmy. Któregoś razu przyszli do mnie z informacją, że znaleźli stypendium w Marburgu, że są miejsca dla szesnastu osób z Europy Środkowo-Wschodniej. Byli przekonani, że my tam w trójkę pojedziemy (*śmiech*). Odpowiedziałam im wtedy, że skoro jest tylko tyle miejsc, to szkoda papieru i zachodu i nie warto składać żadnych dokumentów. Na co oni zaproponowali, że złożą trzy podania, jeśli wyrażę zgodę. Powiedziałam, że mogą złożyć. Trzeba było w tych dokumentach zadeklarować temat przyszłej pracy magisterskiej. Wiedziałam tylko, że chciałabym się zająć historią mojego zgromadzenia, które jest polsko-niemieckie. Ale właściwie temat nie był jeszcze wyklarowany. Po jakimś czasie ta moja dwójka przyjaciół otrzymała odmowne odpowiedzi. Ja nic nie dostałam i nawet żartowałam sobie, że tak jak ja ich potraktowałam, tak oni mnie. Po kilku dniach zadzwoniła do mnie siostra prowincjalna z Wrocławia z informacją, że dostałam list z Niemiec. Pomyślałam, że to zaległa odmowa. A tu się okazało,

że były to gratulacje i zaproszenie na stypendium. Pojechałam na nie sama. Ale z perspektywy czasu myślę, że ten wyjazd był w pewien sposób przełomowy. Przede wszystkim, to był dla mnie trudny czas, bo wtedy jeszcze słabo znałam język. Ale oferta stypendium była znakomita: wybitni profesorowie z całej Europy do naszej dyspozycji. Pracowałam tam non stop na kursie językowym. Kosztowało mnie to ogromnie dużo trudu, żeby móc dyskutować na seminariach historycznych i czytać teksty źródłowe. Ciężko było. Na szczęście znalazł się tam doktorant z Warszawy, który bardzo mi pomógł. Co tydzień trzeba było na seminarium przedstawić swój referat. Mój pierwszy referat przygotowywałam dzień i noc. Z każdym kolejnym było jednak łatwiej. Doświadczyłam podczas tego stypendium ciężkiej pracy i stresu, ale tam też zasmakowałam prawdziwej historii jako nauki. Uświadomiłam sobie, że ludzie z całej Europy interesują się tym samym. Postrzegają te same problemy z różnych punktów widzenia.

To wtedy najbardziej odczułam potrzebę zajęcia się relacjami polsko-niemieckimi. Spotkałam wielu Niemców, którzy bardzo interesowali się naszą wspólną historią. Szybko zrozumiałam, że na tę historię patrzymy inaczej. To było dla mnie od początku ciekawe, że można mieć inny punkt widzenia. My patrzymy na to z polskiej perspektywy, oni z niemieckiej i warto o tym podyskutować, warto poznać tę drugą stronę, żeby na niektóre kwestie spojrzeć inaczej, w innym świetle. To zaczęło mnie bardzo fascynować. Myślę, że to właśnie ten pierwszy wyjazd, który trafił mi się niemal „niechcący", był takim momentem przełomowym w moich studiach czy w moim „życiu zawodowym". Później, po przyjeździe z Niemiec, zupełnie inaczej postrzegałam już tę historię, którą studiowałam. Dostrzegłam też ogromny sens

i wartość w wymianie myśli między ludźmi, którzy zajmują się podobnymi tematami. Od tego momentu przestałam się uczyć tylko po to, żeby przebrnąć przez studia, choć ten początkowy etap też był konieczny. Historia zaczęła być dla mnie fascynująca.

Hitlerowska okupacja pozostawiła w świadomości zbiorowej Polaków wizerunek Niemca jako agresora i wroga. Jak, zdaniem Siostry, akcentować znaczenie wzajemnego pojednania, nie negując złożoności tych relacji? Czy w ogóle powinno się to robić?

Dobrze to pani ujęła. Te relacje są bardzo złożone i doskonale to rozumiem. Nie oczekuję, że między Polakami a Niemcami zaistnieje nagle rajski pokój, że zapomnimy o tym wszystkim, co wydarzyło się w naszej historii, nie tylko podczas drugiej wojny światowej, choć to chyba pamiętamy najlepiej i wciąż mamy do czynienia z jej śladami. Myślę, że bardzo wiele zostało zrobione od drugiej wojny światowej w kierunku tego pojednania. Zwykle nie docenia się tego, co mamy dzisiaj, bo wciąż widzi się to, czego jeszcze brakuje. Ale osiągnęliśmy rzeczywiście bardzo wiele, jeśli chodzi o relacje polsko-niemieckie. Dzisiaj młodzi Polacy nie mają takich problemów jak ich dziadkowie. To jest ogromna praca wykonana przez obie strony. Praca, której konkretne efekty po prostu widać: różnego rodzaju spotkania, deklaracje, wzajemne relacje polityków, rozmaitych fundacji, organizacji, uczelni. Widzę także wielki wysiłek po niemieckiej stronie wkładany w poprawę tych relacji. I w relacjach z Żydami, i Polakami zrobili bardzo wiele. Cała masa fundacji w Niemczech działa propojednawczo. Próbują relacje polsko-niemieckie ucywilizować albo po prostu „odczarować". Uważam, że po takiej gehennie, jaką była druga wojna światowa, osiągnęliśmy ogromny sukces w dosyć krótkim czasie. Owszem, ciągle można usłyszeć wypowiedzi w stylu:

„Niemiec nigdy nie będzie naszym bratem". Nie musi być bratem, jest sąsiadem, tylko tyle. Natomiast jest dla mnie bezsprzeczne, że te relacje są dzisiaj zupełnie inne i wiele czynników na to wpłynęło. Ten wysiłek po obu stronach bardzo mnie cieszy.

Jak zapatruje się Siostra na tezę, że dzisiejsza niemiecka tożsamość oparta jest na poczuciu winy za Holocaust? Czy taki sąd jest uprawniony? I czy należy ciągle do tego wracać?

To jest bardzo trudne, o co pani pyta. I tak, i nie. Jeśli chodzi o Holocaust, to winę ponoszą Niemcy – jest to oczywiście nie do zakwestionowania. Nie da się jednak podważyć ich ogromnej pracy włożonej w to, by później te winy odkupić. Odrębne jest pytanie, w jakim stopniu jest to możliwe. Oczywiście, można się czepiać, że to za mało, że oprócz procesów norymberskich należałoby także szereg innych działań uruchomić. To jest oczywiście wielka dyskusja wśród historyków i nie tylko. Ja bym nie chciała w to teraz wnikać. Dostrzegam jednak ogrom wykonanych przez niemiecką stronę kroków w kierunku odkupienia win za Holocaust. Niemcy bardzo przejęli się tym, żeby naprawić swoje błędy. I myślę, że to dobry kierunek. Czy to powinno trwać nadal? Trudno, żeby trzecie czy czwarte pokolenie, które zna wojnę tylko z kart historii, czuło się wciąż winne. Ale z drugiej strony przeraża mnie teraz w Niemczech nawrót ruchów nacjonalistycznych. Oczywiście nie dotyczy to tylko Niemiec. Może więc wciąż potrzebne są mocne akcenty, że nie tędy droga? Może młodzi ludzie identyfikujący się z tymi ruchami nie znają dobrze historii? Może ta historia jest im inaczej podawana? To są wszystko otwarte pytania, nad którymi warto dyskutować.

Jak doszło do tego, że stała się Siostra inicjatorką i organizatorką wrocławskich obchodów Dnia Judaizmu?

Myślę, że judaizm był mocno w moim życiu obecny właśnie przez Biblię. W nowicjacie na wykładach z biblistyki uświadomiłam sobie, że chrześcijaństwo nie jest do końca zrozumiałe bez judaizmu. Wcześniej docierało to do mnie jakoś instynktownie, a intelektualnie zaczęłam to pojmować trochę później. Zaczęłam sobie uświadamiać, że bez siebie nawzajem nie bardzo rozumiemy, co wyznajemy. Później na studiach w Lublinie jeszcze mocniej to do mnie dotarło. Byłam sama na tych studiach, a zależało mi na tym, żeby pojawił się ktoś, kto będzie czuwał nad moim rozwojem duchowym. Szukałam kogoś takiego w Lublinie i w dość dziwny sposób udało mi się znaleźć księdza Wekslera Waszkinela, który jest księdzem katolickim i filozofem żydowskiego pochodzenia. Przez pięć lat studiów był moim spowiednikiem i w jakimś stopniu kierownikiem duchowym. Jego postawa i formacja bardzo mi pomogły. Dni judaizmu, które później zaczęłam organizować we Wrocławiu, były w znacznym stopniu efektem tego czasu i wszystkich przemyśleń. Wydawało mi się, że skoro jest Dzień Judaizmu ustanowiony przez papieża, to można go wykorzystać jako szansę, by dowiedzieć się więcej o judaizmie, który leży u podstaw naszej wiary.

Z jakimi reakcjami spotkała się Siostra przy organizacji tego dnia?

Spotkałam się z bardzo różnymi postawami. W zgromadzeniu nie było z tym żadnego problemu. Siostry to rozumieją, bo to jest logiczne. Znajomość religii judaistycznej pomaga nawet zrozumieć poszczególne części Mszy Świętej, uświadomić sobie, dlaczego wino, dlaczego chleb, dlaczego Ostatnia Wieczerza itd. Trudno z tym dyskutować. W szerszym środowisku zdarzały się natomiast zarzuty w stylu: „Po co promować żydów, to już naprawdę nie

mamy co w katolicyzmie robić?". Bardzo często musiałam odpierać jakieś niezrozumiałe zarzuty, że promuję kwestie żydowskie.

Jak odpowiadała Siostra na takie zarzuty?

Ciągle tak samo. Staram się ze spokojem wyjaśniać, że nie chodzi o promowanie judaizmu, tylko po prostu o poznawanie religii. Jeśli mówimy o poznawaniu kultury żydowskiej, to po to, by lepiej poznać siebie. Bez judaizmu nie możemy zrozumieć dobrze naszej religii. Dla mnie to jest oczywiste i mam wrażenie, że dla ludzi, którzy trochę się o to zagadnienie otarli, też jest to oczywiste. Jak możemy na przykład zrozumieć Mszę Świętą czy Pana Jezusa, który był Żydem i który wykonywał wszystkie żydowskie praktyki, gdy żywimy jakąś niechęć do judaizmu? Nie chodzi tu o konkretnych ludzi czy czyjeś przekonania polityczne. Chodzi mi wyłącznie o religię, o judaizm, bez którego chrześcijaństwo samo siebie nie rozumie. Jesteśmy tak ubodzy bez poznania judaizmu.

A czy siostrze zakonnej przystoi chodzić do synagogi na modlitwę?

A dlaczego nie? Wcześniej, kiedy miałam więcej czasu, zdarzało mi się chodzić do synagogi, także na modlitwę. Te wspólne modlitwy żydowskie zawsze przeżywałam ze wzruszeniem. Było to dla mnie niesamowite doświadczenie własnej religii, jakbym pojechała do domu rodziców Pana Jezusa. Jezus jest dla mnie Kimś największym, więc jest dla mnie czymś zupełnie zrozumiałym, że chcę Go poznać, chcę zobaczyć, jak wygląda Jego rodzina. Tego można dzisiaj dotknąć w judaizmie. Chodziłam do synagogi po to, żeby doświadczyć obecności Pana Jezusa. Dla mnie On tam jest. Kontakt z judaizmem jest więc dla mnie zawsze przeżyciem religijnym, abstrahuję od całego kontekstu społeczno-politycznego. Tym się nie interesuję ani nie martwię, że ktoś mnie posądza o złe

intencje. Dodatkowo spotkałam się z wieloma niezwykle pozytywnymi postawami żydów w stosunku do mnie. Cudownie reagowali na mnie w synagodze, na obecność katolickiej zakonnicy w habicie. Każdorazowo spotkałam się z ogromnym szacunkiem. Jeśli się idzie do synagogi, żeby się pomodlić, żydzi są bardzo otwarci. Za pierwszym razem jeszcze odrobinę ostrożni, ale za drugim, trzecim razem coraz bardziej otwarcie cię przyjmują. Pamiętam cudowne momenty wspaniałej współpracy z naszymi żydami tutaj, we Wrocławiu. To jest dla mnie ogromnie cenne i wartościowe do dzisiaj.

Bardzo ciekawe przeżycia miałam w synagodze w Konstancji. W piątki wieczorem chodziłam do synagogi na modlitwę. Na miejscu pytano mnie, co tu robię, czy przyszłam z ciekawości. Odpowiadałam, że jestem tu po części z ciekawości, ale chciałam również pomodlić się z nimi, poznać ich. Najpierw na mnie dziwnie patrzyli, bo nie dość, że polska zakonnica w Niemczech, to jeszcze do synagogi zaczęła chodzić.

A do tego niestara, co w Niemczech stanowi rzadki widok.

Pewnego dnia przyszłam do synagogi i jeden z nich powiedział mi na powitanie, że przygotowali dla mnie miejsce. Dostałam więc swoje miejsce. Po modlitwie była kolacja, na którą zostałam zaproszona. To było dla mnie bardzo ciekawe doświadczenie. Cieszyłam się, że mogę ich poznać, zobaczyć, jakimi są ludźmi. To było niesamowite, jak ciepło mnie tam przyjęli, osobę z zewnątrz i dodatkowo jeszcze w habicie. Za którymś razem po wieczornych modlitwach i spotkaniu wyznaczali chłopaków, którzy mieli za zadanie odprowadzić mnie na przystanek i poczekać, aż przyjedzie autobus. Te osoby odprowadzające się zmieniały i jak mi któregoś razu powiedziały, traktowały to jako przywilej. Myśmy się tam po prostu szanowali. Ja ich, a oni mnie. Nikt

niczego nie oczekiwał. Ja nie oczekiwałam, że oni nawrócą się na katolicyzm, a oni nie oczekiwali, że ja na judaizm. Wiedzieliśmy, że możemy sobie zaufać. Nawiązaliśmy relację osobową. A jednocześnie była to relacja osób z różnych religii. Odnoszę wrażenie, że wtedy dopiero można poznawać inną religię: kiedy człowiek ma jakąś relację z osobą z danej religii. Myślę, że żadna książka ani film nie są w stanie zastąpić tej osobowej relacji.

Czy te osobiste spotkania i rozmaite doświadczenia przeniosła Siostra w jakiś sposób na organizację Dnia Judaizmu we Wrocławiu?

Tak. Bardzo mi zależało na tym, żeby to nie były tylko wykłady, lecz żeby w jakiś sposób dać doświadczenie tym ludziom, którzy przyjdą. Dlatego są tam warsztaty, spotkania z żydami, degustacja jedzenia. Wszystko po to, żeby tego judaizmu doświadczyć. I oczywiście nie po to, żeby zmieniać religię. To chyba byłoby śmieszne, gdyby ktoś tak myślał. Chodzi o to, żeby dotknąć swoich korzeni. Przecież to nic nowego. Papież Jan Paweł II wielokrotnie powtarzał, że judaizm to korzenie chrześcijaństwa. Bez judaizmu nie rozumiemy Pana Jezusa, dlatego powinniśmy się nim interesować. Dlatego warto go dotknąć.

Była Siostra zaangażowana także w tworzenie misji sióstr marianek na Filipinach – największym katolickim kraju Azji, gdzie jest totalny miks kulturowy. Jaki to jest Kościół?

Kościół katolicki na Filipinach jest bardzo specyficzny. Niezwykle różnorodny. Zupełnie inny niż na przykład Kościół w Europie. Mówiąc w pewnym uproszczeniu, w Europie dąży się do tego, by religia została uznana za prywatną sprawę człowieka. Zwraca się uwagę na to, by z przekonaniami religijnymi zanadto się nie afiszować. Natomiast na Filipinach przyznawanie się

do katolicyzmu w przestrzeni publicznej jest bardzo popularne i Filipińczycy się tego zupełnie nie wstydzą. Wręcz ich sposób na bycie religijnym sprowadza się do okazywania tego na zewnątrz: noszenie wielkich emblematów religijnych, eksponowanie ich w miejscach publicznych. Napisy na koszulkach w stylu: „Jestem katolikiem i się tego nie wstydzę" albo „Jezus mnie kocha" są tam na porządku dziennym. Na samochodach często widzi się wizerunek serca Pana Jezusa. W autobusach na Filipinach, w których nie jest łatwo skontrolować, kto ma bilet, wiszą szyldy z napisami: „Bóg widzi, kto nie płaci". Tam jest taki Kościół i taka wiara. Prosta wiara. Tam misja katolicka polega na tym, żeby ich wiarę pogłębiać. To Kościół bardzo masowy, w którym czasem brakuje głębi. Takiej prostej wiary w Europie już prawie nie ma.

Czy Europejczycy jako misjonarze są dla Filipińczyków wiarygodni?

Oj bardzo. Dla miejscowych misjonarz jest tym, który przyjechał tu głosić Ewangelię, ale też białym człowiekiem z Europy, czyli ze świata, o którym słyszą zazwyczaj tylko w telewizji. Kwestie kulturowe odgrywają tu wielką rolę. Osobiście bardzo niekomfortowo czułam się ze świadomością, że wielu z nich postrzegało mnie jako kogoś z lepszego świata. Biała kobieta, Europejka ma tam automatycznie wysoki status. Ten respekt jest czasem niepotrzebny. Trudno nawiązać relację z kimś, kto czuje się „mniejszy", mniej wartościowy, niższy w hierarchii kulturowej. Mnie przeszkadzało to nie tylko w budowaniu wzajemnej relacji, ale także w ewangelizacji tych ludzi.

Jak reaguje Siostra na głosy, że Kościół katolicki jest coraz mniej europejski, że kościoły w Europie pustoszeją? Widzi Siostra w tym zagrożenie czy może upatruje szansy?

Nie postrzegałabym tego w ogóle w kategoriach „szansa" czy „zagrożenie". Gdy widzę to, co dzieje się w Europie, jakoś nie przeraża mnie fakt, że w niektórych krajach Kościół „wygasa". Wierzę w słowa Pana Jezusa, że Kościół będzie trwał aż do skończenia świata. Jezus nie powiedział, że Kościół na całej kuli ziemskiej będzie trwał aż do skończenia świata i że będzie proporcjonalnie rozmieszczony. Ani że będzie dominującą siłą. On po prostu będzie trwał do końca i ja w to głęboko wierzę. Nawet z punktu widzenia historyka dostrzegam, jak Kościół się przemieszcza w historii. Przecież jeszcze prawie dwa tysiące lat temu centrum chrześcijaństwa to była Afryka Północna, gdzie dzisiaj nie można wjeżdżać w habicie. Czy to znaczy, że Kościół nie istnieje, że ma się źle albo że umarł? Nie, przeniósł się w inne rejony, chociażby do Azji. Długi czas funkcjonował w Europie jako centrum. W tej chwili to się kończy. Mamy do czynienia z końcem pewnej epoki. Myślę, że za jakiś czas Kościół znów powróci do Afryki Północnej czy do Europy. Musimy jednak mieć na uwadze, że Kościół jest powszechny. Ani polski, ani niemiecki. Może popełniamy błąd, pytając w ogóle o Kościół europejski. Kościół nigdy nie był europejski i nigdy nie będzie europejski, bo jest powszechny, święty, apostolski. Jest w Europie, jest w Azji, jest w Afryce, jest wszędzie. Ale to nie znaczy, że jest europejski lub amerykański. Powinniśmy dążyć do tego, żeby Kościół był powszechny. Bo on nie ma jednej narodowości ani kultury. Jest mi przykro, kiedy obserwuję kryzys w Europie, ale zupełnie nie postrzegam go jako jakiejś tragedii. Kolejny raz zmienia miejsca, przenosi środek ciężkości. Kończy się czas w jednym miejscu, zaczyna się w innym. To nie jest nic strasznego.

A co sprawiło, że założyła Siostra duszpasterstwo akademickie – jedyne w kraju prowadzone przez siostrę zakonną?

Przede wszystkim sama podczas studiów w Lublinie działałam w duszpasterstwie dominikanów, gdzie prowadziłam grupę ekumeniczną. To było dla mnie wspaniałe doświadczenie, które wiele mi dało i znacznie rozszerzyło moją perspektywę studiowania. Przychodząc do tego domu, wiedziałam, że niemal na naszym podwórku mieszkają studenci. Takie dostałam też zadanie od przełożonych, by tym młodym ludziom zorganizować jakieś życie religijne na naszym terenie. Próbowałam więc coś im zaproponować, jakieś miejsce spotkań. Zupełnie nie przypuszczałam, że z tego wyklaruje się duszpasterstwo akademickie. Skupiałam się początkowo głównie na dziewczętach, bo to do nich nasze zgromadzenie w sposób szczególny jest posłane. Szybko jednak spotykanie się z samymi dziewczętami wydało mi się oderwane od rzeczywistości, nie chciałam oddzielać płci. Nie było takiej potrzeby. Zrobiliśmy więc spotkania po prostu dla studentów. W niedługim czasie pojawił się pomysł, by stworzyć duszpasterstwo. Początkowo baliśmy się to tak nazwać, ale jak zawiązała się już mocno scalona grupa, to chcieliśmy uczestniczyć w różnych wydarzeniach. Trzeba więc było mieć nazwę, status. Musieliśmy to jakoś uformować. Tak zaczęło się duszpasterstwo akademickie. To było małe duszpasterstwo, ale wiele razy docierały do mnie głosy, że taka kameralna grupa ma swój urok.

Dlaczego, zdaniem Siostry, duszpasterstwa prowadzą głównie księża diecezjalni bądź zakonnicy? Czy siostry zakonne powinny takie duszpasterstwa zakładać?

Nie wiem, czy siostry powinny zakładać duszpasterstwa akademickie. Myślę nawet, że nie, bo jest to bardzo trudne, wręcz niemożliwe. W duszpasterstwie akademickim niezwykle istotne są sakramenty. Bez Mszy Świętej, bez spowiedzi, bez sakramentów

duszpasterstwo akademickie nie ma sensu. Potrzebny jest zatem ksiądz. Na pewno jest to świetne miejsce do animacji przez siostry. Jednak bardzo istotna i wskazana jest dobra współpraca z jakimś kapłanem, i to najlepiej na stałe z jednym, bo dla młodych ludzi liczą się relacje i więzi, a nie tylko to, żeby ktoś przyszedł odprawić Mszę czy wyspowiadać. Ta formacja religijna oparta jest na relacjach i to też jest ważne. Ja miałam to szczęście, że znalazłam księży do współpracy.

Jest Siostra również postulatorem w procesie beatyfikacyjnym Sługi Bożego ks. Jana Schneidera. Skąd w Kościele taka duża liczba świętych? Niektórzy mówią, że nikt ich nie ogarnia.

W tym ogłaszaniu świętych nie chodzi o to, by Kościół katolicki zanotował ich jak największą liczbę i wtedy będzie lepszy od innych religii.

Czasem pojawiają się jednak pytania, dlaczego Kościół wybiera pewne nazwiska i wynosi je na ołtarze, a wiele innych pomija.

Kościół, uznając kogoś za świętego, nie daje mu tej świętości, tylko uznaje, że ten ktoś, jego życiorys, jego czyny zostały dokładnie przebadane i na podstawach wręcz prawnych i naukowych, pod wieloma obostrzeniami zostało jednoznacznie stwierdzone, że faktycznie ten człowiek żył dobrze całe życie. Nawet nie musiał robić wielkich rzeczy, po prostu dobrze żył. Kościół daje go wiernym jako przykład czy wzór. To nie Kościół decyduje, kto jest święty. To Pan Bóg o tym decyduje. Wielu świętych umiera jako zupełnie nieznane osoby. Dlatego też 1 listopada obchodzimy uroczystość Wszystkich Świętych, czyli wspomnienie tych świętych, których życiorysy nie zostały przez Kościół zbadane i nie stwierdzono wyraźnie, że na przykład Jan Kowalski jest święty. Co nie znaczy, że on nim nie jest. Kościół wybiera niektóre życiorysy, żeby pokazać ludziom dobre przykłady. Mamy świętych

małżonków, święte zakonnice i świętych księży, całą paletę przykładów. Każdy z nas, wierzących, ma gdzieś tam swojego ulubionego świętego, kogoś, do kogo czuje sympatię. Myślę, że właśnie dlatego jest aż tylu świętych. Bo jedni czują sympatię do takiej osoby albo do takiej drogi, duchowości, stylu życia, a drudzy do innej. Po to jest tak wielka różnorodność sylwetek świętych w Kościele, żeby każdy mógł znaleźć swoją drogę.

Czy żeby zostać świętym, potrzebne są cuda?

Tak. Prawo kanonizacyjne wymaga cudów, zarówno do beatyfikacji, jak i do kanonizacji.

Czy Siostra wierzy w cuda?

Nie byłam nigdy świadkiem jakiegoś wielkiego czy spektakularnego cudu, ale tak, wierzę w cuda. Co więcej, nie tylko wierzę, bo mam taką wiarę, ale wiem też, że cuda, które bada się w procesach kanonizacyjnych, podlegają rzetelnej naukowej weryfikacji. Czyli to nie jest nawet kwestia wiary. Ja o wielu cudach po prostu wiem. To są długie procesy, w których należy zgromadzić świadków i zdobyć stosowną dokumentację, a następnie to wszystko jest badane przez ekspertów z poszczególnych dziedzin. Każdy przypadek poddawany jest naukowej ekspertyzie. Wielu ludzi zupełnie bezstronnych, a często niewierzących musi stwierdzić, że nie potrafią w naukowy i racjonalny sposób wyjaśnić jakiegoś zdarzenia. Muszą orzec, że zdarzenie miało miejsce, ale nie potrafią wyjaśnić, w jaki sposób do niego doszło. Proces udowodnienia cudu jest wysoce skomplikowany i bardzo naukowy. Jeśli tylko pojawią się wątpliwości, proces jest przerywany. Jest także powoływanych wiele komisji. Raczej nie ma możliwości, żeby coś tu sobie „ukartować", bo zbyt wiele środowisk i na różnych etapach to sprawdza.

Czy jest coś, co powiedziałaby Siostra osobom, które na Kościele się zawiodły, bo spotkały osoby, które ich skutecznie zniechęciły?

Przede wszystkim radziłabym każdemu, by nie opierał się na ogólnikach. Myślę, że w życiu wiele rzeczy należy opierać na relacjach. Bo to one w ostatecznym rozrachunku okazują się najważniejsze. I tak do życia podchodzić. Najważniejsza na świecie jest miłość, a miłość to jest relacja. I potem z tej relacji wynikają inne relacje. Niezależnie od tego, czy rozmawiamy o Kościele, o judaizmie, o relacjach polsko-niemieckich, to każdorazowo rozmawiamy nie o instytucji, jakiejś masie, lecz o konkretnych osobach. W każdym ogólnym haśle zawieramy zarówno ludzi fajnych, jak i niefajnych, takich, z którymi nam się dobrze rozmawia, i takich, z którymi rozmawia się nam bardzo trudno. Pojęcie „Polacy" obejmuje takich, którzy utopiliby nas w łyżce wody, i takich, którzy oddaliby za nas życie. Są tacy, których lubimy, i są tacy, na których się zawiedliśmy. Jeśli jednak zwiedziemy się na jakimś Polaku, to nie mówimy, że Polska jest „fe". Tylko że ten człowiek postąpił tak i tak.

Trudno jednak ten sposób rozumowania przenieść na Kościół. Jak się zawiedziemy na kimś z Kościoła, nieważne ksiądz, zakonnica czy osoba świecka, jak ktoś taki wyeksponuje swoją wiarę, a my później się na tej osobie zawiedziemy, to mówimy, że cały Kościół jest do niczego. Ja bym radziła takim osobom, żeby swoją obecność w Kościele traktowały jako relację z kimś. Nie przenośmy wszelkich uprzedzeń od razu na całą instytucję. W każdej instytucji są różni ludzie, również ci, którzy mogą mieć ze sobą problem. Czasem, jak ktoś mi zrobi przykrość, to leczę się tym, że próbuję zrozumieć, co tego człowieka skłoniło do danego zachowania. Może miał trudne dzieciństwo, problem z sobą, ciężki

dzień. Jeden człowiek jeszcze nie reprezentuje całości. Nie skupiajmy się na jednostkach, bo wtedy można dużo stracić. I tu nie chodzi tylko o Kościół. Ludzie źli i dobrzy są wszędzie: i w klasztorze, i w Kościele, i w Polsce, „i u Żydów, i u Greków". U wszystkich. Jak jeden lekarz nas źle prowadzi, to nie mówimy, że wszyscy lekarze są źli albo że należy przestać korzystać z osiągnięć medycyny. Nie skupiajmy się na tym, że ktoś błądzi. Jeśli jednak widzimy przewinienia w Kościele, to może zadajmy sobie pytanie, czy Kościół tak uczy. Bo to, że ktoś tak postępuje, nie jest tożsame z tym, że Kościół tak uczy. Kościół jest jedną wielką rodziną. Czasem w naszych rodzinach też się dziwimy i mówimy: „Przecież on nie był tak wychowywany. Dlaczego tak zrobił? Przecież nie tego nauczyli go rodzice". Często nikt nie zna odpowiedzi na takie pytania. W Kościele też błądzimy. Myślę, że w takich kategoriach należałoby na to patrzeć.

I tak zupełnie na koniec: jaki jest Pan Bóg, w którego Siostra wierzy?

Jest absolutnie nieprzewidywalny (*śmiech*). Trudno mi myśleć o tym, jaki jest, bo nie wiem, czy Mu w ten sposób jakoś nie ubliżam. Wszystko, co pomyślę czy powiem, i tak będzie za małe w stosunku do tego, jaki On jest. Z Nim wszystko, nawet to, co wydaje mi się największym bezsensem, nabiera głębokiego sensu i innego wymiaru. Na pewno jest z poczuciem humoru. Mam wrażenie, że jest blisko mnie, ale też patrzy na mnie z pewnego dystansu. Bardzo mnie kocha i wie, że ja też chciałabym Go tak kochać. Ma dla mnie różne rzeczy zaplanowane. Daje mi pewne rzeczy i chyba wie, że na wiele Jego propozycji zareaguję początkowo niechęcią. Ale też wie, że wcześniej czy później dotrę do właściwej decyzji. Mimo iż mam tę świadomość, że Pan Bóg jest nieprzewidywalny i że ma

poczucie humoru, to i tak za każdym razem jestem zaskoczona (*śmiech*). Wiem jednak, że jest też cierpliwy i zawsze czeka, aż ja coś zrozumiem. Aż pogadam sobie, że tak nie może być, że się nie zgadzam, że tak nie zrobię, by ostatecznie przystać na jakiś Jego pomysł. Taka chyba jest cała nasza relacja: niby dobrze, ale ciągle trochę pod górkę.

IV

Tym, czego duch tego świata od nas oczekuje, nie jest wcale sprawiedliwość, ale życzliwość dla bliźnich, przyjaźń i miłosierdzie, a więc takie jakości, których ze sprawiedliwości niepodobna wyprowadzić. Pod tym względem, jak chrześcijańska doktryna nas uczy, do Boga się upodabniamy. Bóg bowiem najczęściej, mówią, nie wedle reguł sprawiedliwości z nami się obchodzi, ale bez żadnych reguł, miłością powodowany[*6].

Leszek Kołakowski



Jesteśmy, choć nas nie widać

Siostra Joanna Długa – ponad piętnaście lat temu po raz pierwszy przekroczyła próg klauzury w Zakonie Świętej Klary. Dziś jest przełożoną wspólnoty sióstr klarysek, jednego z najstarszych żeńskich zgromadzeń w Polsce. To zakon klauzurowy. Mimo że siostry mieszkają przy ulicy Grodzkiej, w samym centrum Krakowa, trudno dostrzec je na ulicy, bo klasztor opuszcza się tylko w wyjątkowych sytuacjach.

Życie w klasztorze klauzurowym podzielone jest na modlitwę, pracę i odpoczynek. Zwłaszcza modlitwy jest sporo: kilka godzin dziennie. Każdy

dzień przebiega według ustalonego harmonogramu, w ciszy i milczeniu.

Z siostrą Joanną spotykam się w klasztornej rozmównicy. Emanuje spokojem. Jest spontaniczna i serdeczna. Szybko zapominam o dzielącej nas kracie. Na pytanie, jaki wymiar ma ta zabytkowa krata, siostra Joanna odpowiada: „To ma być przestrzeń *sacrum*. (...) Nie jest to przestrzeń jakiegoś oddzielenia czy odłączenia, na zasadzie: po jednej stronie jest lepszy świat, a tu jest gorszy. Nie o takie rozumienie chodzi, lecz o komunikat, który wyraża: w ten sposób tu żyjemy, a nasze życie jest nastawione na Boga. Taki jest przekaz kraty i klauzury. Życie po drugiej stronie kraty nie jest ani lepsze, ani gorsze. Jest po prostu inne".

Jak wyglądała droga Siostry do klarysek?

To była dość długa droga, zanim trafiłam tutaj. Może nie tak długa, jak długa jest historia naszego zakonu, mówiąc trochę żartobliwie, ale trwało to trochę, zanim się tu znalazłam, zanim odkryłam Zakon św. Klary[16].

Początek mojej drogi do klarysek sięga szkoły podstawowej. Wtedy po raz pierwszy w mojej głowie zaświtała myśl o życiu zakonnym. Zaczęłam się nad nim zastanawiać, choć nie wiedziałam zupełnie, jak ten temat ugryźć. W moim najbliższym otoczeniu nie było osób zakonnych, więc nie miałam żadnych skojarzeń. Ta myśl była we mnie obecna, ale życie toczyło się swoim torem. Już wtedy jednak miałam refleksję, że jeśli wybiorę taki styl życia, to on będzie bardzo radykalny. Wówczas pewnie nie do końca

rozumiałam, co znaczy „bardzo radykalny”, ale taką miałam intuicję.

W szkole średniej prowadziłam życie jak większość młodych osób, niewyróżniające się niczym specjalnym. Pod koniec szkoły dzięki mojej koleżance trafiłam do wspólnoty przykościelnej. To był mój początek głębszego związania się z Kościołem, poznania Boga, przybliżenia się do Niego. Miałam też wtedy okazję poznać zaprzyjaźnioną ze mną do dziś siostrę nazaretankę, która chyba wyczuwała jakiś mój dystans wobec osób zakonnych. Była pierwszą osobą zakonną, którą poznałam. Z wielkim wyczuciem, cierpliwością i sympatią odpowiadała na wszystkie nurtujące mnie pytania i wątpliwości. Ta jej otwartość sprawiła, że zaczęły we mnie topnieć lody i różne wyobrażenia o życiu zakonnym.

Po maturze podjęłam pracę, a po roku rozpoczęłam też studia teologiczne. To najbardziej podczas tego etapu życia zaczęłam odkrywać w sobie doświadczenie, które nazywamy powołaniem. Nie myślałam jeszcze konkretnie o życiu zakonnym, ale szukałam doświadczenia bliskości Boga i znajdowałam je w modlitwie. Nadal jednak nie byłam pewna, czy ma to być zakon. Żyłam jak większość moich znajomych. Studiowałam i pracowałam. Także opcja życia małżeńskiego wydawała mi się otwarta, jednak myśląc o małżeństwie, coraz częściej czułam, że nie jest to droga, która dałaby mi poczucie szczęścia, jakiego szukam. Dopiero spotkanie z pewnym kapłanem, który zaczął mi towarzyszyć w mojej drodze duchowej, okazało się istotne. Pokazał mi, że być może moją drogą jest życie konsekrowane. Nadal jeszcze nie znałam klarysek. Jeśli w tym czasie w ogóle myślałam o siostrach zakonnych, to raczej o zgromadzeniach czynnych. Z czasem podjęłam pracę w szkole. Mimo że praca była świetna, dawała mi wiele satysfakcji i miałam dobry kontakt z uczniami, ciągle czułam jakiś niedosyt.

Wiedziałam, że poszukuję innego stylu życia niż to, które dotychczas prowadzę, oraz że nie chodzi tu o formę życia zgromadzeń czynnych. W pewnym momencie ten wspomniany kapłan uświadomił mi, że jest w Kościele także droga i możliwość realizacji powołania w inny sposób. Pamiętam, że kiedy usłyszałam o życiu kontemplacyjnym w klauzurze, to mocno zarezonowało to w moim sercu. Gdy zaczęłam poznawać i odkrywać ten styl życia, od razu pomyślałam, że to jest właśnie to. To była taka wewnętrzna pewność.

Co ciekawe, kiedy podjęłam decyzję i poinformowałam o niej moich uczniów, usłyszałam od nich: „Myśmy czuli, że u pani ważą się jakieś losy. Uśmiechała się pani jak zawsze, ale to był już inny uśmiech". Byłam bardzo zdziwiona, że nawet uczniowie jakoś wyczuli, iż zmagam się w sobie z ważną życiową decyzją. Wydawało mi się, że nie mają o tym pojęcia, że nic nie widać na zewnątrz.

Mimo że dojrzewałam do tego wyboru latami, to kiedy w końcu odkryłam życie kontemplacyjne w klauzurze, zdecydowałam się niemal w jednym momencie. Doskonale pamiętam ten dzień. To był 26 sierpnia. Zadzwoniłam do klarysek w Krakowie i powiedziałam, że chciałabym przyjechać do nich. Siostry odpowiedziały, że akurat nie ma możliwości noclegowych. Pokój gościnny z łazienką był zajęty. Odpowiedziałam, że w niczym mi to nie przeszkadza. Tak szybko chciałam zrealizować decyzję, którą podjęłam.

W końcu otrzymałam zgodę na przyjazd. Zapytałam od razu, jakie warunki trzeba spełnić, żeby móc wstąpić. Zebrałam całą dokumentację. Nawet nie byłam świadoma, że przełożona musi najpierw wyrazić zgodę, że musi odbyć się cała procedura związana z przyjęciem kandydatki. Przyjechałam tu na początku

września. Decyzja była już dla mnie oczywista, więc zwolniłam się od razu z pracy. Nie chciałam, żeby uczniowie w trakcie roku szkolnego mieli zmianę nauczyciela. Nie myślałam w ogóle o konsekwencjach, o tym, że mogłabym usłyszeć: „To nie jest miejsce dla pani. Pani się tu nie nadaje" albo „Proszę poczekać jeszcze rok". Zupełnie nie brałam pod uwagę takiej możliwości. Przyjechałam tutaj na wyznaczony weekend. To było moje pierwsze spotkanie z klaryskami, choć natychmiast sobie uświadomiłam, że często zaglądałam do sąsiadującego z nami kościoła św. Andrzeja, kiedy przyjeżdżałam do Krakowa. Porozmawiałam z siostrą i złożyłam papiery. Pamiętam zdziwienie siostry, która zapytała, czy tak od razu jestem pewna. Odpowiedziałam, że tak, że nie mam żadnych wątpliwości. Na tyle, na ile mogłam być wtedy świadoma, wiedziałam, na co się decyduję, że wybieram życie klauzurowe. Oczywiście, trudno będąc po drugiej stronie karty, wiedzieć, czym jest to życie. Ale to był ten radykalizm, który towarzyszył mi gdzieś od początku. Siostra powiedziała mi, że mam czekać na odpowiedź. Po jakichś dwóch tygodniach zadzwoniła przełożona, oznajmiając mi, że jeżeli nadal podtrzymuję moją decyzję, to siostry są gotowe mnie przyjąć. I tak 4 października 2001 roku, mając dwadzieścia dziewięć lat, przekroczyłam próg klauzury. Zostałam i jestem.

Jak się rozpoznaje powołanie do życia klauzurowego?

Mówiąc o powołaniu, należy mieć świadomość, że poruszamy się w obszarze, w którym nie wszystko można wytłumaczyć rozumem. Każda z nas odkrywa to bardzo indywidualnie. Jednak jeśli wykluczy się przestrzeń wiary i doświadczenia duchowego, to w żaden sposób nie da się tego wytłumaczyć. Jan Paweł II napisał książkę o swoim kapłaństwie zatytułowaną *Dar i tajemnica*. Tak jest z powołaniem. To jest jakiś dar i tajemnica. Tego nie da się

matematycznie wyjaśnić. Albo to jest, albo tego nie ma. W moim przypadku było to coś, co odkrywałam w dłuższym czasie i rozpoznawałam, że bliska jest mi taka forma życia. Że tym, czego poszukuję, jest życie kontemplacyjne, a nie życie czynne. To jest jakiś rodzaj pewności, którą ma się w sercu. I nie chodzi tu o żadną ucieczkę od świata.

Czy do prowadzenia życia klauzurowego potrzebne są specjalne predyspozycje?

Najważniejszą predyspozycją, jaką trzeba mieć, jest powołanie do takiej formy życia. Chodzi o wewnętrzne przekonanie, że czyjąś drogą nie jest posługa bliźnim w taki czy inny sposób, ale forma oddania się Bogu, a poprzez to innym właśnie w klauzurze. Niewątpliwie ważna jest chęć podążania taką drogą, życiem dość radykalnym, w oddzieleniu i w klauzurze, w pokucie i ubóstwie, ciszy i milczeniu, na adoracji i słuchaniu Słowa, dziękczynieniu i wstawiennictwu, skupieniu i modlitwie. Warunkiem jest także otwartość na samego siebie, na innych i na Boga. Mówiąc o otwartości na samego siebie, mam na myśli fakt, że taka forma życia daje mocne doświadczenie spotkania się z samym sobą i poznania siebie bardzo dogłębnie. Równocześnie ważne jest doświadczenie otwartości na innych, z którymi sporo przebywamy, prawie dwadzieścia cztery godziny na dobę, oprócz momentów, kiedy każda z nas idzie na spoczynek i jesteśmy osobno. No i przede wszystkim otwartość na Boga, bo dla Niego tu jesteśmy. Można też trochę żartobliwie powiedzieć, że nie można mieć klaustrofobii, bo żyje się w dość ograniczonej przestrzeni. Trzeba mieć także dobre zdrowie psychiczne. W naszym klasztorze przed wstąpieniem wymaga się stosownego zaświadczenia lekarskiego – chodzi o wykluczenie choroby psychicznej. Powiedziałabym jeszcze, że do klauzurowego zakonu trzeba mieć silną osobowość

z racji tego, że – jak wspomniałam – wchodzi się w radykalne doświadczenie siebie połączone ze spotkaniem z innymi.

Jak należy rozumieć to spotkanie z sobą samym? Pamięta Siostra u siebie jakąś początkową trudność? Coś, co sprawiało problem?

To spotkanie z samym sobą to dość naturalny etap na tej drodze. Po prostu otwiera się inna, nowa przestrzeń życia i trzeba w nią wejść. Życie w świecie w takim rytmie, który prowadzi większość osób nieżyjących w klauzurze, dostarcza mnóstwa bodźców zewnętrznych. Myślę, że żyjąc w świecie, w znacznym stopniu nawet nie zdajemy sobie z tego sprawy. Natomiast wejście do klasztoru klauzurowego sprawia, że nagle jest się tego wszystkiego pozbawionym. Nagle wchodzi się i jest cisza. Jest milczenie. Nagle zaczyna wybrzmiewać to wszystko, co nosi się w środku (lęki, obawy, niepewność, różne dialogi wewnętrzne, tęsknoty, wszelakie uczucia, chaos myśli, przywiązanie do osób, rzeczy, spraw, nawyki itd.), czego nawet nie jest się świadomym, będąc w codziennym życiu, zagonieniu, słuchając muzyki, radia, spotykając się z innymi ludźmi. Tutaj nagle okazuje się, że nawet jeśli nie jest to doświadczenie pierwsze dla którejś z nas, to ono na którymś etapie życia formacyjnego czy zakonnego – czy się tego chce czy nie – po prostu wybrzmi.

Myślę, że czegoś zbliżonego doświadczają osoby, które chcą przeżyć rekolekcje przy klasztorach klauzurowych. Muszą nagle pozbyć się zewnętrznych bodźców, choćby telefonu, dostępu do internetu, wejść w przestrzeń ciszy i modlitwy. Pierwsze, co się wtedy słyszy, to hałasy, które człowiek nosi w sobie.

Pamiętam moje doświadczenie pierwszych dni za klauzurą. To był jakiś rodzaj ciemności albo mówiąc inaczej – wyhamowania. Nagle będąc pozbawiona bodźców zewnętrznych, czułam, że nie

rozumiem tego, co się dzieje we mnie. Ta cisza, spokój, milczenie, to wszystko, co ma być czymś sprzyjającym, domagało się ode mnie, żeby jakoś to ogarnąć w sobie, zmieścić w sobie. Po kilku dniach wszystko zaczęło się wyciszać i rozpoczęło się dalsze wchodzenie w siebie, ale już z większym spokojem. Pierwszy szok minął.

Załóżmy, że dzisiaj kandydatka telefonuje, jak Siostra piętnaście lat temu. Co usłyszy, jeśli chce wstąpić do zakonu?

Usłyszy, że przede wszystkim potrzebny jest kontakt osobisty. Ten kontakt jest ważny z tego względu, żeby osoba odpowiedzialna za formację, czyli siostra mistrzyni, mogła poznać tę kobietę czy młodą dziewczynę. Żeby można było porozmawiać, żeby ona wiedziała, na co się decyduje, jakie doświadczenie życia może ją tu spotkać. Żeby miała realne spojrzenie na to, czym jest klauzura, a nie tylko swoje wyobrażenia. Zupełnie czym innym jest rozmowa przez telefon, a czym innym spotkanie twarzą w twarz. Ważne jest poznanie tej osoby, która miałaby być w przyszłości jedną z naszych sióstr. Pierwszym etapem jest więc spotkanie i wzajemne poznanie się. Myślę, że minimum takiego kontaktu powinno wynosić jakieś pół roku. Tu nie chodzi nawet o jakąś regularność spotkań, ale po prostu o obustronną możliwość poznania się. Żeby taka osoba mogła zadać pytania, które ją interesują, żeby mogły wybrzmieć rozmaite wątpliwości. Z naszej strony musimy także uzyskać konkretne rozeznanie dotyczące kandydatki. Poza tym musi ona spełnić konkretne wymogi dotyczące procedury ubiegania się o przyjęcie do zakonu. Osoba, która chce wstąpić, musi być pełnoletnia i mieć ukończoną szkołę. Gdy jest to dziewczyna, która nie ma ukończonych osiemnastu lat, zachęcamy ją, aby utrzymywała z nami kontakt, aż dojdzie

do odpowiedniego wieku, i wówczas, jeżeli jest w niej nadal pragnienie wstąpienia do nas, może to uczynić.

Jest jakaś górna granica wieku?

Nasze prawo zakonne nie wyznaczyło górnej granicy. Podchodzimy bardzo indywidualnie do każdej osoby. Wydaje się jednak, że osobie już bardzo dojrzałej z rozmaitych względów mogłoby być trudno przystosować się do takiej formy życia zakonnego. Dlatego najlepszy okres to pewnie ten między dwudziestym a trzydziestym, a maksymalnie czterdziestym rokiem życia.

Czy zdarza się, że zmieniają siostry miejsce zamieszkania, czy też zostają na zawsze w klasztorze, do którego wstąpiły?

Każdy klasztor klarysek jest autonomiczny. Wstępując do konkretnego klasztoru, trzeba mieć świadomość tej autonomii. Nie ma czegoś takiego jak przenosiny z jednego domu do drugiego, chyba że dany klasztor zakłada nową fundację. Jakiś czas temu zakładałyśmy nową fundację i wtedy część sióstr z naszej wspólnoty przeszła do nowej fundacji. W ten sposób to funkcjonuje. Ale nie ślubujemy stałości miejsca, jak to na przykład dzieje się w zakonach benedyktyńskich. U nas tego nie ma. Już z samego faktu, że każdy klasztor jest autonomiczny, wynika, że przychodzi się do danej wspólnoty i w tym miejscu się pozostanie.

Jak wyglądają sytuacje, kiedy trzeba wyjść na zewnątrz: załatwić sprawy administracyjne, zrobić zakupy, odbyć wizytę u lekarza?

Sprawy zewnętrzne, jak zakupy czy kwestie administracyjne, w imieniu klasztoru załatwiają przełożona i siostra ekonomka. One mogą wyjść w sprawach, które trzeba koniecznie załatwić. Zakupy w tej chwili można już zamówić telefonicznie lub przez internet

i najczęściej są przywożone nam do klasztoru. Nie trzeba zatem opuszczać klauzury. Ale prawo daje możliwość wyjścia na zewnątrz w sytuacjach koniecznych przełożonej lub ekonomce. Oczywiście, siostry wychodzą także do lekarza oraz kiedy trzeba osobiście załatwić ważne kwestie, na przykład wymienić dowód. Zatem wyjścia w konkretnym celu są możliwe, ale w sytuacjach, które, jak to podkreśliłam, są konieczne.

Czy zdarza się, że takie opuszczenie klauzury bywa dla sióstr rodzajem szoku?

Owszem, może tak być. Zazwyczaj jednak siostry mówią nie tyle o szoku, ile o zmęczeniu wynikającym z hałasu i dużej ilości bodźców zewnętrznych. Jeszcze raz do tego wracam, sądzę, że osoby, które na co dzień żyją w świecie, nawet nie zdają sobie z tego sprawy. Kiedy bowiem wychodzi się z oazy ciszy, to hałas może zmęczyć. Pamiętam, że kiedy pierwszy raz po dłuższym czasie musiałam opuścić klauzurę, idąc do lekarza, to gdy wracałam już i przekraczałam bramę oddzielającą nas od ulicy, poczułam w jednej chwili ulgę i jak wszystko zwalnia. Jakbym weszła w inny wymiar, w przestrzeń ciszy. Pamiętam to wrażenie do dziś.

Habit sióstr jest w dalszym ciągu zbliżony do tego z początków istnienia klarysek. Nie przeszedł jakiejś diametralnej reformy. Jaka jest symbolika takiego stroju?

Strój zakonny zawsze jakoś wpisywał się w daną epokę, w której powstawał dany zakon, i choć żyjemy już kilka wieków później, to jego charakter mamy zachowany. Nasz habit diametralnej reformy nie przeszedł w tym znaczeniu, że nadal mamy zakryte policzki, szyję i czoło. Nosimy prostą czarną tunikę z szerokimi rękawami, uszytą na kształt krzyża. W pasie mamy sznur, który jest symbolem pokutniczego stylu życia, przyjętego przez Franciszka i Klarę. Na nim znajdują się trzy węzły symbolizujące trzy śluby, które

składamy: czystość, posłuszeństwo i ubóstwo. Przy pasku nosimy koronkę franciszkańską do siedmiu radości Matki Bożej przypominającą różaniec, ale różniącą się tym, że ma siedem dziesiątek, a nie pięć. Na habicie mamy szkaplerz[17]. Wokół szyi i głowy nosimy zawicia[18], charakterystyczne dla kobiet żyjących w czasach św. Klary, choć współcześnie ono trochę inaczej wygląda. Nosimy również wokół głowy, na wysokości czoła tzw. bindal[19], który symbolizuje koronę cierniową, oraz welon, który jest symbolem oddania Bogu, czystości i dziewictwa. W uroczystych formach liturgicznych (np. Eucharystii) wkładamy długi czarny płaszcz. Habit powinien przypominać osobom postronnym, ale również nam, o naszej przynależności do Boga. Przez tak radykalną inność nasz strój ma pokazywać, że żyjemy dla Boga. W tym „szczelnym obudowaniu", czyli zakryciu naszego ciała również chodzi o przekaz, że nasze ciało jest dla Boga.

Czym różni się życie siostry klauzurowej od życia sióstr ze zgromadzeń czynnych?

Przede wszystkim, dotykając rozróżnienia między życiem czynnym a życiem klauzurowym, należy wyraźnie zaznaczyć, że klauzura jest wpisana w każde życie zakonne. Ale istotą naszego życia nie jest klauzura, lecz kontemplacja. To nasze życie jest życiem kontemplacyjnym w klauzurze. Klauzura ma nam pomagać w jego przeżywaniu i pogłębianiu. Życiem w coraz większej więzi z Bogiem. Dążeniem do tego, żeby On przenikał moje życie. Żeby moje myśli, uczucia, słowa, postawy były ukierunkowane na Niego. Temu ma służyć klauzura. Siostry w zgromadzeniach czynnych oddają się konkretnej posłudze bliźnim. W ten sposób wyrażają swoją bliskość i oddanie Bogu. Natomiast my, żyjąc w klauzurze i prowadząc życie kontemplacyjne, wyrażamy w inny sposób nasze oddanie Bogu. Jednocześnie poprzez taką formę życia

jesteśmy blisko innych ludzi. Bo to nie jest tak, że będąc tutaj, zapominamy o świecie zewnętrznym i o innych osobach, które gdzieś tam borykają się z różnymi problemami. Powiedziałabym nawet, że jest wręcz odwrotnie. Jesteśmy bardzo blisko ich wszystkich. I choć nie widać nas na ulicy i nie widać nas w sposób zaangażowany, to jesteśmy. Myślę, że na tym polega zasadnicza różnica. Chodzi o to, że nie oddajemy się zewnętrznej aktywności, która charakteryzuje zgromadzenia czynne. Istotę naszego powołania wyrażamy w inny sposób. Tak jak Jezus, który przebywał z apostołami, był blisko ludzi, uzdrawiał, ale miał też wiele momentów, w których szukał odosobnienia i szedł na modlitwę. Tego też uczył apostołów. To jest droga naśladowania szczególnie nam bliska.

Jak to przekłada się na codzienne realia? Jak wygląda przykładowy rozkład dnia? Ile jest w nim czasu przeznaczonego na modlitwę?

Czas w naszym klasztorze podzielony jest na modlitwę, pracę i odpoczynek. Wstajemy o piątej, a kończymy dzień o dwudziestej drugiej. W tych ramach przebiega każdy nasz dzień, poza dniami, kiedy wstajemy na nocną modlitwę o północy. Trudno powiedzieć z zegarkiem w ręku, ile czasu spędzamy na modlitwie. Tego czasu, kiedy jesteśmy razem w kaplicy i w naszym chórze zakonnym, jest około pięciu, sześciu godzin dziennie. To czas, w którym jest miejsce na modlitwę Liturgii Godzin, Eucharystię, adorację, medytację Słowa Bożego, czyli jego rozważanie, różaniec. Natomiast modlitwy jest dużo więcej, ponieważ dochodzi też modlitwa indywidualna każdej z nas, która nie jest przecież odmierzana zegarkiem. Przez to, że żyjemy w klauzurze, staramy się też, by każda czynność i praca, którą podejmujemy, była w jakiś sposób ogarnięta modlitwą. Są prace, które sprzyjają skupieniu

na modlitwie, np.: wyplatanie różańców, pisanie ikon, haftowanie. Ale są też takie prace, przy których o takie skupienie trudniej, jak np.: sprzątanie, gotowanie, szycie, troska o ogród. Wówczas ważna staje się przede wszystkim intencja wewnętrzna i nastawienie serca danej siostry. Święta Klara w swojej Regule napisała nam, że wszystkie sprawy doczesne – w tym przede wszystkim praca – mają sprzyjać modlitwie i pobożności. Chodzi raczej o intencję. O to, żeby praca nie była przeszkodą w modlitwie, ale jej sprzyjała i ostatecznie stawała się modlitwą. Dlatego, jak sama pani widzi, trudno powiedzieć, ile czasu w codziennym rozkładzie dnia zajmuje modlitwa.

Z czego się siostry utrzymują? Coraz częściej w zgromadzeniach czynnych siostry są posyłane do pracy zarobkowej. Jak to wygląda w klasztorze klauzurowym?

Jak wszyscy ludzie, my również podejmujemy pracę, która jest w ramach naszych możliwości. Czyli bez wychodzenia poza przestrzeń klauzury. Utrzymujemy się głównie z pracy własnych rąk. Podejmujemy się konserwacji szat liturgicznych i szyjemy nowe, w zależności od tego, jakie są zamówienia. Są siostry, które wyplatają różańce albo dziesiątki różańca ze specjalnego sznurka, albo wykonują je z paciorków i koralików drewnianych. Jest siostra, która pisze ikony. Jest również siostra, która ozdabia świece. Pieczemy też ciastka i pierniki według starej receptury dostępnej tylko nam. Można się w nie zaopatrzyć na naszej furcie klasztornej. Wykonujemy także ręcznie różnymi metodami kartki na rozmaite okoliczności. To są nasze główne formy utrzymania.

Jak wyglądają kontakty sióstr ze światem zewnętrznym? Czy jest możliwość korzystania z mediów? Skąd czerpią siostry informacje o świecie?

Jeżeli chodzi o korzystanie z mediów czy zdobywanie konkretnych informacji, mamy możliwość słuchania radia czy czytania prasy. Od jakiegoś czasu jest też dostęp do internetu. Telewizji generalnie nie oglądamy, poza jakimiś szczególnymi wydarzeniami, jak choćby Światowe Dni Młodzieży czy też Anioł Pański z Ojcem Świętym 1 stycznia. Niektórzy są przekonani, że siostry klauzurowe wiedzą wszystko albo przynajmniej dużo, że są na bieżąco z wydarzeniami, które dzieją się w świecie, w Kościele, bynajmniej nie dlatego, że na okrągło słuchamy wiadomości. Słuchamy ich mało i rzadko. Rzeczywiście jest coś takiego, że wiele osób, niekoniecznie nawet związanych z Kościołem, ma zaufanie do takiej formy życia, jaką prowadzimy. Ludzie dzwonią do nas, piszą e-maile, pukają do naszych drzwi, przychodzą do furty klasztornej i dzielą się różnymi troskami, sprawami, wydarzeniami. To też są sposoby i formy naszego kontaktu ze światem i otrzymywania informacji, możliwość usłyszenia różnych przekazów. To jest taki nasz przywilej, że wiele osób, często bez kontaktu z Kościołem, nie ma oporów, żeby do nas przyjść. Wbrew pozorom. Często doświadczamy niesamowitych ludzkich historii.

Czy spotykają się siostry z prośbami osób z zewnątrz o jakąś formę odosobnienia w klasztorze czy o indywidualną rozmowę?

Bardzo często spotykamy się z takimi prośbami. Codziennie dzwoni do nas naprawdę wiele osób w różnych sytuacjach. Dzielą się swoim życiem, życiem bliskich, tym, co właśnie ich dotknęło. Często są to dramatyczne, graniczne sytuacje. Niejednokrotnie możemy wysłuchać bardzo głębokich zwierzeń. Wiele osób powierza nam z pełnym zaufaniem istotną część swojego życia. Bardzo to doceniamy. Jest to dla nas niezwykle ważne, a wszystkie osoby zwracające się do nas otaczamy naszą modlitwą. Tak jak

powiedziałam, są liczne telefony. Ale także do naszej furty przychodzą rozmaite osoby, które chcą się spotkać z siostrą. Czasem niewiele trzeba mówić. Nie trzeba dawać żadnych rad. Wystarczy po prostu pobyć razem. To zagonienie, którego ludzie doświadczają w świecie, sprawia, iż niektórzy wiedzą, że mogą tu przyjść. Że tu faktycznie ktoś zatrzymuje się przy ich życiu.

Od kilku lat spotykamy się również z prośbami o możliwość przeżycia dni skupienia czy rekolekcji przy naszym klasztorze. Nie ma oczywiście możliwości wejścia za klauzurę, ale ktoś, kto przeżywa ten czas przy nas, korzysta z pokoju gościnnego, uczestniczy z nami w modlitwach w naszym kościele. Od pewnego czasu obserwujemy, że tych próśb przybywa. I to zarówno od osób młodych, które studiują, a nawet są jeszcze w szkole średniej, jak i osób dojrzałych, które mają rodziny, żyją w małżeństwach i potrzebują na jakimś etapie doświadczenia ciszy i chwilowego odejścia od swoich spraw.

Pamiętam, że jakiś czas temu miałam osobiście możliwość towarzyszenia podczas takich dni skupienia młodej kobiecie, która przyjechała do nas z Niemiec. Jakoś nas znalazła i zadzwoniła. Powiedziała, że choć przyjęła w swoim życiu sakramenty, to kontakt z Kościołem się urwał. Przyszedł jednak czas, kiedy poczuła, że musi na moment zatrzymać się w biegu życia. Pomyśleć o sobie, o tym, co chce robić, o Bogu, o którym – jak powiedziała – wie, że jest, ale nic poza tym. Pomyślała, że pobyt u nas będzie dobrym pomysłem. Mieszkała przy nas około tygodnia. Pamiętam wiele rozmów, które w tym czasie przeprowadziłyśmy. Jej pobyt zakończył się spowiedzią w jednym z krakowskich kościołów. Potem wróciła do siebie. Obecnie prowadzi życie w świecie, żyje w małżeństwie i na co dzień stara się żyć blisko Boga, w przyjaźni z Nim. Do tej pory pozostajemy w kontakcie.

Czy będąc siostrą klauzurową, można utrzymywać kontakty z rodziną? Czy możliwe są na przykład odwiedziny?

Oczywiście, że są możliwe. Tylko spotkanie będzie wyglądało tak, jak w tej chwili, czyli przez kratę. Po tej stronie, gdzie jest pani, mamy pokój gościnny i tam również rodzina ma możliwość przenocowania, jeśli jest taka potrzeba. Jest też możliwość telefonicznego czy mailowego kontaktu z siostrami. Z naszej strony nie opuszczamy klauzury, więc same nie możemy odwiedzić najbliższych. Poza sytuacją, kiedy któryś z rodziców jest ciężko chory lub konający. Wtedy mamy możliwość spotkania.

Chciałam zapytać właśnie o kratę. Komuś, kto pierwszy raz przekracza próg klasztoru klauzurowego, może się ona kojarzyć z jakimś podziałem, by nie rzec z więzieniem. Jak Siostra patrzy na tę kratę? Czego wyrazem jest to zewnętrzne oddzielenie?

Przede wszystkim zastanawiam się, która z nas tutaj faktycznie jest za kratą (*śmiech*). Na to można spojrzeć również od tej strony. Wyobrażam sobie, że dla kogoś pierwsze spotkanie z kratą, w dodatku jeszcze zabytkową, jak nasza, może być trudne. Ale ta krata jest symbolem klauzury. Chodzi o pokazanie pewnej przestrzeni, która jest zarezerwowana dla Boga. To ma być przestrzeń *sacrum*. Przestrzeń szczególnej więzi z Bogiem. Klauzura ma za zadanie stworzyć sprzyjający klimat, aby wspomniana więź mogła się owocnie i twórczo rozwijać. Nie jest to przestrzeń jakiegoś oddzielenia czy odłączenia, na zasadzie: po jednej stronie jest lepszy świat, a tu jest gorszy. Nie o takie rozumienie chodzi, lecz o komunikat, który wyraża: „W ten sposób tu żyjemy, a nasze życie jest nastawione na Boga". Taki jest przekaz kraty i klauzury. Życie po drugiej stronie kraty nie jest ani lepsze, ani gorsze. Jest po prostu inne.

Krata wynika również z uwarunkowań historycznych, które na przestrzeni wieków się kształtowały. Dzisiaj nowoczesne klasztory klauzurowe niekoniecznie muszą mieć taką kratę. Chodzi po prostu o pewną przestrzeń, która oddziela jedną osobę od drugiej. Po to, żeby zaakcentować charakter życia w wyłączności dla Boga. To jest nawiązanie do tego, o czym mówiłam wcześniej: różnicy między życiem klauzurowym a czynnym – krata także wyraża tę różnicę. Chodzi o życie nastawione *stricte* na Boga. Jednocześnie nie oznacza to, że żyjemy tu w jakimś zamknięciu. Nas tu nikt nie zamknął (*śmiech*). Nikt nie trzyma nas pod kluczem. Weszłyśmy tutaj dobrowolnie i dobrowolnie tu jesteśmy. Nie trzyma nas tu żaden przymus. Krata nie jest po to, żeby ktoś nie uciekł, ale po to, żeby coś pokazać.

Czy spotyka się Siostra z przejawami niezrozumienia takiego wyboru i stylu życia?

Czasami słyszymy, że ktoś w kontekście klarysek czy szerzej zakonów klauzurowych pyta, jak można prowadzić takie życie. Po co takie życie, skoro nic nie robią? Gdzieś od osób trzecich takie pytania czasem do nas docierają. Bezpośrednio rzadko ktoś zwraca się do nas w ten sposób. Czasem ktoś zadaje zbliżone pytanie, przychodząc do nas. Być może z ciekawości, z zainteresowania. Różne mogą być motywacje.

Nie wiem, czy można kogoś takiego przekonać albo jakoś mu uzasadnić, że taka forma życia jest potrzebna i ma sens. Nam nie chodzi o to, żeby ktoś nas rozumiał. Sądzę, że dużo istotniejsze jest to, żebyśmy same wiedziały, po co jesteśmy i jakie jest nasze powołanie.

Jeżeli ktoś postrzega ludzkie życie wyłącznie przez pryzmat wydajności i produktywności, tego, ile można by jeszcze zrobić

w świecie, zamiast siedzieć i się modlić, to rzeczywiście trudno tu o płaszczyznę porozumienia. Wracam do tego, co powiedziałam na początku: powołania nie da się wytłumaczyć na płaszczyźnie czysto rozumowej. Jest to pewne doświadczenie, które nosimy w sobie, którym możemy się podzielić i je przybliżyć. Natomiast bez uruchomienia wyobraźni, bez wejścia w przestrzeń duchową, trudno mówić o możliwości spotkania choćby na płaszczyźnie rozmowy. Ta przestrzeń duchowa jest konieczna do tego, żeby nawet w rozmowie spróbować komuś pokazać, że to, co robimy, ma wartość. Jeżeli dla kogoś na przykład modlitwa nie stanowi wartości, niezależnie od tego, czy chodzi o jego osobistą modlitwę czy też modlitwę innych osób, to trudno żeby widział wartość w naszym życiu. Nie zobaczy jej. Ale w naszym powołaniu to bezpośrednio niczego nie zmienia. My wiemy, po co jesteśmy.

Jeśli ktoś chciałby to zrozumieć albo ma w sobie przestrzeń otwartości, to powiedziałabym mu, że dla mnie osobiście obrazem naszego powołania jest scena ze Starego Testamentu, kiedy Mojżesz modli się na górze ze wzniesionymi rękami, a Jozue walczy w tym czasie z Amalekitami. Ilekroć Mojżesz ma ręce wzniesione do modlitwy, tylekroć Jozue wygrywa. Ilekroć Mojżeszowi opadają ręce z powodu ich drętwienia, przewagę ma Amalekita. To jest istota naszego życia. Nasza modlitwa jest duchowym wsparciem – dodałabym: i nie tylko duchowym – dla osób żyjących w świecie. Dla wierzących i niewierzących. Dla tych, których znamy i nie znamy. Dla wszystkich zmagających się z różnymi trudnościami. Naszą modlitwę ofiarowujemy w darze za nich i dla nich, aby oni wszyscy mieli w sobie siłę w codziennych zmaganiach, nie tracąc nadziei i wiary. Albo ktoś to przyjmuje w przestrzeni wiary, duchowości, albo tego nie przyjmuje, patrząc wyłącznie na aspekt tego, co robimy lub czego

nie robimy. Nie zrozumie się jednak wartości powołania, którym żyjemy, z perspektywy wydajności.

Czy w zakonie klauzurowym zauważalny jest spadek powołań w ostatnich latach?

Do wspólnot klauzurowych, kontemplacyjnych nigdy nie było nie wiadomo ilu powołań. W zgromadzeniach czynnych było ich zazwyczaj więcej. Nie odczuwamy więc jakiegoś drastycznego spadku powołań. Po prostu zawsze były one mniej liczne. Wciąż się jednak pojawiają. W tej chwili w naszym klasztorze również są kandydatki.

Poza tym proszę wziąć pod uwagę, że mamy obecnie do czynienia z niżem demograficznym, który zapewne częściowo może warunkować spadek powołań. Moje doświadczenie spotkania z osobami młodymi pokazuje mi także, że część współczesnych młodych ludzi ma trudność z podejmowaniem definitywnych decyzji i pewnych zobowiązań na całe życie. Czasem z tej niemożności nie podejmują jakiejś drogi, mimo że nawet odczytują ją jako powołanie. A przecież nikt nikomu nie da pieczątki czy zaświadczenia, że ma powołanie. To potwierdzenie trzeba znaleźć w sobie.

Czy jest coś, co sprawia Siostrze największą trudność w takim życiu?

Myślę, że to jest kwestia szalenie indywidualna. Dla każdej z nas coś innego mogłoby być taką trudnością. Z zewnętrznych uwarunkowań, które przychodzą mi do głowy, choć nie wiem, czy można by je nazwać trudnościami, wskazałabym na pewien hałas, którego doświadczamy od kilku lat ze względu na specyficzne usytuowanie naszego klasztoru. Wszystkie imprezy, zwłaszcza te z nagłośnieniem, odbywające się na krakowskim rynku, docierają przez nasze mury. Także smog krakowski jest od pewnego czasu

pewną trudnością. No i czasem brakuje – przynajmniej mnie osobiście – większej przestrzeni, możliwości wyjścia na dłuższy spacer, pobycia wśród zieleni. Ale wie pani, to usytuowanie naszego klasztoru ma także drugą stronę. Latem, kiedy przez nasze mury dociera do nas zgiełk miasta i odgłosy tłumu osób przechadzających się po drugiej stronie, lubię wychodzić do ogrodu. Biorę wówczas różaniec do ręki i modlę się za te wszystkie osoby, których nie widzę, a które w tym momencie przechodzą ul. Grodzką, modlę się za tych wszystkich przechodniów, turystów...

Wiele osób na pewno zadaje sobie pytanie, jak można być szczęśliwym, żyjąc w zamknięciu i odseparowaniu od świata. Jak odpowiedziałaby Siostra na takie pytanie?

Jeżeli ktoś zadaje mi czasem takie pytanie, to odpowiadam krótko: „Przyjdź i zobacz. Porozmawiaj i sam się przekonaj. Najpierw spotkaj się z drugim człowiekiem, a potem dopiero oceń, czy siostra, którą poznałeś, jest szczęśliwa". Mogę kogoś zapewniać czy nawet ktoś z moich znajomych może kogoś zapewniać, mówiąc: „Tak, ona na pewno jest szczęśliwa". Ale sądzę, że nie chodzi o ogólnikowe zapewnienia, nawet jeśli są one prawdziwe. Sądzę, że dopiero doświadczenie spotkania z konkretną osobą daje odpowiedź i daje pewne wyobrażenie. Zatem moja odpowiedź brzmi: „Po prostu przyjdź i zobacz. Zadzwoń i porozmawiaj. Przekonaj się, czy można być szczęśliwym w takiej formie życia czy nie. Sam znajdź odpowiedź na to pytanie". Wie pani, niedawno ktoś zapytał mnie o to, czy jestem szczęśliwa, i odpowiedziałam mu wtedy: „A co widzisz?"

A co sprawia Siostrze największą radość?

Odpowiem krótko: życie. Po prostu.



Mnisi i mniszki w wielkim mieście

Żyją w wielkich miastach, w europejskich metropoliach, niejednokrotnie w ich samych centrach. Są młodzi i często pracują w świeckich instytucjach. Jednak przede wszystkim pozostają mnichami i mniszkami, braćmi i siostrami. Monastyczne Wspólnoty Jerozolimskie, bo o nich mowa, od 2010 roku są obecne w Warszawie. Członkowie Wspólnot modlą się codziennie za miasto i jego mieszkańców. Do tej modlitwy zapraszają każdego, kto ma ochotę, bo kościół, w którym się gromadzą, jest cały dzień otwarty.

Siostra Joanna Hertling jest przeoryszą wspólnoty sióstr. Przez siedemnaście lat żyła we Francji, gdzie była odpowiedzialna za muzyczną stronę liturgii w kościele św. Gerwazego i Protazego w Paryżu, głównej siedzibie Wspólnot. Zapytana o to, czy z perspektywy sześciu lat czuje, że Wspólnoty są w stolicy potrzebne, siostra Joanna odpowiada: „To nie nam mówić, czy jesteśmy potrzebni i czy ta obecność przynosi owoce. Niech inni o tym mówią. Bo my mamy wpatrywać się w Niego, a nie w nas samych".

Zapytałam więc innych, co przyciąga ich do „Malborka" na Łazienkowskiej w Warszawie. Usłyszałam, że tu można uciszyć gonitwę myśli, że nie trzeba nic mówić, że nienarzucająca się obecność sióstr i braci w zupełności wystarczy.

Monastyczne Wspólnoty Jerozolimskie są w Warszawie od 2010 roku. Siostra jest przełożoną żeńskiej wspólnoty. Co to za forma życia i skąd pochodzi?

Monastyczne Wspólnoty Jerozolimskie to Instytut Życia Zakonnego o charakterze monastycznym. Życie monastyczne znajduje swój początek w czasach i życiu ojców pustyni, czyli pierwszych mnichów chrześcijańskich, prowadzących od IV wieku samotne życie na pustyni. Mniej więcej do edyktu mediolańskiego w 313 roku bycie chrześcijaninem można było przypłacić życiem. Także teraz nierzadko się to zdarza. W momencie, w którym ustały prześladowania, a chrześcijaństwo się upowszechniło, jakość życia chrześcijańskiego zaczęła spadać. Wtedy niektórzy gorliwsi

chrześcijanie zaczęli odchodzić na pustynię, by tam bardzo radykalnie żyć Ewangelią i szukać Boga. Życie, na które się decydowali, jest czasem przyrównywane do „białego męczeństwa". Nie do krwawej śmierci, ale do umierania samemu sobie przez całe życie, walczenia ze sobą, ze starym człowiekiem, którego nosimy wewnątrz.

My również jesteśmy osadzeni w tej tradycji, mimo że nasze Wspólnoty narodziły się dopiero w XX wieku. W 1975 roku we Francji powstała wspólnota braci, a rok później wspólnota sióstr. To nasze osadzenie w tradycji monastycznej przeżywamy w wielkich miastach. Chcemy naszą obecnością być znakiem zapytania i zaproszeniem dla wszystkich ludzi do spotkania z Bogiem.

Już sama nazwa takiej formy życia rodzi wiele pytań. Weźmy choćby trzy człony: monastycyzm, wspólnoty i do tego jeszcze Jerozolima. Jak należy je rozumieć?

Jeżeli chodzi o pierwszy element, czyli życie monastyczne, oznacza on życie całkowicie oparte na modlitwie i na niej zasadzone. Życie, w którym nie ma, zewnętrznie patrząc, żadnego dzieła, czy jak to się czasem mówi, żadnego specjalnego zadania. Mnisi i mniszki to ludzie, którzy – według opinii niektórych – tracą swoje życie albo je marnują. Lubię przyrównywać naszą formę życia do olejku. Jest taka scena w Ewangelii, kiedy Maria z Betanii wylewa drogocenny olejek na stopy Jezusa na sześć dni przed Jego Paschą. Judasz reaguje na to, mówiąc, że przecież można było ten olejek sprzedać, a pieniądze rozdać ubogim. Jezus odpowiada: „Ubogich zawsze będziecie mieli u siebie, ale Mnie nie zawsze". Ta kobieta zrobiła to z miłości. Tak samo jest z życiem zakonnym – jest to dar czystej miłości.

Nasze życie monastyczne ma w swojej nazwie także „jerozolimskie", co wskazuje na miasto Jeruzalem. Ono jest dla nas miastem symbolem, matką wszystkich miast. Jest też bardzo ważnym miejscem dla wszystkich trzech religii monoteistycznych. Ta nazwa ma dla nas znaczenie także dlatego, że jesteśmy mnichami i mniszkami z wyboru żyjącymi w wielkich miastach. Nasze życie ukryte nie jest przeżywane w oddaleniu od ludzi, w wielowiekowych klasztorach oddalonych od metropolii, ale właśnie w wielkich miastach. Jerozolima jest dla nas również takim miastem emblematem ze względu na Jeruzalem Niebieskie, o którym mowa jest w Apokalipsie. Jest miejscem, do którego idziemy. Niebo, które na nas czeka, nie będzie już tylko ogrodem. To będzie miasto. Przestrzeń, gdzie będzie wspólnota ludzi, gdzie wszyscy będą zebrani.

No i ostatni człon naszej nazwy, czyli „wspólnoty". Kładziemy w ten sposób nacisk na to, żeby nasze życie było prostym życiem wspólnotowym, trochę na wzór rodziny. Nie są to więc wspólnoty bardzo liczne: zdarza się nierzadko, że jest nas po kilka osób (kilkanaście to dla nas taka opcja optymalna). Kiedy pojawia się więcej osób, zaczynamy myśleć o jakimś kolejnym miejscu. We wspólnotach ponadtrzydziestoosobowych ten charakter rodzinny jest nierealny. Oczywiście, zdarzały się lata, kiedy było nas więcej w jednym miejscu, ale to zazwyczaj w sytuacji oczekiwania na narodziny kolejnej fundacji. To określenie „wspólnoty" ma zatem wskazywać na wspólnotowy, braterski charakter naszego życia; jego prostotę, serdeczne relacje międzyludzkie. A jednocześnie na mocne ukierunkowanie na to, co jest esencją życia monastycznego, czyli „sam na sam" z Bogiem. Szukanie Tego, który jest centrum i sensem wszystkiego.

Jak pani widzi, w naszej nazwie nie pada: „zgromadzenie" czy „zakon". Nasz założyciel, ojciec Pierre-Marie Delfieux, chciał, żebyśmy pozostali jak „najlżejszą", jak najmniej zinstytucjonalizowaną wspólnotą. Oczywiście, jesteśmy wpisani w struktury. Funkcjonujemy w wielu krajach na prawach diecezjalnych, w duchu Soboru Watykańskiego II, po którym się narodziliśmy, a więc w duchu pewnego zwrotu ku Kościołowi lokalnemu.

Jakie znaczenie ma fakt, że Wspólnoty powstały właśnie we Francji, i to niedługo po Soborze?

To widać najlepiej na przykładzie sylwetki naszego założyciela. Pierre-Marie Delfieux był szczęśliwym w kapłaństwie księdzem diecezjalnym z południa Francji, który krótko po święceniach został skierowany do pracy ze studentami na Sorbonie. Maj 1968 roku przeżył, będąc młodym duszpasterzem. Z jednej strony dostrzegał radykalne zmiany w istotnych dziedzinach życia Kościoła, jakie przyniósł ze sobą Sobór Watykański II i związana z nim odnowa. To z Francji przecież pochodzili wielcy teologowie, którzy odegrali istotną rolę na Soborze, jak choćby: Yves Marie Joseph Congar czy Léon-Étienne Duval. Swego czasu zakazywani, a później zaproszeni na Sobór. Z drugiej strony Pierre-Marie obserwował skutki rewolucji kulturalnej maja 1968 roku w społeczeństwie francuskim i w samym Kościele. Widział liczne odejścia z Kościoła, także kapłanów i osób zakonnych, przy równoczesnym rodzeniu się nowych wspólnot.

Po dziesięciu latach życia kapłańskiego, z początkiem lat siedemdziesiątych, Pierre-Marie poprosił o rok szabatowy. Była wtedy praktyka, że po dziesięciu latach księża mieli rok przerwy. Większość szła na jakieś studia. On, ponieważ był duszpasterzem na Sorbonie, studiował tam też socjologię i filozofię, nie chciał

wracać na uniwersytet. Pojechał na pustynię Assekrem w Algierii, gdzie dwa lata żył jako eremita, niedaleko pustelni Karola de Foucauld. Ojciec Pierre-Marie był zafascynowany postacią tego francuskiego trapisty, z którego biografią zetknął się po raz pierwszy już w dzieciństwie. Nauczyciel, rozdając uczniom nagrody w szkole, wręczył Pierre'owi książkę, mówiąc: „Trzymaj, to dla ciebie. To historia pewnego oficera, który został klechą". Dostał ją pewnie dlatego, że chodził do kościoła i był ministrantem, z czego profesor nie był zadowolony...

Pierre-Marie mówił nam, że nigdy nie był tak szczęśliwy jak podczas tych dwóch lat w pustelni. Wyznaczył sobie regularny rytm życia, modlitwy i pracy i trzymał się go z żelazną konsekwencją. Ten czas na pustyni był pewnie w jakimś stopniu odpowiedzią na pragnienie życia zakonnego, które w sobie nosił. Nie widział się jednak w klasycznych strukturach opackich, bardzo hierarchicznych, gdzieś daleko od świata. Pewne wydarzenia historyczne czy społeczne, na przykład sekularyzacja, przyczyniły się do lokowania klasztorów poza granicami miast. Wśród wielu rozpowszechniła się idylliczna wizja, że Pana Boga można znaleźć tylko daleko od ludzi. Owszem, tak też można Go znaleźć. Ale można Go znaleźć pośród ludzi. O tym był przekonany Pierre-Marie i to jest do dziś naszą misją. On nosił w sobie pragnienie życia zakonnego, ale prostego, braterskiego. Czegoś bliższego Karolowi de Foucauld niż św. Benedyktowi.

Pewnego razu na pustyni w jego ręce wpadł jakiś stary artykuł z gazety, opisujący wystąpienie kardynała Paryża, François Marty'ego, apelującego o mnichów dla Paryża na rok 2000. Wezwanie to pozostało bez echa. Kiedy przeczytał to Pierre-Marie, wszystko stało się dla niego jasne. Zrozumiał, że chce być mnichem w wielkim mieście. Kimś, kto się modli nie na pustyni

geograficznej, ale na pustyni wielkich miast, we współczesnych metropoliach. Pojechał na rozmowę do kardynała Marty'ego, człowieka „mocno stojącego nogami na ziemi", który zapytał naszego założyciela: „To co teraz z tobą będzie?". Pierre-Marie odpowiedział: „Księże kardynale, chciałbym być mnichem w mieście". Nastąpiła chwila milczenia. Kardynał zamyślił się, popatrzył i powiedział: „Zgoda". Pierre-Marie opowiadał później, że kiedy to usłyszał, zapadł się w fotel, w którym siedział, bo w tym momencie pragnienie stawało się konkretnym zadaniem, misją. Dostał rok na zorganizowanie się. Początki to było (jak to często bywa) zupełne szaleństwo. Ale rok po rozmowie z kardynałem w 1975 „ruszyły" Wspólnoty. Podobno to był jeden jedyny raz, kiedy kardynał Marty powiedział od razu: „Zgoda". Nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się dać odpowiedzi pozytywnej tak szybko. Ktoś później powiedział naszemu założycielowi, że to z powodu tych dwóch lat na pustyni kardynał zgodził się od razu.

Co to znaczy być mnichem czy mniszką w wielkim mieście? Dlaczego mnich ma żyć w mieście, a nie może się zamknąć gdzieś w pustelni?

Mnich oczywiście może się zamknąć w pustelni i jest potrzeba, żeby tacy ludzie też byli. Jednak nasz założyciel był także dobrym socjologiem, który analizował społeczeństwo i fenomeny społeczne. Obserwował migracje ludności wiejskiej do miast i widział wyraźnie potrzebę obecności mnichów w aglomeracjach miejskich. Bóg jest obecny w każdym człowieku, nie tylko w kościołach i nie tylko w rzeczywistości sakralnej. Kościół jest rzeczywistością, w której Bóg podarowuje się ludzkości. Dlatego Kościół powinien iść wszędzie tam, gdzie jest człowiek. I życie zakonne również powinno być pośród ludzi. Jeśli się prześledzi

historię wielu zgromadzeń, to można dostrzec, że wiele z nich powstawało w odpowiedzi na konkretne potrzeby. Dla nas fundamentalne jest życie modlitwy pośród ludzi. Żeby Bóg mógł być obecny w sposób widzialny wśród swoich dzieci przez tych, którzy mu się całkowicie oddają. Zacytuję w tym miejscu ważny fragment naszej reguły: „Obrałeś sobie monastycyzm miejski nie z racji solidarności, apostolstwa czy nawet chęci dawania świadectwa, lecz głównie dlatego, aby bezinteresownie i bezustannie kontemplować Boga w tym najpiękniejszym obrazie, którym – bardziej niż samotność, góra, pustynia czy świątynia – jest ludzkie miasto” [20].

Tak na miasto i naszą obecność w nim patrzył nasz założyciel. Pierre-Marie powiedział kiedyś, że największą świątynią świata jest paryskie metro. I dodawał: „W niebie będziemy zadziwieni, gdy zobaczymy (jeśli Bóg da), jak bardzo był On obecny, wzywany, szukany w tym miejscu, gdzie jak rzeka przepływają dziesiątki tysięcy istnień ludzkich spragnionych Boga”. Tak więc naszą misją jest ogarnianie modlitwą wszystkich miejskich przestrzeni ze względu na ludzi w mieście żyjących. Skoro najukochańszym miejscem przebywania Boga jest serce człowieka, to można powiedzieć, że im więcej ludzi, tym piękniejsza ikona Boga. My, jako mniszki, chcemy to ukryte piękno Boga kontemplować i doszukiwać się go w drugim człowieku. Każdy napotkany człowiek, każde wydarzenie staje się dla nas modlitwą.

Kiedy byłam nowicjuszką, zapytałam Pierre’a-Marie, po co pojechał na pustynię. Odpowiedział, że zrobił to, by doświadczyć, że Bóg jest, i to w sytuacji, kiedy na zewnątrz pozornie nic nie ma. Życie na geograficznej pustyni było według niego piękne i sprzyjające kontemplacji, ale to właśnie tam

uświadomił sobie, że jest jeszcze większa pustynia od tej geograficznej, mineralnej. To pustynia wielkich miast, gdzie człowiek stworzony do miłości i braterstwa doświadcza: anonimowości, przemocy, okrucieństwa, obojętności, gdzie ludzie dosłownie umierają z osamotnienia. W tych wielkich miastach mamy przyjmować każdego, być otwartymi na wszelkie formy ludzkiego ubóstwa, niekoniecznie tylko materialnego. Taki jest sens naszego życia w mieście.

Na świecie jest około stu sióstr i czterdziestu braci. Czy taka forma życia zakonnego, w którym są zarówno bracia, jak i siostry, wydaje się Siostrze trudniejsza od funkcjonowania „tradycyjnych" zgromadzeń?

Trudno mi ocenić, czy jest trudniejsza, ponieważ w innej nie żyłam. Jeżeli są jakieś trudy, to pewnie dostrzegalne są w innych aspektach. W tych elementach, których nie ma w zgromadzeniu wyłącznie żeńskim czy męskim. Natomiast nie mam wątpliwości, że są łaski związane z taką formą życia. Moja świecka znajoma powiedziała kiedyś o nas: „Jesteście ustrzeżeni przed wielką idealizacją i iluzją". Gdy żyje się w środowisku tylko kobiecym bądź męskim, może się zdarzyć, że kiedy przeżywa się jakiś trudny okres (czterdziestka na przykład) albo kiedy mocno się odzywa potrzeba macierzyństwa czy ojcostwa, czy własnego domu, to człowiek zaczyna idealizować. Tej mojej znajomej chodziło o to, że od tej iluzji jesteśmy w pewnym stopniu uchronieni.

Może też mamy mniejszą możliwość, żeby się stać starymi pannami czy kawalerami. W takim życiu jest duża doza realizmu. Psychika kobiety ciągle mierzy się z męską perspektywą i na odwrót. Mężczyźni też są uwrażliwiani na ten kobiecy wymiar. Słuchamy się nawzajem, rozmawiamy, czasem podejmujemy wspólnie jakieś decyzje. Czasem przychodzi z tego

ogromne światło. I to jest przepiękne. Osobiście na tę wspólną obecność braci i sióstr patrzę jak na wielki dar. To jest coś, co należy do istoty charyzmatu. Teoretycznie moglibyśmy funkcjonować oddzielnie, ale w praktyce byłoby to dla nas bolesne.

Żyjemy na tyle blisko, żeby być braćmi i siostrami, i na tyle daleko, żeby nimi pozostać. Konstytucje mamy wprawdzie oddzielne, ale one są niemal identyczne. Mamy natomiast oddzielnych przełożonych, oddzielne zarządzanie, oddzielne rozeznawanie powołań, oddzielne żywienie, finansowanie i tak można by wymieniać. Natomiast modlimy się razem, mamy wspólną liturgię. Żyjemy tym samym charyzmatem, mamy tego samego założyciela, tę samą Księgę Życia[21]. Usiłujemy się wzajemnie wspierać nie tyle w jakichś wielkich rozmowach i poufnych zwierzeniach, ile po prostu w normalnej codzienności. Postrzegam to jako ewidentne obdarowanie, bo Bóg stworzył człowieka mężczyzną i kobietą.

Co sprawiło, że Wspólnoty otworzyły swój dom w Warszawie jako pierwszym mieście w krajach słowiańskich?

Rzeczywiście Warszawa to na razie nasza jedyna fundacja w krajach słowiańskich. Myślę, że wpłynął na to fakt, że pojawiało się wiele powołań z Polski. Wraz z inną siostrą wstąpiłyśmy w 1992 roku jako pierwsze dwie Polki. Przed nami był jeden brat Polak. Oczywiście, tak jak wiele osób przyszło, tak wiele również odeszło, rozpoznając, że to nie ich droga. Aktualnie jest kilkanaście sióstr z Polski i kilku braci w różnych miejscach na świecie. Pierre-Marie wielokrotnie podkreślał, że miejsca tworzą osoby, że one są jak żywe kamienie. Wiem, że Pierre-Marie miał pragnienie otworzenia domu w Polsce, jeszcze nawet zanim

pojawili się pierwsi bracia i pierwsze siostry z Polski. Dlaczego? To już pozostanie jego sekretem, który zabrał na drugą stronę.

Są siostry wspólnotą kontemplacyjną, ale nie klauzurową. Na czym polega różnica?

Często myli się lub utożsamia życie kontemplacyjne z klauzurowym, bo większość zakonów kontemplacyjnych żyje za tak zwaną klauzurą papieską, czyli są radykalnie ukryte, zamknięte. Przyjęło się, że te zgromadzenia, które „zostały" w świecie, są apostolskie. Natomiast w XX wieku powstały wspólnoty, które są kontemplacyjne, ale nie mają klauzury papieskiej. Jak my. Jesteśmy kontemplacyjni, ale nie z klauzurą papieską. Tak naprawdę jednak do życia kontemplacyjnego zaproszony jest każdy człowiek. To życie nie oznacza nic innego jak relację z Bogiem.

Pierre-Marie zdecydowanie nie chciał, żebyśmy żyli za klauzurą. Zależało mu na tym, byśmy żyli w mieście, podobnie jak jego mieszkańcy. Oczywiście, nasze życie jest inne, ale żyjemy życiem modlitwy w rytmie miast. Czyli na przykład na wspólne modlitwy gromadzimy się rano, w południe, kiedy w wielu krajach jest przerwa na obiad, oraz wieczorem. Klasztory kontemplacyjne, które żyją swoim rytmem i często usytuowane są poza miastami, modlą się siedem razy dziennie. Kościół, w którym się modlimy, jest otwarty od rana do wieczora. Każdy może przyjść. Nasze liturgie są otwarte na ludzi. Można się łatwo włączać i wszystkich do tego zapraszamy.

Wychodzimy do pracy pośród ludzi, chcemy doświadczać trudu mieszkańców miasta. To należy do naszego charyzmatu. Idziemy do nich, nie żeby ewangelizować czy świadczyć, ale po to, żeby być pośród nich. Doświadczać tego samego rozdarcia, którego i oni

doświadczają w poszukiwaniu Boga. To z założenia „gryzłoby się" z klauzurą papieską.

Pierre-Marie wielokrotnie podkreślał, by nie dogmatyzować czegoś, o czym Jezus nie mówi w Ewangelii. Nie sakralizować czegoś, co powstało w kontekście historycznym. Nasza reguła jest osadzona w Piśmie Świętym i w tradycji Ojców Kościoła. Jezus jest dla nas wzorem mnicha. W początkach Kościoła nie było klauzury. A my chcemy wrócić do tych początków. Klauzura ma oczywiście swoją piękną wartość i symbolikę, której nabrała przez lata. Ale wspólnoty kontemplacyjne to te, które żyją modlitwą, których misją, powołaniem i charyzmatem jest modlitwa. Na różne sposoby i w różnych formach przeżywana. Oddalenie i oderwanie od świata też jest potrzebne, to też jest znak dla świata. Ale to nie jest jedyna możliwość. Kiedy nasze konstytucje były zatwierdzane w Rzymie, Kościół sam upomniał się o to, by wyraźnie w naszej regule zaznaczyć, że jest ona oparta na źródłach i wczesnej tradycji monastycznej, żeby ten element się nie zagubił i był jasny dla kolejnych pokoleń.

Powiedziała Siostra o wychodzeniu do pracy pośród ludzi. Jak zatem dzielą siostry swój czas między wiele godzin modlitwy a pracę zawodową? Co jest ważniejsze?

Oczywiście, najważniejsza dla nas jest modlitwa. Pewnego dnia wiele lat temu rozmawiałam z jednym z biskupów, który zapytał mnie: „Co wy tam robicie w tym Paryżu?". „Modlimy się, księże arcybiskupie" – odpowiedziałam. „I co jeszcze?" – padło pytanie. Trzy razy musiałam powtórzyć, że zasadniczo to się modlimy. Jakiś czas później ten sam ksiądz biskup, kiedy spotkał się z naszym założycielem, to właśnie zapamiętał: że żyjemy modlitwą. Zatem odpowiadając na pani pytanie: dla nas zdecydowanie najważniejsza jest modlitwa, a nie fakt, że pracujemy na pół etatu.

I to nasze życie pracy jest podporządkowane właśnie modlitwie. Mamy dwa zasadnicze filary, na których oparte jest nasze życie: życie braterskie i modlitwa.

Dlaczego mogą siostry pracować tylko na pół etatu?

Pracujemy na pół etatu, żeby mieć czas na życie wspólne i na modlitwę. Coraz trudniej jest znaleźć taką pracę, szczególnie w kontekście polskim, i jeszcze trudniej jest móc się z niej utrzymać. Jest w tym naszym wyborze także element pozytywnie kontestacyjny, w tym znaczeniu, żeby mówić światu, że nie tylko dla pracy się żyje. Zwłaszcza teraz, kiedy ludzie wielokrotnie stają się jej niewolnikami kosztem rodziny, kosztem swojego życia, zdrowia, a nieraz i człowieczeństwa.

Jakie są reakcje ludzi na to, że zakonnica pracuje w świeckiej instytucji? Jakie reakcje na obecność sióstr czy na habit dominują?

Ludzie reagują bardzo różnie. Jeżeli chcą nas zatrudnić, to oczywiście wiedzą, kim jesteśmy, znają też nasze ograniczenia i wymogi. We Francji w instytucjach państwowych trzeba było pracować ubranym po świecku, więc siostry za zgodą przełożonej „przebierały się" w świecki strój. W Polsce mieliśmy dotychczas jedną taką sytuację, kiedy siostra pracowała w sekretariacie gabinetu psychologicznego. W naszym kraju ludzie wciąż są nieprzyzwyczajeni do tego, że siostry pracują w zawodach świeckich. Pokutują rozmaite schematy zakorzenione od wielu lat, także jako owoc systemu socjalistycznego, kiedy siostrom odebrano ich dzieła i kiedy dla przetrwania zostały zaangażowane w strukturach kościelnych: w parafiach, na plebaniach czy ewentualnie w katechezie. Praca w świeckich instytucjach jawi się na tym tle jako pewien nowy fenomen.

Jako siostry podejmujemy jakąkolwiek pracę, która jest godziwa, nie jest sprzeczna z sumieniem i jest możliwa w tym skróconym wymiarze. Lubimy pracę w środowiskach świeckich. Natomiast w rzeczywistości polskiej zaczęto nam również proponować prace w instytucjach kościelnych. Postrzegam to jako dar Opatrzności Bożej dla naszej małej wspólnoty z Zachodu, żeby przez to mogła wejść w środowisko kościelne w Polsce i mogła dać się poznać.

Jedna z naszych sióstr, księgowa z zawodu, pracowała w zupełnie świeckim środowisku. Pracodawca, który ją zatrudnił, był bardzo zaintrygowany faktem, że siostra zakonna szuka pracy właśnie w świeckiej firmie. Kiedy stamtąd odeszła, podkreślał, że obecność siostry bardzo pozytywnie wpłynęła na atmosferę w pracy. Żartował, mówiąc, że księgową zawsze znajdzie, ale o siostrę i księgową jest już znacznie trudniej. Inna z naszych sióstr pracowała z kolei w kwiaciarni. Bardzo lubiła tę pracę. Spotykała się tam z rozmaitymi reakcjami: także z lękiem, zdziwieniem. Siostry pracowały też w hospicjum domowym. W tej chwili pracujemy w większości w różnych sekretariatach.

Ile sióstr mieszka obecnie we wspólnocie? Czy przez te sześć lat pojawiła się jakaś kandydatka z Warszawy?

Aktualnie jest nas dziewięć. Są wśród nas dwie Francuzki i jedna Szwajcarka, z czego bardzo się cieszymy. Czasem bywało nas dwanaście lub czternaście. Ta konfiguracja zmienia się co roku. Mamy powołania tak jak do klasztorów kontemplacyjnych, czyli nie dziesiątkami osób. Jest jedna siostra z Warszawy, która w tej chwili przebywa za granicą. To pierwsza osoba, która do nas dołączyła. Nasz pierwszy kwiat Warszawy.

Czy ten aspekt międzynarodowości ułatwia czy utrudnia codzienne funkcjonowanie?

Trudno na to jednoznacznie odpowiedzieć. Osobiście odbieram to jako wielką radość i ogromne ubogacenie. Oczywiście, wiąże się z tym również trud wychodzenia z siebie, przekraczania swoich uprzedzeń, otwierania serca na kogoś, kto jest zupełnie inny. Kiedy dołączyłam do wspólnoty w Paryżu, po raz pierwszy zetknęłam się z multikulturalnością. Będąc dwudziestotrzyletnią dziewczyną, miałam niemal fizyczne poczucie, że mi się serce poszerza. Tam bardzo mocno doświadczyłam powszechności Kościoła. W tym czasie, kiedy wstąpiłam, zaczęli przychodzić coraz liczniej ludzie z różnych krajów i kontynentów. Nasza reguła została przetłumaczona na ponad dwadzieścia języków. Wierzę głęboko i wiem, że nie jestem w tym sama, że nasza międzynarodowość, a także fakt, że jesteśmy braćmi i siostrami, są wpisane w nasz charyzmat. Jest to dar dla nas i dla całego Kościoła. Bo dar nigdy nie jest darem tylko dla kogoś. Wyzwanie dla nas, a dar dla innych.

Jakie okoliczności doprowadziły Siostrę do odkrycia powołania właśnie do Wspólnot Jerozolimskich?

Zaczęło się chyba od tego, że śpiewać musiałam już w łonie matki. Bardzo to lubiłam. Rodzice zapisali mnie do szkoły muzycznej. Jestem im za to bardzo wdzięczna, bo dzięki temu otworzył się dla mnie świat bardzo ważny. Ważny również w momencie poszukiwania mojego powołania. Byłam w szkole muzycznej, podstawowej i średniej. Po maturze nie poszłam jednak na Akademię Muzyczną, choć początkowo do tego się przymierzałam, ale zdecydowałam się na KUL, gdzie studiowałam muzykologię kościelną. To był dla mnie piękny czas. Właśnie podczas studiów to pragnienie życia zakonnego, które nosiłam w sobie chyba od dziecka, bardzo mocno doszło do głosu. Bóg był obecny w moim dziecięcym świecie. Pamiętam, że jako dziecko

intensywnie zastanawiałam się, jak to jest możliwe, że Bóg istnieje od zawsze. Przecież chyba musiał kiedyś powstać. Doszukiwałam się w mojej małej głowie jakiegoś początku. Kiedy byłam nastolatką, w moim sercu, jak w sercach wielu młodych osób, było pragnienie, by kochać innych, pomagać innym, czynić dobrze. Gdzieś w pewnym momencie połączyło mi się to z byciem siostrą. Z czasem uświadomiłam sobie, że gdybym wcześniej zdecydowała się na życie zakonne, co poważnie rozważałam, to pewnie wstąpiłabym do jakiegoś czynnego zgromadzenia. Wspólnoty kontemplacyjne są specyficzne. Wcale się nie dziwię, że przyjmują kandydatki dopiero po studiach. Taka forma życia wymaga pewnego doświadczenia i już jakiejś dojrzałości.

Miałam okazję poznać s. Kingę Strzelecką, która przetłumaczyła naszą regułę na język polski. Pamiętam, że poszłam do niej w zupełnie innej sprawie, a ona zaczęła wtedy opowiadać mi o Wspólnotach. Posłuchałam o tym i wydało mi się to szalenie interesujące, choć jeszcze zmagałam się wtedy z Panem Bogiem co do formy życia. Nie wierzyłam, że jedność z Bogiem może być zarezerwowana tylko dla nielicznych, dla wybranych, że większość ludzi jest z tego wyłączona. Pojechałam na niezobowiązujący pobyt do Wspólnot, w celu ich bliższego poznania, a potem już wszystko samo się zadziało. Wróciłam do Polski na krótko, obroniłam się na studiach, a później dołączyłam do Wspólnot.

Łącznie żyłam we Francji siedemnaście lat. A wszystko zaczęło się od tego, że chciałam kiedyś grać i śpiewać. Bóg dał mi nieskończenie więcej, niż mogłam to sobie wyobrazić i wymarzyć, i myślę, że tak jest z każdym powołaniem. Wykształcenie muzyczne bardzo się w tej mojej drodze przydaje, ale nie wstąpiłam do Wspólnot po to, by być wielką dyrygentką czy śpiewaczką lub muzykiem. Nie po to poszłam do klasztoru.

Czytając naszą regułę, utwierdziłam się, że to jest moje miejsce i tu mogę najpełniej kochać. Tak naprawdę w każdym powołaniu o to chodzi. Twoje miejsce jest tam, gdzie będziesz najpełniej kochać. Dla jednych to jest małżeństwo, dla innych życie samotne, dla jeszcze innych rozmaite formy zaangażowania. Ale jedno jest wspólne: dar z siebie. Bo człowiek do tego jest stworzony, do ciągłego daru z siebie, który zakłada przekraczanie swoich ograniczeń. Zrozumiałam też, że życie kontemplacyjne może podjąć wyłącznie osoba, która uwierzy w największą płodność czy efektywność takiego życia. Modlitwą można dotrzeć wszędzie. Tylko to jest rzeczywistość niewidzialna i trudna. Tu wchodzi się w przestrzeń wiary.

Z roku na rok coraz modniejsze w Polsce, ale i na świecie, stają się tzw. urlopy w klasztorach. Zamiast plaży pod palmami wiele osób poszukuje wyciszenia i pobycia z własnymi myślami. Co Siostra myśli o takim sposobie wypoczynku?

Mogłabym tylko wszystkich zachęcać, żeby z tego korzystali. Temu mogą służyć klasztory kontemplacyjne, których charyzmatem jest przyjmowanie. My także tu, w Warszawie, przyjmujemy osoby świeckie czy siostry z innych zgromadzeń na czas rekolekcji, skupienia czy jakiejkolwiek formy wyciszenia. Po prostu nasz dom jest otwarty. Myślę, że te tzw. urlopy w klasztorach mówią wiele o człowieku i jego najgłębszych potrzebach. Sądzę, że każdy, wierzący czy niewierzący, doświadcza tego, że potrzebuje pobyć sam na sam ze sobą, żeby się pozbierać, pomedytować, wyłączyć się, być samemu, bez ludzi. Jeżeli człowiek jest cały czas w hałasie albo nieustannie z innymi ludźmi, to niejako wychodzi na zewnątrz siebie. To prowadzi do wyobcowania. Jeszcze raz to powtórzę: człowiek potrzebuje czasem pobyć ze swoimi myślami.

Jedni otwierają się wtedy na Boga. Inni dopuszczają, że Bóg istnieje.

Powiedziała Siostra wcześniej, że do życia kontemplacyjnego tak naprawdę zaproszony jest każdy człowiek. Ale jak osoba, która i tak z trudem godzi obowiązki rodzinne i zawodowe, ma kontemplować?

Odpowiem na to dwoma słowami: doświadczenie Boga. To ono jest ważne, a nie skupienie się na kontemplacji. Ważne jest, by chcieć spotkać Boga. Nie bez powodu w ostatnich dziesiątkach lat Jan Paweł II wyniósł na ołtarze tak wiele świeckich osób, często matek i ojców. Wspomnijmy choćby: Joannę Berettę Mollę, Piera Giorgia Frassatiego, Ludwika i Zelię Martin czy Alojzego oraz Marię Quattrocchich. Te osoby najwyraźniej pokazują, że każdy jest powołany do jedności z Bogiem. Jezus mówił do wszystkich: „Nieustannie się módlcie". To oczywiście nie znaczy, że trzeba cały czas klęczeć i odmawiać formułki. Chodzi o to, żeby kochać. Bo jeżeli kochasz, to jak mówił św. Bernard, modlisz się nieustannie. Kontemplację można trochę porównać do zakochania. Jeśli jesteś zakochany, to nawet robiąc coś, myślisz o ukochanej osobie. Kontemplacja, która może wydawać się magicznym słowem, jest w rzeczywistości relacją z żywą Osobą. Ktoś może klęczeć cztery godziny, a ktoś inny zaledwie pół lub tylko kwadrans, a również może żyć w głębokiej relacji z Bogiem. Kontemplacja, jeszcze raz to powtórzę, to nie są nadzwyczajne doświadczenia mistyczne, które też mogą się dziać. To są tylko cukierki. A cukierkami nie można żyć. Ale istota kontemplacji polega na zjednoczeniu serca z tym, który mnie kocha i którego ja kocham.

Czy z perspektywy tych sześciu lat ma Siostra poczucie, że Wspólnoty Jerozolimskie są w Warszawie potrzebne?

To nie nam mówić, czy jesteśmy potrzebne i czy ta obecność przynosi owoce. Niech inni o tym mówią. Bo my mamy wpatrywać się w Niego, a nie w nas samych. Kiedy przed laty kardynał Jean-Marie Lustiger zatwierdził nasze konstytucje, życzył nam, żebyśmy przynosili owoc łaski dla całego Kościoła. Mam szczerą nadzieję, że nasza obecność w Warszawie też jest takim owocem. Ale tym niech już Pan Bóg się zajmuje.

V

Do podstawowych praw ludzkich należy prawo do bycia innym. Chrześcijaństwo musi pozwolić, by ludzie różnili się między sobą. Bóg jest tego przyczyną. Każdy człowiek przezeń stworzony jest oryginałem. Bóg nie umie się powtarzać[*7].

bp Alfons Nossol



Mój dom jest w Aleppo

„Istotą mojego powołania jest ocieranie łez Bogu, bez względu na to, gdzie płacze” – napisał kiedyś Werenfried von Straaten, holenderski norbertanin, działacz charytatywny, założyciel organizacji Kirche in Not. Niewykluczone, że Bóg płacze dziś w Aleppo, mieście, któremu grozi całkowite zniszczenie. Nie ma dnia, by serwisy informacyjne zachodnich stacji nie zaczynały się od wiadomości z Aleppo lub by nie było w nich mowy o Syrii. Pojawiają się głosy o katastrofie humanitarnej, o bombardowanych szpitalach, ostrzeliwanych

konwojach spieszących z pomocą, wreszcie o ginących w ruinach dzieciach.

Siostra Urszula Brzonkalik, polska misjonarka, zgodziła się na przeniesienie z Bejrutu do Aleppo, jednego z najbardziej zapalnych punktów Bliskiego Wschodu. Na rozmowę z siostrą Urszulą umówiłam się jeszcze w Warszawie, dzień przed jej wylotem do Aleppo. Może nie zabrzmi to szczególnie, ale odnoszę wrażenie, że dla siostry Urszuli ważniejszy od toczonej w Syrii wojny jest fakt, że wciąż tli się tam życie, że pozostali tam ludzie, którzy usiłują normalnie funkcjonować. Że o nich nie należy zapominać.

Po skończonej rozmowie z siostrą Urszulą wychodzę z przekonaniem, że medialne relacje z oblężonych wschodnich dzielnic Aleppo są przerażającym, ale niepełnym obrazem. Jego dopełnieniem są losy tych, którzy z jakichś powodów z tego miasta nie wyjechali. Lub tych, którzy – jak siostra Urszula – wjechali tam dobrowolnie i zdecydowali się żyć w warunkach wojennych.

Do Zgromadzenia Franciszkanek Misjonarek Maryi wstępowała Siostra jako absolwentka chemii. Jak ten wybór sprzed lat wpłynął na życie Siostry?

Czymś bardzo istotnym dla mnie jest słowo, które pada w pani pytaniu. Wolny wybór. Żeby w ogóle można było mówić

o wyborze, należy przyjąć, że mamy do czynienia z różnymi opcjami. W momencie gdy odkryłam, że moją drogą jest życie zakonne, każdy kolejny krok okazywał się dla mnie potwierdzeniem, że dokonałam słusznego wyboru. Dziś czuję, że na tej drodze mogę się rozwijać. Czuję się wolna w tym wyborze. Żeby coś zmienić, musi być jakieś „przed" i „po". Tym moim „przed" było poszukiwanie, przyglądanie się wszelkim możliwym opcjom i rozważanie, która jest dla mnie. Jednak gdzieś od początku było we mnie przekonanie, że wartością jest zaryzykować życie. Wiedziałam, że kiedy zdecyduję się na jakiś wybór, to wejdę w niego do samej głębi, ze wszystkimi konsekwencjami. W moim przypadku mówiłabym więc nie tyle o jakiejś zmianie, ile o tym, że całe moje życie odbieram jako potwierdzenie słusznej decyzji o wstąpieniu do zgromadzenia.

Mówi Siostra, że czuje się wolna. Jak pogodzić ten wolny wybór z życiem zakonnym, gdzie człowiek jest związany ślubami posłuszeństwa?

Dotyka tu pani kilku wątków. Po pierwsze, należy sobie uświadomić, że wolnością może być powiedzenie komuś „tak". My zwykle utożsamiamy wolność z tym, że mamy prawo odmówić, powiedzieć „nie". A dlaczego nie powiedzieć „tak"? Po drugie, jestem osobą, która potrzebuje przestrzeni do dokonania wolnego wyboru i zakon taką przestrzeń mi daje.

W jaki sposób?

Posłużę się prostym przykładem. W naszym zgromadzeniu w dniu ślubów wieczystych każda z nas otrzymuje tak zwane posłanie misyjne. Może to być posłanie do prowincji, z której dana siostra wychodzi, i to też jest posłanie misyjne, zwłaszcza teraz, kiedy ta prowincja to już nie jest tylko Polska, lecz osiem krajów. Więc na przykład składam śluby w Warszawie, a mogę być posłana

na Węgry, do Niemiec czy do Austrii. Mogę też być posłana do innej prowincji niż moja. Zawsze to posłanie przychodzi z Rzymu i oparte jest na dialogu. Mogę powiedzieć „nie". Kiedy składałam śluby wieczyste, otrzymałam propozycję wyjazdu do Pakistanu lub na Bliski Wschód, gdzie w grę wchodziło wówczas pięć krajów. Siostra prowincjalna powiedziała mi wtedy: „Zastanów się, przemódl to i powiedz, co o tym myślisz". Miałam szczegółowe informacje, z którymi mogłam się zapoznać. Wiedziałam, jakie potrzeby są w każdym z tych krajów i jakie prowadzimy tam dzieła. Generalnie już sam wybór między Pakistanem a Bliskim Wschodem był w istotnym stopniu odpowiedzią na moją prośbę, bym mogła wyjechać do kraju, w którym religia chrześcijańska jest w mniejszości. Sama więc już w pewien sposób zdefiniowałam główną opcję. Natomiast potem miałam wybór pomiędzy tymi dwiema prowincjami i pomiędzy dwoma nieznanymi światami. Taki wybór jest zawsze skokiem w nieznane. Owszem, wybieram sama jakąś prowincję, ale później dochodzą do tego kolejne wybory: raz jestem w tej wspólnocie, później w innej. Najpierw byłam dziewięć lat w Egipcie, potem siedem lat w Libanie, a obecnie jestem półtora roku w Syrii. Podejmując decyzję o wyjeździe na Bliski Wschód, nie wiedziałam, że w Aleppo będzie wojna. Nie wiedziałam, że znajdę się właściwie w środku tych wydarzeń. Z perspektywy czasu myślę sobie, że tak naprawdę mówiąc „tak", w każdym życiu, niekoniecznie musi to być zakon, mówi się „tak" w jakiś sposób na niewiadomą. Od początku czułam jednak, że to posłanie misyjne wpisuje się w moje pragnienia, w moje zainteresowania, w coś, co zawsze chciałam robić.

Czyli to posłanie nie jest rodzajem narzucania czegoś? Jest propozycją, którą może Siostra przyjąć, ale może też odrzucić?

Czy może Siostra powiedzieć: nie, to miejsce mnie nie interesuje, chcę gdzie indziej?

Wstępując do Zgromadzenia Franciszkanek Misjonarek Maryi, należy zgodzić się na dwa warunki. Po pierwsze, każda z nas musi być zdolna zdrowotnie, żeby pojechać na misje. Po drugie, musi być gotowa wyjechać. To, czy ostatecznie wyjedzie, jest kwestią drugorzędną. Ja wyjadę albo nie wyjadę, ale w konstytucjach mamy napisane, że posłanie obowiązuje mnie w sumieniu. Jeśli z jakichś powodów odmawiam, to z pewnością nie na zasadzie: „Ja to bym wolała tam, a wy mnie posyłacie gdzie indziej". To nie jest sprawa kaprysu. Jeżeli odmawiam, to na przeszkodzie musi stać coś naprawdę poważnego.

Jak to było w Siostry przypadku?

Ja cieszyłam się na przykład, kiedy wyjeżdżałam do Egiptu. Jestem nauczycielem z wykształcenia, a w Aleksandrii prowadzimy szkołę. Pragnęłam tam pojechać, bo bardzo lubię szkołę i to się stuprocentowo wpisało w moje możliwości. Pracowałam w tej szkole dziewięć lat. Następnie przez siedem lat pracowałam w Libanie ze studentkami. Znów był to obszar edukacji, towarzyszenia duchowego, czegoś, co było mi bardzo bliskie. W momencie gdy siostra prowincjalna zaproponowała mi wyjazd do Aleppo, powiedziała mi wyraźnie: „Zastanów się dobrze, bo to jest trudny wybór i nikt nie oczekuje od ciebie szybkiego tak". Zwłaszcza że siostra z Libanu, której wcześniej zaproponowano wyjazd do Aleppo, odmówiła. Miała za sobą doświadczenie wojny w Libanie i powiedziała: „Ja nie mogę więcej". To na tym polega dialog. Człowiek przychodzi i mówi: ja już więcej nie mogę. Więc wracając do pani pytania, czy można gdzie indziej, nie o to chodzi. Nie odpowiadam: ja bym wolała gdzie indziej. Wychodzę z założenia, że jeżeli przyszłam do tego zgromadzenia, to nie po to,

żeby ciągle dywagować: „A może tam byłoby lepiej? Może to by mi się podobało? A jeszcze to mi się nie spełniło w życiu". Zupełnie nie o to chodzi.

A o co?

O to, żebym czuła, że podejmuję słuszną decyzję. Miałam osiem miesięcy na podjęcie decyzji o wyjeździe do Aleppo od momentu, kiedy padło pytanie. To nie funkcjonuje więc tak, że dzisiaj cię pytam, jutro chciałabym mieć odpowiedź, a pojutrze jedziesz. To było na zasadzie: gdybyś była gotowa, to my byśmy cię tam potrzebowały. Kiedy padła ta propozycja, obchodziłam właśnie dwadzieścia pięć lat życia zakonnego. W naszym zgromadzeniu i w wielu innych praktykuje się „rok sabatyczny".

To rodzaj pewnego wypoczynku, regeneracji sił?

To przede wszystkim czas szczególnej odnowy duchowej, który wchodzi w zakres formacji ciągłej. To rodzaj pewnej odnowy po to, by jeszcze lepiej wypełniać swoje zadania i powołanie. Poprosiłam przełożonych o trzy miesiące sesji biblijnej w Ziemi Świętej. To był czas ogromnie mi potrzebny i piękny, który zaważył na podjętej przeze mnie decyzji. Miałam tam bardzo dużo czasu na pobycie ze sobą. Wychodzę z założenia, że nigdy nie powinno się podejmować decyzji, kiedy czuje się niepokój. Im bardziej rozeznawałam decyzję o wyjeździe, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że jestem tam realnie posłana nie przez siostrę X czy Y, przez jakiś plan czy jakąś potrzebę, tylko że Bóg mnie posyła. Że jest coś takiego jak moc posłania i nie jest to coś w rodzaju powiedzenia sobie „dam radę", ale wiara i miłość do Tego, który mnie posyła, Jezusa Chrystusa. Tylko moc miłości Jego do mnie i mojej do Chrystusa czyni taki wybór możliwym.

Jak to należy rozumieć?

Nigdy nie czułam tak intensywnie mocy posłania, jak właśnie w Aleppo. Tam nie można zmierzyć sił. Jak można bowiem realnie oceniać swoje możliwości, kiedy nad głowami przelatują bomby? Czy chodzi o to, żeby udawać, że nic się nie stało? Ależ, oczywiście, że się stało. Każdy ma swoje reakcje fizyczne i lękowe. One czasem są silniejsze od nas. Jednak nigdy dotąd nie doświadczyłam w Aleppo niepokoju wewnętrznego na zasadzie: „Co ze mną teraz będzie?". I to odbieram jako łaskę posłania.

Dlaczego chciała Siostra wyjechać do kraju, w którym chrześcijaństwo jest w mniejszości?

Może dlatego, że jestem Polką. Prawie wszyscy się modlą, zdecydowana większość chodzi do kościoła, niemal wszyscy są ochrzczeni. Kiedyś zadałam sobie pytanie: co by było z moim chrześcijaństwem, gdyby wszyscy byli inni? Życie w krajach muzułmańskich zrodziło we mnie mnóstwo pytań, które do dzisiaj w sobie noszę. Weźmy na przykład mój pobyt w Aleksandrii. Siostry założyły tam coś w rodzaju ruchu skautowskiego, bo uznały, że to jedyny ruch, w którym chrześcijanki i muzułmanki mogłyby działać razem. Jeździłam więc na obozy z harcerkami z naszej szkoły. Sposób, w jaki muzułmańskie dziewczęta opiekowały się sobą nawzajem, dawał mi wiele do myślenia. Potrafiły bez szemrania wstawać o trzeciej nad ranem, bo któraś z nich jest chora i trzeba ją zawieźć do szpitala. Często, patrząc na dziewczyny muzułmańskie, zadawałam sobie pytanie, czy ja mam w sobie takiego ducha służby, jak one. One oczywiście nie nazywają tego w ten sposób, ale dokładnie go realizują. Wiedzą, że zaangażowały się w coś i są za siebie odpowiedzialne. Wtedy sobie myślałam, że duch służby jest cnotą chrześcijańską, ale jest także czymś szalenie bliskim muzułmanom. Czymś, co oni również rozumieją, choć inaczej go zapewne motywują.

Jaki jest status siostry zakonnej w krajach Bliskiego Wschodu? Z jakimi reakcjami się Siostra spotykała?

Wszystko zależy od tego, gdzie się jest i co się robi. W przeważającej większości, by nie rzec zawsze, idziemy, by pełnić jakąś misję. Kiedy pracowałam w Aleksandrii, gdzie społeczeństwo składa się w dziewięćdziesięciu procentach z muzułmanów, a w dziesięciu z chrześcijan, w naszej szkole katolickiej na tysiąc dwieście dziewcząt było może sto osiemdziesiąt chrześcijanek. Dominowały muzułmanki. Muzułmanie jednak świadomie i dobrowolnie wybrali naszą szkołę. Wiedzieli, że jest dobra i nie przeszkadzał im fakt, że w dyrekcji pracuje siostra, że w szkole na różnych zajęciach i na spotkaniach z harcerstwem pojawia się siostra. Mój status był statusem kogoś, kto współpracuje, kto pomaga, kto daje dobre wychowanie tym dziewczynom. Spotykałam się z szacunkiem, co w społeczeństwach arabskich nie jest wcale oczywiste. Mężczyzna w społeczności arabskiej znajduje się bardzo wysoko w hierarchii społecznej. Kobieta z kolei powinna umieć znaleźć swoje miejsce. Może być szanowana, ale z pewnością jest niżej w tej hierarchii. Natomiast pojawia się pytanie, kim jest siostra. Nie jest mężczyzną, jest kobietą, ale w mentalności mężczyzny arabskiego jest gdzieś pomiędzy jednym a drugim. W języku arabskim „anta" (czytane jako „enta") oznacza „ty" w rodzaju męskim, czyli jest zwrotem do mężczyzny. Do kobiety mówi się w rodzaju żeńskim „anti" (czytane jako „enti"). Śmiałam się często, bo niejednokrotnie zdarzało się, że mężczyźni w rozmowie ze mną czy innymi siostrami zwracali się do nas, mówiąc „anta", czyli jakby zwracali się do mężczyzny. Dla tamtejszych mężczyzn jest to sygnał wysyłany do rozmówcy, że jesteś na moim poziomie. Mnie to zawsze bawiło. Ale generalnie mogę mówić, że byłam traktowana z szacunkiem.

Z podobnymi reakcjami spotykałam się też w Libanie, gdzie mentalność jest inna od egipskiej, ale szkoły i instytucje prowadzone przez siostry cieszą się zaufaniem i ludzie uważają je za wielkie dobro. Tam też doświadczyłam tego, że kiedy są trudne warunki społeczno-polityczne, pojawiają się liczne powołania.

A jak to wygląda z syryjskiej perspektywy?

To sytuacja zupełnie nieprzystająca do dwóch wcześniejszych, bo tu od sześciu lat mamy do czynienia z wojną. Dla Syryjczyków fakt, że ja, Europejka, przyjeżdżam do Aleppo w momencie, gdy wszyscy uciekają do Europy, jest już wystarczająco czytelnym sygnałem, że jestem z nimi. Często nawet ust nie muszę otwierać. Zdarza się, że wsiadam do autobusu i czuję na sobie wzrok wszystkich pasażerów. Kiedyś pewna kobieta zapytała mnie: „Ty tu mieszkasz?". Na moje „tak" odpowiedziała: „Chyba jesteś szalona". Ona nie dowierzała, że ktoś jeszcze chce być z tymi ludźmi tutaj.

Co sprawiło, że w ogóle zgodziła się Siostra na wyjazd do Aleppo, jednego z najbardziej zapalnych w tej chwili regionów na świecie?

Tu jest kilka kwestii, które należy poruszyć. Po pierwsze, jestem siostrą i jestem misjonarką. Sądzę, że to już wystarczająca odpowiedź. Owszem, był moment, kiedy górę wziął lęk, bo uświadomiłam sobie, że przecież tutaj chodzi o moje życie. Pamiętam, że w tym czasie milion razy słuchałam piosenki nawiązującej do Ewangelii św. Jana: „Przepasz mnie i poprowadź, dokąd ja nie chcę pójść". Ona gdzieś wypłukiwała z mojego serca niepokój, bo nie mogę powiedzieć, że go nie było. Później były wspomniane trzy miesiące sesji w Ziemi Świętej zakończone rekolekcjami. Dla mnie słowo „posłanie" urosło tam do słowa klucza mojego życia. Na nowo uświadomiłam sobie, że moje życie

jest w rękach Boga i cokolwiek by się stało, On mnie poprowadzi. W tym momencie decyzja była jasna. Pojechałam do Aleppo z ogromnym spokojem i naprawdę to dotychczasowe półtora roku nie zmąciło tego spokoju. Cieszę się, że jutro wracam.

Po drugie, oprócz relacji z Syrii prezentowanych w mediach, zwłaszcza w telewizji, jest jeszcze inna strona tego konfliktu, której media już nie relacjonują. Aleppo to ogromne miasto. Żeby to mniej więcej zobrazować, wyobraźmy sobie na przykład, że w Warszawie teraz całą Pragę zajęło Państwo Islamskie, cały Żoliborz Front al-Nusra, a my tu, gdzie teraz rozmawiamy, załóżmy, że znajdujemy się po stronie rządowej. Jest to zatem duża przestrzeń, gdzie spadają bomby, gdzie ludzie nie mają co jeść, ale w cudzysłowie toczy się także jakieś życie. Kiedy decydowałam się na wyjazd, dobiegał końca czwarty rok wojny. Od początku miałam bezpośredni kontakt z siostrami, które w Aleppo przeżywały tę wojnę. Wiedziałam, że jest trudno, ale równocześnie spotykałam siostry, które wyjeżdżały z Aleppo, opowiadały o panujących warunkach i wracały tam. Wiedziałam więc, że jakieś życie tam się tli.

Kiedy przyjechałam do Polski na urlop, doceniłam wagę rozmów z osobami, które przeżyły drugą wojnę światową. Wiedziałam, że ci ludzie mnie zrozumieją. Nikt nie twierdzi, że było to łatwe, ale jednak miliony Polaków przeżyły. Opowiadają koszmary o tym, co się działo. Ale faktem jest, że przeżyli. Ja też mogę opowiedzieć koszmarne historie z Aleppo, ale ważniejsze jest dla mnie to, że istnieje tam jakieś minimum egzystencji. Nie jest łatwo przepędzić cztery miliony mieszkańców. Owszem, wielu uciekło, ale wiele osób wciąż tam żyje i mieszka. I o tym nie należy zapominać.

Czy choć przez krótki moment miała Siostra poczucie, że ta misja może być rodzajem przygody czy ambitnego wyzwania? Trochę na zasadzie ekstremalnej wyprawy.

Trzeba byłoby być szaleńcem, żeby tak do sprawy podchodzić. Serio, trzeba chyba być wariatem, by pragnąć umrzeć natychmiast i za przeproszeniem tak głupio. Bo to, że bomba w Aleppo może spaść mi na głowę, to jest bardzo realny scenariusz. Ja jadę do Aleppo, aby służyć. Wierzę w to, że jeśli w którymś momencie zadzieje się coś dramatycznego, to Bóg udzieli mi swojej łaski. To nie jest tak, że w Aleppo funkcjonuje się na jakiejś adrenalinie. Nie jadę tam przecież na chwilę. Tam trzeba przeżyć rok, dwa, pięć, może więcej. Na adrenalinie tyle się nie „pociągnie". „Pociągnie się" za to na łasce, na mocy Boga, a nie na tym, co ja tam zobaczę i jak ekstremalnych warunków doświadczę. Tak naprawdę dopiero teraz czuję powagę miejsca, do którego wracam. Kiedy po raz pierwszy wyjeżdżałam na Bliski Wschód, niektórym ten teren kojarzył się ze świętym Szarbelem, dziewiętnastowiecznym mnichem i pustelnikiem, i to o jego ślady bywałam pytana. Dziś kiedy przyjeżdżam z Aleppo, słyszę: „O, siostra z Aleppo, to siostra jeszcze żyje?". W takich sytuacjach uświadamiam sobie ten niepełny, by nie rzec zafałszowany, obraz tego, co tam się dzieje. To czyni z nas albo takie UFO, albo napompowanych bohaterów. Szkoda, że nie ma obrazu życia, które jest bardzo trudne, ale które toczy się tam i jest życiem dla innych. Tak to widzę.

Pewnie tego obrazu nie ma, bo jest zbyt wielowymiarowy. A poza tym zwyczajne życie nie jest medialne, to nie jest news do serwisu informacyjnego. Jak zatem wygląda Siostry codzienne życie i funkcjonowanie klasztoru?

W tej chwili jesteśmy małą wspólnotą pięciu sióstr. Do niedawna mieszkały z nami także starsze siostry, które całe życie spędziły,

służąc innym. W ubiegłym roku, kiedy sytuacja bardzo eskalowała, matka generalna poprosiła, by siostry mające trudności w poruszaniu się wyjechały. Ten ich wyjazd był bardzo trudnym momentem dla nas wszystkich. Czułyśmy, że one robią to dla nas.

W Aleppo tak naprawdę to życie określa nasze obowiązki. W naszym domu bardzo dużo się dzieje. Przede wszystkim jesteśmy wspólnotą zakonną, więc jest czas na modlitwę, na wspólne posiłki, na czas spędzany razem. Jesteśmy zgromadzeniem kontemplacyjno-misyjnym i tego czasu na modlitwę mamy naprawdę dużo. Więc niejako automatycznie duża część dnia wypełniona jest stroną duchową. Jeżeli zaś chodzi o konkretną pracę, w tej chwili na terenie naszego klasztoru znajduje się akademik dla studentek, za który jestem odpowiedzialna. Mamy dwadzieścia dwie studentki. Wszystkie są muzułmankami. Są wśród nich dziewczyny, które „pod bombami" zrobiły pięć lat medycyny. Codziennie rano wychodzą na uczelnię lub na praktykę do szpitala. Szpital uniwersytecki przyjmuje najwięcej rannych, żołnierzy i ludności cywilnej. Te moje studentki codziennie spotykają się z chyba najbardziej dramatycznymi sytuacjami, jakie zdarzają się w medycynie. Większość z nich pochodzi z miejscowości oddalonej niecałe pięćdziesiąt kilometrów od Aleppo, ale wyprawa do domu w obecnej sytuacji jest bardzo niebezpieczna i bywa karkołomnym przedsięwzięciem, bo trzeba objechać niemal całą Syrię, by wjechać od innej strony. Są wśród nich także cztery dziewczyny pochodzące z Ar-Rakka, nieformalnej stolicy Państwa Islamskiego. One w ogóle nie mogą marzyć o powrocie do domu. Bardzo zwracam na nie uwagę, zaglądam do nich, rozmawiamy. Wiem, że nie jest im łatwo. Generalnie moim zadaniem jest towarzyszenie tym dziewczynom podczas

roku akademickiego, czyli od września do lipca. Często jestem dla nich jedyną powiernicą ich dramatów i radości. Staram się organizować im jakieś życie domowe, bo one tego domu są pozbawione, a z komunikacją telefoniczną czy internetową bywa różnie. To moje bycie z nimi nie jest czymś jednowymiarowym. To zupełnie inna sytuacja od mojego pobytu w Aleksandrii i uczenia w szkole, gdzie codziennie o ósmej rano dzwonił dzwonek, a po południu kończyły się zajęcia i mogłam powiedzieć: „Uf, napracowałam się". Nie da się tego też porównać z Libanem, gdzie także byłam odpowiedzialna za studentki medycyny, ale to był czas jakoś zdefiniowany i zaplanowany. Wiedziałyśmy mniej więcej, co kiedy będziemy robić. W Aleppo to życie definiuje nam każdy dzień.

Poza tym zaczęłyśmy organizować w naszym domu projekt rekolekcji weekendowych. Kilkakrotnie już przekonałyśmy się, że ludzie z Aleppo, którzy od sześciu lat żyją wśród bombardowań, bardzo potrzebują wszelkiego wyciszenia. Spróbowałyśmy raz, drugi, trzeci i okazało się, że ten pomysł cieszy się wielkim zainteresowaniem. Ludzie szukają siły i to jest nasza misja. Ostatnio maronici, którym zbombardowano kościół, poprosili, żeby mogli się u nas modlić w Wielkim Tygodniu. I tak się stało. Wszyscy, którzy pozostali jeszcze w Aleppo, jakieś osiemset osób, modlili się w naszej kaplicy.

Dodatkowo w ogrodzie przylegającym do naszego klasztoru jest kuchnia polowa wydająca dziesięć tysięcy posiłków dziennie, którą prowadzi Jezuicka Służba Uchodźców (JRS). Spotykamy tych wszystkich ludzi, rozmawiamy z nimi, przychodzą do nas. W piwnicach naszego domu organizowane są także kursy dla kobiet: szydełkowania, robienia na drutach, biżuterii, żeby można było coś sprzedać w warunkach wojennych. Bardzo popularne są

kursy fryzjerskie, bo kobieta chce być piękna w każdych okolicznościach. Znów wracam do tego, co mówiłam wcześniej. My, na Zachodzie, zatrzymujemy się tylko na największych, najgorszych dramatach Aleppo, o których donoszą media. A dla tych ludzi jest to szósty rok ich życia. Nikt im już nigdy tych sześciu lat nie zwróci. Oni próbują, nawet w minimalnym wymiarze, żyć normalnie w tych nienormalnych warunkach.

Jakie sytuacje czy potrzeby są najpoważniejsze?

Te, w których trzeba udzielić natychmiastowej pomocy, kiedy zareagować trzeba tu i teraz, kiedy nie ma czasu na zastanawianie się. To są choćby sytuacje, kiedy ktoś przychodzi i mówi: „Wczoraj spadła bomba, nie mam już kuchni w mieszkaniu" albo „Mam wybite wszystkie szyby". Nikt w Aleppo nie ma już szyb w oknach, używa się folii plastikowej, ale ta folia też kosztuje. Ktoś nie ma pracy ani pieniędzy, a tu trzeba wszystkie okna zakleić folią. Chodzi, puka, prosi o pomoc. Jeżeli tylko mamy możliwości, staramy się pomóc. Albo zwykły brak podstawowych lekarstw, choćby na grypę. Coś, co trzeba wziąć natychmiast, bo człowiek czuje się źle. Ci ludzie nie mają pieniędzy, a często potrzebują natychmiastowej pomocy. To nie są projekty rozwojowe, które trzeba spisać, przedstawić, nad czym się długo pracuje i czeka na ewentualne środki. To są sytuacje, gdy ktoś dzwoni do mnie o siódmej wieczorem i mówi, że nie ma gdzie spać. Codziennie ktoś o coś prosi. Czasem ktoś dzwoni do drzwi, bo wszystko mu się zawaliło, wszystko stracił. Trzeba go wysłuchać, zaradzić naglącym potrzebom, odesłać do odpowiednich instytucji. Czasem powiedzieć: „Przyjdź za tydzień, spróbuję się kogoś o coś zapytać, dowiedzieć się czegoś". Bardzo dużo jest takich spotkań.

Jakiś czas temu Czerwony Półksiężyc zapytał nas, czy gdyby sytuacja była bardzo zła, mogłybyśmy przyjąć w domu

uchodźców. Przywieźli nam tysiąc materacy i tysiąc koców, i to wszystko czeka. Czasami docierają do nas pytania, czy to nie moment, by odejść z Aleppo... Ale sama pani widzi, ile tam się dzieje i jak wiele osób korzysta z tej pomocy. Wystarczy, że rozejrzę się po naszym domu. I teraz miałybyśmy zawiesić na tym wszystkim kłódkę? Choć równocześnie należy wyraźnie zaznaczyć, że mówimy o wojnie i że wszystko może się zdarzyć.

Co musiałoby się stać, żeby trzeba było zamknąć dom i by podjęły Siostry decyzję o opuszczeniu Aleppo?

Gdyby było tak, jak jest po drugiej stronie miasta, to rzeczywiście nie byłoby absolutnie żadnego sensu, by wracać do Aleppo. Do parafii, z którą współpracuję, należą ludzie, którzy wcześniej mieszkali po drugiej stronie miasta. Oni doskonale pamiętają noc, kiedy dosłownie w jednej koszuli, tak jak stali, uciekli przed rebeliantami, zostawiając wszystko, co mieli. Nie ma mowy w tej chwili o powrocie do tamtego miejsca. To, co pokazują media, czyli obrazy, na których widać, że samoloty bombardują część, gdzie są rebelianci, i że tam jest właściwie wszystko zrównane z ziemią, są zgodne z prawdą. Byłoby zupełnym bezsensem iść tam, nawet nie szaleństwem, tylko bezsensem. Bo to jest na razie rejon, w którym człowieka czeka pewna śmierć. Nie ma się nawet nad czym zastanawiać. Tam na pewno nie mogłybyśmy żyć i pracować.

Ale jest jeszcze druga część tego miasta i są ludzie, którzy często z własnego wyboru nie wyjechali. Jedni nie mieli dokąd pojechać, a inni, tacy jak inżynierowie, lekarze, farmaceuci, którzy mają dziś po czterdzieści, pięćdziesiąt lat, zostali z obawy, że ich dyplom za granicą nie zostanie uznany. Poza tym tu są kimś, mają swoją klientelę, tu ludzie ich szanują. Ci ludzie zostali i potrzebują podtrzymania.

Ja jeżdżę regularnie na rady prowincjalne do innych krajów i właściwie mogłabym co dwa miesiące podjąć decyzję, że nie wracam do Aleppo, że to za trudne, że to mnie przerasta. Ale na razie uważam, że nie jest to moment, by wyjeżdżać. Owszem, bywa ciężko. Zdarza się, że kiedy droga jest zamknięta, tygodniami jesteśmy uwięzione w klasztorze bez realnych perspektyw choćby na dostawę żywności. Ale później, czasem po upływie kilku tygodni, droga się otwiera. Wie pani, chciałabym jeszcze pożyć i mam w głowie trochę planów, ale kiedy idę ulicą w Aleppo i spotykam parę młodych ludzi z niemowlakiem na rękach, to myślę sobie: jaką odwagę muszą mieć ci ludzie? I gdzie ja w tej sytuacji miałabym się wybierać? Oni żyją i my żyjemy. Oczywiście, wszystko zdarzyć się może, ale mam nadzieję, że nie będziemy zmuszone do rozważania opcji: zostajemy czy nie.

Proszę sobie wyobrazić, że jezuici zamknęli na jeden dzień kuchnię po tym, jak dwieście metrów od naszego klasztoru zbombardowano szpital położniczy. Zamknęli ją tylko na jeden dzień, a w świat poszła wiadomość, że jezuici wyjechali z Aleppo. Już na drugi dzień otrzymałyśmy wiadomość od matki generalnej: „Siostry, czy naprawdę chcecie zostać? Przecież jezuici wyjechali". Na co odpowiedziałyśmy: „Ale przecież kuchnia już dymi od rana" (*śmiech*). Nie można na podstawie jednego dramatycznego faktu podejmować decyzji, która pociągnęłaby za sobą niesamowite konsekwencje. No bo co nagle miałoby się stać z ludźmi, którzy odbierają u nas dziesięć tysięcy posiłków dziennie? Albo dokąd z dnia na dzień w połowie roku akademickiego miałyby się udać moje studentki?

Jaki brak, materialny lub niematerialny, jest dla Siostry najbardziej dotkliwy w Aleppo?

Zdziwi się pani. Jedynym brakiem, który odczuwam, i on dotyczy nie Aleppo, ale Polski, jest adoracja. W naszym zgromadzeniu przewidziane jest codziennie pół godziny adoracji. Podczas najgorszych bombardowań w Aleppo mogę pójść codziennie na pół godziny adoracji w kaplicy. Natomiast będąc w Polsce na urlopie z rodziną, nie zawsze mam taką możliwość, choć wiem, że moi najbliżsi nieba by mi przychylili. To jest jedyny brak, który odczuwam w czasie wakacji.

Jeżeli chodzi o Aleppo, to brakuje wszystkiego, ale czymś przedziwnym jest zarazem, jak człowiek potrafi się zaadaptować. Są na przykład ogromne problemy z prądem. Przyzwyczaiłam się, że chodzę z latarką w kieszeni, nawet kiedy idę kogoś odwiedzić. Ale to nie jest brak, bo przecież są latarki. Jedzenie, jak jest, to dobrze, jak nie ma, to trudno. Zawsze jest na tyle, by organizm był z grubsza zaopatrzony. Myślę jednak, że szczególnie dotkliwy w Aleppo jest w dłuższej perspektywie brak internetu. Kiedy zbombardowali nam serwer, przez miesiąc nie działało nic. Ja mam rodzinę, a przede wszystkim mam rodzinę zakonną. Kiedy telefony i internet nie działają, siostry przez miesiąc nie wiedzą, co się z nami dzieje. Dodatkowo oglądają różne wiadomości w telewizji. To powoduje dyskomfort. Ja wiem, że nie jest dobrze, jak na nasze warunki, jednak nie mogę tej informacji przekazać. Kiedy po dłuższej przerwie mogę wreszcie odpowiedzieć na maile, odpowiadam zwięźle i krótko. Wszyscy o tym wiedzą: „tak", „nie", „otrzymałam", „proszę jutro o tej godzinie". Minimum informacji. Nie bawię się w formuły grzecznościowe, nawet pisząc do pana ambasadora, bo nie ma na to czasu. Chodzi o to, by ktoś wiedział, że jest w porządku, by można było przekazać informację.

Poza tym internet jest dla nas chyba w tej chwili najcenniejszym źródłem informacji, bo telewizja nie jest takim źródłem. Nawet

Facebook służy mieszkańcom Aleppo do umieszczania zdjęć ze zbombardowanych właśnie budynków i ulic, podawania bliższych informacji, ostrzegania, gdzie nie należy się udawać.

A czy permanentny brak poczucia bezpieczeństwa jest czymś, do czego można się „przyzwyczaić”?

Paradoksalnie, ten brak poczucia bezpieczeństwa jest czymś, do czego człowiek chyba najszybciej się „przyzwyczaja”, bo inaczej by zwariował. Rzeczywiście, jest chyba coś takiego w człowieku, że organizm uruchamia pewien rodzaj samoobrony, dawkując dozę niebezpieczeństwa. No i poza tym Pan Bóg dał nam rozum. Jeżeli słyszę, że cały dzień trwa bombardowanie i to idzie z kierunku, gdzie powinnam iść zrobić zakupy, to nie idę. Kupię minimum potrzebnych rzeczy w najbliższym otwartym kiosku, a dalej wyjdę na przykład za dwa dni, jak się trochę uspokoi. Regularnie muszę chodzić zapłacić rachunek za telefon, co w Aleppo graniczy z cudem, bo siedziba urzędu znajduje się na granicy między dwoma frontami. No ale trzeba rachunki regulować i myślę sobie, że ci urzędnicy też jakoś chodzą. W każdym razie, jeśli jest spokojnie, to idę. Oczywiście, nikt mi nie gwarantuje, że za pół godziny będzie tak samo. Idę i załatwiam. Wszystkie służby i instytucje normalnie funkcjonują, chyba że pojawia się komunikat w mediach, że przez trzy dni nic nie działa. Wtedy wiem, że pracuję w domu. Moje studentki boją się, są smutne, internet nie działa, nikt nie wie, co się dzieje. Wtedy idę do moich studentek. Patrzę, czy któraś nie popłakuje w kącie... Tu w Aleppo każdy dzień otwiera nową kartę.

Jakie obrazy najbardziej zapadły Siostrze w pamięć?

Wiele jest takich, których pewnie nigdy nie zapomnę. Nie zapomnę na przykład, kiedy po raz pierwszy poszłyśmy złożyć kondolencje rodzinie, w której zginął jeden z braci bliźniaków.

Drugi z braci poszedł do identyfikacji zwłok. Oblali tego chłopca jakimś kwasem. Zostały same kości. Brat rozpoznał bliźniaka po bransoletce, obydwaj dostali takie same na chrzest. Dramatu tych rodziców nie da się wyrazić. Jak rozmawiać z takimi ludźmi? Czym ich pocieszyć? Podobnych sytuacji było bardzo wiele.

Zapadł mi także w pamięć dzień, w którym zbombardowano sąsiadujący z nami szpital położniczy. To była sytuacja, w której i ja czułam się zagrożona. Połowa moich studentek była wtedy w domu, reszta nie wróciła jeszcze z uczelni. Uderzenie było niewyobrażalne. Usłyszałyśmy huk tłuczonych szyb w naszym klasztorze. Wszystkie zeszłyśmy do piwnicy. Dziewczyny zaczęły płakać jedna po drugiej. Ja też czułam, że mi ciśnienie rośnie. Wiedziałam, że nie mogę powiedzieć: „Nic się stało. Chcecie może kawy?". Sytuacja była dramatyczna. Z jednej strony miałam świadomość, że muszę ten dramat jakoś wziąć na siebie. Że powinnam zapanować nad tą sytuacją, uspokoić ją. Z drugiej strony w ogóle nie byłam spokojna. To był moment solidarności między nami. Dziewczyny zaczęły się nawzajem pocieszać. Razem usiadłyśmy i rozmawiałyśmy. Był to jednak moment dla mnie trudny.

Czy bywa Siostra pytana o sens tej wojny, o Boga pośród tego cierpienia? Czy takie pytania na wojnie są banałem i nikt ich nie zadaje?

Myślę, że podczas wojny ludzie nie tyle szukają sensu, ile przetrwania. Z moich obserwacji wynika, że w religii islamskiej zdanie się na wolę bożą, jest niejako „automatyczne". Matka, która straciła dwóch czy trzech synów, przyjmuje do wiadomości, że widocznie Bóg tak chciał. Na pewno w sercu jest ogromny ból i poczucie straty, ale to jest ich wiara i oni nie ośmielą się powiedzieć inaczej. Przyjmują to jako ich los.

Generalnie wydaje mi się jednak, że w Aleppo nie jest łatwo przetrwać komuś, kto nie wierzy w Boga i Jego opiekę. Ja codziennie doświadczam, że moje życie nie jest w moich rękach i że człowiek sam nie jest w stanie niczego sobie zagwarantować. Któregoś dnia poszłam do miasta coś załatwić. Wracam do domu, widzę przerażone twarze moich współsióstr. Pytają mnie: „Gdzieś ty była?". Okazało się, że w okolicy, z której właśnie wróciłam, dwadzieścia minut wcześniej zbombardowano autobus. Dlaczego ja zdążyłam? Nie mam odpowiedzi na to pytanie. Nie mam też gwarancji, że zawsze zdążę. Wiem jednak, że ludzie w Aleppo codziennie wychodzą do pracy i codziennie z niej wracają.

Proszę sobie wyobrazić, że podczas mojego urlopu w Polsce, w ramach Światowych Dni Młodzieży przyjmowałyśmy grupę Włochów w naszym domu. Poszłam na jakieś spotkanie w rynku, pomogłam w tłumaczeniach i wieczorem, przechodząc przez ulicę, potknęłam się tak fatalnie, że skończyło się to wieloma szwami na twarzy i pokrwawionymi rękoma. Z trudem się podniosłam, przypadkowi ludzie mi pomogli i zadzwonili po pogotowie. W tej karetce śmialiśmy się razem z sanitariuszami, kiedy im powiedziałam, skąd przyjechałam. Nigdy w życiu nie miałam na swoich rękach tyle krwi. Po prostu życie.

Jak reaguje Siostra na toczącą się w Europie dyskusję na temat przyjmowania uchodźców?

Od początku przyglądałam się tej sytuacji z obu stron. Moje dwie rodzone siostry mieszkają we Frankfurcie i na bieżąco relacjonowały mi, o czym donoszą zachodnie media. One były z tej strony, gdzie przyjmowano uchodźców, ja z tej, skąd oni wyjeżdżali. W Aleppo byłam świadkiem wielu pożegnań osób, które wyjeżdżały. Kiedy przyleciałam do Warszawy trzy miesiące

temu, krótko po wylądowaniu pomyślałam, że ludzie, za którymi w Aleppo płaczemy, tutaj są ogromnym problemem.

Wie pani, to jest bardzo wielowymiarowe zagadnienie. Trzeba na to popatrzeć od każdej strony, bo mamy do czynienia z sytuacją, w której wszyscy po trosze mają rację. Europa ma rację, że chce sprawdzać, kto do niej wjeżdża i kogo przyjmuje. Otwarte drzwi, które wpuściły wielu, wpuściły także ludzi, których niestety trzeba się bać. I to jest realne niebezpieczeństwo, nie można udawać, że go nie ma. Równocześnie jest wielką niesprawiedliwością wrzucanie wszystkich do jednego wora, upatrywanie we wszystkich złych intencji. Bardzo się boję takich ocen, generalizacji, krytyki tych, którzy uciekli. Poznałam wiele osób wyjeżdżających z Syrii. Ci, którzy wyjechali jako pierwsi, mieli jeszcze trochę pieniędzy, bo za te czterdzieści pięć minut grozy w pontonie trzeba było słono zapłacić. To byli najczęściej ludzie, którzy mieli jakiś warsztat lub jakiś sklep. Ja na tych ludzi czekam w Aleppo. Jeśli wojna się skończy, to mam nadzieję, że ci, którzy mają czterdzieści pięć, pięćdziesiąt lat, wrócą jako pierwsi. Wielu z nich poznałam i wiem, że są to ludzie przywiązani bardzo do swojej kultury, do tego, co mieli i co mogą odzyskać dużo szybciej niż na Zachodzie.

Ostatnio żegnaliśmy chłopaka, który pracował u nas w kuchni. Sympatyczny, dobry, uczynny. Jego osiemdziesięciu współpracowników zgotowało mu niesamowite pożegnanie. On płakał przez całą imprezę, bo nie chciał wyjeżdżać. Myśmy płakali z nim. Wtedy sobie pomyślałam, że taki chłopak pojedzie do Turcji i tam będzie problemem. Każdy z tych młodych chłopców docierających do Europy, jest czyimś synem, bratem, kolegą. Jeden z chłopaków powiedział mi ostatnio: „Ja już nie mam nikogo z klasy. Wszyscy wyjechali". A jeden z mężczyzn wyznał: „Niedługo

nie będę miał do kogo ust otworzyć, wszyscy mężczyźni wyjechali".

A jak przyjmuje Siostra informacje o kolejnych zamachach terrorystycznych, których ofiarami padają chrześcijanie, w tym misjonarze, jak choćby zamach w Saint-Etienne-du-Rouvray we Francji, gdzie islamiści zamordowali osiemdziesięcioszścioletniego księdza Jacques'a Hamela?

Przede wszystkim, żeby pojechać na misje, trzeba być człowiekiem wiary. Bardzo lubię prefację do Mszy o męczennikach, w której pada zdanie: „Ty uzdalniasz słabych ludzi do złożenia świadectwa w wierze". Ja nie wierzę w to, że ksiądz Jacques Hamel zamordowany we Francji albo ksiądz Francis van der Lugt, zastrzelony w Syrii, to byli bohaterowie na adrenalinie. To Bóg uzdalnia ludzi do złożenia świadectwa w wierze.

Jeżeli miałabym jechać do Aleppo, licząc jedynie na własne siły, to nie wsiadłabym do samolotu. Przykro mi bardzo. To nie jest kwestia, którą roztrząsam na zasadzie: ja dam radę na trzydzieści procent, a siedemdziesiąt procent zrobi Bóg. Wychodzę z założenia, że jeśli kiedykolwiek coś dramatycznego mi się zdarzy, to sto procent zrobi Bóg. Wierzę, że łaska przychodzi w odpowiednim momencie. Takie wydarzenia nigdy nie zrodziły we mnie niepokoju. Ale jeśli on by się pojawił, to jest to znak, że należy prosić o wiarę, a nie mierzyć swoje możliwości. W takich przypadkach nikt nie ma możliwości. Organizm ludzki nosi pragnienie życia. Każdy chce ocalić to życie, przeżyć je godnie, nikt nie chce być sponiewierany czy torturowany. Jako człowiek wiary liczę się z tym, że Bóg może mnie postawić przed dramatycznymi sytuacjami. Ale wtedy to On będzie Bogiem, który ma moc, nie ja.

Wie pani, moim głębokim przeświadczeniem jest, że Pan Bóg opiekuje się moim życiem. Ale ja nie mam oczekiwań co do jego długości. Mnie interesuje, by każdy dzień był przeżyty pełnią życia. Myślę sobie nawet, że nikt z nas nie ma prawa, mimo że wszyscy nosimy takie pragnienie, żądać, by to życie było długie, udane, szczęśliwe. Jesteśmy tu po to, by dzisiaj nasze pragnienia realizować. To „dzisiaj" jeszcze mamy. Co będzie jutro, nie wiemy. To „jutro" dopiero się przed nami otworzy.

Co dla Siostry w ogóle oznacza bycie misjonarką?

Myślę, że każdy jest misjonarzem. Każdy człowiek otrzymuje misję. Ona się po części zawiera w tym, kim każdy z nas jest, bo Bóg nas kształtuje. Na pewno nie utożsamiam misji z wyjazdem do konkretnego kraju. Gdyby misja była czymś ściśle zdefiniowanym, byłaby czymś bardzo sztucznym. Misją jest wszystko. Usiąść z kimś i potrzymać go za rękę to też może być misją. Odbyć trudną rozmowę, po której ktoś może odetchnąć z ulgą. Misją może być wypicie herbaty z kimś, przeprowadzenie jakiegoś spotkania. Wszystko może być misją i wszystko może być jej antytezą, kiedy człowiek nie dorośnie do danej sytuacji. Misją jest całe życie danej osoby. Wie pani, kiedy ktoś z naszych bliskich ginie w Aleppo, to najbardziej podstawową rzeczą jest dla nas zawsze iść i pomodlić się z tymi ludźmi, złożyć kondolencje, pójść na pogrzeb, pobyć z tymi, którzy cierpią. To są niby niewymierne rzeczy, ale one są ogromnie ważne. W takim wymiarze widzę misję.

Z jakimi emocjami wraca Siostra jutro do Aleppo?

Przede wszystkim wracam z radością i wielką ochotą, by realizować nowe projekty, które tu się zrodziły. Czeka mnie bardzo pracowity czas. Przez te prawie trzy miesiące pobytu w Polsce zastukałam chyba do wszelkich możliwych drzwi, gdzie

ktoś ewentualnie mógłby mi pomóc realizować kolejne projekty w Syrii. Zatem wracam do Aleppo z głową pełną nowych pomysłów. Mam nadzieję, że ruszę pełną parą.

W życiu zakonnym bardzo sprawdza się Ewangelia o tym, że kto opuści swój dom, zyskuje jeszcze więcej domów, sióstr i braci. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżam do Warszawy, jestem u siebie. Wracam do Aleppo i też jestem u siebie. Pobyt w domu rodzinnym podczas urlopu był dla mnie przepiękny. Przeżyłam wspaniałe chwile, ale zarazem mam poczucie, że mój dom jest teraz w Aleppo. Uważam, że człowiek powinien nauczyć się „żyć domem", powinien gdzieś przynależeć, żeby gdzieś było to „u mnie". Teraz to „u mnie" jest w Aleppo. Owszem, jest trudno, ale to jest „u mnie". Nikt mi nigdy nie obiecywał, że będzie inaczej. Ja miałam bardzo piękne życie, bardzo wiele rzeczy mi się zrealizowało. W tej chwili wracam, by realizować tam piękne rzeczy wśród trudności. I czekam. Naprawdę już czekam, żeby jechać. Myślę, że powie to pani każdy misjonarz. Ostatnie tygodnie przed wyjazdem przebiera się już nogami i myślami jest się na lotnisku. Ja też myślami jestem już na lotnisku, bo zastanawiam się, czy uda mi się przewieźć piłkę z podpisem Lewandowskiego, którą podarowano mi dla dzieci z Aleppo.

Czy wierzy Siostra, że doczeka tam końca tego konfliktu?

Codziennie czekam na ustabilizowanie się tej sytuacji. Czekam nie tyle dla siebie, ile dla tych ludzi. To są ludzie, którzy cierpią, a znając ich historie, chciałoby się krzyczeć: „Dość, już wystarczy!".

Jaki ślad chciałaby Siostra po sobie zostawić?

Na pewno nie chciałabym, żeby ktoś mówił kiedyś o mnie: „A tę szkołę to wybudowała ta siostra". Dla mnie sercem tego, co robię, jest relacja. Kiedy przyjeżdżam do Warszawy, nieustannie odbieram telefony od osób, które chciałyby się ze mną spotkać,

bo pracowałam tu cztery lata. Podczas Światowych Dni Młodzieży dostałam na Facebooku zdjęcie od uczennicy z Aleksandrii, którą uczyłam jakieś piętnaście lat temu. Pisze, że jest w Toruniu, i pyta, kiedy się spotkamy. Ona nie chce się spotkać, żeby zrobić sobie ze mną selfie. Chce podzielić się swoim życiem. Największą wartością są dla mnie ludzie, którzy zostawili we mnie ślady przez relacje. Ludzie, którzy po latach mnie szukają, bo kiedyś przeszliśmy jakiś etap razem. Bo dzięki tym relacjom ja „urosłam" i być może przez relację ze mną ktoś też „urósł". Myślę, że jeżeli zostawiamy ślad w ludziach, których spotkaliśmy, to te ślady nigdy nie umrą. Dla mnie ważne jest, żeby te relacje były wzajemnym kształtowaniem siebie. A to jest czymś, czego nie widać, bo nie ma bagaży, nie ma kilogramów, nie ma problemu, gdzie by to upchać. Nagle patrzę na człowieka i uświadamiam sobie, że już się spotkaliśmy. To jest jedyna rzecz, która nam nie zginie. Wierzę, że niebo będzie odkurzaniem tych śladów i dopełnieniem wszystkich relacji.

W chwili gdy przekazujemy materiał do druku, siostra Urszula Brzonkalik nadal przebywa w Aleppo.



Cięcie na żywym organizmie

Upadek żelaznej kurtyny oraz przemiany polityczne w ZSRR za czasów Michaiła Gorbaczowa umożliwiły przyjęcie w 1990 roku ustawy o wolności religijnej. Był to początek w miarę otwartego funkcjonowania Kościoła w Rosji. Wielu zagranicznych obserwatorów zaczęło od tego momentu mówić o stopniowym odradzaniu się religii na terenie byłego Związku Radzieckiego.

Jedną z pierwszych polskich misjonarek, które po przełomie roku 1989 wyjechały do Moskwy, była siostra Maria Stecka. Już podczas pierwszego

spotkania wiedziałam, że mam do czynienia ze świadkiem społeczno-politycznych przemian we współczesnej Rosji oraz z zakonnicą, która wniosła niepodważalny wkład w rodzące się struktury Kościoła w Moskwie.

Nasze drugie spotkanie i rozmowa, do której doszło mimo szpitalnych warunków, uświadomiły mi jeszcze jedną kwestię. Poznałam niezwykłą kobietę, która mimo pięćdziesięciu lat w zakonie i dwudziestu pięciu lat pracy w Moskwie nie marzy o zasłużonym wypoczynku i „świętym spokoju", lecz ma w sobie gotowość i chęć, by udać się jeszcze dalej.

Jest Siostra wychowanką sióstr Sacré Coeur.

To prawda. Wychowywałam się w szkole z internatem w Pobiedziskach. Moja mama, objechawszy kilka szkół prywatnych, które jeszcze ocalały za komuny, trafiła na Sacré Coeur (zgromadzenie założone w 1800 roku, zaraz po ustaniu terroru Wielkiej Rewolucji Francuskiej, przez św. Magdalenę Zofię Barat). Tam wylądowałam, mając prawie trzynaście lat. Zostałam do matury.

Co sprawiło, że później wybrała Siostra zakon?

Czułam, że to moja droga. Miałam stały kontakt z siostrami. Szkoła stwarzała bardzo rodzinne więzi, dawała nam wychowanie religijne, był mocny akcent na liturgię. To było środowisko, w którym dorastałam. Nie wstąpiłam jednak od razu po maturze. Moja mama zachorowała i wiedziałam, że to nie był moment, żeby odchodzić z domu. Zrobiłam dwa lata polonistyki na UAM

w Poznaniu. Po tym drugim roku miałam wrażenie, że stoję przed wyborem: „albo – albo" i poczułam, że to pora, by wstępować. Wiedziałam, że albo mnie wciągnie życie studenckie i naukowe, albo trzeba iść do zakonu. Ze zdrowiem mamy też się uspokoiło.

Co mama na ten wybór?

Stosunek mojej mamy do tej decyzji najlepiej obrazuje pewne zabawne zdarzenie. Kiedy byłam w nowicjacie w Tarnowie, w okolicy świąt Bożego Narodzenia przyjechała do mnie mama z pustymi walizkami, żeby mnie zabrać z klasztoru. Przed samym naszym domem przewróciła się bardzo niefortunnie na grudę i śnieg. Siostry przybiegły, „pozbierały" mamę, opatrzyły, położyły do łóżka i dopiero wtedy mnie zawołały. Mama powiedziała mi wówczas: „Miałam cię zabrać, ale z pozycji leżącej dosyć trudno walczyć" (*śmiech*). W ciągu wielu lat powoli przekonywała się do mojego wyboru. Myślę, że po latach nie tyle nawet potrafiła to zaakceptować, ile poczytywała sobie za szczęście fakt, że ma córkę w klasztorze.

Z czego zdaniem Siostry brał się ten początkowy opór?

Mama była wdową, a ja byłam najmłodszą córką. Najpierw moi bracia wyszli z domu, potem jeden z nich był umierający. Trzeba ją zrozumieć. Z moich obserwacji wynika, że zwykle z synów kapłanów matki są dumne, a odejście córki przeżywają boleśniej. Choć po latach to właśnie ta córka w zakonie często się „odnajduje", to znaczy niejednokrotnie jest bliżej domu niż dzieci, które założyły własne rodziny. To taki bardzo osobisty wątek.

Ile lat jest Siostra w zgromadzeniu?

W maju w Moskwie obchodziłam jubileusz pięćdziesięciolecia życia zakonnego. Było duże świętowanie.

Jest Siostra świadkiem wielu przemian, między innymi zmian w życiu zakonnym, związanych z Soborem Watykańskim II.

Jak wiele zmienił Sobór w codziennym funkcjonowaniu sióstr i w praktyce życia zakonnego? Czy zapamiętała Siostra jakiś przełom?

Powiedziałabym, że same przełomy. Przełom za przełomem (*śmiech*). Wychowałam się w Kościele przedsoborowym, który kojarzy mi się przede wszystkim z pogłębioną formacją religijną. Jako młoda dziewczyna chodziłam jeszcze z polsko-łacińskim mszałem pod pachą. Uczyłyśmy się łaciny i francuskiego, bo rosyjski w naszej szkole nie był obowiązkowy. Cały Kościół modlił się jeszcze po łacinie.

Do nowicjatu dotarłam w 1963 roku. Była tam czcigodna starsza mistrzyni, z którą się oswajałam, oswajałam, aż wreszcie się oswoiłam i zaczęłam z nią rozmawiać. Później po moich obłóczynach pojawiła się jako mistrzyni młodsza siostra, z którą nigdy nie udało mi się nawiązać głębszego kontaktu. Natomiast ten pierwszy kontakt z mistrzynią był bardzo ważny.

Przed Soborem układ był bardzo tradycyjny: dwa chóry, to znaczy dwie kategorie sióstr pod jednym dachem: siostry „chórowe", odmawiające w chórze małe oficjum o NMP i odpowiedzialne za nauczanie, oraz siostry „koadiutorki", wspomagające, czyli pracujące w gospodarstwie domowym. Dawniej często nie miały wyższego wykształcenia i często bywały najserdeczniejszymi powiernicami uczennic. To taki relikt dziewiętnastowiecznego podziału na klasy społeczne. Siostry odróżniały się nawet strojem.

Na Soborze była obecna jako audytorka nasza ówczesna matka generalna, która szybko zorientowała się, ku czemu idą zmiany. Od razu w 1964 roku zwołała kapitułę, żeby zmieniać niektóre struktury i dać początek pewnym eksperymentom. W ten sposób doszło na przykład do złączenia chórów, uproszczenia habitu,

a potem kolejnych zmian. Jako młoda siostra przeżyłam kilka kolejnych kapituł zmieniających krok po kroku nasze zgromadzenie. Moja młodość zakonna przypadła na kapitułę 1970 roku, na której między innymi odeszłyśmy od wyboru matki generalnej aż do śmierci i wprowadziłyśmy kadencyjność. To była wówczas duża rewolucja.

Czasem można usłyszeć głosy, że Sobór Watykański II przyniósł nadmierne rozluźnienie, że wcześniej był porządek, a problemy Kościoła wzięły się właśnie z Soboru, z tej otwartości.

Nie wiem, czy osobiście kiedykolwiek tak to odczułam. Na pewno jednak docierały do mnie głosy od sióstr francuskich czy belgijskich o tym, że pewna strukturalność i hierarchiczność była już nie do wytrzymania, także w klasztorze. Choćby uwarunkowany dziewiętnastowieczną strukturą społeczną podział na siostry wykształcone i pomagające, koadiutorki, czy wielka, obezwładniająca czasem, zależność od przełożonej, łącznie z kierownictwem duchowym, co przecież powinno być zawsze rozdzielone. Władza i kierownictwo duchowe powinny chodzić odrębną ścieżką. Wcześniej zdarzało się, że było to połączone i przez wiele osób odbierane jako bardzo uciążliwe.

A jak Siostra odebrała te zmiany?

To, czego ja doświadczyłam, nazwałabym bardzo świadomą formacją. W roku 1972 składałam śluby wieczyste. Wiem, że ten czas wiele sióstr odebrało jako wyzwolenie z pewnego gniotu struktur. Sobór umożliwił wyjście do ludzi, zniesienie klauzury. W naszym zgromadzeniu, które powstało w 1800 roku, klauzura była wcześniej narzucona przez Kościół. Owszem, można było wyjść z dziewczynami ze szkoły na wycieczkę czy do teatru, ale poza tym życie przypominało trochę to w klasztorze zamkniętym.

Podobną historię Kościół już raz przeżył w XVI wieku, kiedy Franciszek Salezy z Joanną de Chantal usiłowali pogodzić klauzurę ze służbą ubogim. Nie otrzymali zgody na taki charakter zgromadzenia, obawiano się zeświecczenia i rozluźnienia. Joanna de Chantal z Franciszkiem Salezym zadecydowali, że wizytki wybiorą zatem życie mnisze. W wieku XVII podobna sprawa: Wincenty à Paulo i szarytki stanęli przed podobnym wyborem: albo jesteście mniszkami, albo zajmujecie się chorymi i biednymi. I tu odwrotna decyzja: wybór ubogich i życia czynnego. Dwa różne rozwiązania funkcjonujące do dzisiaj.

W wymiarze zewnętrznym Sobór przyniósł także uproszczenie strojów wielu zgromadzeń.

To prawda. W wielu naszych prowincjach pojawiła się bardzo silna tendencja sekularyzacji stroju. Szczególnie odczułam to, kiedy na rok pojechałam do Stanów. Uważam, że współcześnie strój zakonny może być bardzo prosty. Prosta bluzka i spódnica czy jakaś sukienka, welon czy chusteczka albo prosta fryzura. Zresztą na mojej głowie welon się zawsze kiepsko trzymał i potem chodzi człowiek rozczochrany (*śmiech*).

Wie pani, ten problem ma także drugą stronę. Z niektórych środowisk dochodzą głosy, że habit jest ważnym znakiem zewnętrznym, że całkowite odejście od habitu nie zdaje egzaminu, że siostry w spodniach i na kolorowo to już za wiele, że w bardzo świeckich środowiskach sam strój zakonny już rodzi pytania i jest potrzebnym znakiem.

A do Moskwy wyjeżdżała Siostra jeszcze w habicie czy już bez niego?

Dla mnie wybór był od początku jasny: jadę w habicie i w welonie. Tam była już ustawa o wolności religijnej, więc nie widziałam powodu, dla którego miałabym chodzić po świecku.

Na początku traktowano mnie w tym habicie jak zjawisko. Pytano, czy jestem od Matki Teresy. Z czasem, kiedy w zgromadzeniu odeszłyśmy od habitów, ja także zaczęłam w Moskwie chodzić po świecku. Zwłaszcza że pracowałam w państwowej szkole. Pomyślałam: co się będę jakoś sztucznie wydzielać od innych? Kiedy ściągnęłam habit, zaczęłam szczególnie dbać o jednoznaczność mojego zachowania.

Czyli o to, by mimo braku habitu było wiadomo, że ma się do czynienia z zakonnicą?

Tak. Są jeszcze znaki konsekracji. Jest krzyżyk, obrączka, jest bardzo skromny strój.

W zgromadzeniu przez kilka lat była Siostra mistrzynią, czyli osobą odpowiedzialną za formację przyszłych sióstr. Jak z perspektywy czasu patrzy Siostra na własną formację i na tę współczesną?

Myślę, że formacja, którą otrzymałam, była bardzo nastawiona na Pana Boga, „do góry". Natomiast niewątpliwie brakowało formacji intelektualnej, teologicznej. To, co zapamiętałam jako najbardziej pozytywne, to kierownictwo duchowe i atmosfera rozmodlonego domu zakonnego funkcjonującego w sytuacji zagrożenia bytu, w trudnych warunkach materialnych. Moje pierwsze lata w klasztorze wspominam jako bardzo szczęśliwy czas znalezienia się na swoim miejscu. Stopniowo, z upływem lat, zaczęłam dostrzegać pewne braki i kiedy jako trzydziestoparoletnia siostra zostałam mistrzynią nowicjatu, wiedziałam, że nowicjuszkom należy koniecznie dostarczyć formacji intelektualnej.

Co to znaczy? Wysłać na studia?

Jeżeli jest taka potrzeba, to jak najbardziej, ale to już po nowicjacie. A wszystkim umożliwić głębszą znajomość siebie, zapewnić

wykłady z rozmaitych dziedzin, wprowadzających w czytanie Pisma Świętego, znajomość dogmatów, sakramentologii, teologicznych i historycznych podstaw życia zakonnego i oczywiście naszych konstytucji i historii. To, czego nie było w moim nowicjacie, a co później uzupełniałam. Nowicjat prowadziłam w Warszawie, a to umożliwiało dogadywanie się czasem z innymi nowicjatami i uczęszczanie na różne wykłady. Na drugim roku nowicjatu niektóre siostry rozpoczynały studia lub pracę apostolską. Zaczynały kursy lub studia teologiczne, muzyczne – w zależności od potrzeb i indywidualnych uzdolnień. W zgromadzeniu rozpoczął się wówczas posoborowy nurt dużych zaangażowań społecznych i zostawiania dla nich nawet dzieł wychowawczych: praca z migrantami, z kobietami, z opuszczoną młodzieżą. To wymagało specjalnej formacji i było także związane z pewną świeckością naszego zaangażowania w świat współczesny. Odbierałam to wówczas jako pewnego rodzaju zagrożenie dla pierwotnego charyzmatu wychowawczego i że gdzieś w tym wymiarze społecznym możemy zgubić osobistą relację z Bogiem. Chciałam, żeby młode siostry miały „dyszel w głowie", czyli zdrową teologię życia zakonnego, żeby nie dały się zagubić wśród prądów współczesności, żeby miały kryteria oceny i wyboru. Wiedziałam, że nie będę im zawsze towarzyszyć, natomiast one – przez pokoleniowe przyjaźnie – będą mogły się wspierać.

To, o czym Siostra mówi, jest chyba cały czas aktualne. Balansowanie między życiem apostolskim a intymną relacją z Bogiem. Czy jest uniwersalny przepis na to, jak, będąc zakonnicą, wychodzić do świata, ale nie zacząć żyć życiem świeckim?

Myślę, że duże znaczenie ma tutaj dobrze rozumiana rola wspólnoty. Podczas jednej z naszych wcześniejszych kapituł padło takie sformułowanie, że także wspólnota jest miejscem naszej misji. To znaczy, że jesteśmy sobie nawzajem potrzebne w tym, żeby pracować nad sobą, żeby podtrzymywać się w duchu wierności radom ewangelicznym i ślubom, które złożyłyśmy. Myślę, że każda z nas jest odpowiedzialna za siebie, ale i w ograniczonym stopniu za innych. Czyli jeżeli uciekam od wspólnoty, od wspólnych modlitw, wspólnego spędzania czasu, to czegoś nie wypełniam z tego powołania. Nasze zgromadzenie nie jest ściśle kontemplacyjne. Nie ma u nas na przykład obowiązkowego oficjum, czyli godzin brewiarza. W bardzo wielu zgromadzeniach to jest podstawowa struktura. U nas podstawową strukturą jest modlitwa osobista, godzina rano, pół godziny adoracji, raczej taki jezuicki system. To wymaga wielkiej odpowiedzialności i dojrzałości. Siostry, które mają intensywne obowiązki, jak np. pielęgniarka w szpitalu czy siostry, które od wczesnego rana muszą być w szkole, nie zawsze zdążą na brewiarz. Myślę, że kiedy taka pracująca poza klasztorem siostra wraca po całym dniu do domu, to ważniejsze jest, żeby mogła usiąść spokojnie w kaplicy na cichej adoracji, niż żeby zdążyła na wspólną modlitwę. Ale niech w takim razie znajdzie czas w niedzielę, by pobyć ze wspólnotą. Ten wymiar wspólnotowy życia zakonnego i powszechność wezwania do życia radami ewangelicznymi w duchu nauczania Soboru Watykańskiego II mogłam przemyśleć dzięki włączeniu się w działalność Ruchu dla Lepszego Świata (MMM).

Co oznacza ten skrót?

Movimento per il Mondo Migliore, właśnie dla lepszego świata. Ruch założony przez o. R. Lombardiego, mający na celu

wprowadzenie w praktykę duszpasterską założeń i postanowień Soboru. Miałam to szczęście w młodości zakonnej zetknąć się z tym ruchem we Włoszech, a potem przez wiele lat współpracować z promotorami ruchu w Polsce poprzez sesje o obecności Kościoła w świecie, o dialogu na poziomie osób, wspólnot, kultur, o powszechności powołania do świętości na drodze rad ewangelicznych czy o roli życia zakonnego w misji współczesnego Kościoła. Wreszcie o nowym modelu parafii jako wspólnoty wspólnot. Ta działalność w MMM dała mi przygotowanie zarówno do pracy formacyjnej, jak i do dalszej pracy katechetycznej.

Czy jest coś we współczesnej formacji kandydatek, na co powinno się położyć nacisk? Lub coś powinno się zmienić? Jedna z sióstr powiedziała mi: „Zakony wymrą, jeśli nie pójdą z duchem czasu. Wiadomo że Ewangelia jest jedna, ale chodzi o jej przekaz i otwarcie na świat". Kto w takim razie może lub powinien być przyjęty?

Przede wszystkim, są różne etapy formacji. Jest etap postulatu, kiedy po wstępnym rozeznaniu młoda osoba wchodzi do wspólnoty, ma jakąś osobę jej towarzyszącą i przygląda się, jak ta wspólnota żyje danym charyzmatem. W naszym zgromadzeniu taka osoba powinna kontynuować swoją pracę zawodową i być pełnoprawnym członkiem wspólnoty, ale początkowo bez poważnych zobowiązań. Czas formacji kandydatka ma właśnie po to, żeby przyglądać się, jaka jest modlitwa w danej wspólnocie, jaka jest zależność od przełożonych, jakie jest ubóstwo itd. Powinna rozeznawać to wszystko. Pyta pani, kto może być przyjęty. To chyba nie zmieniło się na przestrzeni lat. Ktoś, u kogo widać osobiste wezwanie Jezusa. Kto chce oddać wszystko, tak jak zakochana kobieta oddaje wszystko mężowi, i na odwrót. Ktoś, kto

doświadczył takiego momentu zapatrzenia się w sprawę Bożą, w sprawy Królestwa Bożego i kto ma gotowość służenia Bogu bez warunków.

Jak należy rozumieć to „bez warunków”?

Odpowiem, posługując się konkretnym przykładem. Przychodzą czasem dziewczyny, które mówią: „Pomóż mi zostać siostrą, ale ja chcę jechać jako misjonarka do Syrii”.

Co należy wtedy odpowiedzieć?

Przede wszystkim, należy powiedzieć: poczekaj. Do zgromadzenia nie przychodzi się warunkowo. Albo inny przykład. Kandydatka, która spędziła z nami trochę czasu, stwierdza: „Ten pokój mi nie odpowiada. Może ja bym w innym pokoju zamieszkała?”, „Może swoje łóżko sprowadzę?”, „Ja wprawdzie będę w postulacie, ale muszę często wyjeżdżać, bo mam takie zobowiązania” itp.

Co jest niewłaściwego w takim sposobie myślenia?

Należy sobie uświadomić, że albo stawiamy nogę do przodu, albo do tyłu. Nikt za nas nie podejmie decyzji. A siłę do decyzji daje tylko Bóg. Wybór życia zakonnego to jest cięcie na żywym organizmie. Rezygnuje się dobrowolnie z własnej rodziny, ze swobodnego dysponowania swoim życiem, z własnych pieniędzy. Sprawa wspólnoty jest też bardzo ważna: odtąd to będą już wspólne dokonania, nie tylko moje własne. Trzeba zadać sobie także pytanie: czy wytrzymam napięcia między kobietami? Przecież one też się pojawiają.

Napięcia wszędzie się pojawiają.

To prawda. Ale inaczej rozładowuje się je w małżeństwie, gdzie trzeba dialogu i głębokiego porozumienia, rezygnacji z egoizmu, co dokonuje się na poziomie naturalnej więzi, wzajemnej miłości małżonków i rodzicielskiej służby. Inaczej w zakonie. Ja wychodzę

z założenia, że człowiek się rozwija tylko w darze. Albo jako dar dla Boga albo dar dla najbliższego człowieka.

W czym upatruje Siostra przyczyny kryzysu powołań do zgromadzeń żeńskich? Czy – myśląc o Europie – przyczyny są głównie demograficzne?

Ja bym to sprowadziła raczej do kryzysu rodziny chrześcijańskiej. W dużym uproszczeniu powiedziałabym, że brakuje chrześcijańskich wartości, które byłyby przekazywane następnym pokoleniom. Papież Franciszek wielokrotnie powtarzał: „Rozmawiajcie z dziadkami". O swojej babci powiedział, że była osobą, która jako pierwsza wytłumaczyła mu sens Wielkiego Piątku. To od babci usłyszał pierwszy w swoim życiu kerygmat[22]. Ja mam wrażenie, że dziś jedno pokolenie straciło tę siłę przekazu. A powołanie? Ono przecież nie bierze się z powietrza. Tutaj istotne są pytania: czy matka i ojciec przekazują wiarę? Czy dla nich w ogóle jest ważne, by dziecko bez nacisku chodziło do kościoła? Oczywiście, znam też wspaniałe osoby, które do zgromadzenia miały bardzo pokrętne drogi. Myślę jednak, że tym osobom generalnie trudniej jest zdecydować się na usłyszenie i wypełnienie powołania. Sądzę, że znaczenie w tej kwestii ma także oddzielenie erotyzmu od miłości, którego jesteśmy świadkami. Czyli erotyzm swoją drogą, zabawiajmy się i eksperymentujmy na wszystkie możliwe sposoby i bez odpowiedzialności za swoje czyny, a miłość, uczucia czy się w ogóle rozwiną i w jakim wieku, to jest drugorzędne. W takiej rzeczywistości i po takich doświadczeniach niewątpliwie dużo trudniej jest zdecydować się na czystość i na celibat.

Czy zatem śluby, na których oparte jest życie zakonne, w dalszym ciągu zachowują aktualność? Może człowiek jest

dzisiaj zwyczajnie niezdolny, by temu podołać? Może to po prostu za trudne?

Idąc tym tropem, należałoby od razu powiedzieć, że za trudna jest też wierność małżeńska. I za trudne jest w ogóle jakiekolwiek zaangażowanie na stałe. Dla mnie nie ulega wątpliwości, że te kwestie są ciągle aktualne. Jezus żył takim, a nie innym życiem także w świecie rozpusty i degradacji kultury. Jego Matka również. Jeżeli życie zakonne jest drogą naśladowania Chrystusa, to co my tu mamy wymyślać? Mamy żyć tak jak On, mamy nieść Jego posłanie w świecie współczesnym. Przekładając to na współczesny język, powiedziałabym, że Bóg nie ma dziś innych rąk, oczu, uszu, słów niż te, które my wypowiemy. Jeśli nie wykonujemy gestów lub nie podejmujemy działań w Jego duchu, to nie spełniamy swojej roli. Wtedy zakony nie mają sensu. Tak jak nie mają sensu zakony zbyt bogate czy te nieumiejące czasem podjąć ryzyka. Podczas naszej tegorocznej kapituły kluczowym hasłem było wyjście na obrzeża.

Czyli to, co ciągle podkreśla papież Franciszek.

Właśnie tak.

Czy zdaniem Siostry to wychodzenie na marginesy da się pogodzić z poświęcaniem uwagi tym „wiernym synom Kościoła", którzy zaczynają „obrażać się" na papieża?

A dlaczego oni się obrażają?

Bo nie czują się odbiorcami jego nauczania, bo czują się zaniedbywani. Bo – jak twierdzą – być może za jakiś czas Kościół pozwoli przyjmować Komunię osobom rozwiedzionym, a oni są wierni w swoich związkach od trzydziestu lat. I nie mają za to żadnego „cukierka".

Cukierkiem jest to, że jesteś wierny żonie. To powinna być twoja nagroda. Że po tamtej stronie życia popatrzysz jej w oczy i nie

będziesz się chował po kątach. A to, że papież szuka tego, co zginęło... Jezus też zasiadał do stołu z prostytutkami i celnikami. My nie możemy siedzieć spokojnie na kanapie... Wie pani, ja też sama z siebie nie umiem za bardzo wychodzić do każdego. Dlatego uważam, iż to, że dwadzieścia pięć lat temu wyjechałam do Moskwy i z czasem znalazłam tam tylu przyjaciół, dokonało się jakoś z Bożego natchnienia. Zresztą za sprawą naszej pierwszej misjonarki w Ameryce Północnej, św. Filipiny Duchesne, która na początku XIX wieku pojechała ewangelizować Indian, a stała się świadkiem ich eksterminacji i zamknięcia w rezerwatach. Dla mnie ta moja obecność w Moskwie była i wciąż jest odpowiedzią na to aktualne dziś posłanie do najbardziej potrzebujących.

Wyjechała Siostra na zaproszenie rosyjskich rodzin, które wcześniej gościły w Polsce.

Tak. Prawie sześćdziesiąt osób przeżyło rekolekcje u nas w Pobiedziskach, a później poprosiły, żebyśmy przyjechały do Moskwy. To był impuls, od którego wszystko się zaczęło. Później w zgromadzeniu padło konkretne pytanie, kto wyjedzie, i zgłosiłam się na ochotnika. Przyjmowałam tych ludzi wcześniej i wiedziałam, do kogo jadę. Różnica polegała jednak na tym, że wiedziałam już, iż nie będą to „występy gościnne", lecz wyjazd na stałe. To był bardzo specyficzny historyczny czas. 1991 rok. Mimo wcześniejszej żelaznej kurtyny wieści o losach katolików czy osób wierzących jakoś przeciekały. Czułam, że pewne drzwi się otwierają i pora przez nie przejść.

Przyjechała Siostra w lutym 1991 roku i co dalej?

I był straszny mróz (*śmiech*). Chyba czterdziestostopniowy. Do dziś to pamiętam. Mieszkaliśmy początkowo w wiosce olimpijskiej. Przede mną pojechało kilka osób, żeby poprowadzić rekolekcje rodzinne. Po kilku dniach wszyscy wrócili, a ja zostałam na placu

boju. Sama. Jestem nauczycielką języka polskiego i katechetką z wszelkimi prawami ku temu, więc zostałam posłana do pracy w polskiej szkole funkcjonującej przy polskiej ambasadzie w Moskwie.

Z jakimi wyobrażeniami Siostra wyjeżdżała i z jaką rzeczywistością zostały one skonfrontowane?

Dla mnie to posłanie było jakimś rodzajem wyjścia na obrzeża. Bożym szturchańcem. Czułam, że niemal na skrzydłach tam poleciałam. Przeżywałam czas szczęśliwego uniesienia. Już na samym początku mojego pobytu spotkałam świeżo nawróconych chrześcijan będących pod wielkim wpływem o. Aleksandra Mienia, rosyjskiego księdza prawosławnego, teologa i filozofa. Swoją działalność w Rosji przypłacił śmiercią. Został zamordowany przez nieznanych sprawców uderzeniem topora 9 września 1990 roku. Pierwsze miesiące pracy w Moskwie, oprócz konkretnej pracy w szkole polskiej, były rozpoznawaniem terenu, nawiązywaniem kontaktów i orientowaniem się w specyficznych potrzebach tego miejsca. Moskwa to przeszło dwunastomilionowe miasto. Wszystkie cerkwie były całkowicie zburzone lub zdewastowane, kościoły zamknięte lub nie było ich wcale. I do tego latający „traperzy w sutannach" – księża, którzy docierali tam, gdzie czekali wierni. Kogoś wyspowiadali, ochrzcili, a następnie trafiali za to do więzienia. Później wychodzili i udawali się już gdzie indziej. Wszystko odradzało się na moich oczach i to było niesłychane doświadczenie. Chyba mogę śmiało powiedzieć, że w Moskwie doświadczyłam Kościoła funkcjonującego w katakumbach. Ludzie wiedzieli, jaką cenę mogą zapłacić za Biblię czy jakieś przemycone materiały. Spotkałam wiele osób autentycznie poszukujących, posiadających jakiś szósty zmysł Boga. Ludzi, którzy nigdy nie słyszeli o Biblii, a jednak

nosili w sobie jakąś wrażliwość, która z czasem przyprowadzała ich do tego czy innego kościoła.

Z czasem zaangażowała się Siostra bardzo intensywnie w katechumenat dorosłych. Co to takiego? Jak to wygląda w Polsce i na świecie?

Katechumenat to nic nowego. To jest po prostu proces przyjmowania nowych członków do wspólnoty ludzi ochrzczonych, który w Kościele funkcjonował w pierwszych wiekach. Wypracowano pewien sposób pracy, przedstawiania przyjaciół, którzy chcieliby dowiedzieć się czegoś o zmartwychwstałym Jezusie. Potem były próby, czy można taką osobę do wspólnoty włączyć, bo był czas prześladowań. Później następowało stopniowe wtajemniczanie, głównie w liturgię i Ewangelię. Katechumenat zaczął blednąć i wygasać w czasie konstantyńskiej reformy, kiedy chrześcijaństwo stało się już religią państwową.

Współcześnie katechumenat wprowadzany był początkowo w krajach misyjnych, gdzie wielu ludzi nie było ochrzczonych. Teologowie doszli do wniosku, że sam chrzest nie wystarcza, trzeba ludzi przygotować do świadomego życia wiarą. Sobór Watykański II był powrotem do pierwotnego katechumenatu, do okresu ewangelizacji i głębokiego wprowadzenia w tajemnice Kościoła; tego, w co Kościół wierzy i jak się modli. Trzeba jednak mieć świadomość, że katechumenat nie jest nigdy pełnią życia chrześcijańskiego, lecz jego początkiem. To jest przygotowanie do chrztu, do pierwszej Eucharystii, do bierzmowania.

Katechumenat jest zatem procesem inicjacji w tajemnice chrześcijaństwa według liturgicznego tekstu „RICA-Ritus Inicjacionis Christianae Adultorum", obrządku chrześcijańskiej inicjacji dorosłych. Po Soborze Watykańskim II została powołana

przez Pawła VI specjalna komisja dla wprowadzenia w życie epokowej decyzji o odnowie liturgii i sprawowaniu jej w ojczystych językach zrozumiałych dla uczestników. Ta komisja opracowywała według wskazań Soboru liturgiczne księgi, a także sposób sprawowania sakramentów. W tym chrztu dorosłych. Przede wszystkim misjonarze w Afryce widzieli potrzebę uregulowania warunków integracji nowych członków kościelnej wspólnoty. W okresie postępującej sekularyzacji okazało się, że także do niedawna chrześcijańskie kraje Europy czy Ameryki potrzebują tej drogi duszpasterskiej.

W Polsce niewiele parafii prowadzi prawdziwy katechumenat. O ile wiem, szczególnie zajmuje się tym procesem Zgromadzenie Sióstr Świętej Jadwigi Królowej, zgromadzenie z Krakowa powołane przez bpa Wacława Świerzawskiego w celu przystosowania do polskich potrzeb etapów obrzędu RICA. Także w Warszawie i innych większych miastach są takie ośrodki pod władzą biskupa. Specjalizują się one w bardzo indywidualnej pracy, bo niewielu ludzi w Polsce dochodzi do decyzji przyjęcia chrztu w wieku dojrzałym.

Zdarzają się natomiast, zarówno w Polsce, jak i w innych krajach, osoby, które nie przyjęły w młodości żadnej katechezy lub otrzymały bardzo mizerną. Do nich skierowana jest różnego typu katecheza dorosłych albo tak zwana droga neokatechumenatu, która poprzez stopniową, biblijną formację prowadzi do pogłębienia i ożywienia wiary we wspólnocie.

Co sprawia, że niewierzący człowiek w Moskwie zaczyna zaglądać do kościołów i – nazwijmy to – poszukiwać Boga?

To dzieje się odwrotnie. To zawsze Bóg zaczyna go szukać. Tak jest z całą historią zbawienia. To Bóg szuka człowieka, a nie człowiek wymyśla sobie Pana Boga. Przyznam, że ten fakt bywa dla mnie

najbardziej fascynujący i zdumiewający zarazem. Że Bóg znajduje swoje ścieżki do ludzi, którzy albo nie otrzymali żadnej formacji religijnej, albo bardzo mizerną. Wielokrotnie doświadczyłam tego w Moskwie, że każdy inną drogą dotarł do Boga. Każdy w inny sposób został przez Niego znaleziony. Ktoś przez sztukę, ktoś przez muzykę w naszym katedralnym kościele, ktoś przez przyjaciół. Znam ludzi, którzy, zwiedzając zabytki Pskowa i obserwując freski w jednym z kościołów, doznali kompletnego olśnienia. Zadali sobie już nie tylko pytanie: „Kim byli ludzie, którzy to tworzyli?". Bo takie pytanie zadaje sobie turysta. Lecz poszli dalej i zaczęli pytać: „W co wierzył człowiek, który tak to wyraził?". W co wierzył Fra Angelico na przykład? Są też ludzie, którzy po prostu usłyszeli lub przeczytali ogłoszenie o tym, że we wrześniu rusza nowa grupa przygotowująca się do chrztu lub do przejścia i kto chce, może dołączyć.

Co to znaczy „do przejścia"?

Chodzi o przejście z prawosławia lub protestantyzmu. Kościół katolicki uznaje chrzest w tych kościołach. Chrztu się nie powtarza, ale wyjaśnia się pewne szczegóły życia sakramentami i wiary właściwe katolickiej interpretacji chrześcijaństwa. Bardzo często ludzie wiedzą, że w dzieciństwie zostali ochrzczeni w kościele prawosławnym, bo nie było innego, i chcą wrócić do wiary przodków. Na przykład w rodzinach zesłańców pozostała pamięć, że przynależeli do Kościoła katolickiego. W Rosji od czasów Katarzyny Wielkiej były także grupy niemieckich osiedleńców na Powołżu. Jedni katolicy, drudzy luteranie, zresztą na początku drugiej wojny światowej razem zesłani na roboty w Kazachstanie. W dalekiej Syberii znajdują się do dziś kolonie polskich rodzin, które przybyły tam „za chlebem", a raczej zostały znęcone obietnicą otrzymania ziemi na własność od cara. Proszę mieć

świadomość, że współczesna Rosja to konglomerat ponad dwustu narodowości i wielu wyznań. Do prawosławia przyznaje się sześć procent ludności, a na przykład do islamu dwadzieścia procent.

Czy jakieś obrazy albo historie ludzi dorosłych przygotowujących się do sakramentów zapadły Siostrze szczególnie w pamięć?

Wiele jest takich historii. Wśród moich pierwszych katechumenów w Moskwie było małżeństwo z czwórką dzieci. Bardzo zamożni, niezwykle oczytani, zawsze świetnie przygotowani ludzie, którzy nigdy nie opuszczali żadnych zajęć. Ich dzieci kształciły się w zagranicznych szkołach. Zastanawiałam się momentami, skąd wzięli się na tej katechezie. Podczas jednej z rozmów ten niewierzący i nieochrzczony mężczyzna powiedział mi, że doświadczył kiedyś sytuacji, w której jakiś wewnętrzny nakaz mówił mu, żeby powierzyć życie Bogu. Kiedy poinformował o tym swoją żonę, ta stwierdziła, że chce wraz z nim uczestniczyć w katechezach. Przyjęli oboje chrzest. Planowali nawet, że po chrzcie wezmą uroczysty ślub, tymczasem Kościół wychodzi z założenia, że sam chrzest uświęca ten związek. Tak to funkcjonuje w prawie kanonicznym. Długo pomagali jakiemuś domowi dziecka, ale zorientowali się, że ta pomoc jest jak rzucanie do beczki bez dna. Z czasem zaadoptowali dwóch chłopców, z którymi zaczęli mieć ogromne problemy. Wywiązał się u nich bardzo poważny kryzys. Nie wiadomo, w którą stronę to się ostatecznie rozwinie. Staram się nie dopuszczać do siebie myśli, że ta ich wspaniała wielkoduszność może się zwrócić przeciw nim. Ale ta historia dowodzi także tego, że pytanie o to, jak żyć, pozostaje po chrzcie tak samo, a może nawet jeszcze bardziej aktualne niż wcześniej.

Inna moja katechumenka to świetna kobieta, sportsmenka. Mąż popierał jej decyzję o chrzcie. Mieli jednego syna. Później

zdecydowali się na adopcję chorego dziecka. Za każdym razem widzę postępy, jakie czyni ta dziewczynka.

W kolejnym przypadku mężczyzna został zmuszony do rezygnacji z katechez, bo jego żona nie życzyła sobie tego i zagroziła mu rozwodem. Zupełnie nam zniknął. W tej chwili nie poznaje mnie na ulicy. Wierzę jednak, że Bóg nie zostawi go w jego poszukiwaniach. Tak że widzi pani, co człowiek, to inna historia.

Jaką ma Siostra gwarancję, że na katechezy przychodzą ludzie, którzy rzeczywiście chcą się ochrzcić?

Żadnej. Zwykle do chrztu dociera dwie trzecie grupy w optymistycznym scenariuszu lub połowa. Są progi, przez które ludzie czasem nie są w stanie przejść. Wspomniałam wcześniej o znaczeniu sytuacji rodzinnej. Czasem drugi małżonek się nie zgadza. Ale czasem toleruje taką decyzję. Gwarancji nie ma żadnej. Ci ludzie przychodzą dobrowolnie. Mogą przyjść, ale nie muszą. Są wolni. Już sam fakt, że przychodzą, traktuję niczym cud boski. Zawsze, zanim przyjmę kogoś do grupy, staram się o kilka spotkań indywidualnych, o rozmowy osobiste. W trakcie tych rozmów niejednokrotnie okazuje się, że wielu z nich musiałoby uporządkować swoje życie przed ostateczną decyzją, na przykład chodzi o kwestie związków niesakramentalnych. Jednak nie zaczyna się od tego problemu. Pan Bóg działa w czasie, a wiara i zawierzenie Bogu nie oznacza zawsze pełnej decyzji o przemianie życia, tym bardziej że w związek zaangażowana jest druga osoba, która może nie przeszła procesu nawrócenia. Duszpasterze traktują każdą parę bardzo indywidualnie.

Czyli osobę żyjącą w związku niesakramentalnym może Siostra przygotować do chrztu?

Mogę ją przygotować do chrztu, ale ta osoba powinna wykazać zdecydowane kroki zmierzające do uporządkowania życia, na przykład gotowość cywilnej rejestracji związku. To często nie jest proste, bo w grę wchodzi druga połowa małżeństwa.

Jak postrzega Siostra funkcjonowanie małżeństw czy związków, w których jedna strona jest niewierząca?

Wie pani, myślę, że nie ma w ogóle łatwych małżeństw. Natomiast jest na to wielka szansa. Parafrazując tytuł książki Zbigniewa Nosowskiego, powiedziałabym: „Do nieba idzie się parami" – począwszy od Dąbrówki i Mieszka czy Jadwigi i Jagiełły. Z przykładami historycznymi oczywiście można by dyskutować. Wymagałyby one zbyt gruntownego udokumentowania, by je tutaj roztrząsać. Ale wracając do bliższej nam rzeczywistości: nie na darmo Kościół beatyfikował małżeństwo Zelii i Ludwika Martin, rodziców św. Teresy od Dzieciątka Jezus, czy małżeństwo Luigiego i Marii Beltrame Quattrocchich. Temat zbyt rozlegly, by go tutaj omawiać. Dowodem na atrakcyjność takiej wspólnej drogi są współczesne ruchy duchowości małżeńskiej, jak: Kana, spotkania małżeńskie (w Polsce państwo Irena i Jerzy Grzybowscy) czy domowy kościół. Generalnie musimy sobie jednak uświadomić, że wiara jest łaską. Nie każdy wyciąga po nią rękę. Nie każdy ma zawsze możliwość, żeby wyciągnąć rękę po ten dar. Czasem wiara przychodzi w ostatniej chwili.

A czy kiedykolwiek zdarzyło się Siostrze wyrzucić kogoś z grupy?

Owszem, zdarzyło mi się, kiedy miałam poczucie, że ktoś przyszedł wyłącznie po to, żeby – mówiąc kolokwialnie – rozwalić mi spotkanie. Pamiętam zwłaszcza jedną taką sytuację. Realizuję temat, mam ważne kwestie do omówienia. Wszyscy uczestnicy

wiedzą, że mogą stawiać dodatkowe pytania. Ale jeden z uczestników kursu wszystko wie lepiej (na podstawie „sałatki wiadomości" czerpanych z internetu) i kontruje każdą moją wypowiedź. Raz czy drugi wchodzę z nim w polemikę, ale temat już dawno poleciał. Grupa przysłuchuje się temu wszystkiemu i nie bardzo wie, co ma myśleć. Zwyczajowo w takich przypadkach proponuję indywidualną katechezę. Mówię: skoro jest tyle pytań, to przyjdź, wyznaczymy inny moment i rozwikłamy twoje wątpliwości. Wtedy ten uczestnik natarczywie zaczął się domagać odpowiedzi na pytanie, czym właściwie jest to Królestwo Boże. Wyraźnie chodziło mu o to, żeby dyskusja skręciła na tematy polityczne.

Czyli pewien rodzaj prowokacji. Czy liczy się Siostra z tym, że na takie katechezy może przyjść ktoś tylko po to, by „wywęszyć", o czym się mówi?

Ależ oczywiście, że takie osoby także się pojawiają. Tylko to jest bardzo delikatna kwestia. Po pierwsze, niezwykle trudno jest rzetelnie osądzić czyjąś motywację. Po drugie, myślę sobie, że czyjaś „misja" do spełnienia to może być jedno, a sam przebieg tego procesu jest już czymś zupełnie innym. Uczestnictwo w takich katechezach wymaga jednak determinacji. Proszę sobie wyobrazić, że to jest ponadroczny proces, kiedy człowiek chodzi na spotkania, słucha Ewangelii, przychodzi na liturgię, trochę merytorycznej wiedzy także musi sobie przyswoić, a nawet nauczyć się na pamięć podstawowych modlitw. Liczę na to, że coś – nawet mimowolnie – może w nim pozostać.

Dlaczego to przygotowanie tyle trwa?

Dlatego, że potrzebny jest długi proces, żeby człowiek uświadomił sobie, po co chce się ochrzcić i wejść do Kościoła. Chodzi o to, by nie budować wiedzy bez osobistego spotkania z Ewangelią.

Potrzebne są wyklarowane intencje, a do nich często nie dochodzi się od razu.

Wie pani, czasem na katechezy przychodzą osoby wywodzące się z krajów islamskich. One w swoich muzułmańskich rodzinach nie mają żadnego oparcia w tych decyzjach. Wprost przeciwnie, to może być związane z ryzykiem zagrożenia życia. Ostatnio miałam kilka takich katechumenek. Kobiety odnoszące sukcesy w biznesie. Dlaczego chcą być ochrzczone? Jak wiele to zmieni w ich życiu?

Innymi słowy, można by zapytać, do czego Kościół jest im potrzebny?

Rzeczywiście, to pytanie jest uzasadnione. I tutaj powracamy do zasadniczej kwestii, jak definiujemy ten Kościół. Jeżeli przyjmujemy, że Kościół to jest Lud Boży, to o nikim nie możemy powiedzieć, że jest z niego wykluczony. Kościół ma pewne formalne środki, sakramenty, którymi dysponuje, aby rozdzielać łaskę Bożą, ale Bóg jest zawsze ponad tym. Jest wyższy niż wszelkie zewnętrzne znaki. Ma swoje ścieżki i swoje sposoby na każdego z nas.

Jest Siostra świadkiem przemian najnowszej historii Rosji. Co z tego dwudziestopięcioletniego okresu najbardziej zapadło Siostrze w pamięć?

Stopniowe odradzanie się Kościoła. Odnawianie jego struktur pod kierownictwem nowo mianowanych biskupów, arcybiskupa Tadeusza Kondrusiewicza, biskupa Józefa Wertha. Tworzenie komisji katechetycznej dla całej Rosji (biskup Jerzy Mazur, obecnie biskup Cyryl Klimowicz), rozwijanie pracy z młodzieżą (biskup Klemens Pikiel). Współpraca z ludźmi w różnych rejonach. Do dziś pamiętam wielki entuzjazm ludzi, którzy tam przyjechali: Włochów, Francuzów, Niemców i oczywiście Polaków. Nie było

niczego. Rozpoczynaliśmy wielką pracę nad tłumaczeniami książek i podstawowych materiałów do pracy katechetycznej.

Jak państwo podchodziło do takiej działalności?

Przy Jelcynie doświadczyliśmy dużo wolności i wielkiego bałaganu prawnego. Było mnóstwo trudności w przebijaniu się przez biurokrację, ale ostatecznie wiele można było załatwić. Później szło już jak po grudzie, coraz trudniej. Niestety, kilkunastu znajomych kapłanów straciło życie w służbie Ludowi Bożemu. Obecnie wchodzi w życie dekret, który został zatwierdzony przez Dumę i prezydenta, o zakazie prowadzenia działalności misjonarskiej poza terenem danego kościoła.

Czy podczas tych dwudziestu pięciu lat spędzonych w Moskwie zdarzyło się kiedykolwiek, że weszła Siostra w konflikt z władzą?

(*Śmiech*) Oj, zdarzyło się. Podpadłam wyraźnie podczas zdobywania budynku kościoła, bo oblałam wodą przybyłych na miejsce milicjantów. Można sobie obejrzeć film w internecie lub o tym poczytać. Generalnie chodziło o to, że budynek kościoła Niepokalanego Poczęcia NMP miał zostać zwrócony wiernym. Papiery na oddanie kościoła były już gotowe, była też formalna obietnica władz złożona na piśmie, chodziło więc tylko o egzekucję wyroku. Chodziliśmy wokół kościoła i protestowaliśmy, wołając: „Oddajcie nam kościół!". Spotykaliśmy się jednak ciągle z wykrętami. W końcu 8 marca 1995 roku parafianie stracili cierpliwość. Doszło do konfliktu z organizacjami zajmującymi ciągle jeszcze pomieszczenia kościoła. Pamiętam, że chłopcy z seminarium zaczęli rozwalać mur oddzielający wydzieloną nam kapliczkę od reszty budynku. Ksiądz po jakimś nabożeństwie wziął statuę Matki Bożej i ruszył do przodu przez ten otwór. Proszę to sobie wyobrazić: tu rozwalające się ściany, tu seminarzyści, tu

parafianie, tu siostry zakonne, wszyscy trzymający się za ręce, i nagle ktoś wezwał OMON (oddziały specjalne milicji). Przybyli na miejsce milicjanci okazali się pijani, bo przecież był 8 marca, dla nich największe święto świata. Zaczęli szarpać zgromadzonych ludzi. Ja, niewiele myśląc, złapałam wiadro z wodą, bo tam się bardzo kurzyło od rozwalanych ścian, i chlusnęłam na tych szarpiących, pijanych milicjantów. W końcu to tylko trochę mętnej wody, nic więcej. Różni ludzie ucierpieli w tym starciu, ja także. Jeden z księży, który mówił w pięciu językach europejskich, nadawał przez radio, co się działo. Zrobił się huk na cały świat. Pamiętam, że mój bratanek w Londynie dowiedział się o całym zajściu z telewizji japońskiej.

Czy kościół został ostatecznie zwrócony wiernym?

Oczywiście.

Czyli było warto?

Nie mam co do tego wątpliwości.

Do czego, oprócz – jak słyszę – walki o kościoły, można zdaniem Siostry sprowadzić specyfikę pracy katolickiej zakonnicy w Moskwie?

Wie pani, wyjaśnię to na podstawie spotkania, które miałam trzy dni temu na lotnisku w Warszawie. Spotkałam znajomego misjonarza, który pracował w Orsku na Uralu, a od dwóch lat jest w Kemerowie na Syberii. Powiedział mi, że to zupełnie inny rodzaj pracy niż w wielkich europejskich aglomeracjach. Sekularyzacja nie jest jeszcze tak posunięta i nie trzeba wszystkiego zaczynać od zera. Rodziny rozproszone po rozległych terenach Syberii przekazały tradycję wiary, najczęściej za pomocą modlitwy różańcowej. Moskwa z kolei jest miastem skupiającym aparat państwowy od kilkudziesięciu lat. Często dla utrzymania się na stanowisku

ludzie niszczyli rodzinne dokumenty, wyrzekali się swej tożsamości.

W tym upatrywałabym chyba specyfiki pracy w Moskwie. Osoby, które trafiają do mnie na katechezę, reprezentują zazwyczaj pierwsze pokolenie wyzwolone od strachu. Moskwa jeszcze nie tak dawno kojarzona była ze strachem i z terrorem. To także politycznie specyficzne miasto. Moskwa to niejednokrotnie praca o wymiarze intelektualnym, bo jak wspomniałam wcześniej, ludzie często trafiają do kościoła poprzez literaturę, muzykę czy malarstwo. To zupełnie inny charakter pracy niż gdzieś na Syberii.

Czy jakieś wydarzenia w swoim życiu uznałaby Siostra za przełomowe?

To pytanie jest trochę jak do Teresy Wielkiej (*śmiech*). Chyba wskazałabym na dwa takie wydarzenia czy przedziały czasowe. Pierwszy z nich to czas, kiedy byłam mistrzynią nowicjatu. O ojcu Bergoglio mówi się, że kiedy był przełożonym kleryków, to wszyscy musieli zjawiać się na jego dzwonek. Ja wychodziłam trochę z podobnego założenia. Starałam się, w pozytywnym znaczeniu tego słowa, wymagać od młodych, nie zwalniać ich z byle powodu, ale przede wszystkim wymagać od siebie, bo nie można dać komuś tego, czego się nie przeżyło, czego się samemu nie spełnia. To był dla mnie niewątpliwie ważny rozdział. A drugim była oczywiście Moskwa. Dostałam zupełnie nową działkę i musiałam zacząć od nowa. To było dla mnie niesłychane doświadczenie wolności i odpowiedzialności za wszystko, co tam robiłam.

Jest Siostra pięćdziesiąt lat w zakonie, z czego dwadzieścia pięć przepracowała w Moskwie. Czy ma Siostra poczucie jakiegoś niespełnienia? Czy jest coś, co jeszcze chciałaby Siostra zrobić lub przeżyć?

Przede wszystkim mam poczucie, że na ile umiałam, na tyle starałam się realizować to wszystko, co stało przede mną. Przeżyłam na przestrzeni lat mnóstwo najróżniejszych spotkań z ludźmi poszukującymi Boga. Owszem, mam dziś poczucie pewnego niespełnienia. Pewnie dlatego, że ja chyba jestem raczej od zaczynania, a nie od kończenia. A teraz czeka mnie trudna rzecz do skończenia, czyli zamknięcie pewną klamrą tego mojego moskiewskiego okresu, likwidacja mieszkania tej wspólnoty Najświętszego Serca Pana Jezusa, która w różnym składzie przez te dwadzieścia pięć lat pracowała tam dla Kościoła. Czuję, że to, co było w Moskwie do zrobienia, zostało zrobione. Ale byłabym gotowa jechać dalej: czy to Syberia, czy to Kazachstan, czy to Chiny. Dziś w świecie jest gorąco, a my jesteśmy posłane, by iść do najbardziej potrzebujących. Dla mnie te krańce, gdzie powinnyśmy być, były dotychczas w Moskwie. Ale chętnie pójdę jeszcze dalej.



Adagio – powoli

Siostra Michaela Rak ze Zgromadzenia Sióstr Jezusa Miłosiernego – polska zakonnica, która otworzyła pierwsze na Litwie hospicjum. Laureatka wielu nagród, między innymi tytułu Polak Roku 2014 oraz Samarytanin Roku 2015. Wyróżniana przez prezydentów Polski i Litwy. Przez samorządowców wileńskich określana mianem „anioła miłosierdzia nad Wilnem".

Urodziła się pod Szczecinem. Wstąpiła do zakonu, mając 21 lat. Na krótko przed tą decyzją zerwała zaręczyny. Będąc siostrą zakonną, ukończyła teologię i prawo na Uniwersytecie im.

S. Wyszyńskiego w Warszawie. Przez 14 lat kierowała Hospicjum św. Kamila w Gorzowie Wielkopolskim. Od 2008 roku prowadzi Hospicjum im. bł. ks. Michała Sopoćki w Wilnie.

Spotykamy się w Wilnie późnym wieczorem. Siostra Michaela zgadza się na rozmowę, mimo że zaledwie dzień wcześniej wróciła ze Stanów, gdzie – jak mówi – „tańczyła za pieniądze". Szybko staje się dla mnie jasne, co mieli na myśli polscy i litewscy dziennikarze, piszący o charyzmie wyjątkowej kobiety i zakonnicy, która od lat zjednuje ludzi dla wspólnej sprawy, nie pytając ich o narodowość, wyznanie czy światopogląd. Podczas kilkugodzinnej rozmowy, zarówno przy włączonym, jak i wyłączonym dyktafonie, kilkakrotnie z ust siostry Michaeli padają zdania, które wydają się kluczem do jej działalności: „Zawsze mówię, że wierzę w Boga i wierzę w ludzi. Ufam Bogu i ufam ludziom". Zapytana o to, co postrzega jako swoje najważniejsze zadanie, odpowiada lapidarnie: „Mam nie zawieść ludzi, którzy stają na mojej drodze".

Jest Siostra założycielką i dyrektorką jedynego jak dotąd hospicjum na Litwie – Hospicjum bł. ks. Michała Sopoćki. Jakie okoliczności przywiodły Siostrę do Wilna?

Od ponad trzydziestu lat jestem siostrą w Zgromadzeniu Sióstr Jezusa Miłosiernego. Najpierw były lata formacji, potem studiów

na dwóch kierunkach: prawa i teologii. W tym czasie pracowałam w rozmaitych miejscach. W latach dziewięćdziesiątych zostałam przez władze zakonne skierowana do posługi wśród chorych w Hospicjum św. Kamila w Gorzowie Wielkopolskim. W moim zgromadzeniu piękne jest to, że przełożeni liczą się z tym, jakie kto ma predyspozycje i pragnienia. Rozważają, z czym dana siostra będzie sobie umiała poradzić, i po rozmowach szukają tej drogi powołania, na której człowiek może się realizować.

Pamiętam moment, kiedy matka generalna powiedziała do mnie: „Słuchaj, siostro Michaelo, w Gorzowie powstaje hospicjum. Potrzebują kogoś, kto umiałby ogarnąć także kwestie prawne. Dasz radę?". Odpowiedziałam, że jak najbardziej. Człowiek chory był mi zawsze niezwykle bliski. Więc najpierw posługiwałam w Hospicjum św. Kamila w Gorzowie, a czternaście lat później ta sama matka generalna skonfrontowała mnie ponownie z pytaniem dotyczącym Wilna: „Dasz radę?".

Wilno jest dla mnie miastem absolutnie szczególnym. To w Wilnie w okresie drugiej wojny światowej ks. Michał Sopoćko założył nasze zgromadzenie, ale nigdy nie miałyśmy tu domu zakonnego. Wróciłyśmy do Wilna w 2001 roku, to była decyzja naszej kapituły generalnej. Kardynał Audrys Juozas Bačkis, ówczesny metropolita wileński, także wyraził zgodę na to, by w Wilnie powstał nasz dom zakonny. Najpierw wynajmowałyśmy mieszkanie jak studentki. Po kilku latach litewskie władze państwowe oddały diecezji wileńskiej dawne budynki, które należały wcześniej do instytucji kościelnych. W ten sposób przydzielono nam budynek na hospicjum oraz osobny na dom zakonny. Dwa budynki z XVII wieku w stanie dewastacji. W okresie Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej budynek hospicjum służył jako więzienie. Otrzymałyśmy więc

pustostan, który mogłyśmy wyremontować. Podczas zapoznawania się z topografią okazało się, że w budynku przeznaczonym na nasz klasztor przed wojną mieszkał bł. ks. Michał Sopoćko. Właśnie tu na ulicy Rossa 4. Tutaj też przychodziła św. s. Faustyna Kowalska i tu – przy jej obecności został namalowany znany na całym świecie obraz Jezusa Miłosiernego, który obecnie jest w Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Wilnie. Ta wiadomość to było dla nas coś niebywałego. Jak olśnienie, jak znak. Same sobie tego nie wybrałyśmy. Chyba nawet ks. kardynał, przekazując nam te budynki, nie wiedział, że w ten sposób wróciłyśmy do korzeni zgromadzenia.

Wilno było więc pytaniem moich przełożonych. Długo zwlekałam z odpowiedzią. Żartowałam, że poza Gorzowem nie ma dla mnie życia. Ja naprawdę kochałam gorzowskie hospicjum. Przyszedł rok 2008, rok beatyfikacji ks. Michała Sopoćki, i powiedziałam mojej przełożonej generalnej: „Ksiądz Sopoćko był zawsze na tak, więc ja nie mogę powiedzieć nie". Wiedziałam, że idę na placówkę będącą w ruinie, zarówno tej duchowej po okresie komunistycznym, jak i materialnej. Nie miałam pieniędzy, ale wiedziałam, że wyjeżdżam do Wilna, żeby stworzyć tam hospicjum.

Dzień przed wyjazdem z Gorzowa poszłam na cmentarz. Chodziłam wśród nagrobków moich pacjentów z hospicjum. Wychodziłam z cmentarza, ukradkiem ocierając łzy, żeby nikt nie widział zapłakanej zakonnicy. To były łzy pożegnalne, bo nocnym pociągiem wyjeżdżałam do Wilna. Po drugiej stronie ulicy pomachała do mnie kwiaciarka i zawołała: „Chcę siostrze coś dać na hospicjum". Odpowiedziałam, że mnie już z hospicjum nic nie łączy, bo dziś wyjeżdżam do Wilna. Na co usłyszałam: „Wiem.

W telewizji o tym mówili. Chcę siostrze coś dać na hospicjum w Wilnie". Wysypała mi na rękę zawartość puszki. To były trzy złote za sprzedane przez nią bukieciki stokrotek. Powiedziała: „Nie mam więcej". Ucałowałam tę kobietę, a te trzy złote przywiozłam do Wilna. Położyłam je przy tabernakulum i powiedziałam: „Jezu, jesteś Ty – mamy trzy złote i zrobimy hospicjum". To był mój kapitał początkowy. Skromny, biorąc pod uwagę, że sam remont pochłonął prawie cztery miliony złotych.

Jak wyglądały początki? Co było do ogarnięcia?

To wszystko było nie do ogarnięcia. W sali, gdzie teraz rozmawiamy, akurat bezdomni palili sobie ognisko i ogrzewali się. Nie było okien ani ścian. Stropy się zawalały. Panowało straszliwe zanieczyszczenie. Remont trwał od 2009 do 2012 roku. Potem zaczął się etap uzyskiwania wszelkich pozwoleń, a w styczniu 2013 mogliśmy przyjąć pierwszych pacjentów.

Każda budowa i remont to wydarzenia w życiu, które narażają człowieka na ogromny stres. Jak to było w Siostry przypadku? Czy w czasie remontu zdarzały się momenty kryzysowe?

Oczywiście, że tak. Bardzo przeżyłam jedną sytuację. Był 2010 rok, trwał remont. Liczyłam mocno na dofinansowanie, którego nie otrzymałam. Ekipa budowlana się napracowała – wymagała zapłaty, powstały już koszty związane z kolejnymi etapami. Miałam olbrzymie zadłużenie i przede mną roztaczała się czarna otchłań. Nie widziałam, jak z niej wybrnąć. Napisałam nawet rezygnację do mojej przełożonej generalnej: była Litwa bez hospicjum i będzie dalej bez hospicjum. Nie daję rady i proszę o powrót do Polski – mniej więcej tak to brzmiało. Płakałam nad tą rezygnacją.

Pewnego dnia przyjechali z Gorzowa moi przyjaciele. Małżeństwo z chorą córką, która mając pięć lat, uległa poważnemu

porażeniu prądem. Wiele miesięcy trwała walka o uratowanie życia. Ostatecznie się udało, choć pozostały pewne braki w rozwoju fizycznym, psychicznym i emocjonalnym. Ta dziewczynka wiele w życiu przeszła, musiała na nowo uczyć się chodzić i mówić, dziś jest niepełnosprawną dorosłą kobietą. Przyjechali tu do mnie i tak jak w towarzystwie bliskich osób opowiadałam o problemach z remontem, o tym, z czym sobie nie radzę. W pewnym momencie zaczęłam płakać, użalając się nad sobą. Powiedziałam, że nie wiem, co robić. Ta dziewczyna położyła mi wtedy rękę na ramieniu i zapytała: „Ciociu, ty jesteś z tego zakonu, co mówi: Jezu, ufam tobie?". Ja, jak zawodowa zakonnica, odpowiedziałam jej: „Tak". To było na zasadzie: daj mi dziecko spokój. Mój ból jest silniejszy niż twoje pobożności. Ona ścisnęła mi jeszcze raz rękę i zapytała: „Ciociu, a ile razy dziennie to mówisz?". Spojrzałam jej w oczy i powiedziałam: „Nie wiem, ile razy". Na co ona: „Ciociu, to ty uwierz w to, co mówisz, i dasz radę". Wtedy we mnie coś się zmieniło. Nie umiem tego wyrazić w słowach. Uświadomiłam sobie, że tak naprawdę nie ufam, choć mówię, że ufam. Że jest we mnie przestrzeń niewiary. Wtedy już na dobre rozbeczałam się jak dziecko. Wieczorem podarłam moją kartkę z rezygnacją, a następnego dnia poszłam dalej w bój.

Tak powstało hospicjum. Jak powiedziałam, sam remont pochłonął prawie cztery miliony. Później doszło do tego wyposażenie, zatrudnienie personelu. To jest profesjonalna placówka medyczna ze wszystkimi licencjami, pozwoleniami i standardami. W tej chwili mam czterdziestu pracowników: lekarze, pielęgniarki, rehabilitanci, psycholodzy, kierowcy, administracja, kuchnia i ponad stu wolontariuszy. Miesięczne koszty to około trzydziestu tysięcy euro, a z kontraktów z kasy chorych dostaję dziesięć tysięcy. W każdym miesiącu mam więc

minus dwadzieścia tysięcy euro. Nie mam nigdy pewności, że skądś dostanę pieniądze. Stąd to moje ciągłe żebranie i poszukiwanie. Dziś szukam na następny miesiąc, angażuję się w różne akcje i przedsięwzięcia. Nie mogę też powiedzieć, że najtrudniejsze już za mną. Wielokrotnie przychodziła bowiem sytuacja, że nie wiedziałam, co dalej. Wtedy przypominam sobie te słowa: „Uwierz w to, co mówisz, i dasz radę".

Kiedyś dziennikarka zapytała mnie, jak wytrzymuję napięcie w tej pracy, jak sobie radzę z odejściami chorych i czy nie mam ochoty uciec. To pytanie padło, gdy akurat przechodziłyśmy korytarzem w hospicjum. Jeden z pacjentów, który nie jest w stanie mówić, właśnie wyciągał rękę w moją stronę. Powiedziałam dziennikarce, że zaraz odpowiem na to pytanie. Wzięłam tego mężczyznę za rękę, chwilę ją potrzymałam, popatrzeliśmy sobie w oczy, mówiąc bez słów, że jesteśmy razem i damy radę. On pogładził mnie po policzku, a ja jego. Wróciłam i powiedziałam: takiej wyciągniętej ręki nie zostawia się samotnie. Nie przechodzi się obok niej obojętnie i nie udaje się, że się jej nie widzi. Po prostu nie umiem inaczej. Kiedy przychodzi moment użalania się nad sobą, jak wtedy przy pisaniu tej rezygnacji, to ta wyciągnięta dłoń dodaje sił. Dziennikarka odpowiedziała, że już ten gest wiele jej powiedział.

Powiedziała Siostra, że uprawia ciągłe żebractwo. Czy kiedykolwiek miała Siostra opory, żeby wychodzić do ludzi i zbierać pieniądze? Czy był moment, że trzeba było w sobie coś przełamać?

Nie mam w sobie lęku związanego z wychodzeniem do ludzi. To jest zapewne uwarunkowane tym, co wyniosłam z dzieciństwa. Jestem najmłodszym z ośmiorga dzieci. Moi rodzice już nie żyją. Poznali się podczas wojny i w warunkach wojennych wzięli ślub.

Moja mama była więźniarką obozu koncentracyjnego na Majdanku. Trafiła na Majdanek za to, że w okresie wojennym była bardzo mocno zaangażowana w pomoc Żydom. Przy jakiejś próbie przerzutu leków i żywności została aresztowana i trafiła do obozu. Dzięki Bogu przeżyła. Na Majdanku urodziła moją najstarszą siostrę. Kiedy obóz był wyzwalany, nie była w stanie utrzymać się na nogach. Wynoszono ją na noszach. Ważyła trzydzieści kilka kilogramów, a przy piersi trzymała niemowlę, dla którego nie miała pokarmu. Mówiła, że karmiła własną krwią. Przez długi czas w domu wojna była tematem bardzo bolesnym. Pamiętam mamę wychodzącą z pokoju, kiedy w telewizji pojawiały się programy na ten temat. Kiedy byłam już nastoletnią dziewczyną, zapytałam mamę, dlaczego angażowała się w pomoc Żydom, skoro wiedziała, że za to grozi więzienie i śmierć. Usłyszałam wtedy zdanie, którego nigdy nie zapomnę: „Dziecko, kiedy człowiek jest w potrzebie, nie wolno się bać". Tę krótką odpowiedź niosę przez życie. Pewnie dlatego nie mam oporów, by żebrać. Kiedy człowiek jest w potrzebie, wiem, że nie wolno mi powiedzieć: jestem zmęczona, wstydzę się czy nie mam siły.

Wczoraj wróciła Siostra ze Stanów. Co tam Siostra robiła?

Byłam na balu charytatywnym zorganizowanym wśród Polonii amerykańskiej na rzecz naszego hospicjum. To cykliczne wydarzenie. W tym roku zostałam zaproszona po raz trzeci. To bal charytatywny połączony z rozmaitymi licytacjami i loterią fantową. Oprócz tego uczestniczyłam w licznych spotkaniach w polskich i amerykańskich parafiach w stanie New Jersey i w Nowym Jorku.

Dzieliłam się tam doświadczeniem życia i jego prawdziwych wartości, na które przekierowują nas nasi chorzy. Dzieliłam się świadectwem naszej działalności w hospicjum oraz – nie boję się

używać tego słowa – uprawiałam wspomniane żebractwo. Stałam pod kościołami i żebrałam dla moich chorych. I bal, i spotkania w parafiach sprawiły, że znów przywiozłam nadzieję dla naszych pacjentów. Może będzie trochę łatwiej utrzymać hospicjum. Ale przede wszystkim to było dla mnie po raz kolejny niesamowite doświadczenie. Dzieli nas ocean. Ludzie słyszą o kimś, kogo nie widzą, a są wrażliwi. Doświadczyłam ogromnej otwartości, za którą jestem niezwykle wdzięczna. Śmiałam się, że tańczyłam za pieniądze (*śmiech*). Podczas tego balu charytatywnego szczególnie zapadł mi w pamięć chłopiec, może czteroletni, który podszedł w pewnym momencie do mikrofonu, rozłożył szeroko ręce i oświadczył: „Chcę coś powiedzieć". Kiedy dostał mikrofon, z radością i entuzjazmem wykrzyczał do niego: „No co tak patrzycie? Kupujcie, kupujcie – to dla chorych dzieci!". Na sali rozległy się oklaski i ogromny aplauz dla tego malca. Pomyślałam sobie wtedy, że to taki wyraz solidarności dziecka z chorymi dziećmi.

Słyszałam, że chce Siostra rozpocząć budowę działu hospicjum dziecięcego. Skąd taki pomysł?

Przede wszystkim, to nie był mój pomysł. Po prostu któregoś dnia przyszli do mnie lekarze ze szpitala w Wilnie i podzielili się problemem. Opowiedzieli o chorych dzieciach na Litwie, których rodzice boją się je brać do domu z obawy, że pojawią się komplikacje i nie będą w stanie sobie z nimi poradzić. Onkologia dziecięca jest tylko w Wilnie i w Kownie. To zaledwie dwa miejsca na całą Litwę. Rodzice wynajmują mieszkania, żeby być przy swoich dzieciach w szpitalu, a szpitale mają zajęte łóżka i nie mogą przyjąć na oddział kolejnych małych pacjentów. Wysłuchałam tych lekarzy, powiedziałam, że nie mam pieniędzy na naszą codzienną posługę, a cóż dopiero na rozbudowę. Ale mimo to

dzieci nie mogą zostać bez pomocy. Powiedziałam: dobrze. My jako hospicjum mieliśmy już pod opieką dzieci, ale w moim przekonaniu i wszystkich środowisk będących przy chorych dzieciach dziecko powinno mieć własny oddział, nie powinno leżeć z dorosłymi.

Po jakimś czasie pojawiły się w hospicjum przedstawicielki organizacji litewskiej „Targi mam" i powiedziały, że chciałyby część utargu ze swojej sprzedaży przekazać na hospicjum dla dzieci. Spojrzałam na nie zdziwiona i zapytałam: „To panie coś słyszały o planach budowy hospicjum dla dzieci?". Na co one odpowiedziały: „Nie, ale pomyślałyśmy, że skoro tu jest hospicjum, to dzieci też macie pod opieką". „Targi mam" odbyły się wiosną, niedawno była edycja jesienna. Znów pojawiły się mamy z informacją, że pod koniec roku chciałyby przelać pieniądze na rozbudowę działu dziecięcego.

I ostatnie zdarzenie. Był okres ramadanu w islamie, wspólnota tatarska w Wilnie zaprosiła mnie na obchody. Byłam w meczecie na uroczystej modlitwie. Później odbywała się kolacja. Podczas wspólnego posiłku przywódca wspólnoty Tatarów przy wszystkich zgromadzonych podziękował mi za pracę w hospicjum. Wielu Tatarów umarło w naszym domu. Także jedna z naszych pielęgniarek jest Tatarką i wyznawczynią islamu. Pod koniec tej kolacji podszedł do mnie chory pięcioletni chłopiec, powiedział: „Mam raka, pomożesz mi?". Nie pozostawił mi wyboru. Odpowiedziałam: „Pomogę". I to jest odpowiedź na pani pytanie. Dlatego powstanie hospicjum dziecięce. Chore dzieci nie mogą pozostać bez pomocy.

Wiem, że w związku z rozbudową działu hospicjum dziecięcego są plany pewnego filmu. Czy mogłaby Siostra powiedzieć o tym coś więcej?

Wszystko zaczęło się od tego, że będąc w Warszawie, poszłam z koleżanką, która jest lekarzem pracującym w hospicjum, na film *Moje córki krowy* pani Kingi Dębskiej. Po wyjściu z kina powiedziałam: „Jak ja bym chciała, żeby powstał taki film w oparciu o doświadczenia naszych chorych z hospicjum i ich rodzin". Film, który budowałby jedność, który byłby zachętą do pokonywania ludzkiej słabości, przeciwności losu, uczył ważności życia – jego wartości i dawania poczucia bliskości osób. Od razu jednak pomyślałam, że to kosmos, nierealne marzenie, żeby ktoś taki film zrealizował. Trzeba by mieć pieniądze i całe zaplecze.

Minęło wiele miesięcy. Jechałam samochodem w Wilnie. Włączyłam polskojęzyczne radio i usłyszałam, że gościem w studiu jest pani Kinga Dębska, reżyserka wraz z ekipą aktorską. Zamurowało mnie. Wysłuchałam wywiadu i zadzwoniłam do redakcji. Powiedziałam: „Nie wiem, kochani, jak to zrobicie, ale bardzo mi zależy na kontakcie z panią Kingą Dębską". Na szczęście w redakcji wiedziano, kim jestem i znano misję hospicjum. Po jakimś czasie pani Kinga sama skontaktowała się ze mną. Zaprosiłam ją wraz z całą ekipą do naszego hospicjum. Przyjęliśmy ich tak jak każdego innego. Hospicjum to jest dom, tu się przychodzi jak do siebie. Podaliśmy obiad, który wcale nie był wystawny – taki nasz hospicyjno-codzienny. Podziękowałam za film, który mogłam obejrzeć. Za odwagę, bo *Moje córki krowy* dotykają przestrzeni, o których trudno się mówi. Opowiedziałam o misji hospicyjnej. O tym, co stoi w tej chwili przed nami, czyli o rozwoju działu hospicjum dziecięcego. Powiedziałam, że mam pragnienie, by powstał film, który okazałby się cegiełką na rozwój działu hospicjum dziecięcego. Pani Kinga wysłuchała mnie, spotkała się z chorymi i powiedziała, że zrobi, co będzie mogła.

Po wielu miesiącach znów byłam w Warszawie „na żebractwie". Tuż przed wyjazdem do Warszawy dla jednej z naszych pacjentek kupowaliśmy czerwony kapelusz. To było wyjątkowe wydarzenie. Spełniało marzenie tej pacjentki. Proszę sobie wyobrazić, że niespełna pięćdziesięcioletnia kobieta, która została do nas przywieziona całkowicie sparaliżowana w wyniku choroby nowotworowej, z licznymi przerzutami, zupełnie nieoczekiwanie wróciła do życia. Po wielu miesiącach zaczęła sama siadać i chodzić. W końcu wypisaliśmy ją do domu w całkowitej poprawie. Sama mówiła, że przyszła do hospicjum, żeby umrzeć, a dano jej życie. Od strony medycznej trudno wytłumaczyć taki stan. Miała marzenie. Chciała, żeby pomóc jej kupić kapelusz. I to koniecznie czerwony. Tak też zrobiliśmy. Dla tej kobiety czerwony kapelusz był czymś niezmiernie ważnym. Będąc w Warszawie, nieustannie niosłam w sercu to kapeluszowe wydarzenie.

Jadąc Wisłostradą, odebrałam telefon. Pani Kinga Dębska pytała, co słychać. Odpowiedziałam, że jestem w Polsce i zrelacjonowałam krótko historię z kapeluszem. Nagle usłyszałam: „No to mamy tytuł filmu – *Czerwony kapelusz*, bo chciałam siostrę poinformować, że będziemy go realizować". Prowadziłam samochód, ale zaczęłam płakać ze wzruszenia. Mam ogromną nadzieję, że ten film okaże się konkretnym wsparciem dla osób chorych, dzieci chorych na nowotwory i ich rodzin.

Zatrzymajmy się na moment przy specyfice miejsca, w którym Siostra żyje. Wilno to pewien konglomerat narodów, kultur i religii. Znajoma Siostry powiedziała mi wczoraj, że Litwini zarzucają Siostrze, że jest propolska, a Polacy, że prolitewska. Czy kiedykolwiek w ciągu tych ośmiu lat czuła Siostra, że jest skłaniana do opowiedzenia się po którejś ze stron?

Owszem, takie naciski czasem się pojawiały, ale ja kieruję się przede wszystkim tym, co powiedział Jezus: „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili". On nie mówi o Polakach czy Litwinach, o katolikach czy wyznawcach islamu lub innych religii. Dla mnie każdy człowiek jest nośnikiem boskości i obrazem Boga. To jest dla mnie priorytetem. W ten sposób służę samemu Bogu w drugim człowieku. To drugi człowiek wyznacza mi przestrzenie mojego zaangażowania. Nic więcej się nie liczy. Od początku mojego pobytu na Litwie bardzo mocno akcentowałam, że przyjechałam tu jako człowiek do człowieka. I to w sobie niosę. Nie wchodzę ani w jedną stronę polityczną, ani w drugą. To samo dotyczy religii czy narodowości. Jestem dla wszystkich.

Pamiętam bardzo bolesny etap na budowie, kiedy mieliśmy zmiany w projekcie budowlanym. Chciałam, żeby na samej górze, na trzecim piętrze, powstał mały taras. Zależało mi na tym, żeby chorzy mogli popatrzeć na panoramę Wilna nocą czy w ciągu dnia. Na etapie przygotowywania projektu rozbudowy i remontu hospicjum jakoś to przeoczyłam. Później to do mnie wróciło. Zapytałam architekta, czy byłoby to jeszcze możliwe. Usłyszałam, że oczywiście, tylko muszą być odpowiednie zezwolenia. Umówiłam się na spotkanie w urzędzie. Była jesień. Za chwilę miały zacząć się opady. Trzeba było przyspieszyć prace, aby przed zimą dokończyć prace nad tarasem i położyć dach na budynku. Na tym spotkaniu byli: architekt i kierownik prac budowlanych, osoba decyzyjna z wydziału budownictwa, no i ja. Usłyszałam wyraźnie: „Niech siostra tak robi, a architekt niech później przyśle stosowne dokumenty do podpisu". Powiedziałam, że zbliża się zima i zależy nam, żeby zadaszyć budynek, na co powiedziano nam: „Róbcie, a wszystko później podpiszemy". Wszystko

przygotowaliśmy, zadaszyliśmy. Nagle pojawiła się kontrola, która stwierdziła samowolę budowlaną i nałożyła pieniężną karę. Na nic zdały się wyjaśnienia, że miałam ustną zgodę przy kilku osobach. Że wszyscy to słyszeliśmy. Pojechałam do tego konkretnego człowieka, który dał mi słowo. Nie wiem, czy miał zły dzień w pracy, ale powiedział, że to była samowola budowlana. Zapytałam wtedy: „Gdzie jest pana odpowiedzialność za słowo?". W odpowiedzi usłyszałam: „Po co w ogóle to hospicjum? Proszę sobie jechać do Krakowa i tam budować hospicjum". Odpowiedziałam na to: „Wie pan, w Krakowie jest kilka hospicjów. W całej Polsce kilkaset, a wy na Litwie nie macie ani jednego. Ja przyjechałam tu po to, żeby je zbudować". Ostatecznie cała sprawa zakończyła się pozytywnie. Dostałam decyzję zezwalającą na to, co już się dokonało. Później w centrum Wilna wielokrotnie mijaliśmy się z tym panem, tylko się pozdrawiając grzecznościowym „dzień dobry", „laba diena". W tej chwili odwiedza nasze hospicjum, wielokrotnie był u nas na kawie. Jest osobą bliską misji hospicyjnej.

Dlaczego o tym mówię? Bo w tym miejscu ważne jest, by pokonywać wzajemną niechęć. Wilno jest od pokoleń miastem związanym z relacjami polsko-litewskimi. Miastem, w którym środowiska żydowskie, prawosławne, katolickie razem funkcjonowały. W tej chwili to Wilno, o czym się słyszy, kłóci się w przestrzeni politycznej, kto ma większe prawa: Polacy czy Litwini? Kto jest ważniejszy: prawosławny czy katolik? A może środowisko wspólnoty tatarskiej wyznającej islam? Może oni są ważniejsi?

Ja, będąc katolicką zakonnicą, nie jestem tu po to, by kłócić się o to, kto jest ważniejszy czy gdzie jest większa sprawiedliwość. Jezus po Zmartwychwstaniu powiedział do uczniów: „Pokój wam".

Nie wyrzucał im: ty Judaszu mnie zdradziłeś, ty Piotrze zwykłej służącej się wystraszyłeś i trzy razy się mnie zaparłeś. On wchodzi do Wieczernika, do wystraszonych, pełnych trwogi, zamkniętych przed innymi uczniów. Jezus nie przychodzi do apostołów, by w bolesnym odwecie wykazać sprawiedliwość, położyć na szali ciężar win, lęków i zdrad. Nie wygraża. Robi pierwszy krok. Pokonuje barierę zamkniętych drzwi. Daje pakiet zaufania, mówi apostołom: „Pokój wam, idźcie i głoście". Sądzę, że tu w Wilnie ten pakiet zaufania trzeba tak właśnie realizować. Nie rozdrapujemy ran, nie rozdrapujemy przeszłości. Ufamy i idziemy dalej. Nie różnicujemy, lecz jednoczymy. Budujemy, scalamy.

Ciągle podkreślam, że mimo iż w hospicjum słychać trzy języki, to dominujący powinien być język miłości. Sądzę, że to jest zauważalne. W tej chwili nikt już nie powie, że to jest hospicjum polskie czy litewskie. Wczoraj mieliśmy tu duże uroczystości. Na scenie był język polski, litewski i rosyjski. Sadziliśmy żonkile przed placówkami medycznymi w ramach kampanii „Pola Nadziei". Wszyscy czuli się u siebie, będąc tym, kim są. Nie było żadnej przestrzeni na wielorakie antagonizmy. Była jedność i bliskość.

Na czym polega kampania „Pola Nadziei"?

To międzynarodowa akcja zapoczątkowana przez Fundację Marie Curie Cancer Care z Edynburga w Wielkiej Brytanii. Jej celem jest uświadomienie społeczności lokalnych, czym jest hospicjum. Niejednokrotnie zdarza się jeszcze, że hospicja są marginalizowane i postrzegane jako umieralnie. Chodzi więc o przebicie się do opinii publicznej z przekazem, że hospicjum to nie żadna umieralnia czy przekleństwo, lecz placówka o wysokich standardach, w której chory otrzymuje maksimum pomocy, czasem przewyższającej pomoc *stricte* medyczną utożsamianą ze szpitalem. Widocznym przejawem solidarności z człowiekiem chorym jest właśnie akcja

sadzenia żonkili – kwiatów symbolizujących nadzieję. Sadziliśmy wczoraj te żonkile przed placówkami medycznymi, żeby uświadomić ludziom, że personel medyczny jest personelem nadziei i życia. Sądzę, że trzeba to podkreślać, zwłaszcza dzisiaj, kiedy fałszywie mówi się o tak zwanym dobrodziejstwie eutanazji. Na Litwie pojawiają się głosy przemawiające za jej legalizacją. Ja nazywam eutanazję przekleństwem, prawnym usankcjonowaniem zabójstwa. Lekarz i pielęgniarka są po to, by pomagać, a nie zabijać. Sadząc te kwiaty, chciałam wyrazić moje „nie" dla eutanazji. Chciałam powiedzieć, że środowiska hospicyjne zawsze będą przy życiu, a nie przy śmierci. Eutanazja jest dla mnie możliwością pięknego zabijania, a zabijanie nigdy nie jest wartością. Mówię o tym krótko i zwięźle bez wchodzenia w jakieś dywagacje. Eutanazja to samodegradacja człowieka i człowieczeństwa.

Zarówno na Litwie, jak i w Polsce jest Siostra rozpoznawalna. Została Siostra laureatką tytułu Polak Roku, a samorządowcy wileńscy napisali, że pełni Siostra funkcję anioła miłosierdzia nad Wilnem. Niewątpliwie przyczynia się Siostra do budowania pozytywnego wizerunku Polaków na Litwie. Czym te nagrody i pozytywne głosy są dla Siostry?

Powiem tak: sama nic bym nie zrobiła. Kiedy tu siedzę i rozmawiam z panią, na górze ktoś myje i karmi chorego oraz załatwia wszystkie sprawy. Tu działa cały zespół. Mój habit – moja twarz jest tylko wizytówką. Jestem łatwiej rozpoznawalna i utożsamiana z hospicjum, ale to nie ja sama tworzę jego codzienność. Nie ja tworzę tę przestrzeń bliskości, tylko cały sztab ludzi. Nagrody są dla mnie podsumowaniem naszego zespołowego bycia człowiekiem przy człowieku. Odbieram je zawsze w imieniu nas wszystkich. To nie jest jedynie dla mnie. Ja

i mój personel też nie dalibyśmy rady, gdyby nie bal charytatywny w Stanach, gdyby nie liczne zbiórki, zaangażowania wielu wspólnot polonijnych w wielu krajach, gdyby nie otwarcie parafii katolickich czy szkół w jakimkolwiek miejscu: na Litwie, w Polsce, nawet na Białorusi. Parafianie z biednej białoruskiej miejscowości potrafią zrobić zbiórkę i przekazać na hospicjum w Wilnie. To są niesłychane wydarzenia. Ja i mój personel nie moglibyśmy zrobić nic bez wsparcia wielu osób, którzy przy nas stoją. To jest dla mnie potwierdzenie, że dobro naprawdę przemienia świat.

Wie pani, kiedyś przyszedł do mnie bezdomny i pijany mężczyzna. Ledwo utrzymując się na nogach, powiedział, że w śmietniku znalazł zniszczoną twarz Jezusa. Popatrzyłam na niego skonsternowana, a on w tym momencie wyciągnął połamaną gipsową, zabrudzoną płaskorzeźbę i powiedział: „Siostra, Jezus nie może być w śmietniku, prawda? Jemu trzeba przywrócić twarz. Pomyślałem, że przyjdę do was – do hospicjum, bo wy tu człowiekowi przywracacie twarz, to i Jezusowi też przywrócicie". Odpowiedziałam na to: „To chodź, zrobimy to razem". Znalazłam jakąś farbę z remontu. Ten mężczyzna umył, a następnie odmalował płaskorzeźbę. Dzisiaj ona wisi na ścianie w sali hospicyjnej. Wielokrotnie na ulicach Wilna spotykałam później tego mężczyznę. Kiedyś mi pomachał, będąc w towarzystwie swoich „branżowych" kolegów i zapytał: „Jak twarz Jezusa?". Opowiedziałam mu na to: „A jak twoja twarz?". Raz usłyszałam: „Dzisiaj niezbyt". Innym razem przy spotkaniu wołał: „Siostra, dzisiaj moja twarz dobrze". Udało nam się wysłać tego człowieka na detoks. Z czasem znalazł pracę w ośrodku odwykowym. Jest trzeźwy.

W tym domu wszystko jest symbolem ludzkiej dobroci i przemiany serc. Czasem można usłyszeć, że w świecie panuje znieczulica. Nie zgadzam się z tym. Kiedy zakończył się etap remontu hospicjum, jedna z przewodniczek turystycznych w Wilnie napisała na swoim profilu na Facebooku: „Hospicjum jest wyremontowane, ale trzeba teraz zrobić z niego dom, a nie laboratorium. Jeżeli możecie, przynieście to, co powinno być w domu". Proszę sobie wyobrazić, że ludzie zaczęli przynosić: naczynia, obrazy, pościel, materace, łóżka, kwiaty. Wszystko, co pani tutaj widzi, ofiarowali ludzie. Polacy, Litwini, Rosjanie. Przyjeżdżali samochodami, na rowerach, przychodzili pieszo, czasem całymi rodzinami. Kiedyś zamówiłam w Augustowie meble na wymiar do dyżurki pielęgniarek i do kuchni. Pan zrobił, przywiózł te meble. Siedzimy w tej sali, gdzie my teraz na jakimś ofiarowanym tapczanie i ten mężczyzna mówi: „Tu by się jakieś stoły i krzesła przydały". Miałam wtedy w tym pomieszczeniu tylko jeden ofiarowany stół. Odpowiedziałam: „No przydałyby się". Mężczyzna pyta: „A co tu będzie?". Wyjaśniam, że sala do spotkań, wspólnych posiłków, szkoleń, wykładów. Ale nie mam już na to pieniędzy. Ten mężczyzna zrobił dla nas te stoły i krzesła, a dodatkowo przyjechały stoły i ławki na taras.

Do naszych chorych regularnie przychodzą też dzieci z przedszkola. Często z różnymi spektaklami i przedstawieniami. Pewnego razu przyszła grupa maluchów z wychowawczyniami. Zaśpiewały i zatańczyły dla chorych. W pewnym momencie jedno z tych dzieci podarowało mi maskotkę: lwicę trzymającą w zębach małe lwiątko. To dziecko powiedziało do mnie: „Bo ty jesteś jak ta lwica – broń chore dzieci". Przyjęłam ten prezent jako symbol. Stoi u mnie w biurze i ma dla mnie wielką wartość. Wczoraj na kampanię „Pola Nadziei" też wzięłam tę maskotkę

i powiedziałam, że to wezwanie do wzięcia w obronę dzieci w ramach działu hospicjum dziecięcego. Dla tego małego, który wymaga ochrony i wsparcia, muszę mieć mocne zęby – muszę mieć ja i cały nasz hospicyjny zespół. Na szczęście czujemy się ciągle wspierani przez ludzi.

Powiedziała Siostra, że habit jest wizytówką. A czy kiedykolwiek doświadczyła Siostra, że on może być również jakąś przeszkodą, że bez habitu byłoby czasem łatwiej?

Nie, wręcz przeciwnie. Ja i habit to jedno. Zawsze staram się być tym, kim jestem w tej jedności. Czasem mówię, że chyba nie nadawałabym się do dyplomacji. Oczywiście, chylę czoła przed dyplomatami i rozumiem specyfikę ich pracy, ale osobiście tak nie potrafię, nie dorastam do tego. Dla mnie czarne jest czarne, a białe jest białe. Zawsze otwarcie mówię, jakie jest moje zdanie na dany temat. Ono może być mylne, ale nigdy nie przystosowuję się do układów, okoliczności czy wydarzeń. Słucham innych stron i potrafię uznać, że gdzieś nie miałam racji. Przyznaję się do tego. Potrafię przyjąć argumenty innych stron, ale i odważnie wypowiedzieć swoje. Habit jest mną, a ja jestem w habicie. Jestem tym, kim jestem. Tańczę w habicie, płaczę w habicie, przytulam człowieka w habicie, śmieję się w habicie, idę z kimś do kina, na koncert czy na kawę też w habicie. Jestem sobą w tym habicie. I dziękuję Bogu za to.

Czy hospicjum w dalszym ciągu kojarzy się ze strachem, z umieraniem i adresem, spod którego już się nie wraca? Czy można tu mówić o jakiejś przemianie świadomości? Jak to wygląda z perspektywy polskiej i litewskiej?

Jak najbardziej można mówić o przemianie. Powiedziałabym nawet, że w Polsce hospicja mają już ten etap za sobą. To już nie jest inny świat, od którego się ucieka. Są to miejsca

rozpoznawalne, czytelne i potrzebne, a personel jest bardzo merytorycznie przygotowany.

Na Litwie, kiedy powstawało nasze hospicjum, nikt o hospicjum nie słyszał. Trudno było zweryfikować, czym ma ono być. Kiedy usiłowałam zarejestrować placówkę i określić przestrzenie jej pracy, klasyfikowano nas jako przestrzeń domu pomocy społecznej, domu starców, przytułku. Pojawił się problem, bo w języku litewskim nie było takiego słowa. Konsultowałam się w tej kwestii z językoznawcami litewskimi. Stanęło przy słowie „hospisas". Wtedy okazało się, że w systemie ewidencyjnym nie było takiego pojęcia i na etapie rejestrowania naszej placówki chciano nas zarejestrować jako przytułek. Nie zgodziłam się na to – hospicjum to nie przytułek. Musiałam tłumaczyć, czym ono rzeczywiście jest. Dziś słowo „hospisas" weszło do języka litewskiego i tak jesteśmy zarejestrowani. Ale za przestrzenią językową kryje się cała przestrzeń świadomości. Na Litwie jest jeszcze spora przestrzeń ucieczki od hospicjum jako od umieralni. Jest także w dalszym ciągu grupa ludzi, która będzie robiła wielkie oczy i pytała: „Hospicjum, a cóż to takiego?". Jest niewiedza. W tej chwili mocno kładę akcent na sprawy informacyjne i pobudzanie świadomości.

Trzeba na przykład uświadamiać, że pacjent w hospicjum to niekoniecznie starszy człowiek, lecz coraz częściej młoda osoba z chorobą nowotworową. Trzeba tłumaczyć, że jest to przestrzeń, w którą nie wchodzi personel opiekuńczy, lecz profesjonalny, leczniczy, aktywny. Polska ma ten etap już za sobą, a na Litwie trzeba do niego dorastać. Jest jeszcze wiele do zrobienia w przestrzeni warsztatowej, szkoleniowej i procedur medycznych. W Polsce, żeby otrzymać tytuł specjalisty w dziedzinie medycyny paliatywnej, konieczne są lata studiów i końcowe egzaminy. Tutaj

trzeba wysłuchać jedynie trzydziestu sześciu godzin wykładów. Już wiadomo, jaka to przestrzeń różnic. Jestem jednak głęboko przekonana o tym, że hospicjum jest miejscem, które ma ogromne możliwości edukacyjne. Tu przychodzą ludzie z różnych środowisk i w różnym wieku. Doświadczają rozmów z chorymi. Niemal zawsze po spotkaniach w naszym hospicyjnym środowisku zmienia się ich postrzeganie świata.

W jaki sposób hospicjum może zmienić czyjeś postrzeganie świata?

Opowiem pani pewną historię, która wydarzyła się w naszym domu. Mieliśmy czternastoletnią pacjentkę, która powiedziała mi pewnego dnia: „Siostro, zanim umrę, chciałabym się przejechać limuzyną ulicami Wilna jak młoda para do ślubu". To była Rosjanka. W limuzynie miała być czadowa muzyka, coca-cola i popcorn. Wskazała też kilka najbliższych osób, które będą mogły z nią pojechać: jej dwaj młodsi bracia, wychowawczynie ze szkoły i z domu dziecka, nasza wolontariuszka i ja. Zapytałam ją podczas tej rozmowy: „A mama?". To dziecko spojrzało wtedy na swoją mamę ledwo trzymającą się na nogach i odpowiedziało: „Ja nie mam mamy". Trzymałam tę dziewczynę za rękę przy jej łóżku i powiedziałam: „Nie byłoby ciebie, gdybyś nie miała mamy". Ona znów popatrzyła na mamę i powiedziała jeszcze głośniej: „Ja nie mam mamy". Nigdy tego nie zapomnę. To było tak mocne wyrażenie prawdy, bólu i cierpienia, że ja bym temu dziecku dała *honoris causa*. Za tę mądrość. Kiedyś to dziecko miało normalną rodzinę, ale z czasem zaczęły się kolejne związki mamy z innymi mężczyznami, skończyły się pieniądze i zaczął alkoholizm. Dzieci zabrano do domu dziecka. Wszystko się rozleciało.

Mój personel, doświadczając mądrości tej dziewczyny, pytał mnie: „Gdzie w tym wszystkim jest Bóg? Dlaczego tak mądra

dziewczyna umiera?". Ta dziewczyna pokazywała nam zupełnie inną przestrzeń. Na kolanach targowałam się z Bogiem o życie tego dziecka. Czas jednak upływał, a poprawa nie następowała. W pewnym momencie wiedzieliśmy, że to już ostatni dzwonek. Śluby odbywają się w soboty, więc w sobotę pojawiła się udekorowana limuzyna ze wszystkim, czego chciała nasza młoda pacjentka. Stan tej dziewczynki straszliwie pogorszył się tego dnia. Powiedziała, że nie da rady, żebyśmy jechali sami i później wszystko jej opowiedzieli. To samo potwierdził lekarz. Tak też się dokonało. Limuzyna przejechała przez Wilno, tak jak chciała. Długo w nocy opowiadaliśmy jej o tym. W jej oczach była radość. Nad ranem w niedzielę umarła. Właściciel limuzyny, kiedy chcieliśmy mu zapłacić za wynajem, nie wziął pieniędzy. Krótko stwierdził, że sam nam musi zapłacić, bo w tym, co się dokonało, wiele zrozumiał... Od czasu tej wyprawy regularnie wspiera nas finansowo. Na pogrzebie naszej kochanej młodej pacjentki była rzesza ludzi: koledzy i koleżanki ze szkoły, wychowawczynie, nasze środowisko hospicyjne. Jej bracia tulili się do mojego habitu. Czułam się jak kwoka z kurczętami. Mama była dalej pijana.

Minęło wiele miesięcy. Któregoś dnia mama tej dziewczynki przyszła do mnie i powiedziała krótko: „Tylko jedno chciałam powiedzieć: jestem po leczeniu. Jestem trzeźwa i walczę o dzieci. Niech się siostra modli, żeby mi się udało". Dzisiaj, kiedy myślę o tej dziewczynie, nie mam wątpliwości, że to ona prostuje życie własnej matce, daje siłę braciom, wpływa na właściciela limuzyny, uczy nasz hospicyjny personel. Czy miłość nie przemienia świata? Czy hospicjum nie jest lekcją życia?

Wśród wolontariuszy w hospicjum są także więźniowie z pobliskiego zakładu karnego. Skąd taki pomysł?

Rzeczywiście, przeszczepiłam na tę ziemię wolontariat więzienny, bo wiedziałam, że w Polsce w wielu miejscach doskonale się sprawdza. Któregoś razu poszłam na spotkanie z dyrekcją więzienia. Opowiedziałam o misji hospicyjnej i o tym, jak posługa chorym może wpłynąć na postawy więźniów. Dyrekcja wytypowała kilkunastu kandydatów, których zapytano, czy chcieliby wziąć udział w takim projekcie. Później chodziłam na spotkania z więźniami, żeby przybliżyć ideę i misję hospicjum. Żeby warsztatowo ich przeszkolić. Krótko mówiąc, żeby umieli odnaleźć się w tym miejscu.

Pamiętam doskonale jednego więźnia w naszym hospicjum. Wiedziałam, jaki ma wyrok i za co został skazany, ale nie wymagałam, żeby dzielił się tą wiedzą z innymi. Była akurat pora obiadowa na naszej wspólnej sali, kiedy ten mężczyzna wstał i wobec całego personelu powiedział, że chciałby wyjaśnić, kim jest. Powiedział wtedy: „Jestem mordercą. Zabiłem własnego brata. Było za dużo alkoholu i emocji. Chcę, żebyście wiedzieli, z kim będziecie się spotykać". Po chwili ciszy mój personel wstał i po kolei każdy z pracowników podchodził do tego mężczyzny. Kobiety go przytuliły, mężczyźni poklepali po plecach. Powiedzieli: „Witaj w domu". Trzeba by się uczyć posługi i wrażliwości od tego więźnia. Po wielu miesiącach jego pracy u nas wystosowałam odpowiednie pisma do sądu i prokuratury, które pomogły mu w przedterminowym wyjściu na wolność. Z czasem ożenił się z jedną z moich pielęgniarek i tworzą dziś rodzinę.

Domyślam się jednak, że nie wszystkie historie kończą się tak szczęśliwie. Czy kiedykolwiek, analizując biografie swoich pacjentów albo doświadczając ich niezawinionego cierpienia, miała Siostra wątpliwości? Pytała, dlaczego tak się dzieje?

Nie zadaję sobie pytania „dlaczego". Zawsze szukam odpowiedzi na pytanie „po co, co z tym zrobić, jak to ukierunkować". Mam w sobie przekonanie, że cierpienie nigdy nie jest czymś bezsensownym. My widzimy tylko pewien odcinek. Często pokonuję drogę, siedząc za kierownicą. Są zakręty, ale wiem, że gdzieś tam jest cel. Wierzę, że Bóg go zna. Ale ja mam skoncentrować się na tym, by pokonać kolejny zakręt. Cel będzie dopiero, kiedy tam dojadę. Dziś często nie widzę końca. Nie umiem odpowiedzieć na wiele pytań, ale wiem, że muszę dany odcinek po prostu pokonać. Przejść kolejny etap. Dopiero kiedy się odwrócę, zobaczę, że to miało sens. Jednego jestem pewna: Bóg nas nigdy nie skrzywdzi. Nie zada nam celowo cierpienia. On zawsze doprowadza nas do celu, daje możliwości jego osiągnięcia i zostawia przestrzeń naszemu zaangażowaniu.

A czy mimo że sama nie stawia sobie Siostra takiego pytania, bywa z nim konfrontowana?

Bardzo często. Zdarza się, że słyszę: „Przecież starałem się żyć uczciwie. Nikomu nic złego nie uczyniłem, a muszę się z tym mierzyć". Są takie rozmowy. Padają pytania, na które nie znam odpowiedzi. Często mówię: „Nie wiem, dlaczego tak się dzieje". Z taką odpowiedzią musimy pozostać. Myślę, że to jedyna uczciwa odpowiedź. Ważne jest, żeby wytrwać. Ale też nie uciekać od problemu. Nie mówić, że go nie ma. Nie zakłamywać rzeczywistości. Owszem, problem jest, a ja mam prawo go nie rozumieć. Ale powinienem czekać i trwać. Zdrowy człowiek wyznacza sobie długodystansowe trasy. Natomiast osobę chorą uczymy wyznaczania sobie krótkodystansowych odcinków. I w tym jako personel hospicyjny jej pomagamy. Nie planuj tego, co za rok czy za miesiąc. Zaplanuj tylko dzisiaj. Najbliższą godzinę, pół godziny, chwilę. Ucz się żyć tą chwilą. Ją masz i nie zmarnuj

jej. Co będzie później, zobaczymy. Pan Bóg nas przeprowadzi. Ludzie też będą obok.

W hospicjum ważne jest i nad tym pracujemy, żeby w człowieku pojawiło się jego „tak". Ono może być różnorako wyrażone, ale chodzi o „tak" skierowane przede wszystkim do siebie. Do swojego życia, do swojej przeszłości. W perspektywie śmierci bardzo często pojawia się żal, że czegoś się nie dokonało, że coś się źle wybrało. I teraz my jako personel hospicyjny próbujemy pomóc, żeby człowiek powiedział: wybaczam sobie. Tego, co było, nie zmienię, ale mogę coś do tego dołożyć, dodać, przewartościować pewne kwestie. Coś innego uczynić na zasadzie jakiegoś wyrównania, żeby zbilansować rachunek zysków i strat. Żeby nie było długów: emocjonalnych, duchowych czy nawet materialnych.

Czym według Siostry jest dobra śmierć?

Akceptacją tego, co jest, oraz tego, co będzie i co od nas nie zależy. Dobra śmierć jest byciem sobą do końca w poczuciu spełnienia swojego życia. Jest świadomym doprowadzeniem do końca wszystkich moich zadań, planów, perspektyw. Jest także umiejętnym zgodzeniem się na coś, czego nie zdołam już dokonać. Zgodzeniem się nie z bólem w sercu, ze złością i z agresją, ale ze spokojem i zrozumieniem. Jednocześnie w tym wszystkim trzeba mieć świadomość, że każda sytuacja czyjegoś odejścia będzie inna. Tu nie ma jednej recepty. Dlatego w hospicjum tak ważne jest: bycie, słuchanie, rozumienie. Rozmowa z chorym, ale też z jego najbliższymi.

À propos najbliższych. Na przestrzeni lat odbyła Siostra wiele rozmów z rodzinami osób umierających. Rodziny często nie wiedzą, jak się zachować, ile można powiedzieć choremu. Jak

Siostra podchodzi do takich rozmów? Czy jest jakaś uniwersalna recepta?

Jedyną uniwersalną receptą jest umiejętność słuchania i słyszenia chorych i ich rodzin. Nie można nikomu narzucić całego pakietu naszych usług. Chorowanie i umieranie jest procesem. Sposobu rozmawiania też jako personel hospicyjny musimy się uczyć. Na ile ktoś się przed nami otworzy, na tyle w tę jego przestrzeń możemy wejść. Nasze umiejętne pomaganie jest byciem, milczeniem i słuchaniem. Człowiek najczęściej sam dochodzi do odpowiedzi na pytania, które w sobie niesie.

Często pomocą jest wspólne wypicie kawy. Towarzyszenie, kiedy ktoś chce się wypłakać. Wczoraj na sadzeniu żonkili była obecna mama naszej zmarłej dwudziestoczteroletniej pacjentki. Zapytałam tę kobietę, czy zechciałaby powiedzieć, czym dla niej było i jest hospicjum. Ona zaczęła płakać i powiedziała: „Nie mam siły". I tylko się przytuliła. Odpowiedziałam: „Rozumiem". Kiedy córka tej pani leżała u nas, jej mama wielokrotnie po wizycie przychodziła do mojego biura, siadała, przytulała się i płakała. Czasem coś mówiła, czasem tylko milczała. Mogłoby się wydawać, że normalnym odruchem powinno być powiedzenie: przestań płakać, dasz sobie radę, wszystko będzie dobrze. Tymczasem ja daję chusteczkę i mówię: „Płacz". Jak ktoś się wypłacze, pytam: „Co robimy?". W odpowiedzi czasem słyszę: „Zjadłabym coś". To idziemy do kuchni i coś przyrządzamy.

O to chodzi w hospicjum. Być, słuchać, nie mieć recepty cudowności na każdą okoliczność. Każda rodzina, każde wydarzenie, każda choroba to jest zupełnie inna przestrzeń, inna historia, inne emocje, inne doświadczenia. Musimy umieć wejść w tę przestrzeń. Nie można przyjść do chorego i powiedzieć: „Pan ma raka i niedługo umrze". Nasz dwudziestoczteroletni pacjent

usłyszał z ust pewnego lekarza w szpitalu w Wilnie, taki tekst: „Wszystko, co mogliśmy zrobić, zrobiliśmy. Pan może teraz tylko czekać na śmierć, ale musi pan opuścić szpital, bo to łóżko już czeka na kogoś innego". Taki przekaz usłyszeli w szpitalu młody mężczyzna i jego mama. Jeszcze tego samego dnia przyszła do mnie zapłakana. Nie była w stanie słowa powiedzieć. Siedziałyśmy przy tym samym stole co teraz. Powiedziała: „Proszę o pomoc, bo go wypisują, a ja sobie sama z nim nie poradzę". Przyjęliśmy go następnego dnia. Okazało się, że ponaddwumetrowy mężczyzna przez wiele tygodni leżał w szpitalu z podkurczonymi nogami, bo nikt nie zatroszczył się o odpowiednie łóżko dla niego. U nas zaczął rozmawiać z personelem, zaczął jeść. Jego narzeczona z przyjaciółmi odwiedzali go regularnie. Kiedyś, gdy byłam w jego pokoju hospicyjnym z narzeczoną, powiedzieli mi, że chcieliby wziąć ślub w hospicjum. Zapytali, czy jest taka możliwość. Powiedziałam, że nie widzę problemu. Ustaliliśmy termin. Po kilku tygodniach zmienili zdanie. Ten chłopak nie chciał, żeby jego narzeczona tuż po ślubie została wdową. Powiedział jej: „Chcę cię zostawić panną, żebyś kiedyś została żoną i matką". Rozmawiałam z obojgiem o zmianie decyzji, wypiliśmy nawet kieliszek wina – ja sok, bo w moim zakonie jest całkowita abstynencja. Po kilku dniach ten chłopak umarł. Tu, w hospicjum, żył do końca. Do końca decydował o sobie, o życiu swoim i o życiu drugiego człowieka, którego kochał. Na jego pogrzebie pojawiły się tłumy młodych ludzi. Wie pani, przez dwadzieścia cztery lata posługi moim chorym nie spotkałam człowieka, który chciałby umrzeć. Każdy chciał żyć. Każdy chciał być sobą. Każdy chciał do końca decydować o sobie.

Czy z Siostry obserwacji wynika, że lekarze są uczeni, jak rozmawiać z nieuleczalnie chorymi pacjentami?

To się zmienia na korzyść. Ten temat jest podejmowany, zwłaszcza teraz, kiedy wzrasta wskaźnik zachorowań i umieralności na choroby nowotworowe. Proszę też mieć na uwadze, że praca na oddziałach paliatywnych jest przestrzenią bardzo podatną na wypalenie zawodowe i wszelkie przeciążenia. Tego nie da się porównać choćby z chirurgią. Na naszych oddziałach przyjmujemy pacjenta ze świadomością, że – jeśli nie nastąpi poprawa – to zostanie u nas do końca. Czyli jestem ostatnim człowiekiem na jego etapie życia i dla mnie to też jest obciążenie. Na zjazdach, szkoleniach i konferencjach coraz więcej podaje się – przepraszam za określenie – narzędzi, żebyśmy jako personel medyczny umieli sami sobie z tym poradzić i żebyśmy do końca byli tym, kim mamy być. To wzajemne spotykanie się środowiska paliatywnego jest bardzo potrzebne. Uważam, że sytuacja pozytywnie się zmienia. Widać to po wielu tematycznych konferencjach, warsztatach, licznych wykładach, nawet po wewnętrznych audytach. Dobrze, że tak się dzieje.

A jak postrzega Siostra kwestię rozmawiania z dziećmi o śmierci czy ciężkiej chorobie? Niektórzy próbują izolować dzieci od cierpienia, uczestniczenia w pogrzebach. Zmienia się nawet nasze słownictwo. Boimy się powiedzieć: „umarł". Mówimy: „odszedł" – dzieci często nie rozumieją tej formuły.

W moim przekonaniu dzieci powinny uczestniczyć we wszystkich wydarzeniach naszego życia. Dzieci mają widzieć i łzy, i radość. Muszą widzieć, że czasem jest brudna podłoga i naczynia w zlewie. Że w normalne życie wpisana jest śmierć. Nie wolno uciekać od pojęcia śmierci i nie wolno chronić przed nią dzieci. Ten przekaz należy oczywiście dostosować do wieku i rozwoju

emocjonalnego dziecka, ale uważam, że chroniąc dzieci przed tą sferą, wyrządza się im krzywdę.

Bardzo przeżyłam historię naszej sześcioletniej pacjentki. Choroba nowotworowa pojawiła się w wieku trzech lat. Dziewczynka była leczona w różnych miastach. Mama poświęciła się tej chorej dziewczynce. Mąż z dwójką rodzeństwa został w domu, a ona wynajmowała mieszkania w miastach, gdzie trwała terapia, żeby być przy córeczce. Choroba postępowała. W pewnym momencie w szpitalu powiedziano, że nic więcej nie można uczynić. Rodzice przyszli do nas z prośbą o pomoc. Mama nocowała z tą dziewczynką w hospicjum. Widziałam ból jej ojca i dorastającego już rodzeństwa, którzy doświadczali nieobecności mamy w domu od niemal trzech lat. Z personelem szukaliśmy jakiegoś rozwiązania.

Pewnego dnia siedzieliśmy razem na dworze. Dziewczynka była na wózku inwalidzkim. Jedliśmy lody. Nagle córka powiedziała: „Mamo, idź dzisiaj do domu. Ja dzisiaj ciebie tutaj nie chcę". W jednej chwili zobaczyłam na twarzy tego męża jakąś nadzieję. Mama zapytała od razu: „Ale jak? Nie zostawię cię. Z kim będziesz dzisiaj spała?". Na co ta dziewczynka odpowiedziała: „Z siostrą Michaelą, w jej łóżku, bo nigdy nie byłam w klasztorze". Sześcioletnie dziecko. Pod koniec dnia zapytałam ją jeszcze: „Słuchaj, może jednak wolisz spać w hospicjum w swoim łóżku?". Usłyszałam wyraźnie, że nie. Że chce nocować w naszym klasztorze. Przyniosłam ją więc do klasztoru. Przygotowałam pościel, położyłam ją w moim łóżku. Pielęgniarkom powiedziałam, żeby były w gotowości, gdyby coś się działo. Wiedziałam, że jest bardzo słabiutka. Położyłam się obok niej w habicie, starając się nie zasnąć. W pewnym momencie powiedziała: „Już śpij. Czekam, kiedy będziesz chrapać" (*śmiech*). Nie zmrużyłam oka tej nocy. Ale

od tej pory na noc mama wracała już do domu. Ta dziewczynka przywróciła mamę na łono rodziny. Popołudniami mama wpadała z mężem czy z dwójką zdrowych dzieci. To umierające dziecko pokazało, że jest nie tylko ono, że jest rodzina.

Wielokrotnie akcentuje Siostra, że wileńskie hospicjum to dom, a nie jakiś ośrodek czy laboratorium. Co to oznacza w praktyce?

To znaczy, że jesteśmy dla chorego, a nie chory dla nas. Pacjent nie jest czymś, co nam określa zakres stosowania naszych procedur w tym znaczeniu, że coś nam się opłaca lub nie opłaca. Jesteśmy po to, żeby chory człowiek do końca czuł się spełniony. Żeby, jeśli tylko chce, mógł zostać w swoim domu i mieć właściwą opiekę lub być przyjęty na oddział stacjonarny. Żeby miał decydujące słowo w kwestii realizacji swoich oczekiwań co do naszej posługi, realizacji swoich planów, zamierzeń, pragnień. Nasz hospicyjny zespół to profesjonaliści w poszczególnych zawodach, ale gdy pochylamy się nad chorym i jego cierpieniem, to właśnie on nam wyznacza przestrzeń, w której na miarę naszego profesjonalizmu niesiemy pomoc. Nic na siłę.

Pamiętam sytuację, kiedy jeden z naszych chorych nie chciał jeść, rozmawiać z personelem, zachowywał się agresywnie w stosunku do najbliższych i do personelu. Jego żona przyszła do mojego biura i powiedziała: „Siostro, on sobie nie radzi, bo całe życie zajmował się szkoleniem psów. Mamy psy w domu i on za nimi tęskni". Okazało się więc, że pacjentowi brakuje psa. Powiedziałam: „Szkoda że dopiero teraz się o tym dowiaduję". I znów od strony procedur jest to niewykonalne, w szpitalu – nie do pomyślenia. Ta pani przyprowadziła psa, zakładając, że tylko w odwiedziny. Tymczasem pacjent chciał, żeby pies został u niego. Powiedziałam, że nie widzę problemu. Pies leżał pod łóżkiem, chory na łóżku. Posiłek był dla chorego i dla psa. Wróciło życie

i radość do tego mężczyzny. I pies był cały czas z chorym. O to chodzi w praktyce. Ktoś mógłby powiedzieć, że nie ma mowy, bo takie są przepisy. U nas przepisem jest pragnienie człowieka chorego. Proszę sobie wyobrazić, że kiedy doszło do agonii tego pacjenta i odmawialiśmy modlitwę, pies nie leżał już pod łóżkiem, ale na łóżku i miał pysk położony na piersi tego mężczyzny. Głowa tego psa poruszała się w rytm coraz słabiej oddychającego człowieka. Pies był do końca. Ostatni oddech się dokonał. Nastąpiła chwila ciszy, a pies cały czas wpatrywał się w twarz swojego pana. Syn zmarłego musiał wziąć psa na ręce i zdjąć go z pacjenta. Dla mnie to było coś niesłychanego. Ten pies uczestniczył w tym odejściu. Był. Czuł. Nam ludziom nie zawsze udaje się właściwie być i czuć przy drugim człowieku. Kolejna lekcja czy warsztat wrażliwości.

Z czego, w przekonaniu Siostry, ciężka lub nieuleczalna choroba albo długi proces odchodzenia w hospicjum najbardziej człowieka odziera?

Myślę, że choroba odsłania wieloraką niemożność i ludzką bezsilność. Użyję tu własnego przykładu. Dynamiczna, choleryczna zakonnica, bo taki jest mój temperament. Jestem po operacji w szpitalu. Mam zakaz chodzenia, nie jestem w stanie wstać o własnych siłach. Przychodzi do mnie pielęgniarka, żeby założyć mi pampers. Ja, mocna siostra, której nawet do głowy by nie przyszło, że może mieć z tym problem, czuję wstyd. Siostra zakonna, która jest myta przez pielęgniarkę, bo po zabiegu chirurgicznym nie jest w stanie sama pójść do toalety, czuje zażenowanie. To doświadczenie mojej niemocy jest tym, co mi pomaga i co przekazuję personelowi. Spróbuj sobie uświadomić, że to ty leżysz w tym łóżku. Spróbuj sobie wyobrazić, że leży tam osoba, którą kochasz, i że przy niej trzeba zrobić wszystko. Rodzi

się zupełnie inna wrażliwość. Przestrzeń piękna naszego ciała i naszej intymności, kiedy jest oddana w ręce innych ludzi, wymaga nieprawdopodobnej wręcz delikatności i wyczucia. Zdarza się, że bliscy nie zawsze mają odwagę, by wykonać takie czynności, a co dopiero ktoś obcy. I teraz pojawia się pytanie: jak byś się czuł, gdybyś to ty leżał na tym łóżku, a ktoś obcy musiałby wykonać wokół ciebie wszystkie pielęgnacyjne czynności? Więc pierwsza kwestia to sfera naszej intymności.

Drugą delikatną przestrzenią, w którą wkracza ciężka choroba, jest sfera przeżyć emocjonalno-duchowych. Relacje z innym człowiekiem. Kiedy chory przypomina sobie poszczególne osoby, pojawiają się rozmaite reakcje: łzy, złość, wzruszenie, agresja, tęsknota, żal, zamknięcie emocjonalne. Jako osoby towarzyszące musimy się uczyć wchodzenia w te przestrzenie. Jak umiejętnie usłyszeć? Jak umiejętnie zareagować? Jak umiejętnie przemilczeć, żeby ktoś nie poczuł się pominięty, do czegoś przymuszony czy w czymś urażony? Każdy sam decyduje, w jakim stopniu chce się przede mną odsłonić. Ja tę przestrzeń udostępnienia muszę umieć zauważyć, rozpoznać i właściwie zareagować, podjąć właściwe działania.

A jak reaguje Siostra na utarty frazes, że cierpienie uszlachetnia? Niektórzy się oburzają na takie stwierdzenie.

Ja też się oburzam, choć podpisuję się pod tym stwierdzeniem całym sercem. Uszlachetnia. Ale aby to zrozumieć i tego doświadczyć, potrzeba czasu. To proces, to droga do zrozumienia i przyjęcia. Pamiętam pewną rozmowę między jednym z naszych pacjentów a księdzem. Ksiądz powiedział: „Przestań narzekać. W tym, że cierpisz, jest łaska Pana Boga i Bóg cię w tym wszystkim kocha. W tym jest sens. To dar Boga tak cierpieć". Ten chory, patrząc na księdza, odpowiedział: „Mam w dupie takiego

Pana Boga". Dosłownie cytuję chorego. W tym momencie księdza chyba trochę otrzeźwiło. Cierpienie uszlachetnia – z całą pewnością, jest darem – z całą pewnością, ale nie można przyjść do kogoś i powiedzieć mu z góry: ciesz się, że umierasz. Jak można komuś coś takiego powiedzieć? Takie sformułowania nie mogą być podawane jak jakiś nadzwyczajny suplement diety na wieczność w stylu: Bóg cię kocha, zgódź się na każdy ból i ciesz się, że cierpisz. Nieraz bólu zęba nie możemy wytrzymać. A cóż tu mówić o bólu związanym z chorobami nowotworowymi, kiedy należy zastosować najwyższe techniki medyczne eliminacji tego bólu. Nie można człowiekowi, który z bólu nie jest w stanie oddychać, powiedzieć: ból jest piękny, ofiaruj go Bogu. Dotykamy w tym pytaniu przestrzeni prawdy, do której przyjęcia droga chorego jest rozłożona na kilka bądź kilkanaście etapów. Do jej przyjęcia on sam musi dojść.

Czy ta ponaddwudziestoletnia praca z osobami chorymi pomaga Siostrze oswoić perspektywę własnej śmierci?

Nie wiem, jak inni to postrzegają, ale ja nie traktuję śmierci jako końca. Dla mnie moment, który nazywamy śmiercią, jest po prostu momentem przejścia. To mi się kojarzy z miejscem zameldowania. Tu, na ziemi, jesteśmy bardzo często zameldowani tymczasowo. Kiedyś adres mojego meldunku tymczasowego skończy się i dostanę meldunek stały. Ten meldunek stały wypracowuję sobie za życia na plus lub na minus. Jestem wolna, a nie przymuszona do tego, by wybierać plusy. Matematyczne podejście. Zawsze z matematyki miałam piątkę. Staram się wybierać plusy.

Jak się Siostrze wydaje z perspektywy tych wszystkich lat pracy w hospicjum, co po ludziach tak naprawdę zostaje?

Może to dziwnie zabrzmi, ale ja raczej patrzę na to, co ludzie zabierają. Nasze życie nie jest po to, żeby coś zostawić. Ono jest

po to, żeby tworzyć na bieżąco i coś zabrać ze sobą. Ja to nazywam duchowo-religijno-emocjonalnym egoizmem. Moje życie jest wtedy spełnione, kiedy odchodząc z tego życia, będę wiedziała, że zabieram ze sobą miłość najbliższych. Tę, którą ofiarowałam, i tę, którą otrzymałam. Zabieram ze sobą dobro uczynione drugiemu człowiekowi. Zabieram ze sobą przebaczenie tym osobom, które mnie zraniły. Zabieram ze sobą to, że nie przeszłam obojętnie, kiedy ktoś cierpiał. Zabieram ludzi, na których mi zależy, za których w wymiarze duchowym cierpiałam, pokutowałam, modliłam się. Nie mogę przejść obojętnie, kiedy widzę, że ktoś jest hermetycznie zamknięty na drugiego człowieka. Wtedy staram się dać coś z siebie. Nie chcę nic zostawiać, chcę zabierać. Wiele osób mówi czasem: „Mam czyste ręce". To można obrócić. Co z tego, że czyste, skoro puste? Wie pani, nie znam autorstwa słów, które gdzieś przeczytałam i którymi codziennie się modlę: „Panie Boże, daj, żebym nie traciła, oszczędzając, ale gromadziła, rozdzielając". To jest kierunek mojego życia.

Powiedziała Siostra, że nie może przejść obojętnie, kiedy ktoś jest hermetycznie zamknięty na drugiego. Jakie cechy najbardziej ceni Siostra w ludziach?

Znów użyję przykładu. Kiedy zakończył się etap remontu i wyposażenia hospicjum, zaczęłam przyjmować pracowników. Ogłosiłam, że powstaje nowa placówka w przestrzeni medycznej. Określiłam grupy zawodowe i zaznaczyłam, że zależy mi na tym, by pracownicy posługiwali się trzema podstawowymi językami: polskim, rosyjskim i litewskim. Odbywały się rozmowy z kandydatami. Pewnego dnia przyszła do mnie piękna kobieta. Weszła do biura, popatrzyła ze zdziwieniem na mnie, na obrazy wiszące w biurze, na krzyż i powiedziała: „Byłam umówiona dzisiaj na rozmowę w sprawie pracy, ale wydaje mi się, że się

pomyliłam". Wstałam, podałam rękę, zapytałam: „A dlaczego? Coś się wydarzyło?". Odpowiedziała: „Pani jest zakonnicą, tu wiszą święte obrazy, a ja jestem ateistką. To chyba nie mogę tu pracować". Zaproponowałam, żeby usiadła, napiła się czegoś. Zapytałam, dlaczego chciałaby pracować w hospicjum. Odpowiedziała, że jest pielęgniarką, że czytała o powstającej instytucji. W pewnym momencie dodała, że wprawdzie w Boga nie wierzy, ale wierzy w godność człowieka. Odpowiedziałam jej na to: „To proszę popatrzeć na mnie jak na człowieka. Bóg, w którego ja wierzę, też był człowiekiem. Jeśli pani wierzy w godność człowieka i chce mu służyć, to ja panią witam w pracy". Popatrzyła na mnie zmieszana, chwilę pomyślała i powiedziała: „Dobrze, to proszę o przyjęcie do pracy". To jest jedna z moich pielęgniarek: ateistka, która wierzy w godność człowieka. Wracając bezpośrednio do pani pytania, co najbardziej cenię w ludziach? Na każdego patrzę przez pryzmat serca i rozumu. Dla mnie przestrzeń podziałów: Polak czy Litwin, wierzący czy niewierzący, bogaty czy biedny nie istnieje. Ludzie mądrzy i głupi, z dobrym i złym sercem zdarzają się wszędzie. Zawsze staram się patrzeć na rozum i na serce. Cenię mądrość i dobro.

Jak, będąc zakonnicą, udaje się Siostrze być sobą i zachowywać wolność?

Wie pani, ja bym to przyrównała do małżeństwa. Jeżeli dwoje kochających się ludzi ślubuje sobie miłość, wierność i uczciwość małżeńską, to czy oni ograniczają się? Czy zabierają sobie wolność? Taką przysięgę składa się z miłości. A miłość daje poczucie spełnienia i siłę. Ja to samo przenoszę na życie zakonne. Zostałam zakonnicą z miłości, z wolnego wyboru. Ślubowałam Bogu czystość, ubóstwo i posłuszeństwo. Oddałam Mu to, ale to jest miłość odwzajemniona. On też mnie kocha. Nie jestem niewolnicą.

W wolności i miłości oddałam siebie oraz w wolności i miłości przyjmuję Boga. On jest dla mnie przestrzenią, w której żyję i istnieję. Ilu jest ludzi, o których dzisiaj mówię, że ich kocham? Czasem ktoś się ze mnie śmieje, kiedy mówię: „To jest mężczyzna, którego kocham". Tu nie ma żadnych podtekstów erotycznych. To jest ktoś, kogo wyciągnęłam z alkoholizmu. Ktoś, kogo rodzice umarli w naszym hospicjum. To jest ksiądz, który potrafi wszystko, co ma, oddać biednym. Jestem sobą poprzez umiejętne danie siebie Bogu, a przez to innym. W ślubie czystości jestem dla wszystkich. W ślubie ubóstwa mam po to, żeby dawać. Nie daj Boże, żebym gromadziła. A w posłuszeństwie jestem wolna, choć nie żyję dla siebie. Dla mnie być dobrą zakonnicą i wolnym człowiekiem to podjąć decyzję, że nie żyję dla siebie.

Na czym, według Siostry, polega dobre życie, niezależnie od tego, czy ktoś jest wierzący czy niewierzący?

Sprowadziłabym odpowiedź do kilku ważnych haseł: uczciwość, sprawiedliwość, wierność w każdej przestrzeni, umiejętność dawania i prostota. Dobre życie jest wtedy, kiedy jesteśmy prawdziwi, kiedy nie tworzymy sobie image'u. Dobre życie oznacza zgodę na to, kim jestem, jak wyglądam, skąd pochodzę. Niezakłamywanie swojej historii i realne podchodzenie do codzienności. Człowiek, który żyje dobrze, nie zabija się za prestiżem. Płacze. Denerwuje się. Szuka wsparcia. Śmieje się. Potrafi przyznać się, że nie wszystko wie. Pozostaje otwarty na przestrzeń pomocy. Nie uważa się za ideał.

I jeszcze jedno. Dobre życie dokonuje się powoli. W moim zgromadzeniu każda siostra przy składaniu ślubów wieczystych pisze swoją ostatnią wolę. Ja w testamencie poprosiłam, by w czasie mojego pogrzebu po odczytaniu Ewangelii nie było kazania ani przemówień, ale by w zamian został odtworzony

utwór *Adagio* Tomasa Albinoniego. To mój ulubiony utwór. Po polsku wykonuje go mój przyjaciel Marek Torzewski. W tym *Adagio* przestrzeń dźwięku, cała jego aura każe się zatrzymać, zastanowić, podjąć decyzje ważne dla piękna życia. W tekście śpiewanym przez Marka przewija się przesłanie, że w przyrodzie wszystko dokonuje się powoli. Tylko ludzie, tylko my, szarpiemy się, miotamy i wciąż spieramy o to, kto z nas ważniejszy, kto zasłużył na to, by mówić Bogu na „ty". Tymczasem nie mam wątpliwości, że chodzi o to, by żyć powoli, uważnie, mieć czas dla innych. Czas na zastanowienie, na refleksję, na właściwy wybór. Adagio.

Podziękowania

Przystępując do pracy nad książką, kilkakrotnie usłyszałam, że porywam się na karkołomny projekt. Docierały do mnie głosy, że niezwykle trudno znaleźć wśród polskich sióstr zakonnych ciekawe rozmówczynie. Ostrzegano mnie również, że życie zakonne jest perspektywą, o której nie da się opowiedzieć w zajmujący sposób. Okazało się jednak, że dotarłam do wyjątkowych kobiet, które zaprzeczyły powszechnym opiniom.

Za to chciałabym bardzo podziękować moim Siostrom-Rozmówczyniom. Dziękuję za nasze spotkania i wielogodzinne rozmowy. Za poświęcony mi czas. Za zadziwiającą cierpliwość, otwartość, zaufanie i wyrozumiałość. Za odpowiedzi na pytania trudne, irytujące, czasem zaskakujące. Jestem wdzięczna moim Rozmówczyniom za to, że mogłyśmy razem przejść drogę, której owocem jest niniejsza publikacja. Osobisty kontakt z każdą z Sióstr był dla mnie szansą na to, by lepiej zrozumieć poruszane w książce kwestie. Zapewniam, że starałam się wykorzystać ją najlepiej, jak potrafiłam.

Dziękuję Wydawnictwu Dolnośląskiemu i Grupie Publicat za to, że zechciało podjąć się wydania tej książki. Za wszystkie uwagi, komentarze i ciekawe rozmowy dziękuję w sposób szczególny Monice Kaczmarek-Klose, dyrektorowi wydawniczemu Wydawnictwa Dolnośląskiego i Książnicy, oraz Klaudii Kościelskiej. Za wspólną pracę nad konstrukcją książki, rady edytorskie oraz cierpliwe wyjaśnianie mi wielu kwestii dziękuję:

Jagodzie Czypionce, Barbarze Majewskiej, Iwonie Huchli oraz Patrykowi Młynkowi.

Jestem bardzo wdzięczna wszystkim osobom, które na przestrzeni ostatnich miesięcy pomogły mi dotrzeć do moich Rozmówczyń lub ułatwiły poszczególne kontakty. Ten dług wdzięczności obejmuje zbyt wiele osób, by móc je wszystkie tutaj wymienić.

W sposób szczególny dziękuję moim Najbliższym – za wsparcie, bez którego książka nie mogłaby powstać.

Dziękuję również każdemu Czytelnikowi, który zdecyduje się zmierzyć z tą lekturą.

Wszystkich, którzy chcieliby się ze mną podzielić swoimi opiniami na temat książki *Habit zamiast szminki*, zapraszam do kontaktu.

Ewelina Tondys
habitzamiastszminki@gmail.com

Źródła cytatów

[*1] Alois Prinz, *Beruf Philosophin oder Die Liebe zur Welt. Die Lebensgeschichte der Hannah Arendt*, Belz 2015.

[*2] Amoz Oz, *Nagle w głębi lasu*, Rebis, Poznań 2006.

[*3] *Nie zgadzaj się na zło!*, papież Franciszek, kard. Jorge Mario Bergoglio, Wydawnictwo m, KAI, Kraków 2013, wypowiedź papieża przetłumaczył Krzysztof Gołębiowski (KAI).

[*4] John i Stasi Eldredge, *Urzekająca. Odkrywanie tajemnicy kobiecej duszy*, tłum. Maria Sabiłło-Widera, Oficyna Wydawnicza Logos, Warszawa 2005.

[*5] ks. Jan Kaczkowski, *Ekskluzywny żebrak, czyli ks. Jan Kaczkowski o tym, co najważniejsze*, Wydawnictwo Unitas, Siedlce 2016.

[*6] Leszek Kołakowski, *Mini-wykłady o maxi-sprawach*. Seria trzecia i ostatnia, Wydawnictwo Znak, Kraków 2000.

[*7] Katarzyna Janowska, Piotr Mucharski, *Rozmowy na koniec wieku*, Wydawnictwo Znak, Kraków 1997.

Przypisy

[1] http://www.deon.pl/religia/duchowosc-i-wiara/zycie-i-wiara/art,1951,obalamy-mity-o-siostrach-zakonnych.html.

[2] http://www.deon.pl/religia/duchowosc-i-wiara/zycie-i-wiara/art,1951,obalamy-mity-o-siostrach-zakonnych.html.

[3] http://www.deon.pl/religia/duchowosc-i-wiara/zycie-i-wiara/art,1951,obalamy-mity-o-siostrach-zakonnych.html.

[4] http://www.deon.pl/religia/duchowosc-i-wiara/zycie-i-wiara/art,1951,obalamy-mity-o-siostrach-zakonnych.html.

[5] W teologii chrześcijańskiej głoszenie podstawowych prawd Ewangelii.

[6] http://siostraewa.blog.deon.pl/pl/2015/11/14/zaadoptuj-terroryste/.

[7] http://labo-old.wiez.pl/blog.php?774&mojkomentarzdowszystkiego&ar.

[8] Dokument zwyczajnego nauczania papieskiego o charakterze duszpasterskim adresowany do określonej grupy osób.

[9] Święta Teresa z Lisieux – francuska karmelitanka bosa, święta Kościoła katolickiego i doktor Kościoła.

[10] Polski ksiądz katolicki, założyciel ruchu Światło-Życie, więzień obozów koncentracyjnych, prześladowany przez Służbę Bezpieczeństwa PRL.

[11] Zezwolenie na przebywanie zakonnika bądź zakonnicy poza klasztorem udzielane na ściśle określony czas.

[12] http://www.deon.pl/religia/wiara-i-spoleczenstwo/art,1237,oto-co-proponuja-nam-zakonnice-wywiad.html.

[13] Od ang. *Youth Cathechism* – katechizm Kościoła katolickiego w wersji dla młodzieży, który ukazał się w 2011 roku.

[14] Trzecia Godzina Dnia.

[15] http://www.niedziela.pl/artykul/61486/nd/zdjecia.

[16] Klaryski powstały w 1212 roku w Asyżu dzięki św. Klarze, która zapragnęła żyć Ewangelią według przykładu św. Franciszka. W Polsce Zakon jest od połowy XIII wieku dzięki błogosławionej Salomei, pierwszej polskiej klarysce. Od 1316 roku klaryski są obecne w Krakowie. Z inicjatywy św. Kingi, żony Bolesława Wstydliwego, księcia krakowskiego, brata bł. Salomei, w roku 1280 powstał klasztor Klarysek w Starym Sączu, a w roku 1283 staraniem bł. Jolanty, siostry św. Kingi, żony Bolesława Pobożnego, założono fundację klarysek w Gnieźnie.

[17] Szkaplerz – wierzchnia część habitu w postaci szerokiego płata materiału z otworem na głowę, koloru czarnego; traktowany w początkach jako okrycie ochronne dla tuniki; dziś stały element ubioru klarysek.

[18] Zawicie – rodzaj białego i cienkiego nakrycia szyi, głowy i policzków, którym średniowieczne kobiety wyrażały skromność i oddanie się poślubionemu.

[19] Bindal – biała płócienna krochmalona przepaska wokół głowy na wysokości czoła, upięty jest na nim welon zakonny.

[20] P.M. Delfieux, *Źródło na pustyni miast. Reguła życia Monastycznych Wspólnot Jerozolimskich*, Warszawa 1991.

[21] Księga Życia jest odpowiednikiem Reguły dla braci i sióstr Monastycznych Wspólnot Jerozolimskich.

[22] W teologii chrześcijańskiej głoszenie podstawowych prawd Ewangelii.

HABIT zamiast *szminki*

To nie jest książka o wyborze między Bogiem a kobiecością ani książka o kobietach „z innej planety". Przełamuje stereotypy na temat zakonnic bez uciekania się do „religijnego makijażu". To ważna i potrzebna książka.

dr Jacek Prusak SJ, prorektor Akademii Ignatianum, publicysta „Tygodnika Powszechnego", psychoterapeuta

Kobiety od czasów Chrystusa odgrywały wielką i niczym niezastąpioną rolę w Kościele. *Habit zamiast szminki* w bezpośredni i bardzo autentyczny sposób ukazuje, jak czynią to dziś siostry zakonne. Książka wciąga czytelnika w wielobarwny świat kreatywnych i mądrych kobiet, które ofiarowały swoje życie Bogu oraz ludziom.

Maciej Zięba OP, teolog, filozof, publicysta

Prawdę mówi jedna z bohaterek książki, że za często myślimy o zakonnicach jak o istotach zawieszonych gdzieś między Matką Boską a aniołami. Tymczasem nic bardziej mylnego! To prawdziwe współczesne kobiety z krwi i kości, które potrafią odważnie stawić czoła najróżniejszym wyzwaniom.

ks. Kazimierz Sowa, duchowny, publicysta i podróżnik

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE
www.publicat.pl
ISBN 978-83-245-8269-3
EAN 9788324582693
U.WD.INN010.1.01.01